

Niepokojąca książka. Naprawdę niepokojąca!

Marek Harny

laureat Nagrody Wielkiego Kalibru

**KAROLINA
SZEWCZYKOWSKA**

**DRUGA
STRONA
MIASTA**

Prószyński i S-ka

**KAROLINA
SZEWCZYKOWSKA**

**DRUGA
STRONA
MIASTA**

Prószyński i S-ka

Copyright © Karolina Szewczykowska, 2017

Projekt okładki
Mariusz Kula

Zdjęcie na okładce
© Sherry Yates Young/[Shutterstock.com](https://www.shutterstock.com)

Redaktor prowadzący
Michał Nalewski

Redakcja
Małgorzata Grudnik-Zwolińska

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8097-870-6

Warszawa 2017

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
www.proszynski.pl

*Marcinowi i naszym dzieciom
– z miłością*

*Za każdym idzie jego cień
i im mniej jest on włączony
do świadomego życia
człowieka,
tym bardziej jest czarny i gęsty.*

Carl Gustav Jung

*Fotel i książki, i świeca z cieniem
i nagle w świecy jęk pełen skarg:
To ćma płonie jasnym płomieniem
jak sama Joanna d'Arc...*

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska

LUIZA ORŁOWICZ

Piątek, 5 czerwca 2015 roku

Jest w pól do pierwszej, a ja po prostu wiem, że nie wytrzymam tego ani minuty dłużej. Mam ochotę chwycić nóż i wbić go sobie prosto w serce. Czy mnie na to nie stać? Mnie, oazę spokoju, miłosierdzia i łagodności, wcielonego anioła. Złapię za rękojeść, wepchnę sobie ostrze w miękkie ciało! Trudno w to uwierzyć? Jestem w hysterii, a przez krótką, ledwie uchwytą jak frunące w powietrzu nasionko mleczu, chwilę chce mi się śmiać.

Moja terapeutka nie przyszła, choć ją o to błagałam. Byłyśmy umówione! Myślałam, że się spóźni, jednak wcale się nie pojawiła, nie dała znaku życia. Nie odebrała nawet telefonu i poczułam się jak trędowata. To takie do niej niepodobne! Na przemian byłam rozszalona i wściekła. Jak mogła mnie tak zostawić? Teraz przecież potrzebuję jej pomocy jeszcze bardziej!

Rano pokłóciłam się z ojcem, który zjawił się niezapowiedzianie, żeby spytać, czy rzeczywiście zgadzam się sprzedać swoje udziały w firmie. Dał mi wyraźnie do zrozumienia, że on tego zrobić nie zamierza (kolejny raz pozwoliłam mu się oszukać). Śmierdział alkoholem, choć zachowywał się normalnie. Miał spocone czoło, podkrążone oczy i rozglądał się po salonie, jakby czegoś szukał. Dawno go nie widziałam i szczerze mówiąc, byłam zaskoczona, więc nie zareagowałam jak należy. A wiadomo, jak należy – od razu przechodzisz do ataku – tak, u nas tak jest. Na odchodnym spytał, czy wszystko dobrze, i spojrzał na mnie tak, jakby wiedział, że nic nie jest dobrze, bo moje życie jest porażką od samego poczęcia. Zrobiło mi się słabo. Oczywiście, cała złana potem odpowiedziałam, że w porządku, ale jestem pewna, że nie uwierzył. „Zostaw stare sprawy”, powiedział, nie patrząc na mnie, i zaczął się śmiać. Trzęsącymi się rękami zamknęłam za nim drzwi i pobiegłam do pokoju na górze, by zadzwonić do terapeutki. Nie odebrała.

Nie zdążyłam ochłonać, gdy znów odezwał się dzwonek. Tym razem przyszedł Marek. Przywitał mnie z braterskim, udawanym uśmiechem i powiedział, że nie mogą się z Ewą doczekać wieczornego spektaklu. Że na pewno pójdzie dobrze. Przecież to

jasne, że sobie poradzę, prawda? Niby mimochodem spytał, czy był Zbyszek. Odpowiedziałam, że tak. Mój piękny starszy brat zmarszczył brwi (zawsze wtedy wyglądał jak rzymski posąg z prostym nosem i idealnymi rysami twarzy). Ubiegając jego pytanie, potwierdziłam, że absolutnie nie zmieniałam zdania. Dałam mu odczuć, że powinien sobie pójść. On również odwrócił się w drzwiach i spytał, czy wszystko w porządku. Potwierdziłam i prawie zepchnęłam go ze schodów. Stojąc przy furtce, krzyknął jeszcze: „Do zobaczenia na spektaklu!”. Na szczęście sąsiedzi wyjechali. Niepotrzebny mi tu jeszcze dodatkowy cyrk. Szybko zamknęłam drzwi.

Przyszedł też on. Wiedział, że nie powinien – powiedziałam mu to jasno, kiedy ostatnim razem się widzieliśmy. Pojawił się jak zwykle bez zaproszenia. Ujrzałam go i stało się ze mną coś, czego nie potrafię nazwać. Kazałam mu natychmiast wyjść. Protestował, ale nie dałam mu powiedzieć nic więcej. Nie miałam ochoty ani na niego patrzeć, ani go słuchać. Zamknęłam oczy i widziałam wszystko to, czego nie powinnam była zobaczyć. Czy musiało się to zdarzyć właśnie dzisiaj? Czułam rosnącą irytację. Zdałam sobie sprawę, że chyba (nie jestem tego zupełnie pewna) zrobiłam coś strasznego. Jeśli tak było – nie będzie dla mnie dobrego rozwiązania.

Kiedy wyszedł, zaczęłam ćwiczyć kwestie ze spektaklu. Miałam pustkę w głowie, poszczególne słowa nie zawsze składały się w sensowną całość. Z trudem powtórzyłam kilka stron, gdy przyjechał Adam. Powiedział, że skończył wcześniej spotkanie na mieście. Moim skromnym zdaniem żadnego spotkania nie było. Chciał uspić moją czujność i pokazać, że on się stara i tak naprawdę nie zależy mu na pieniądzach za sprzedaż firmy. Potraktowałam go jak intruza, dając do zrozumienia, że mi przeszkadza w przygotowaniach. Chciał porozmawiać, ale ja nie miałam ochoty. Gdybym zaczęła mówić, mogłabym wylać to wszystko, co tłamsiłam w sobie i miałam z terapeutką od tyłu pieprzonych miesięcy. Potężny, ciężki i cuchnący rzyg. W końcu nie wytrzymał ciszy przepelnionej gęstniejącym napięciem i opuścił dom niczym niechciany kochanek. Czego on właściwie chciał? Mój biedny, zagubiony mąż. Czy myślisz, kochanie, że mogłabym sobie coś zrobić? Za każdym razem, kiedy patrzysz na mnie spojrzeniem niby błagalnym, a ja dostrzegam w nim również nienawiść (tak, jesteś, mój mężu, słabym aktorem), jest mi Ciebie żal. Nic nie pomagają moje tłumaczenia. Gówno rozumiesz, taka jest prawda. Choć tak bardzo bym chciała, żeby było inaczej.

Powoli się poddaję. Obezwładnia mnie strach i przeczucie, że zaraz wydarzy się coś potwornego. Czerwona suknia leży na kanapie niczym porzucona zbroja unurzana we krwi. Materiał mieni się w południowym słońcu tak, że muszę na moment odwrócić wzrok. Zamykam oczy, a pod powiekami nadal drży świetlisty obraz, który rozmazuje się coraz bardziej, aż staje się jasną, pozbawioną plam taflą. Zaczynam wyobrażać sobie, jak będę wyglądać po śmierci. Jaki odcień przybierze moja skóra? Jak szybko zgniję? (W taki upał szybciej, tak czytałam). Czy moje oczy pozostaną otwarte? Czy

będę wyglądać ładnie? Wiem, że trupio, ale może będzie w tym coś majestatycznego? Wszystko zależy od tego, jak umrę, to dla mnie oczywiste. Nie, nie chcę umierać. Po prostu tak strasznie się boję i mój tok myślenia odbiega w tej chwili od normy. Już nie wiem, czy jestem w roli, czy poza nią. Czy może obrosłam nią już do tego stopnia, że wariuję?

Zamiast noża chwytam telefon i dzwonię po Martę. Z nią też byłam umówiona, ale niech przyjdzie wcześniej – mam teraz więcej czasu, a nie chcę tu siedzieć sama. Manikiur jest ostatnią rzeczą, którą powinnam teraz zrobić. Kogo obchodzą paznokcie, kiedy tak blisko czai się morderca? Ale ja jednak je pomaluję. Na czerwono. Jeśli zagram wieczorem premierę *Motyła zmierzchu*... (Coraz bardziej w to wątpię. Czuję, że moje chwile są policzone). Dlatego śmieję się nerwowo sama do siebie. Premiera okaże się sukcesem. Wiem, że po mojej śmierci wykupią bilety na cały sezon.

Piszę swoje notatki. (Nie lubię słowa „pamiętnik” – jest zbyt retro. Zresztą wcale nie jestem pewna, czy chcę pamiętać wszystko to, co tu od roku zapisuję. Porządkuję myśli i usiłuję zapobiec kolejnym napadom paniki, ot co). Przerwywam pisanie, zaczynam krążyć po salonie i objam się jak mucha o szybę, kiedy chce wydostać się na zewnątrz, a nie może. Obserwuję siebie z góry i przykro mi na to patrzeć. Coraz bardziej żal mi samej siebie.

Obchodzę salon. Przyglądam się wszystkim przedmiotom tak zachłannie, jakbym widziała je po raz pierwszy, a zarazem ostatni. Salon wydaje mi się mały jak pudełko zapalek. Wielkie okna, przez które wpada dużo światła, przypominają lodowe wrota przybrane w firany niczym kapryśny welon panny młodej. Kanapa, której miękkość sprawia, że jest moim ulubionym meblem, znajduje się pośrodku. Biały kominiek, przy którym stoją ciężkie posążki greckich bogów (nie mam pojęcia, kto je przywiózł, ale sądzę, że był to mój ojciec). Lustro w ciężkiej, połączanej ramie, w którym nigdy się sobie nie podobałam, bo wyglądałam z pięć lat starzej. Kilka obrazów małej wartości, z którymi nie wiadomo, co zrobić. Szczególnie z dwoma portretami, których pochodzenia nigdy nie byłam w stanie ustalić. Nobliwa siwa pani i szlachetny starszy pan, których spojrzenie zawsze mnie niepokoiło.

Przeszłam do holu, w którym było najchłodniej. Przystanąłam przy starych zdjęciach prawie całej mojej rodziny. Najpierw mama, brat, ojciec i ja. Potem również Adam i dzieci. Chwile zamknięte pod kawałkami zakurzonych szybek. Kto by pomyślał, że z nami wszystkimi jest coś nie tak? Te zastygłe uśmiechy na opalonych twarzach, wspólne biesiady i święta, których już nikt nie pamięta, bo po co? Odwróciłam z niechęcią wzrok i spojrzałam w kierunku białych schodów. Mój brat, gdy był małym dzieckiem, omal się na nich nie zabił... Dlatego zamontowałam bramkę, żeby nie narazić moich dzieci na podobne ryzyko. Zawahałam się, ale zdecydowałam, że nie wejdę do kuchni – to królestwo Barbary. Ja nie lubię tego miejsca – jest zbyt sterylne. Zaczęłam wspinać się po schodach, trzymając się kurczowo poręczy. Z góry hol

wygląda inaczej. Kolorowy, kwiecisty dywan niczym obraz szesnastowiecznego malarza zachęca mnie do skoku. Gdy weszłam na górę, nie poszłam do swojej sypialni. Sięgnęłam po kluczyk ukryty za obrazem wiszącym na ścianie tuż przy schodach. Chwyciłam go w dłoń i podeszłam do drzwi pokoju znajdującego się na końcu korytarza. Otworzyłam je i przekroczyłam próg. Czułam kurz unoszący się w powietrzu i zapach lekarstw. Białe ściany, bo takie były zawsze i tak miało zostać. Pokój, który nie pasował do reszty pomieszczeń. Jedyna pamiątka przeszłości. Otworzyłam szafę. Wyjęłam mały przedmiot. Owinęłam go w jedwabną chustkę. Zamknęłam z powrotem drzwi i z pośpiechem wróciłam na dół, nerwowo oglądając się za siebie, jakby ktoś mnie gonił.

Mam jeszcze godzinę do przyjścia Marty. Postanawiam przymierzyć suknię, a potem położyć się choćby na kwadrans. Cała się kleję – nie wiem, jak się wbiję w tę suknię, słowo daję, to będzie męka. Słabo spałam tej nocy (zawsze jestem spięta przed premierą, a teraz dodatkowo po sesjach). Może się uspokoję, jeśli się zdrzemnę? Tak, powinnam się uspokoić.

Moje serce bije bardzo szybko, gdy układam się na sofie owinięta w delikatny aksamit sukni, i uspokaja wolno, gdy nadchodzi sen. Niespodziewany powiew porusza nagrzane powietrze. Okiennica delikatnie uderza o ścianę. Nie słyszę żadnych kroków, nie czuję niczyjego dotyku. To do mnie niepodobne, że w środku dnia zapadam w sen niczym niemowlę. Niemowlę jednak nie jest złe. Ja jestem. Każdy ma swoją gorszą stronę – tak mawia moja terapeutka. I ja w to wierzę.

Ona jednak o tym nie wie, że ja naprawdę jestem złą kobietą. Po prostu nie zasługuję na to, żeby chodzić po tym świecie. Nie mam pojęcia, czy mi się to śni, czy rzeczywiście usiadłam na sofie i ujrzałam w drzwiach moją matkę. Poznałam ją, choć tyle czasu minęło od jej śmierci. Uśmiechnęła się delikatnie i już wiedziałam, że przyszła po mnie. Nie ma się co szarpać, myślę we śnie z rezygnacją. Wyciąga do mnie rękę. Przytulam się do jej zimnego policzka, który stapia się powoli z moim, tworząc jedność. Nie boję się. Już się nie boję.

Piątek, 5 czerwca 2015 roku

PRAGA-PÓŁNOC

W gmachu prokuratury panował letni zaduch. Leniwe popołudnie z drobnymi przestępstwami, popełnianymi zwykle w długie weekendy. Ktoś komuś dał w ryj, dziecko się niemal utopiło na Gocławiu, ale je odratowali, okradziono dom znanego polityka, który wybrał się w egzotyczną podróż i teraz dzwonił z awanturą, że on ma prawo do odpoczynku.

Ludzi w budynku mało, okrojony skład osobowy, bo większość wyjechała udawać, że wakacje już się zaczęły.

Prokurator Aleksander Zawadzki nie wyjechał, bo niedługo – dni odliczał pieczołowicie – miała zostać rozstrzygnięta sprawa wakatu. I to nie było jakiego. Tadeusz Kwaśnik, od osiemnastu lat przełożony Zawadzkiego, szykował się do odejścia. Nie mówiono o tym otwarcie, bo to nie była decyzja Kwaśnika. Delikatnie go do tego nakłaniano. Podobno, jak niosła plotka, chodziło o sprawy osobiste. Prokurator rejonowy był jednak szcwanym lisem, który nie godził się tak łatwo z utratą stanowiska. A Aleksander Zawadzki coraz bardziej miał na nie chrapkę i wcale się w tym względzie nie oszukiwał.

Z Kwaśnikiem uwielbiali się jako koledzy. Nienawidzili jako ludzie. Zawadzki nieraz zastanawiał się, jak to w ogóle możliwe, że wytrzymał z tym starym grzybem tak długo. Dużo mu zawdzięczał, to prawda... Zawadzki niechętnie wracał do tej sprawy. Minęło już sporo czasu, nie czuł goryczy na wspomnienie numeru, który wykręcił mu dawny przyjaciel, komisarz Modest Tokaj. W każdym razie Kwaśnik pomógł mu wtedy bardziej, niż można się było spodziewać. Widać nie wiedział, że na własnej piersi hoduje żmiję.

Zawadzki zapatrzył się w zegar. Dochodziła czwarta. Cisza oraz upał w pomieszczeniu jak smród w porannym autobusie, którym jechał do pracy, wprawiały go w otępienie. Odpoczywał od domu, od małej Kasi, która nie dawała spać w nocy. Odpoczywał również od żony, która od kilku tygodni była marudna i drażliwa. Nie wiedział i nawet nie próbował się domyślić, co się stało, ale zakładał, że jak przyjdzie pora – Iga na pewno wszystko mu powie. Przecież nie mieli przed sobą tajemnic. Byli udanym małżeństwem.

Aleksander spojrzął na stojące na biurku zdjęcie. Opalona twarz córki ze szczerbatym

uśmiechem i nosem upstrzonym piegami. Dwa warkocze związane grubymi wstążkami w czerwone groszki kupionymi na odpuście. Adopcja córki przestała być dręczącą sprawą. Mała była u nich, rosła jak na drożdżach. I tak powinno zostać, nikt im jej nie odbierze. On na to nie pozwoli.

Wstał od biurka i podszedł do okna. Widać było z niego mały skwer, zaniedbany i zarośnięty gęstymi krzakami. Kilku meneli popijało tanie wino, a dzieci bawiły się na niewielkim placu zabaw. Jakaś para leżała na kocu, wystawiając blade ciała na pierwsze promienie słońca. Lato przyszło tego roku z dnia na dzień, praktycznie z pominięciem wiosny. Zawadzki patrzył na okrągłe pośladki dziewczyny wzrokiem chirurga plastycznego. Spoczywający obok niej mężczyzna sprawiał wrażenie dwa razy mniejszego. Prokurator skrzywił się. Nie lubił brzydoty ani tego, co zaburzało głęboko w nim zakorzenione poczucie estetyki. Jak radził sobie z ohydą wykonywanego zawodu, tego sam nie rozumiał. Czasem, gdy miał lepszy dzień, żartował z tego powodu. Jednak zdarzało się to rzadko, bo Aleksander Zawadzki był z natury śmiertelnie poważnym człowiekiem.

Schylił się i zawiązał rozwiązaną sznurówkę błękitnego converse'a. Sprawdził, czy nie pobrudził sobie koszuli keczupem, gdy jadł frytki przy biurku (bywało, że jadł je w pracy, i szczerze tego nienawidził). Przepiękne bary dziś ani trochę nie zachęcały do wyjścia. Po pierwsze, nie znosił się pocić, po drugie, alergia na słońce sprawiała, że lato traktował jako zło konieczne, po trzecie, tłum wprawiał go w rozdrażnienie. Wolał ludzi martwych niż głupio uśmiechniętych i rozkosznie zblazowanych. Ot, zboczenie zawodowe.

Właśnie miał opuścić pokój, by przygotować popołudniową kawę z pianką grubą na dwa palce, gdy w drzwiach stanęła Halina Jędrzejczyk. Uśmiechnięta, rumiana i pachnąca, zawsze konwaliami. Gdyby chodziło o kogoś innego, już dawno by powiedział, że nie znosi tego tandetnego, bazarowego zapachu. Jednak ją i cały ten zapach w skrytości ducha uwielbiał. Zresztą nie miałby śmiałości zwrócić jej uwagi na cokolwiek. Halina była aniołem jego sekretariatu – wszędobylskim duchem, który przenikał ściany i wiedział absolutnie wszystko, co należało wiedzieć. Utonąłby bez niej w morzu swojej pedanterii umysłowej i cielesnej, a nade wszystko lekceważenia tego, co mówią inni. Nie miał co do tego złudzeń.

– Zgłoszenie z Saskiej Kępy. – Mówiła tak, jakby czytała komunikat radiowy. – Zadzwoiła kobieta, nie histeryzowała, ale słychać było, że jest zdenerwowana. Świadek wypowiedziała się rzeczowo, prosiła o pilną interwencję policji. Denatka ma podobno rozkrwawiony brzuch.

Miał nadzieję na spokojny dzień. Bez nieprzyjemnych wydarzeń, z nieruchomym powietrzem i zimnym piwem.

– Co jeszcze wiesz? – spytał, odszedł od okna, wskazał Halince krzesło, a gdy usiadła, zrobił to samo. Jego fotel skrzypnął.

– Kobieta, trzydzieści osiem lat. Zadzwoiła osoba, która ją znalazła. Na miejscu jest dwóch świadków.

– Któż to?

Halinka wykonała teatralny ruch dłońmi i powiedziała:

– Luiza Orłowicz-Kosińska. Na Królowej Aldony. Mówi ci to coś?

Doskonale wiedziała, że tak. Aleksander Zawadzki wcisnął się mocniej w fotel. Przez jego głowę myśli przelatywały jak stado dzikich stworzeń pozbawionych twarzy. Modest Tokaj, Henryk Lorenc, Zbigniew Orłowicz. To oni, niczym tornado, przewalili się przez jego życie kilka lat temu. Czyżby wielki *come back*? O Orłowiczu, ojcu denatki, od dawna nie miał wieści. Córkę pamiętał. Była ładna i spokojna. Niepodobna do tatusia. Niewiele wiedziała albo nie chciała wiedzieć o szemranych interesach ojca.

Spółka Farmaceutiks, monopolista farmaceutyczny, przeżywała kilka lat temu kłopoty. Została oskarżona o wprowadzanie nielegalnych leków na rynek, ale Zawadzki pamiętał, że gdy wreszcie, po miesiącach dochodzenia, wyłapali powiązania, nagle śledztwo umorzono. Stary Orłowicz był ostrym graczem. Pomógł mu zapewne Henryk Lorenc, znany warszawski filantrop, podczas prowadzenia śledztwa mocno ucierpiał były komisarz Modest Tokaj. Chciał udowodnić, że to Henryk Lorenc pociąga za wszystkie sznurki. Tokaj zaczął nawet wspominać jakieś stare sprawy, twierdząc, że Lorenc wiele lat temu zabił swoją żonę. Jego przeciwnik nie był jednak typem potulnego ptaszyny i postanowił go ukarać. Tak przynajmniej sądził Zawadzki, ale nigdy o tym z Modestem szczerze nie rozmawiali, bo nie zdążyli. Modest zrezygnował ze służby po tym, jak w trakcie akcji postrzelił własnego syna. Omal chłopaka nie zabił. No i odszedł, zostawiając Zawadzkiego samego na pastwę dziennikarzy i szefów, poniekąd wrabiając go w to całe gównno. Gdyby nie pomoc Kwaśnika, poszliby na dno jak „Titanic”.

Zawadzki poczuł, że do twarzy napływa mu krew.

– Kurwa – westchnął.

– No, ciekawie się zapowiada. – Halinka wpatrywała się z wahaniem w swoje notatki. Pomalowanym na czerwono paznokciem wodziła po każdym słowie, potrząsając wypłowiałą blond grzywką. Zmarszczyła czoło, widać coś podpowiadało jej, że sprawa będzie nietuzinkowa i przywołała duchy przeszłości. Zawadzki podniósł się z fotela i ruszył do wyjścia.

– Zadzwoń po Wiśniewską. – Odwrócił poszarzałą twarz i poprawił niewielkie, okrągłe okulary.

– Nie wyjechała? – Halinka zatrzepotała rzęsami. Wiedział, że udawała niezorientowaną.

– Ona? – Przed oczami Zawadzkiego stanęła filigranowa postać z obciętymi po męsku włosami, o krótkich nogach w monstrualnie wysokich szpilkach. – Nie sądzę. – Prokurator się zaśmiał.

Halinka posłusznie skinęła głową.

Gdy wsiadał do samochodu, w którym było chyba trzysta stopni, przed oczami stanął mu SMS sprzed kilku tygodni. Wówczas nie przypuszczał, że to może być zaproszenie do gry, w której miał osłaniać Henryka Lorenca. Z wrażenia zaschło mu w gardle. Poczł nagle, że awans szczyrzy się do niego szyderczo. Cóż z tego, żeś przyzwoity człowiek, zasłużony, z nienagannym przebiegiem służby publicznej? I co ci się wydawało, idioto? Że się wywiniesz?

SASKA KĘPA

Zawadzki patrzył na niepozorne ogrodzenie, za którym rozrośnięte krzewy zasłaniały drózkę prowadzącą do domu Luizy Orłowicz – swego czasu najbardziej rozrywkowego na Saskiej Kępie. Nikt niczego nie widział, pomyślał i skrzywił się, bo podejrzewał, że nie będzie łatwo. Czuł rosnące napięcie, szedł usztywniony jak zawsze, gdy nie był zadowolony z obrotu zdarzeń. Żwir odskakiwał mu spod butów, okrywając pyłem radosny błękit trampek. Wyjątkowo nie był dziś elegancki, ale uznał, że pogoda udzieliła mu dyspensy. Nie czuł się jednak komfortowo. Nerwowym ruchem poprawił białą koszulę, sprawdzając, czy żaden z guzików się nie rozpiął. Rozglądał się wokół z zaciekawieniem. Spora działka na Saskiej Kępie musiała być warta majątek, pomyślał z zazdrością.

Spojrzał na ścieżkę w poszukiwaniu jakichś śladów. Starł pot z czoła, zadarł do góry głowę, patrząc na wysoki świerk rosnący tuż przed wejściem. Okazałe schody prowadziły do masywnych drzwi z ciemnego drewna, zza których dochodziły już głosy techników.

– Szefie, na prawo – powiedział pierwszy po krótkim powitaniu i zrelacjonowaniu zdarzenia. – Świadkowie czekają w altance za domem, jak pan prosił.

Zawadzki kiwnął głową i bez słowa wszedł do domu.

W pomieszczeniu było niewyobrażalnie gorąco, więc prokurator szeroko otworzył jedno z okien. Miał w zwyczaju najpierw rozejrzeć się po otoczeniu, by wyłapać jak najwięcej szczegółów z miejsca zbrodni. Trup był egoistyczny i zabierał zwykle zbyt dużo uwagi, a przecież w gruncie rzeczy najważniejszy jest kontekst. Dlatego prokurator Zawadzki wyrztał najpierw przez okna salonu, które wychodziły na gęsto zarośnięty ogród. Drewniane ogrodzenie i szpaler wysokich tui chroniły przed spojrzzeniami z ulicy. Miał rację – o świadków będzie trudno. Strużki potu spływały mu wzdłuż kręgosłupa do samych bokserek. Całe ubranie się lepiło. W powietrzu dawał się wyczuć wyrazisty, mdły zapach krwi i początku rozkładu.

Aleksander Zawadzki odwrócił się i stanął tyłem do okna. Patrzył uważnie. Pierwszy rzut oka na ofiarę zawsze ma największe znaczenie. Przebłysk, który czasem mu towarzyszył, zazwyczaj wnosil coś, nad czym warto było się później zastanowić.

Słowem, które natychmiast przyszło mu do głowy, była „jasność”. Dlaczego? Zdziwiło go. Przecież obraz, który roztaczał się przed nim, nie miał nic wspólnego z jasnością i był w dziwny sposób wulgarny. Jakbym trafił do burdelu po porachunku alfonsów i patrzył na zadżganą piękną kurwę, pomyślał. Tak, Zawadzki patrzył na rudą piękność Toulouse’a-Lautreca. Ładny trup, dodał w duchu i zrobiło mu się jakby lżej. Najgorsze były widoki, które zohydzały mu rzeczywistość. Krwista rana nie wydawała się straszna, nie kontrastowała bowiem z czerwoną sukienką, a zastygłe, brunatne ślady nie zrobiły na Zawadzki wrażenia. Podszedł bliżej i teraz stał naprzeciwko kobiety. Spoczywała na sofie i wyglądała, jakby spała. Co czuła, umierając? Bała się? Była zaskoczona? A może spodziewała się tego, co ją spotka? Ktoś zaskoczył ją niespodziewanie czy wiedziała, że przyjdzie, i go oczekiwała? W pokoju nie było widać śladów walki. Było czysto, schludnie.

Głowa kobiety leżała płasko tuż przed wysokim wezgiłowiem kanapy, nieco odchyłona. Ręce były wyciągnięte wzdłuż tułowia, włosy przesunięte na bok, łysina wystająca nad lewą skronią. Peruka. Ten szczegół wzbudził w nim zażenowanie i pełne niepokoju skojarzenie z chemioterapią. Przypomniała mu się matka. Pięć chemii i wszędzie włosy. Nie dawała sobie wytłumaczyć, że należy je ogolić, bo i tak wypadną. Okropność. Zawadzki wzdrygnął się na to nieprzyjemne wspomnienie. Po plecach przeszły mu dreszcze.

Opanował nagłą chęć poprawienia ofierze peruki i przyglądał się dalej. Sztuczne rzęsy. Sceniczny makijaż. Czerwona, dopasowana sukienka. Najwyraźniej szła dzisiaj do teatru. Zabawne, był przekonany, że aktorzy przebierają się do spektaklu w garderobie, tuż przed sztuką.

– Niezłe cudo, co? Jak manekin. – Krzysiek Łazowski wyrósł niespodziewanie za plecami Zawadzkiego, lecz ten udał, że nie słyszy. Nie znosił, gdy ktoś przeszkadzał mu w pierwszych chwilach oględzin.

Minął kolegę i skierował się do kuchni. W połowie drogi odwrócił się jednak i rzekł:

– Niczego nie dotykaj. Zrozumiałeś? – I widząc, że Krzysiek, jeden z młodszych stażystów, patrzy na niego, jakby nadal nie wiedział, o co mu chodzi, dorzucił: – Czekamy na lekarza. Powiedz mu, że nie myjemy ofiary i zakładamy torby na dłonie. Komisarz Biadoń się zjawi?

– Jestem w jego zastępstwie. – Młody zaczerwienił się po kraniec swojego wysokiego czoła.

– Cudownie – burknął Zawadzki.

To na razie wystarczy, pomyślał, jeszcze raz rzucając przez na wpół otwarte drzwi spojrzenie na martwą Luizę. Był pewien, że na moment otworzyła oczy i mrugnęła do niego. Jak trup współpracuje, będzie dobrze, dodał sobie otuchy i poszedł dalej. Nie uszedł nawet kilku kroków, kiedy znów przystanął. Alina Wiśniewska, która wyrosła przed nim jak spod ziemi, patrzyła na niego badawczo. Ubrana w czarne skórzane

spodnie i kurtkę wyglądała jak narzeczona Batmana.

– Już jesteś? Miło cię... – zaczął, ale urwał na widok jej spojrzenia.

– Daruj sobie te marne wstępy. – Wiśniewska weszła do salonu, więc prokurator posłusznie zawrócił za nią. Podeszła do denatki, wkładając po drodze plastikowe rękawiczki. – Randka mi się nie udała. Równie dobrze mogę być tu – powiedziała, widząc, że Zawadzki ma wobec niej poczucie winy.

– Prosto z drogi?

– A odkąd to interesuje cię tak moje życie osobiste? – zadrwiła, odrzucając na bok platynową grzywkę. – Kiedy dzwonią od ciebie, wiem, że atrakcji mi nie zabraknie. A odpowiadając na twoje pytanie – tak, właśnie wracam z Mazur. Krótka wizyta.

Nie odpowiedział. W sumie wiedział o Alinie tyle, że była najbardziej niedostępną kobietą, jaką znał. Alina Wiśniewska: przewidywalnie ostra i konkretna jako medyk sądowy, wyjątkowo obcesowa jako kobieta. Nie można jej było odmówić doświadczenia i wiedzy. Rzadko się myliła i była bezlitosna dla ludzi, którzy za nią nie nadążali. Trzęsła całym zakładem na Oczki i znała wszystkie trupy w okolicy lepiej niż własną rodzinę. Była jedyną osobą, na której Zawadzki mógł polegać po odejściu Modesta. Łączyła ich szorstka i dość specyficzna przyjaźń.

– Cóż za niefart – powiedziała, patrząc na denatkę. Nie wiedział, czy komentuje to, że spotykają się w czasie dla większości ludzi wolnym od pracy, czy to, że ofiarę zamordowano w paskudny sposób, czy że będą pracować razem. Na wszelki wypadek postanowił tego nie dociekać.

– Jaki czas? – spytał rzeczowo, pochylając się raz jeszcze nad ofiarą. Pokrywający jej twarz puder mienił się drobinkami złota.

– Świeżynka. Od dwóch do czterech godzin. – Zawadzki spojrzął na zegarek. Dochodziła siódma. Wiśniewska oglądała denatkę z zainteresowaniem.

– To ta aktorka?

– Tak.

– Córnka tego zbira? – pytała dalej, nie przerywając oględzin, jakby nie interesowała jej odpowiedź.

Prokurator wiedział, że Wiśniewska nie jest w ciemną bita.

– Właśnie tego – odparł niechętnie.

– I co, pewnie masz teraz pełne gacie? Nabrużdżą ci? – Wiśniewska zaśmiała się, a jej oczy w kolorze radosnego błękitu zwęziły się jak u drapieżnika tuż przed skokiem.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ta, jasne. – Zaśmiała się nieszczercze. – Za młody jesteś na sklerozę.

– Naprawdę nie rozumiem. – Prokurator patrzył w podłogę, próbując ukryć zdenerwowanie.

– Widziałeś już świadków? Te kobiety? – Wiśniewska patrzyła na niego z politowaniem.

– Jeszcze nie. Zaraz tam pójde.

– No właśnie. Myślę, że ci się pamięć odświeży. Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Kto tam jest? – spytał zaniepokojony i czujny.

– Zaraz zobaczysz. – Uśmiechnęła się tajemniczo. – Będzie niezły cyrk, jestem tego pewna.

– Coś więcej? – Rozdrażniony, próbował zmienić temat.

– Chyba widzisz. – I Wiśniewska w końcu odebrała telefon, który dzwonił do niej już po raz piąty w ciągu dziesięciu minut. Oddaliła się na moment, więc nie słyszał treści rozmowy. Gdy wróciła, wyglądała na poruszoną.

– Kwaśnik prosi o przysługę. Spotkajmy się na sekcji w poniedziałek rano. Wygląda na oczywistą sprawę. Ktoś wszedł, zadźgał i wyszedł. Choć moim zdaniem jest tu coś więcej. Strasznie to wszystko teatralne. Ta scena aż krzyczy, nie uważasz? Okno otwarte, to mógł być każdy. Nie ma kamer?

Zawadzki zaprzeczył. Zamyślił się nad słowami Wiśniewskiej. Tak, ta scena krzyczała, a głos rozchodził się, powodując nieprzyjemne dla widzów wibracje. Niema premiera spektaklu, który się nie odbył.

– O której możesz?

– O dziesiątej?

– Okej. Muszę je obejrzeć. – Wiśniewska ruchem głowy wskazała wyjście.

Technicy zabezpieczali ślady, flesz strzelał na wszystkie strony. Na twarzy ofiary zastygł uśmiech, Zawadzki był tego pewny. Uśmiechała się na widok swojego oprawcy? Zawadzki miał coraz gorsze przeczucia.

– Krzysiek – zwrócił się do młodego – chcę przesłuchać u siebie członków rodziny. Jak najszybciej. Przede wszystkim ojca ofiary. Jak poszło rozpytanie? Sąsiedzi?

– Słabo. Przeszliśmy się, ale ci najbliżsi wyjechali.

– Szukajcie. Może ktoś coś widział. Męża też przyślijcie do mnie, jak tylko dojdzie do siebie.

Krzysiek kiwnął głową. Po piętnastu minutach Wiśniewska skończyła oględziny.

– W porządku – rzekła spokojnie z niezrozumiałym dla Zawadzkiego uśmiechem, który błąkał się po jej ustach.

– Coś jeszcze?

– Z mojej strony wszystko. Muszę gnać na Oczki.

– Poczekaj. – Zawadzki ją zatrzymał. – Myślisz, że to któraś z nich?

– A to, kochany, nie moja broszka. – Wiśniewska zaciągnęła się papierosem. – Zdziwiał mnie ta czystość. – Mówiąc to, rozejrzała się po salonie.

– A co, chciałaś szlaczków z krwi na ścianach?

– Żadnych śladów walki. Dziwne. Ktoś ją zaskoczył, bo ona się nie broniła. A potem zapewne umył wszystko dookoła. Czujesz zmywacz do paznokci?

– Masz rację. – Skrzywił się z niesmakiem. – Wiedziałem, że coś mnie drażni. Nie

znoszę tego zapachu. Czyścili tym podłogę czy jak?

Wiśniewska wzruszyła ramionami. Nie zwracając uwagi na tłące się w dłoni papierosa, podeszła jeszcze raz do zwłok i się nad nimi nachyliła. Włożyła nową rękawiczkę i chwyciła dłoń ofiary.

– Ścisnęła coś. Widzisz ten niewielki ślad? Jakiś mały twardy przedmiot.

– Monetę?

Wiśniewska spojrzała na Zawadzkiego zdziwiona, ale nic nie odpowiedziała. Po chwili jakby od niechcenia spytała:

– Sądziś, że ktoś chciał się zemścić na tatusiu?

Zawadzki zacisnął usta. Czyżby coś sugerowała?

– Wiem tyle, co ty – rzucił nerwowo. – O jej starym ostatnio nic nie słychać. Może spotulniał.

Wiśniewska pokiwała z powątpiewaniem głową i wyszła pospiesznie, zabierając z przedpokoju motocyklowy kask w kolorze ciemnego kobaltu. Jej harley zadudnił jak traktor i odjechał, pozostawiając chmurę kurzu.

Zawadzki zastanawiał się. Że też wykształcona, atrakcyjna kobieta żyje w taki sposób.

Chciał jak najszybciej zmyć z siebie lepka maź, która pokryła jego ciało, potęgując wrażenie wszechotaczającej spiekoty. Pot spływał mu z czoła, a od gadania zupełnie zaschło w gardle. Zanim jednak wyszedł do świadków, klęknął przed ofiarą i zajrzał pod kanapę. Zaświecił małą, podręczną latarką. Za nogą sofy leżał mały, okrągły przedmiot. Prokurator włożył rękawiczkę. Po chwili na otwartej dłoni położył okrągły, wyglądający na stary, medalik z wizerunkiem Matki Boskiej. Rewers wskazywał rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi i napis „Sanktuarium Świętego Brata Alberta Ecce Homo w Krakowie”.

Wziął głęboki oddech. Napisał SMS-a do Igi, że wróci późno.

Kobiety siedziały na krzesłach przy ogrodowej, drewnianej ławie skulone niczym wystraszone gołębie. Pomimo upalnego popołudnia wyglądały, jakby było im zimno. Otulały ramiona narzuconymi na plecy jasnymi pledami. W oknach domu odbijało się pomarańczowo zachodzące słońce. Krzysiek wycofał się. Zawadzki zaczął krążyć po niewielkim placu. Czuł się niepewnie. Dzwonili już ze wszystkich gazet, żądając komunikatu dla prasy. Duże nazwisko, duże pieniądze – jak zwykle będą mu patrzeć na ręce i domagać się mięsa. Nienawidził tego. Musiał uważać na słowa, bo Kwaśnik gotów był go publicznie upokorzyć, wyzywając przy wszystkich od najgorszych imbecyli. Dlatego Zawadzki zazwyczaj cedził słowa, udając powściągliwość w ocenie faktów nawet wtedy, gdy wyrobił już sobie własny pogląd. Tym razem jednak naprawdę niewiele miał do powiedzenia. Udział osób trzecich pewny, ale co więcej? Kto mógł zamordować młodą, znaną aktorkę?

Prokurator z uwagą przyjrzał się młodszej z kobiet, bardzo szczupłej i wystraszonej. Wspomnienie długonogiej, chudej dziewczyny siedzącej na korytarzu prokuratury i odrabiającej lekcje przy niewielkim stoliku stanęło mu przed oczami tak szybko, że zamrugał. Wypłowiałe bujne blond włosy opadające za ramiona układały się w kształt wachlarza. Zawadzki zaniemówił, gdy dotarło do niego, kogo ma przed sobą. Przeklął w duchu Wiśniewską, że go nie raczyła uprzedzić, i przeniósł wzrok na starszą: na oko sześćdziesięcioletnią, ale nadal atrakcyjną kobietę.

Zawadzki odezwał się powoli, spokojnym tonem, próbując nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest zdenerwowany. Poprosił młodszą kobietę, by odeszła na bok, i gdy pozostał sam na sam ze starszą, zadał pierwsze pytanie służące poznaniu tożsamości świadka.

– Barbara Naęcz. Jestem gospodynią państwa Orłowiczów od czternastu lat. Wcześniej, gdy Luiza była za granicą, zajmowałam się domem, a jeszcze wcześniej pracowałam dla jej rodziców. Jak daleko sięgam pamięcią, pracuję dla tej rodziny. Po tym, jak zmarła matka Luizy, a ojciec wyprowadził się z domu i założył nową rodzinę, zostałam tutaj. Znalazłabym pracę gdzie indziej, ale byłam przywiązana, rozumie pan – wzięła głęboki oddech – a właściwie Luizie potrzebna była wtedy pomoc. – Barbara zaczęła płakać. Cała się trzęsła. Drżały jej ręce. Zawadzki pożałował kobiety, ta rozpacz nie mogła być udawana. W końcu gospodyni wyszlochała: – Jakbym straciła córkę!

– Proszę mi powiedzieć: jak pani znalazła Luizę?

– Nie było mnie w domu od rana. Musiałam zrobić zakupy, zawsze w piątki jeżdżę na bazar na Szembeka. – Kobieta co chwila robiła przerwę, żeby wytrzeć nos. – Lusia powiedziała, że pojedzie po dzieci albo że Adam je przywiezie, jeśli zdąży wrócić ze spotkania. Dzisiaj przedstawienie, ważna premiera. Wie pan, u Szymańskiego. Tak się cieszyła. Jak dziecko... – Barbara ponownie zaczęła szlochać. – Szykowałam się do spektaklu i na bankiet. Jak wróciłam, wie pan, coś mnie tknęło. Zapomniałam wziąć moich kaloszy, a tak sobie pomyślałam, że lać będzie, a ja na działkę miałam jechać po południu. Spotkałam Martę, no i... No i Luiza nie żyła. Od razu zadzwoniłam na policję. Boże... Gdybym była w domu, może nic by się nie stało... Dlaczego zostawiłam ją samą?

Płacz Barbary przytłumił odgłosy podjeżdżającego pojazdu z zakładu pogrzebowego.

– Czy zauważyła pani w zachowaniu ofiary coś szczególnego? Ktoś u niej był? Może z kimś rozmawiała?

– Nie. Nie mam pojęcia. Może brat albo ojciec. Czasem wpadali niezapowiedziani, czasem ktoś z sąsiadów, jakiś fan. Luiza prowadziła dość otwarty dom. – Barbara zamyśliła się.

Zawadzki spojrział ponownie na młodą kobietę siedzącą kilkadziesiąt metrów od nich, przeprosił na chwilę Barbarę i podszedł do niej. Wzrok miała nieobecny

i sprawiała wrażenie, jakby nie była zainteresowana tym, co się dookoła niej działo.

Prokurator obserwował zapadniętą twarz dziewczyny. Chuda, mało atrakcyjna, około dwudziestu dwóch lat. Zawadzki próbował w myślach zliczyć lata i zweryfikować swoje wspomnienia.

– Pani Marto – zaczął łagodnie.

Gdy nie zareagowała, dotknął jej ramienia. Wzdrygnęła się.

– Przyszłam tylko zrobić jej paznokcie – wyszeptała. Zawadzki zaskoczony spojrzał na nią pytająco. – Pomalować – wyjaśniła. W jej wzroku widać było strach jak u zaszczutego zwierzęcia. Udawanie, że go nie poznaje, wychodziło jej zaskakująco dobrze. A może rzeczywiście nie wiedziała, z kim ma do czynienia? Przecież minęło trochę czasu. Zganił się w duchu za swoją naiwność. Przez kilka lat błąkała się po korytarzach prokuratury jak duch. Nie mogła nie wiedzieć, że to on – stary przyjaciel jej ojca.

– Na którą godzinę była pani z nią umówiona?

– Na szesnastą. Ale przyszłam wcześniej, bo mnie prosiła. Po trzeciej byłam.

– Czyli umawialiście się panie już wcześniej?

– Tak. Luiza była moją klientką od trzech lat, bardzo dobrą klientką. Zazwyczaj przyjeżdżałam później, ale dzisiaj zrobiła wyjątek. Zadzwoiła do mnie około pierwszej, że ma wolną godzinę i żebym przyjechała wcześniej. Miała się z kimś spotkać, ale ten ktoś odwołał spotkanie. Tak mi powiedziała przez telefon. Udało mi się jakoś poprzekładać moje spotkania i przyjechać.

Marta z uwagą zaczęła oglądać swoje dłonie, jakby się nad czymś zastanawiała, po czym odtworzyła historię przedstawioną wcześniej przez Barbarę.

– A czy podczas poprzedniej wizyty coś zwróciło pani uwagę?

– Nie. Wszystko wyglądało jak zwykle – odpowiedziała. – Była podekscytowana spektaklem. Właściwie tylko o tym opowiadała. O aktorach, o scenografii.

Gdy skończył rozmowę z Martą, wrócił jeszcze do Barbary, która drżącymi rękami zbierała swoje rzeczy.

– Jakie spotkanie odwołała Luiza? – spytał.

– Nie rozumiem? – Barbara wyglądała na zaskoczoną pytaniem.

– Pani Marta wspomniała, że ofiara zmieniła dzisiaj plany. Czekala na kogoś, ale spotkanie zostało odwołane.

– Nie wiem. Nic mi o tym nie wiadomo – odparła Barbara. – Nie informowała mnie o wszystkich swoich spotkaniach. Naprawdę nie mam pojęcia. Luiza potrafiła być skryta.

Zawadzki czuł, że niczego więcej z niej nie wycisnie. Pomyślał, że musi zlecić sprawdzenie billingów ofiary, co najmniej z ostatniego miesiąca.

Widząc, że Marta stoi już z walizką u boku, zatrzymał ją ruchem dłoni. Spojrzała na niego pytająco.

- My się chyba znamy, prawda? – zaczął Zawadzki, gdy zostali sami.
- Nie przypominam sobie. – Dziewczyna uporczywie wpatrywała się w blat stołu.
- Córka Modesta Tokaja, czyż nie?

Marta skrzywiła się. Nie patrzyła na niego, lecz w bok. Z niechęcią opadła na stojące tuż przy niej plastikowe krzesło.

- No i? – Wydęła wąskie wargi. Jej oczy były przygnębiająco puste i nijakie.
- No i tyle. Czemu nie powiedziałaś, że mnie znasz?
- Bo nie znam.
- Tyle lat widywałeś mnie w prokuraturze!

Dziewczyna zawzięcie milczała.

- Wiesz, że jesteś podejrzana? Masz z tym coś wspólnego?

Marta prychnęła.

- Że niby co? A co ja takiego zrobiłam?
- Byłaś tu w tym czasie, kiedy najprawdopodobniej zamordowano Luizę. To nie żarty.

– Myśli pan, że mi do śmiechu? – Spojrzała na niego oburzona i zamrugła powiekami z udawanym zdziwieniem. Niezła mała, pomyślał Zawadzki. Wyszkolona na wszelkie sposoby.

- Będę musiał poinformować twojego ojca.
- A rób sobie, co chcesz, ja z nim gadać nie zamierzam.

Zawadzki westchnął i spytał:

- Od dawna nie utrzymujecie kontaktu?

– No.

– Mieszkasz sama?

– Tak.

– Spotykasz się z kimś?

– A jakie to ma znaczenie dla sprawy? – Spojrzała na niego z drwiną w oczach. Jej twarz wydała się jeszcze bardziej zacięta.

Sam nie wiedział, czemu o to spytał. W jakimś sensie przerażał go los tej dziewczyny. Wiedział, jaki jest dom, z którego się ucieka do najgorszej nory. I znał środowisko, w którym najciemniejszy typ może być najlepszym przyjacielem.

– Jakby ci się coś przypomniało...

– Nic mi się nie przypomni. – Nie dała mu dokończyć. – Wszystko powiedziałam.

Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu.

– Mogę już iść? Jestem skonana. Nie mam genu fascynacji nieboszczykiem po moim sławnym ojcu. Padam na twarz.

Zanim wyszła, Zawadzki zdążył jeszcze spytać:

– Lubiłaś ją?

Odwróciła się, a na jej twarzy nie było uśmiechu.

– Oczywiście – powiedziała sucho. – Dawała mi zarobić. Ojciec ją poprosił. Nie wiedział, jak na to zareagować. Czyżby Luiza i Modest tak dobrze się znali?

– Miłe, że ci pomogła.

– Bardzo. – Uśmiechnęła się sztucznie.

Zawadzki wiedział, że mała nie była z nim szczerą. Chwyciła z irytacją różową walizkę i ruszyła w kierunku furty. Turkot kółek po żwirze towarzyszył jego myślom. To ona znalazła Luizę martwą i na dodatek kłamała.

Prokurator zawrócił do domu. Spojrzał na mężczyzn z zakładu pogrzebowego, którzy pakowali zwłoki.

– Macie coś?

– Niewiele. – Technik nie krył niezadowolenia. – Obawiam się, że ktoś był bardzo dobrze przygotowany.

Zawadzki chciał jak najszybciej opuścić przytłaczający dom Orłowiczów. Budynek jak z obrazu, którego autora nie mógł sobie przypomnieć. Pomyślał, że jeśli zostanie tu dłużej, nie zdoła wydostać się stąd o własnych siłach. Nogi miał zmęczone jak po biegu w maratonie. Spojrzał na zegarek, dochodziła dziewiąta. Wydał dyspozycje technikom i Krzyškowi. Za kilka minut zwłoki miały pojechać na Oczki. Pożegnał się, lecz nie zdążył wyjść, bo w drzwiach stanął mężczyzna o bladej twarzy. Coś w jego postaci spowodowało, że Zawadzki znieruchomiał. Poczł chłód, choć temperatura na zewnątrz nie spadała poniżej trzydziestu stopni Celsjusza.

– Adam Kosiński. Jestem mężem... – Mężczyzna urwał.

– Skoro już pan tu jest, porozmawiajmy. – Prokurator nie krył niechęci. Nie lubił, jak po miejscu zbrodni kręcili się ludzie, tak jak nie lubił przesłuchiwać rodziny w takich warunkach, i czynił to jedynie w sytuacjach wyjątkowych. – Chyba pan wie, że w domu pracują teraz policjanci?

Kosiński sprawiał wrażenie, jakby go wcale nie usłyszał, ale bez słowa wyszedł z domu do altanki.

Zawadzki usiadł naprzeciwko męża ofiary, który sprawiał wrażenie zniecierpliwionego.

Prokurator przypatrywał mu się z zainteresowaniem. Nie tak sobie wyobrażał męża Luizy. Blondyn o delikatnej posturze. Chłopięca twarz, zaciśnięte wąskie usta. Cienki, niemal kobiecy nos. Urodą nie pasował do swojej żony. Nijaki – to było chyba najlepsze określenie. Prokurator, starając się ukryć znużenie, zaczął:

– Proszę opowiedzieć mi w miarę szczegółowo, co dziś pan robił.

Adam Kosiński milczał. Założył nogę na nogę. Cała jego postawa wyrażała

rezygnację i zniechęcenie. Zawadzki nieraz spotkał się z takim zachowaniem po stracie kogoś bliskiego i starał się nie oceniać.

– Rano, jak zwykle, zawiozłem dzieci do przedszkola. Potem wróciłem do domu, żeby się wykapać i przebrać na spotkanie biznesowe na mieście.

– O której i gdzie się odbyło?

– Zaczęło się około godziny jedenastej, w Sheratonie. Skończyło po pierwszej.

– Z kim było to spotkanie? – zapytał Zawadzki.

Adam popatrzył na prokuratora z niechęcią.

– Nie rozumiem... – Mężczyzna urwał.

– Czego pan nie rozumie? Proste pytanie.

– Z kontrahentami.

– Teraz to ja potrzebuję wyjaśnienia. Jakimi kontrahentami?

– Niemieckimi. Przyjechali w sprawie kontraktu. Mamy klauzulę poufności, chyba nie muszę tego tłumaczyć.

– Jeśli okaże się to istotne, nie będziemy się martwić waszą klauzulą.

Adam mocniej zacisnął szczękę.

– To chyba nie dotyczy śmierci mojej żony? – Kosiński był wyraźnie zirytowany.

– Nie wiem, to pan powinien wiedzieć.

– To jakaś bzdura.

Zawadzki nie skomentował.

– Co było potem?

– Potem... – Na twarzy Adama pojawiło się skupienie. – Potem wpadłem na chwilę do domu. Luiza powiedziała mi, żebym pojechał po dzieci i zabrał je do mojej mamy. Wziąłem dla nich rzeczy i wyszedłem. Po premierze i kolacji planowaliśmy spędzić wieczór sami.

– Wracając do pańskiej zmarłej żony – Zawadzki z naciskiem wypowiadał każde słowo – czy nie zauważył pan czegoś, jakiegoś szczegółu, czegoś nietypowego w zachowaniu Luizy?

– Nie. Było normalnie. – Adam zawahał się. – Może tylko to, że niewiele mówiła.

– Zdziwiło to pana?

– Po prostu zazwyczaj była bardziej rozmowna.

Zawadzki zamyślił się. To tak jak on i Iga. Nigdy nie brakowało im tematów.

– Pana żona obcięła włosy specjalnie do roli? – spytał znienacka, przyglądając się, jak nad krzewem kwitnącej róży krąży muszki.

Adam skrzywił się.

– Tak, nawet ogoliła. Nie podobało mi się to, ale mówiła, że w ten sposób identyfikuje się z rolą, że musi zrozumieć swoją bohaterkę. – Mężczyzna nagle pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

Zawadzki w ciszy obserwował płaczącego. W końcu Adam wytarł oczy wierzchem

dłoni i powiedział:

– Nie wiem, co to wszystko znaczy. Moja żona nie miała wrogów. Byliśmy normalną rodziną. Co tu się stało?!

– Próbuje to ustalić. Bardzo mi przykro. – Zawadzki nie słynął z empatii. Nie wchodził nigdy w rolę pocieszyciela, choć w tej chwili było mu żal faceta. Został sam z dwójką dzieci – to zadanie niejednego przerosło.

Mąż ofiary patrzył przed siebie. Nie wyglądał na przekonanego.

– Czyli rozstaliście się państwo jak zwykle, niczego poza małomównością pan nie zauważył? – Zawadzki postanowił kontynuować.

– Oczywiście. – Wzruszył ramionami. – Miałem przyjechać prosto na spektakl. Tak się umówiliśmy. Dzieci odebrałem z przedszkola około wpół do czwartej i zawiozłem je do swojej matki.

– Gdzie mieszka pańska matka?

– Niedaleko, jakieś piętnaście minut od nas. W Wawrze.

– Czyli między piętnastą a siedemnastą był pan, że tak powiem, w trasie?

– Tak. W zasadzie od wpół do trzeciej – poprawił Zawadzkiego. Mąż ofiary skrupulatnie dbał o zapewnienie sobie alibi, nie można było tego nie zauważyć. Ostatnia osoba, która widziała Luizę żywą. Przynajmniej teoretycznie, pomyślał prokurator.

– Jak pan się dowiedział o śmierci żony?

– Barbara, nasza pomoc domowa, gdy znalazła Lu, zadzwoniła do mnie i na policję.

– Co pan zrobił?

– A jak pan sądzi? Rzuciłem wszystko i popędziłem do domu. – Adam wyglądał na zirytowanego. – To chyba oczywiste!

– Ale nie spotkałem pana w domu. Gdzie pan był?

– Kazali mi stąd wyjść, więc wyszedłem. Byłem u rodziców.

– Poinformował pan kogoś?

– Tak, Szymańskiego. To dyrektor Teatru Larum, żona grała tam od jakiegoś czasu. To był dla niego szok.

– Znał go pan?

– Niespecjalnie. Widzieliśmy się kilka razy po spektaklach, nic więcej.

Zawadzki z niechęcią spostrzegł, że Adam podnosi się z krzesła.

– Z kim Luiza miała się spotkać około południa? Wie pan coś o tym? – Pytaniem powstrzymał jego próbę wyjścia.

– Nie, a miała? – Adam wyglądał na zaniepokojonego.

– A czy wie pan coś o jej porannej rozmowie z ojcem?

– Nie wiem nawet o tym, że rozmawiali. Może w sprawie premiery? Teść się wybierał. – W głosie Adama słychać było wahanie. Kłamał, prokurator nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Czyli dobrze się między nimi układało? – Zawadzki doskonale wiedział, że tak nie było. Ojciec denatki to kawał drania. Nie do pomyślenia, że nikomu jeszcze nie udało się dobrać mu do skóry.

– Nie. Tego bym nie powiedział. – Adam zawahał się. – Mój teść nie jest łatwym człowiekiem.

Zawadzki uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

– Mogę już wyjść? – Adam był wyraźnie zmęczony.

– Zadam jeszcze ostatnie pytanie. – Prokurator powstrzymał go ruchem ręki. – Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale po co pan teraz wrócił? Takie oględziny to nic przyjemnego.

Adam patrzył ze złością na Zawadzkiego i przez zaciśnięte usta w końcu wycedził:

– Widać, że pan w życiu nikogo nie stracił.

Zawadzki zastygł w bezruchu, a po sekundzie powiedział:

– Proszę wracać do dzieci, klucze mamy, wszystko porządnie zamkniemy. Proszę się o nic nie martwić, technicy potrzebują jeszcze trochę czasu. Dom pozostanie przez kilka dni do naszej dyspozycji.

Chwilę po wyjściu mężczyzny do Zawadzkiego zadzwoniła Halinka:

– Nie ma szans na przesłuchanie ojca zamordowanej – powiedziała bez wstępów.

– Wyjechał?

– Żona mówi, że się upił. Zero kontaktu.

– Ma być w prokuraturze jutro rano. Najwyżej będzie trzeźwiał u nas.

Wsiadł do auta i opuścił szybę, bo upał panujący wewnątrz gotował krew w żyłach. Zawadzki miał ochotę natychmiast wejść pod prysznic. Zabrzęczała jego komórka, sygnalizując przyjście SMS-a. Gdy spojrzął na wyświetlacz, nie był zdziwiony. Spodziewał się, że Wiśniewska poinformuje Tokaja. Tylko czekała na pretekst, żeby się do Modesta odezwać, a teraz miała, i to nie było jakie.

Stara miłość nie rdzewieje, pomyślał Zawadzki, biorąc głęboki oddech. Konfrontacja nadchodziła nieubłagane.

GROCHÓW

Przełożona pielęgniarek Szpitala Wszystkich Świętych na Pradze-Północ Jolanta Giedrojć wdrapała się po starych, skrzypiących schodach zaniedbanej kamienicy przy Nasielskiej. Była rozdygotana. Wiadomość, którą usłyszała, wstrząsnęła jej światem, samotnym i uporządkowanym. Próbowwała pozbierać myśli. Chudą dłonią przytrzymywała się poręczy. Stopy w pantoflach na niskich obcasach stawiała ostrożnie, jakby obawiała się potknięcia i upadku. Torba wrzynała się w ramię bardziej niż zwykle, chociaż miała w niej tylko niezbędne rzeczy. Przystanęła na półpiętrze i jednorazową chusteczką starła pot z czoła. Uderzenia gorąca stawały się

w taką pogodę nad wyraz dokuczliwe. Nie miała nadwagi, a mimo to sapała jak parowóz. Menopauza jest jak wyrok dziesięciu lat ciężkich robót, pomyślała z goryczą.

Z drzwi na parterze głowę wychyliła stara Bachmacka. Wścibska baba, znająca Grochów i kamienicę, w której mieszkała, jak własną kieszeń. Z mieszkania dobiegały dźwięki telewizyjnych wiadomości.

– O, witam, kochanieńka, dawno tu nie byłaś. Nie odwiedzasz starych kum. Do stolicy cię zawiąło!

Jolanta przywykła już, że ludzie urodzeni na Pradze nie traktowali tego miejsca jako części Warszawy. I odwrotnie, ci pochodzący z lewego brzegu Wisły niechętnie wybierali się na praską stronę.

– Dzień dobry. Byłam niedawno, ale musiało pani nie być.

– Matula dobrze? Pewnie ledwo zipie w taki upał.

– Jej stan jest stabilny – ucięła. Nie znosiła tych dociekań.

– Może jutro wpadnę do niej na pogawędkę? – nie ustępowała Bachmacka.

– Ona z nikim nie rozmawia.

– Rozmawia, nie rozmawia, chociaż posłucha!

– Może kiedy indziej – irytowała się coraz bardziej przełożona. – Teraz wolałabym jej nie męczyć. – Jolanta chciała pozbyć się jak najszybciej wścibskiej sąsiadki.

– Sama taka siedzi na tym wózku. – Kobieta spojrzała na nią z wyrzutem.

– Ona jest chora.

– E tam, chora. Ciało ma zdrowe, na własne oczy widziałam.

Przełożona pamiętała, jak pewnego dnia sąsiadka zakradła się i weszła do mieszkania nieproszona.

– Ale głowę ma chorą. Przepraszam, spieszę się.

– Dużo pracy w szpitalu? – Bachmacka uparcie kontynuowała konwersację, choć widziała już tylko chude łydki Jolanty.

– Dużo.

– To może i dla Józia coś pani znajdzie?

Giedrojc zakłęta w duchu i przewróciła oczami.

– Może. Spyta. Do widzenia.

Wyjęła pęk kluczy, z których jeden oznaczony był niebieską wstążką. Włożyła go w zamek, przekreśliła i otworzyła drzwi.

W niewielkim mieszkaniu panował zaduch. Czarno-biały tłusty kot podbiegł do niej z cichym mruknięciem. Wyraźnie czekał na kolację.

– Witaj, Dyziu. – Poklepała go dłonią po grzbiecie. Wzięła głęboki oddech. Nie znosiła tu przychodzić. Weszła do salonu, w którym dwa pozostałe koty wylegiwały się w zachodzącym słońcu. Kurz unosił się w całym mieszkaniu niczym mgła.

Spojrzała na regały zavalone od podłogi do sufitu dokumentacją. Symbol C – ciężce, symbol L – leki, A – adopcje. Segregatory ustawione według roczników różniły się

kolorami. Znała ich zawartość na pamięć. Gdyby nagle wszystko spłonęło, pewnie dałaby radę odtworzyć je w tydzień. Taka pokuta. Pamiętała wszystko, choć nikt tego od niej nie oczekiwał. Nawet Suchocki.

Zdjęła marynarkę, przeszła do kuchni, gdzie umyła ręce. Wygoniła muchę, która obrzydliwie brzęczała nad pozostawioną na stole resztką jabłka. *Calliphora vicina*. Bezbłędna w pastwieniu się nad zwłokami. Przełożona bezszelestnie chwyciła ścierkę i wymierzyła musze śmiertelny cios. Na blacie pozostał brunatny ślad. Resztki muchy pielęgniarzka zawinęła w papierowy ręcznik i wrzuciła do kosza. Błat spryskała płynem do szyb i wytarła do sucha. Rozejrzała się po kuchni. Od czasu, kiedy stara przestała chodzić, Jolanta miała mniej sprzątanego. Doszły jednak o wiele bardziej nieprzyjemne obowiązki. Nigdy nie lubiła wymiany pampersów. Bez sanitariusza Krystiana, który przyjeżdżał kilka razy dziennie i raz w nocy, nie dałaby rady.

Policzyła do dziesięciu, zbierając w sobie siły i tłumiąc niechęć, która z biegiem lat stawała się coraz większa, i skierowała kroki do sypialni.

– Lusiu? – Cichy głos zza ściany świadczył o tym, że ją usłyszała i nie śpi.

– Tak, to ja, mamu. Już idę. – Lata udawania weszły jej w krew. Teraz, jak nigdy wcześniej, czuła do siebie obrzydzenie. Czy ktokolwiek będzie w stanie wybaczyć tyle lat życia w kłamstwie?

Weszła do pokoju. Chora jak zwykle siedziała na krześle z Biblią w dłoni. Siwe, splecione w warkocz włosy miała owinięte wokół głowy. Na bladej twarzy zmarszczki zastygły i wyglądały jak matryca miedziorytu. Niebieskie oczy patrzyły w inny wymiar. Niespokojne dłonie drgały, jakby żyły osobnym życiem. Przecież nie jest stara, pomyślała przełożona, i ta myśl sprawiła, że zachwiała się, wchodząc do małej sypialni, w której zastygłe, ciepłe powietrze oblepiało przedmioty niczym miód. Szybko podeszła do okna i otworzyła je jednym ruchem.

– Niech cię Bóg błogosławi, że przyszedł, moje dziecko. Jak tata?

– Dobrze, mamu.

– Ja nie rozumiem, moje dziecko, był wczoraj u mnie i powiedział, że mnie przeprasza. Ja do niego: Zbysiu, ale za co ty mnie przepraszasz? On nic na to nie odpowiedział, tylko chwycił się za głowę.

Przełożona Giedrojc odwróciła się do okna. W oczach stanęły jej łzy, a głos uwiązł w gardle.

– Czy skupują na dole złoto? – kontynuowała chora ze wzrokiem wpatrzonym w okno jak w nicość. – Bo ja mam obrączki do sprzedania. Pamiętaj, że mamy mało czasu. Jak przyjdzie, masz udawać, że nic nie słyszysz. Dziecko, pospiesz się, musimy uciekać. Ojciec przyjdzie i tym razem nam się nie uda. Musimy uciekać. – Kobieta niespokojnie poruszała kończynami. Próbowwała wstać, ale zbyt słabe mięśnie uniemożliwiały ruch.

Przełożona Giedrojc zrobiła zastrzyk.

Twarz chorej zastygła i złagodniała. Zmarszczki zwiotczały. Przełożona przytrzymała

jej głowę, aby równo spoczęła na poduszce. Oddech stawał się miarowy. Jolanta usiadła na krześle przy łóżku i patrzyła, jak kobieta zapada coraz głębiej w sen. Świadomość, że Luiza Orłowicz nie żyje, ciążyła jej dzisiaj bardziej niż cokolwiek innego kiedykolwiek wcześniej.

Dłonią dotknęła czoła kobiety. Może jej wszystko opowiem, pomyślała, tylko co to da?

SASKA KĘPA

Prokurator odczekał, aż spod domu Orłowiczów odjechali policja i technicy. Patrząc za oddalającym się samochodem, Zawadzki wybrał numer Modesta Tokaja. Siedząc dalej w aucie pod domem Orłowiczów, wiedział już, że fala gówna wraca jak przypływ, na który nie było żadnej rady – musiał nadejść. Zbliżał się już do jego stóp i pokrywał palce ciemnym, śmierdzącym płynem. Od tej chwili poziom będzie się podnosił z każdą minutą coraz wyżej. Nie możesz patrzeć w dół, upomniał sam siebie, patrz w górę – tylko w ten sposób nie utoniesz.

Nie rozmawiali od dawna, ponieważ Modest konsekwentnie odmawiał kontaktów ze swoim starym środowiskiem. Zawadzki przestał w końcu nalegać. Skoro tamtemu nie zależało, po co się narzucać? Modest zdawał sobie widać sprawę, że postąpił głupio, ale nie chciał się do tego przyznać.

– Kopę lat – były komisarz powitał prokuratora mruknięciem.

– Rzeczywiście.

Cisza w słuchawce nie zapowiadała łatwej rozmowy.

– Przesłuchałeś Martę? – spytał Modest.

– Tak.

– I co? – W głosie starego kumpla słyhać było zaniepokojenie.

– Tajemnica śledztwa.

– To moja córka!

– Wreszcie sobie przypomniałeś? – zakpił Zawadzki. Na linii znowu zapanowała cisza.

– Nic ci do tego.

– W tej chwili, czy ci się to podoba, czy nie, jednak coś mi do tego. Jest świadkiem w sprawie.

– Znalazła tylko trupa. Chyba... nie jest w to zamieszana?

– A skąd ja mogę wiedzieć? – spytał zirytowany Zawadzki. – Ktoś wyczyścił podłogę zmywaczem do paznokci. Może właśnie ona? Mam nadzieję, że nie, bo w przeciwnym razie stracę dla ciebie resztki szacunku.

– Robiłem, co mogłem – odparł tamten z rezygnacją.

– Ty tak twierdzisz.

– Pan chodząca poprawność oczywiście ma w tym względzie inne zdanie, tak, wiem.
– Fakty mówią za siebie. Syna prawie zabiłeś, a córkę zostawiłeś na pastwę losu z matką alkoholizką – rzeczywiście wzorowy ojciec!

– Zobaczymy, jakim ty się okażesz rodzicem!

Zawadzkiemu zrobiło się gorąco.

– Nie mam ci nic więcej do powiedzenia – rzekł sucho Zawadzki.

– Przestań się zachowywać jak baba!

– O... – Zawadzki zagwizdał. – Specjalista od kobiet się odezwał.

– Słuchaj, czy możesz mi coś powiedzieć?

– Może i mogę, ale nie wiem, czy takiej niewdzięcznej szui jak tobie warto cokolwiek przekazywać!

Zawadzki sapał ze złości. Zatarte wspomnienia wróciły do niego ze zdwojoną mocą.

– Zostawiłeś mnie samego z tym całym syfem! Głowa w piasek i tyle po naszym wielkim policjancie, naszej dumie narodowej! A to ja za ciebie po naczelnym popierdalałem! A tu biedny, chory, załamany. Żona go jeszcze zostawiła. Siedem nieszczęść! Nie raczyłeś nawet zadzwonić! Nie odbierałeś tygodniami telefonów, jakbyś się pod ziemię zapadł, jak jakaś zdradzona kochanka! Zamiast wyjaśnić, o co chodziło! Co ty myślisz, że mnie było łatwo tego słuchać?! Najpierw odpalasz akcję, o której nikt nie ma pojęcia, szukając człowieka cieszącego się powszechnie nieskalaną opinią, działającego charytatywnie...

– Wiesz, że to pozory!

– Nie zaczynaj – uciął Zawadzki. – Nie mam ochoty na wyimaginowane analizy psychiki Henryka Lorenca. Nigdy nie powiedziałaś, co ci się naprawdę stało. Strzeleń do syna! Wiesz, jak to wyglądało z boku? Jakbyś oszalał. Żadna twoja wersja tego nie wyjaśnia. Nic się nie trzyma kupy.

– Powtarzasz się.

– Mam w dupie, czy się powtarzam. – Zawadzkiemu trochę ulżyło. Otworzył okno, które właśnie zamknął z obawy, że ktoś usłyszy ich rozmowę.

– Już cię za to przepraszam.

– Ciekawe, kurwa, kiedy?

– Nie pamiętasz?

– No wybac, ale takiej wiekopomnej chwili bym nie zapomniał!

– No to teraz cię przepraszam.

– Wzruszenie odbiera mi głos.

Znów przez moment nic nie mówili.

– Powiem ci, ale tylko w zamian – zaczął Zawadzki.

– Za co?

– Poczekaj, co ci się tak nagle spieszy? Cztery lata ci się nie spieszyło?

– Zamieniam się w słuch.

– No i wreszcie jedno mądrze. Powiem ci, co w śledztwie, ale w zamian za współpracę.

– Nie tykam już broni.

– A czy ja mówię, że cię wyznaczam na strzelca wyborowego?!

– Tylko informuję. Nie masz pojęcia, co przechodziłem.

– To trzeba mnie było oświecić, jak była na to pora – odciął się Zawadzki. Po minucie ciężkiego milczenia odezwał się chłodno: – Wiem, że masz obsesję na punkcie Lorenca...

– Skontaktował się z matką Marty. Kilka dni temu – przerwał mu sucho Modest.

– Tak? – zadrwił Zawadzki. – Gdyby przyszła i powiedziała, że UFO u niej wylądowało, też byś uwierzył? Czyżby przestała pić?

– Pije cały czas, i to na umór – odpowiedział Modest z niechęcią.

Zawadzki kontynuował:

– Otóż nawet zakładając, że Lorenc maczał w tym palce, twoja córka jest w tę sprawę jakoś wplątana. Nie podejrzewam jej, ale na razie nic nie wiemy. Luiza została zadżgana. Żadnych śladów osób trzecich. – Zawadzki teatralnie zawiesił głos i mówił:

– Więc proponuję ci współpracę. Na starych zasadach. Masz w tym swój interes. Rzecz jasna tylko między nami.

– A ty jaki masz interes? – dociekał Modest.

– Chciałbym się wreszcie dowiedzieć, co właściwie zaszło. I wiem, że teraz musisz się postarać.

– Czemu ci tak na tym zależy?

– Mam swoje powody. – Po chwili dodał: – Już raz schrzaniłiśmy sprawę Orłowicza. Nie chciałbym, żeby tym razem stało się podobnie. I żadnych działań na własną rękę. Czekam na odpowiedź do jutra.

Rozłączył się bez pożegnania. Spojrzał przez przednią szybę auta. Nawet nie zauważył, jak zapadła noc. Światło ulicznych latarni ledwo rozświetlało mrok.

Popatrzył na tonący w ciemnościach dom Luizy Orłowicz i pomyślał nagle, że jej śmierć zmieni ich życie na zawsze. Zdziwiła go ta myśl, ale wydała mu się po chwili zupełnie bezsensowna jak przaśne dowcipy przy piwie. Odpalił silnik. Zerknął w boczne lustro, w którym mignęła mu postać kierująca się w stronę wejścia na posesję. Nie gasząc samochodu, wyszedł na ulicę i podszedł do furki. Założony przez techników łańcuch wisiał nietknięty, nie dostrzegł śladu niczyjej obecności. Dałby sobie jednak rękę uciąć, że ktoś tu był. W powietrzu fruwały nocne owady i unosił się zapach pieczonego na grillu mięsa. Prokurator Aleksander Zawadzki poczuł głód i zmęczenie. Postanowił jednak wrócić do biura.

BRÓDNO

Henryk Lorenc nie był pewny, czy wybrane przez niego kwiaty będą odpowiednie. Szedł chodnikiem, raz po raz spoglądając na bukiet jasnożółtych tulipanów. Grymas na twarzy świadczył o niezadowoleniu z własnej decyzji. Żółty to przecież kolor zazdrości. Poza skojarzeniem ze słońcem nie było w nim nic ciekawego. Nie wiedział, czemu kupił właśnie takie.

W ten upalny dzień lniany, sprowadzony z Paryża, bardzo drogi garnitur drażnił jego skórę. Hindusi też oszukują. Len to już nie len, ale chińskie gówno. Zmieni dostawcę, bo tego się nie da tolerować.

Mężczyzna przystanął. Rozejrzał się po ulicy. Zatrzymywał wzrok na twarzach mijanych ludzi. W kilka sekund był w stanie wyczuć nastrój każdej z osób. Irytacja, złość, podniecenie, smutek. Mało który z przechodniów odczuwał radość. Na tę myśl mężczyzna uśmiechnął się do siebie.

Kiedyś wszyscy pozjadamy się nawzajem, myślał. Będziemy odrywać po kawałku nasze ciała, wypijać krew, rozrywać żyły. Po wymianie zdawkowych uśmiechów będziemy sobie wzajemnie przegryzać tętnice, obdzierać skórę, szarpać wnętrzności. Tyle pozostanie z tej udawanej grzeczności, umizgiwania, układności.

Mężczyzna uśmiechał się. Czuł tłum. Czuł gorące ciała ociekające potem i nienawiścią. Nawet dzieci. Pokraki stąpające drobnymi krokami, wyciągające lepkie, łapczywe rączki. Ile w tym zapalczywości, ile złości.

Zamknął oczy. Świat się skończy, nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości.

Ktoś go popchnął, ale nie zareagował. Otworzył szerzej oczy i zauważył, że otaczający go placyk nagle opustoszał.

Za moment się spóźni. Nie mógł do tego dopuścić. Nie chciałby, żeby poczuła, że ją zostawił.

Przyspieszył kroku. Popołudniowe słońce wskazywało, że jest około siedemnastej. Gdy po kilku minutach odebrał wiadomość, jego błogi nastrój uleciał. Luiza Orłowicz została zamordowana. Natychmiast wybrał numer na komórce. Ktoś po drugiej stronie nie zdążył nawet powiedzieć: słucham, gdy rzucił z pretensją:

– Przecież mieliśmy to załatwić inaczej. – Zaskoczenie spowodowało, że nie ukrył wzburzenia. Błąd.

Usłyszawszy odpowiedź, zmarszczył brwi i warknął:

– Bernardzie, czy ty masz mnie za idiotę? Jeśli nie my ją zabiliśmy, to kto?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Zresztą wcale na nią nie czekał. Rozłączył się, zanim Suchocki zdążył cokolwiek odpowiedzieć. Ponownie zamknął oczy. Ileż w końcu można patrzeć w słońce? Wziął głęboki wdech. Nozdrza rozchyliły się jak u zwierzęcia wietrzącego krew.

Komu równie mocno jak jemu zależało na śmierci tej małej dziwki Luizy?

Nagle wydało mu się to wszystko bardzo śmieszne.

Henryk Lorenc wrzucił tulipany do kosza przy cementarnym murze. Dziś się tam nie

wyberze. Będzie musiała zrozumieć.

PRAGA-PÓŁNOC

Wchodząc do swojego gabinetu, Zawadzki zastanawiał się, jak to jest, że informacje rozchodzą się w takim tempie. Coś się stało i natychmiast pojawiał się jakiś dziennikarz – jakby czekał tuż za rogiem, aż kogoś zamordują w domu, mieszkaniu czy barze. Zadawał pytania, na które nikt zdrowy na umyśle nie chciał w takim momencie odpowiadać. Tu, na dodatek, inwestorzy byli niezadowoleni, bo notowania Farmaceuteksu zapewne już w poniedziałek gwałtownie polecą w dół. Lobbyści dzwonili, gdy tylko ukazała się informacja o morderstwie.

Prokurator Zawadzki nabrał absolutnej pewności, że problemy już są, a pojawienie się starego, niepokornego przyjaciela oznaczało, że będą poważniejsze, niż mógł się spodziewać.

– Wiesz, że musimy z nimi jak z jajkiem? – Kwaśnik sapał do słuchawki krótkim oddechem basseta dobiegającego końca swych dni. – Chyba nie trzeba ci tłumaczyć, z kim mamy tu do czynienia?

Na pewno wiem lepiej niż ty, pomyślał, ale głośno powiedział:

– Odpoczywaj nad tym morzem. Jedz ryby. Damy sobie radę.

– W dupie mam to morze! Cały czas leje, a stara każe mi chodzić po deptaku wte i wewte! Ryby bez wódki mi nie wchodzą. Chcę wiedzieć wszystko, masz mi każdy szczegół raportować. Już dzwonili do mnie z gazet. Ta rodzina ma cholerne wpływy! – Zawadzkiemu zrobiło się niedobrze. Kwaśnik, podenerwowany, kontynuował: – Musimy uważać, żeby się nie pograżać. Po sprawie Malanowskiego trzeba zachować szczególną ostrożność, bo mają nas na celowniku. Chyba nie muszę ci tego przypominać...

Prokurator skrzywił się. To nie była jego wina, ale Kwaśnik był świetny w zrzucaniu odpowiedzialności na innych. Malanowski spierdolił, bo dzięki uprzejmości prasy dogadał się z drugą stroną. Kwaśnik był nieostrożny, jak zwykle chwalił się na lewo i prawo, jak to doskonale im idzie. Aż dali dupy. Wiedzieli o tym obaj.

– Masz cisnąć, nie odpuszczaj! Czemu puściłeś tę małą? Pewnie zamordowała dla pieniędzy, czy ty już w ogóle przestałeś myśleć?! Musimy kogoś dorwać!

– To córka Modesta.

W słuchawce zapanowała cisza.

– Pierdolisz? – zachrypiął stary.

– Nie. Ale nie sądzę, żeby była winna. Na razie nic na to nie wskazuje.

– Co ona tam robiła?

– Znalazła ciało. Przyszła, bo były umówione. Drzwi były otwarte, więc weszła. Zaraz potem wróciła do domu gospodyni, która wszczęła alarm.

– Tego nam tylko brakowało, żeby Tokaj wpierdalał się do sprawy.

Kwaśnik nigdy nie wybaczył Modestowi odejścia z policji.

– Zaproponowałem mu współpracę.

– Po kiego?! – Zawadzki ujrzał oczami wyobraźni okrągłą, napompowaną i czerwoną z wściekłości twarz zwierzchnika.

– Myślę, że może być pomocny. Wolę go mieć pod butem.

Po chwili milczenia Kwaśnik odpowiedział:

– Rób, jak uważasz. Nie wiem, czy to ma sens, ale pamiętaj, że Orłowicz ma i wrogów, i sprzymierzeńców. Boję się, że przez Modesta będziemy mieli na głowie jednych i drugich. Jak któryś z was puści parę z ust, upierdolę wam szyję przy samej dupie, jasne?

Zawadzki westchnął. Został prokuratorem, bo wierzył w sprawiedliwość. Wierzył, że trzeba ukarać tych, którzy zawinili, dopuścili się zła. Rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana, niż przypuszczał. Rozczarowania stały się elementem jego egzystencji. Niezmałcone przekonanie, że ma boski wpływ na to, co robi, osłabło. Modest poszedł inną drogą. Twierdził, że bardziej sprawczą. Nigdy nie interesowała go papierologia. Chociaż w ideały wierzyli obaj. A teraz? Czy aż tak bardzo się różnili?

Dźwięk telefonu wyrwał go z zamyślenia tak gwałtownie, że wylał na siebie kawę kupioną w automacie. Nawet nie spojrzął na wyświetlacz.

– Słucham? – odezwał się podniesionym tonem. Spojrzął na zegarek: dochodziła dwudziesta trzecia.

– Zgoda – usłyszał znajomy głos. – I może byś w końcu zapisał sobie mój numer.

– Nie musiałem długo czekać – zakpił.

– Przyznaj, że już się za mną stęskniłeś.

Zawadzki zignorował zaczepkę.

– Działasz z anonima. Anonimowy strzelec – zaśmiał się Zawadzki.

– Spierdalaj, dobrze? Wiecie już coś?

– Wiśniewska jeszcze się do końca nie wypowiedziała.

– Tak, rozmawiałem z nią – odpowiedział Modest.

Zawadzki wiedział, że on i Alina przyjaźnili się w dawnych czasach. Z jej strony może było to nawet coś więcej niż przyjaźń. Przez kilka lat byli nierozłączni zawodowo. Gdy odszedł, była wściekła. Bo może nie tylko z pracy odszedł, ale i od niej.

– Spotkajmy się.

– Gdzie?

Zawadzki się zawahał.

– Zapraszam jutro do siebie. Nie wiem, czy cię poznam. – Roześmiał się. – Chyba że po koszuli. Pamiętaj – idziesz do mnie na przesłuchanie.

Zawadzki uśmiechnął się na wspomnienie kraciastych koszul kumpla.

Tak jak kiedyś usiądą może przy piwie w Hybrydach. Rozmawiać nie będą, bo po co słowa ludziom, którzy się tak dobrze rozumieją. Popatrzą na band, który właśnie rozpoczął wieczorny koncert. Przy występie chudego, pryszczatego młodzieńca aspirującego do roli wskrzeszonego Kurta Cobaina rykną śmiechem. Jeden drugiego szturchnie w bok, wypiją o kilka piw za dużo. Usiądą na skwerze przy Oboźnej. Będzie już ciemno i gorąco. Alkohol rozplynie się po ich ciałach, zachce im się spać. Położą się na trawie i będą patrzeć w niebo. Gdy spadnie gwiazda, każdy z nich wypowie w myślach takie samo życzenie. Wrócą do domu mostem przez Wisłę. Będą się odprowadzać, aż zastanie ich świt. Na zmianę i od nowa. Aż matka jednego z nich obudzi się i wściekła krzyknie: „Gdzie się znów włóczycie po nocy, ja wam dam, obiboki!”. Następnego dnia znów się spotkają. I tak minie im kilka najpyszniejszych młodzieńczych lat.

Prokurator Zawadzki doskonale zdawał sobie sprawę, że tym razem będzie inaczej. Cienie niepotrzebnych śmierci rozpoczynały wokół nich swój nieuchronny trupi taniec.

SASKA KĘPA

Mężczyzna, idący ciemną ulicą, zatrzymywał się co kilka metrów, by złapać oddech, i tak za krótki. Po informacji, którą godzinę temu telefonicznie przekazał mu ciężki głos, postanowił zejść z dyżuru i wrócić na piechotę do domu, zahaczając o sklep z winami na Francuskiej. Spacer był zbyt długi jak na wydolność jego serca, więc doktor obiecał sobie, że jak tylko kupi wino, wróci taksówką do siebie na Saską. Powstrzymał odruch, by pójść pod dom Luizy. Nie, nie powinien tego robić.

Do wczoraj doktor Bernard Suchocki nie miał sobie nic do zarzucenia. Choć nie uważał się za człowieka idealnego, był zdania, że zawsze robił wszystko tak, jak powinien. Był sześćdziesięciokilkuletnim, dość jeszcze przystojnym, choć łysawym i z niewielką nadwagą, ginekologiem z prawie czterdziestoletnim stażem.

Zawodowo osiągnął dużo. Życie osobiste nie ułożyło mu się tak, jak by tego pragnął, ale nie narzekał.

Dzisiaj, gdy dowiedział się, że Luiza Orłowicz została zamordowana, przypomniał sobie ostatnią z nią rozmowę i stracił dobry humor. Spotkali się jakiś miesiąc temu. I nie było to przyjemne spotkanie.

Był wiosenny, brzydki poranek. Stała w drzwiach jego gabinetu ze wzrokiem pełnym wyrzutu. Szczupła, wysoka kobieta z jasną twarzą i burzą rudych włosów przeraziła go. Patrzył na nią jednak wzrokiem zimnym jak lód, nie dając po sobie poznać, że nie czuje się komfortowo. Czego ona od niego chce? Przyszła tu, do tego nie w porę. Miał do pogadania z koleżanką, a ta stoi, patrzy na niego i domaga się czegoś, czego on zrobić nie może.

– Panie doktorze, proszę mnie zrozumieć – mówiła drżącym głosem. – Ja nie wiem, co się wtedy stało, zupełnie tego nie pamiętam i nie rozumiem. Proszę mi pomóc. Wiem, że pan może. – I znów to błagalne spojrzenie, którego nie mógł znieść.

I co niby – ma się z nią teraz popłakać?

– Niestety, nie mogę pani pomóc. Zupełnie nie rozumiem pani pytań. Naprawdę nic nie pamiętam. Nie pamiętam takiego zdarzenia.

– Ale to przecież niemożliwe! Jest przecież jakaś dokumentacja! – Luiza była coraz bardziej wzburzona. – Przecież byłeś, do cholery, moim lekarzem! Byłeś lekarzem mojej mamy!

Nagłe przejście na ty nieco zbiło go z tropu, mimo to odpowiedział:

– Dokumentacja? Nie wiem, jaką dokumentację ma pani na myśli. Nie było zdarzenia, pamięć mnie w tej kwestii nie zawodzi, więc nie ma mowy o żadnej dokumentacji. Bez zdarzenia nie ma dokumentacji, moja droga pani.

– Chcesz mi wmówić, że jestem wariatką?

– Skądże. Po prostu nie wiem, o czym pani mówi. Dlaczego miałbym pani cokolwiek wmawiać? Nie mam takich intencji. Przecież to pani mnie nachodzi w pracy, kiedy mam jeszcze dodatkowe zajęcia, nie licząc się zupełnie z tym, że nie mam ochoty ani czasu na takie rozmowy. Przykro mi, nie mogę pani pomóc.

– Czyli może mi się przyśniło, bo nie znasz mojego ojca i nie pracowałeś z nim i dla niego przez tyle lat?

– Nie pomogę pani.

– Jesteś sprzedajnym kłamcą, Bernardzie! Na śmierć mojej matki zaklinam cię, błagam!

– Proszę pani, proszę w tej chwili opuścić mój gabinet i szpital. Zarzuca mi pani szereg czynów, co mogę śmiało traktować jako pomówienie. Jeśli w tej chwili pani nie wyjdzie, będę zmuszony wezwać policję.

Wyszła, trzaskając drzwiami. Jej przekleństwa dobiegały jeszcze z korytarza. Ta młoda, pełna werwy kobieta zadziwiająco przypominała mu Irenę.

Teraz Luiza nie żyje. Nie spodziewał się tego, nie czekał na to, nawet sobie tego nie życzył. Oczywiście ta śmierć poprawiała nieco jego sytuację – przyznał, że dociekania Luizy zaczynały go drażnić. Pytała o historie, które teraz już nic nie znaczyły. Miał tylko nadzieję, że nikt w nich nie zacznie grzebać. Nigdy się nie oszukiwał, że ta sprawa nie wróci. Liczył jednak, że będzie miał trochę więcej szczęścia niż inni.

Gdy po wizycie Luizy przełożona Jolanta Giedrojć przekazała mu wiadomość, że stary Orłowicz również go szuka, poczuł nieprzyjemny smak w ustach. Refluks dawał o sobie znać za każdym razem, gdy Suchockiego dopadał strach. Przełykając żółć, zastanawiał się, czy przełożona pielęgniarek mogła się zorientować, że się bał.

Wiedział, że do spotkania z tym szczególnym człowiekiem, Zbyszkiem Orłowiczem, musi przygotować się perfekcyjnie. Kiedy jednak go zobaczył, zdał sobie sprawę, że

niepotrzebnie się martwił. Stary znajomy wyglądał jak wrak. Dużo pił, ale to nie był wyłącznie efekt spożywania alkoholu. Był roztargniony, miał rozbiegany wzrok. Życie wymknęło mu się spod kontroli, to było pewne.

– Boję się, że Luiza się dowie – powiedział Zbyszek. – Jest zdeterminowana.

Bernard patrzył na Orłowicza ze zdziwieniem. Czy ten człowiek kiedykolwiek się czegoś bał? Odkąd pamiętał, zastraszał innych. Bać się mógł chyba tylko własnych demonów.

– Cóż, determinacja to czasem mało – odparł wymijająco doktor, patrząc na zniszczoną twarz starego znajomego.

– Zawzięła się – przekonywał tamten.

Ciekawe, po kim to ma?, pomyślał Suchocki, ale się nie odezwał, obserwując, jak Zbyszek chodził po gabinecie, wyraźnie szukając czegoś do picia. Nigdy nie widział go w takim stanie. Nie wyglądał na człowieka, który wie, co mówi i robi. Nie wróżyło to nic dobrego.

– Przestań. Już nieraz tak było. Załatwię to. Nie takie rzeczy dla ciebie robiłem. – Mówiąc to, Bernard zaśmiał się nerwowo.

Nie przekonał go, ale rozstali się we względnej zgodzie. Rozgrzebywanie starych spraw nigdy się nie opłaca, pomyślał doktor.

Kupując butelkę ulubionego wina Valpolicella, myślał o tym, że ktoś ubiegł go w załatwieniu problemu, a on, doktor Suchocki, nie był w stanie ocenić, czy powinien się z tego powodu cieszyć czy wręcz odwrotnie. Z ostatecznymi ocenami nie można się spieszyć, wiedział o tym nie od dziś.

LUIZA ORŁOWICZ

Czwartek, 12 czerwca 2014 roku

Gdy po wielu latach weszłam ponownie do jej pokoju w ośrodku terapeutycznym, uderzył mnie ten sam zapach. Konwalie. Czyżby i wtedy było lato? Trzy koty wygrzewały się na dywanie w porannym słońcu. Nawet nie drgnęły na mój widok. Ja na ich – tak. Coś mnie przestraszyło w tym ruchu futrzanych ciał w migoczącym świetle mocnego południowego światła. Może beztroska?

Fotel w kolorze spranego dzinsu, kilka obrazków na ścianie. Bez znaczenia. Siedząca przede mną terapeutka, ładna, starsza ode mnie, zmęczona. Trochę zaniedbana. Nie zmieniła się. Długie, kręcone, opadające do ramion włosy. Przenikliwe spojrzenie piwnych, nieco skośnych oczu. Może bardziej smutna? Niczego więcej nie zapamiętałam z tamtego dnia.

– Nie spodziewałam się, że wrócisz. – Małgorzata Łowicka uśmiechnęła się łagodnie.

Spasowiałam. Nie wiem czemu. Może ze wstydu, że tak długo zwlekałam.

– Opowiesz mi trochę o sobie? Co u ciebie się dzieje? – spytała łagodnie.

– Od czego mam zacząć? – Byłam speszona. Nie mogłam zebrać myśli. Miałam w głowie pustkę.

– Od czego chcesz, ale najlepiej od początku. – Roześmiała się. Od razu zrobiło mi się lżej.

– Mam na imię Luiza, mam trzydzieści siedem lat, to już wiesz. – Też się zaśmiałam.

– Nienawidzę, jak ktoś mówi do mnie Lusia, wolę Lu. Cała rodzina mówi do mnie: Lusi. Lu nazywa mnie tylko mąż.

Czuję się źle, mam lęki, prześladowają mnie koszmary. Nie radzę sobie, dlatego do ciebie przyszedłam. Wiem, miliony ludzi na świecie mają lęki i żyją. Łykają różowe tabletki i nie roztkliwiają się. Ja się roztkliwiam. Pamiętam, jak mówiłaś kiedyś, że mam prawo. Długo nie mogłam się zdecydować, żeby przyjść. – Wzięłam głęboki oddech. Tak, powiem to. Teraz. – Znasz mnie tyle lat, choć nic o mnie nie wiesz, bo całe życie kłamałam. Nigdy nie powiedziałam ci prawdy!

Moja rodzina nie była idealna. Jestem samotna, choć mam wokół siebie sporo ludzi i jestem kochana. Czuję, że nie znam prawdy o swoim życiu. Muszę ją odkryć, zanim będzie za późno. Po prostu wiem, że prawda została utajona.

Dlatego zacznę jeszcze raz i opowiem ci, kiedy poczułam pierwszy dotyk zła.

Małgorzata patrzyła na mnie zdumiona. Nie wiem, czy mi się wydawało, ale przez jej twarz przebiegł cień. Ruchem ręki zachęciła mnie do rozpoczęcia opowieści.

Dlatego podjęłam tę decyzję. Spokojna i pewna, że to jedyne, co mogę zrobić, żeby siebie uratować. Po raz pierwszy w życiu. Zaczęłam więc od tego, co wydarzyło się wiele lat temu, gdy byłam małą dziewczynką. To wspomnienie przyszło do mnie nagle pewnego słonecznego majowego dnia i prześladowało mnie od tamtej pory i w dzień, i w nocy. Nie byłam w stanie zrozumieć, jak mogłam o tym zapomnieć i dlaczego właśnie teraz do mnie wróciło. Może dlatego, że moja córka Marcela kończyła właśnie tyle lat, co ja wtedy? Może patrząc na nią, wyobraziłam sobie siebie z tamtych lat i ujrzałam mrok? Który przenikał wszystko, co mnie wtedy otaczało? Bardzo chciałam o tym zapomnieć, ale się nie udawało. Miałam cały czas przed oczami tę okropną twarz, która prześladowała mnie w snach, w myślach, zawsze. Teraz czułam już wyraźnie, jak niewidzialna ręka coraz mocniej zaciska się wokół mojej szyi. Mogłam biec, ile sił w nogach, mogłam śpiewać, jak najgłośniej potrafiłam, próbując zagłuszyć myśli, mogłam tupać tak, żeby nie słyszeć własnych kroków. Mogłam codziennie udawać kogoś innego, wcielając się w nowe role.

Mogłam. Jednak mój cień był tak blisko, tak mocno i kurczowo trzymał się moich stóp, że choć nie byłam w stanie ujrzeć jego twarzy – mogłam próbować go poznać. Zanim będzie za późno.

– Pamiętam, że kot przestał się wyrywać i wierzgać – zaczęłam, nie patrząc na Małgorzatę. – Po chwili umilkło też jego przejmujące miauczenie. Gdy go rozkroił, patrzyłam z dziecięcą ciekawością, jak spod futra wychodzi kawałek różowej skóry. Zrobił to delikatnie, żeby mnie za bardzo nie przestraszyć. Tak czułam. Ja, mała dziewczynka, patrzyłam na niego z niemym podziwem. Nie wiem, ile miałam lat, może pięć? Nie więcej. Zresztą teraz to nie ma znaczenia. Ważniejsze, że bardzo zaskoczył mnie fakt, że zwierzę, które jest miłutkie, prawie pluszowe, może mieć w środku takie dziwne rzeczy. „Nie boli?” – spytałam, a usta zaczęły mi się wyginać w podkówkę. Kota nie boli? Nie patrzył na mnie. Pamiętam jego dłonie, smukłe i sprawne. „Nie. Zwierzę jest ofiarą, nic go nie boli. Teraz jest uzdrowiony” „Lusia się boi. Mój Bobo!”. „Przestań się mazać. Dotknij”. Wziął moją rączkę i zanurzył we krwi. Była ciepła, kleista. Wnętrznosci kota jeszcze żyły. Z wrażenia przestałam płakać. „A teraz daj mi rękę”. Posłusznie chwyciłam go za umazaną dłoń. „Dostaniesz cukierka, ale musisz jeszcze trochę zasłużyć”.

Ciemność szopy postawionej za domem, w której oprawiał martwe zwierzę i spuszczał jego krew do wiadra, była niczym wobec ciemności jego duszy. Larwy

włoką się jedna za drugą po mokrej i ciemnej ziemi wokół szopy. Patrzą na nie i coś mnie w nich uderza, ale nie jestem w stanie zrozumieć własnych myśli.

Trudno powiedzieć, czy się go bałam. Wtedy chyba jeszcze mu ufałam, a na pewno fascynowało mnie to, co robił.

Sobota, 6 czerwca 2015 roku

ŚRÓDMIEŚCIE

Modest Tokaj poszedł spać późno. To dlatego, że długo wpatrywał się w sfatygowane zdjęcie córki, wepchnięte pomiędzy kartki książki leżącej na biurku. Paczka papierosów wypalonych w nocy nie pomogła pozbyć się poczucia winy, które nie opuszczało go niczym zdradzona kochanka. Patrzyło spod wpółprzymkniętych powiek i milczało. Ty chuju, powtarzał Modest w myślach, aż z rozchyłonymi ustami, niczym niemowlę, padł na poduszkę.

Ściany pokoju w dużym mieszkaniu w starej kamienicy na ulicy Nowogrodzkiej, do którego przez spore balkonowe okno zawitał świt, miały odcień wyblakłego różu. Gdzieniedzie połyskiwała resztką namalowanych metodą chałupniczą róż. Różowy zawijasek, zielone, odciśnięte palcem listki. Podwójne białe łóżko o prostej formie na środku pomieszczenia stanowiło, nie licząc nocnej – również białej – szafki, jedyny mebel w przestronnej sypialni. Podłogę przyozdabiał kwiecisty, mocno przetarty, zarzucony stertą papierków po batonach, dywan. Na suficie dyndał różowy, zakurzony, wiklinowy kłosz z muchami w środku. Zaprzeczeniem tezy, że mieszkanie należało do nieprzesadnie przywiązanej do porządku kobiety, był Modest – leżący na łóżku męczyzna średniego wzrostu, średnio szeroki w barach, ogólnie średni. Owinięty w wyblakłe prześcieradło, sapał, jęczał i wierzgał przez sen.

Widok nie należał do przyjemnych. Mężczyzna wyraźnie przeżywał udrękę, ale nie był w stanie samodzielnie zakończyć tego koszmaru. Spektakl musiał się odbyć w całości, aby Modest Tokaj jak co dzień otworzył zmęczone oczy, przegarnął kręcone, zebrzące o fryzjera włosy, dotknął opuszkami palców twarzy, sprawdzając stan zarostu, obciągnął biały podkoszulek i wreszcie odetchnął z ulgą, że to tylko sen. Jego pokuta.

Gdy obudził się w letni poranek, jak zwykle dopełnił towarzyszącego mu od czterech lat rytuału. Wstał, by wyjąć pistolet z szafki koło łóżka. Zaspiane oczy bacznie przyglądały się każdej rysce, każdej części glocka. Lęk powoli odchodził, powracało poczucie siły. Broń zawinął w materiał i delikatnie odłożył ją z powrotem. Położył się ponownie i oparł na zwiniętej w rulon poduszce.

Kolejna noc, po której podkoszulek mógł wyzymać z potu. Sięgnął po papierosa i słoik na pety. Przed oczami miał nadal żywe obrazy. Przesuwały się jak film.

Kolorowe, pomimo upływu czasu ani trochę się nie zestarzały.

Sen był taki jak zawsze. Otwiera kopniakiem drzwi i prawie natychmiast rozlega się huk wystrzału. Przerażliwy, świdrujący, niepozostawiający wątpliwości, celny. Równolegle myśl, że strzela do własnego syna, bo głos zza ściany nakazuje: albo strzelisz sam, albo ja to zrobię. Szyderczy śmiech świadczący o tym, że Henryk Lorenc nie tylko nie żartuje, ale również świetnie się bawi ich kosztem, powoli okręca wokół małego palca.

Potem w głowie dudni, jak stado spłoszonych dzikich koni, krzyk trafionego w lewy bok chłopaka. Był jak koniec świata. Odległy, nieuchronny, złowieszczy i niepozostawiający nadziei. Dobry Boże, w którego nie wierzę, ocal go, ocal go, ocal, powtarza w myślach Modest. Jest przerażony.

Kolejna scena. Modesta przeszywa dreszcz, aż do wnętrzości. Kręci mu się w głowie, robi się ciemno przed oczami i ma wrażenie, że zwymiotuje. Z jego ust wydobywają się litry wymiocin. Chlusta na wszystkie strony. Chce przestać, ale nie jest w stanie. Broń opada na ziemię, jakby w zwolnionym tempie. Ktoś ją szybko chwyta. Mężczyzna osuwa się z jękiem.

Jakby to było ujęcie z filmu, kamera robi najazd na syna. Pochyla się nad nim, Piotrek żyje. Oddycha. Otwiera oczy i zaczyna wrzeszczeć jak zakrwawiony noworodek podniesiony przez położną wysoko nad głową matki niczym trofeum. Krzyczy bardziej ze strachu niż z bólu. Cholerny dzieciak – Modest znów słyszy swoje myśli. Co on tutaj robi? Chłopak przywiera do niego całym ciałem. Trzęsie się, jest przerażony. Boże, uratuj go, kurwa, uratuj.

Następny kadr. Ludzie krzyczą, ktoś się na niego rzuca, ktoś inny chwyta Modesta za rękę.

Sen zawsze kończy się wyciem ambulansu. W jego kierunku biegną lekarze. Potem czuje szarpnięcie za ramię. Budzi się z przekonaniem, że żona chce mu powiedzieć, że zaspał. Ale Moniki już dawno nie ma w jego życiu. Wokół panuje niczym niezmacona cisza.

Tym razem na końcu snu pojawia się jeszcze jedna scena: widzi postać, której nie jest w stanie rozpoznać, choć wydaje mu się znajoma. Marta? Dziewczyna najpierw się śmieje, śmiechem perlistym i rwącym jak górski strumień. Zaczyna mu się robić błogo i też chce mu się śmiać. Potem postać pada na kolana i zaczyna zmywać z twarzy tryskającą na wszystkie strony krew. Modest chce jej coś powiedzieć, ale postać znika, zanim jest w stanie ją uchwycić.

Modest Tokaj otwiera oczy i patrzy w brudny sufit. Raz, dwa, trzy, może mu się tylko śniło, że się śniło?

– Tato, wychodzisz? – Piotrek musiał usłyszeć, że się kręci. Modest szybko nakrył kołdrą spocone i drżące ciało.

– Tak, jadę na spotkanie. – Nie chciał mówić, że chodzi o Martę.

Chłopak wszedł do sypialni i podszedł do okna. Kiedy on tak wyrósł? Dopiero co Modest odprowadzał go za rączkę do przedszkola, poprawiał spodnie na szelkach, a teraz stoi przed nim chude metr osiemdziesiąt. Piotr odsunął zasłony. Za oknem było słonecznie. Musiało być już sporo po dziewiątej. Otworzył okno. Spojrzał na krzesło, ale nie zdecydował się usiąść. Denerwująco się kiwał.

– Nie spóźnisz się do szkoły? – zagaił ojciec.

– Strasznie napaliłeś. Oddychać nie można.

– Pytałem o coś.

– Tato, a pamiętasz, że jest sobota?

Modest się zmieszał. W jego zawodzie detektywa dzień tygodnia nie miał znaczenia i to Piotrek dbał o to, żeby nie szukać w niedzielę otwartego sklepu. W lodówce zawsze coś się znalazło i bynajmniej nie była to zasługa rodzica.

Widział, że chłopak chce coś powiedzieć.

– O co chodzi?

– O nic.

– Na pewno?

– Tato, czemu nasze życie tak wygląda? – Piotrek poczerwieniał. Jakby się wstydził, że pyta.

Modest zamarł. Jak wygląda? Przecież robi, co może. Robi za siebie, za matkę, za całą pieprzoną rodzinę i sam ledwo żyje. Jak wygląda życie?

– O co ci chodzi? – Próbował się opanować, ale lęk nie opadł jeszcze na tyle, by potrafił zachować spokój.

– Wszyscy gdzieś jeżdżą, chodzą, mają wakacje. A my tak tylko tutaj i cały czas nuda.

– Chcesz jechać na wakacje?

– Tato, nie o to chodzi. Mam w dupie wakacje.

– A o co? – Modest irytował się coraz bardziej.

– Śmieją się z nas – wyrzucił z siebie w końcu młody i usiadł. – Śmieją się, że jestem synem gliny, który nie umie strzelać i biega po mieście, robiąc zdjęcia przyłapanym na romansach małżonkom, i sam sobie nie potrafi ułożyć życia.

Modest wstrzymał oddech. Kto się z nich śmieje? Co powiedzieć? Synu, nie martw się, masz ojca złamanego życiem, któremu wszystko wymknęło się spod kontroli? Co ma mu, kurwa, powiedzieć – że gnije tutaj, bo inaczej nie umie?

– Synu, chcesz zmienić szkołę? – spytał bezradnie i o jakieś cztery lata za późno.

– Tato, chyba miasto. Albo kraj. – Piotr zaśmiał się, ale Modest widział, że nie było mu do śmiechu. Tak bardzo chciał, żeby ich życie się ułożyło. Tak chciał, żeby wreszcie zostawili ich w spokoju.

– To co mogę zrobić?

– Nie wiem, tato. Nie wiem, co się robi w takiej sytuacji.

– Ciężko ci?

Młody nie odpowiedział.

Modest nie widział Piotrka w takim stanie. Może to opóźniona reakcja na dawny szok? Czyżby dopiero teraz dotarło do niego to, co się wtedy wydarzyło? Ból przesunął się i Modest powstrzymał syknięcie. Chciał przytulić syna, ale zamarł, licząc do dwudziestu, aż atak minie.

– Co jest, tato? – Piotr spojrzał na niego podejrzliwie.

– Nic, ręka mi zdrętwiała.

W tym momencie zrozumiał, że powinien porozmawiać z Moniką. Za dużo na siebie wziął. Dał jej tyle czasu, ile mógł, by wyleczyła depresję. Życie z nim było trudne. Piotrek wolał zostać z nim, mieli dobre relacje. Teraz powinna się zaangażować. Sam dłużej nie da rady. Już i tak było mu trudno, że córkę zostawił. Chociaż syna chciał wychować lepiej. Modest poprawił przetłuszczone włosy i przeszedł kilka kroków po pokoju. Czuł się jak emeryt. Wizja powrotu do dawnej pracy była kusząca, ale z drugiej strony przerażała go. Marta nie odbierała jego telefonów, czemu się zresztą nie dziwił. Nie rozmawiali od roku, od ostatnich urodzin, na których zjawił się, choć nikt go nie zapraszał. Wtedy właśnie Grażyna postanowiła wyprawić córce imprezę, suto zakrapianą (zresztą za dopiero co zarobione pieniądze dziewczyny), żeby wprowadzić Martę w dorosłość. Dziwni mężczyźni, których zaprosiła, patrzący lubieżnie na wszystko, co się rusza, sprawili, że wpadł w szal. Nakazano mu nie zbliżać się do Marty, która wtedy sama powiedziała mu, co dokładnie o nim myśli.

– Co? Uważasz, że masz prawo mnie wychowywać? Spierdalaj z mojego życia, tatuśku. Spóźniłeś się jakieś dwadzieścia lat.

Nie mógł oczekiwać, że teraz będzie inaczej. Mała dziewczynka, którą zostawił na pastwę losu z pijącą matką, była już dorosła i nie miała mu nic więcej do powiedzenia. Jeśli zamordowała człowieka – było gorzej, niż mógł przypuszczać.

PRAGA-PÓŁNOC

Nie przejmuj się, nie mów za wiele, nie wychylaj się, przede wszystkim słuchaj, powtarzał sobie godzinę później Modest, idąc koło wysokiego brunatnego muru wzdłuż ulicy Szwedzkiej. Nie potrafił tego nigdy pojąć, że siedziba prokuratury Pragi-Południe mieściła się administracyjnie na Pradze-Północ.

Nie lubił tych okolic, choć znał je lepiej niż własną kieszeń. Były jego koszmarem, a zarazem pełnym słodkich bułek babci Florki, dzieciństwem. Zapyziałe budynki z pustymi oczodołami okien straszyły w dzień i w nocy. Wojna zostawiła tu krwawy, namacalny ślad. Siatki z powyginanych zardzewiałych drutów, niczym siatka żył, trzymające cegły, aby nikomu nie spadły na głowę. Bieda wyglądała z każdego mieszkania, wylewała się na klatki schodowe i ulice. Nowoczesność niby tu docierała, ale powoli, z oporami, jakby jej było niewygodnie i nieswojo. Pojawiły się nowe

inwestycje, wybudowali metro. Od Dworca Wileńskiego szedł na piechotę, spoglądając na tonącą w żółci cerkiew. Dziwnie się czuł, wychodząc z podziemi. Mieszkaniec city, który zabłądził na dzikich obrzeżach miasta, a jego zbyt eleganckie ubranie przykuwa uwagę podejrzanych typów o cygańskich rysach. Witaj w naszym świecie, oprowadzimy cię po nim, ale najpierw, kochasiu, oddaj zegarek. Matka Boska stojąca na podwórku ci nie pomoże.

W Śródmieściu, w którym mieszkał od lat, było podobnie, ale subtelności sprawiały, że różnica była wyczuwalna. Tu dzieci były brudniejsze, nie pomagały schroniska na Brzeskiej, nie pomagały kolorowe inicjatywy reklamowane w „Wysokich Obcasach”. Dzieci biedne, ale krnąbrne w swojej biedzie. Jeśli będziesz naiwny, okradną cię w trzy sekundy. Jeśli zbyt pewny siebie, przetną oponę albo i gardło.

Gdy Modest wszedł do budynku, poczuł się nieswojo. Jakby się wpraszał, pchał tam, gdzie go nie chcą. Korytarz był pomalowany na nieokreślony kolor, jeden z tych, którym nazwą rekompensowano brzydotę, jak gołębia szarość czy pudrowy róż. Widocznie wykonawca dał dobrą cenę i starczyło jeszcze na wymianę większości mebli.

Stał chwilę w wejściu, jakby wahając się, czy iść dalej. Pamiętał całe wnętrze jeszcze sprzed remontu. Czas transformacji. Wtedy mu się wydawało, że jest kimś. Dziś budynek był mu obcy, a jemu się już nic nie wydawało.

Siedząca w dyżurce młoda kobieta w za dużych jak na jego gust okularach spytała:

– Pan do kogo?

– Modest Tokaj. Do prokuratora Zawadzkiego.

– W sprawie Luizy Orłowicz? Przesłuchanie?

– Tak. – Pewność odpowiedzi zdziwiła nawet jego samego.

Zlustrowała go od stóp do głów. Podejrzliwie przyjrzała się jego kręconym, za długim włosom i wytartej zamszowej kurtce. Prawdopodobnie kraciasta koszula również nie wzbudziła jej zaufania. Uśmiechnął się, próbując ją do siebie przekonać. Morski błękit jego wyrazistych oczu ostatecznie zdołał ją zjednać.

– Pokój trzydzieści trzy lub trzydzieści cztery. Na pierwszym piętrze. Musi pan tam zapytać.

Spisała jego dane osobowe, przeszedł przez kontrolę i ruszył dalej. Nikt go nie rozpoznał, ale i on nikogo nie znał. Zupełnie nowe twarze w pewnym sensie przyniosły ulgę. Nikt o nic nie powinien go pytać. Z siwymi włosami, ubrany po cywilnemu rozpoczynał nowy etap swojej kariery. Gdy pomyślał w ten sposób, natychmiast siebie za to zganił. Jakiej kariery? Idioto, skończyłeś już karierę. Dawno temu.

Wszedł po schodach. Rozkład pomieszczeń był taki sam. Bez trudu odnalazł pokój przesłuchań. Zapukał i wszedł do środka. Komisarz Biadoń spojrzał na niego wrogo.

– Co pan... – Ale zaraz twarz mu się rozpromieniła. – Modest! W dupę kopany, żyjesz?!

Modest roześmiał się. Czuł, jak pot spływa mu po plecach. Duża dawka leku powstrzymała ból. Musiał być dzisiaj w formie.

– No, żyję. – Nie wiedział, co więcej powiedzieć. Biadonia znał od początku swojej służby. Odbывał u niego staż jako młody aspirant. Nie spodziewał się, że tu się spotkają.

– Zawadzki mówił, że przyjdiesz. Walczy z prasą. – Czy Modestowi się wydawało, czy był to przytyk w jego stronę? – Chcesz kawy?

– Chętnie, dzięki.

– Olek będzie wolny za jakieś piętnaście minut. Mamy do pogadania. Ta kobitka to chyba jakiś grubszy temat.

Modest rozumiał, że mowa o Luizie. Znał ją. Kilka razy się spotkali. O mały włos wszedłby z nią w romans, ale w porę zadziałały hamulce. Początkowo zainteresował się nią, żeby rozgryźć jej ojca. Potem zdał sobie sprawę, że było w niej coś, czemu nie był się w stanie oprzeć. Jakaś kruchość pod maską silnej i niezależnej kobiety. Miał słabość do mocnych, ale jednocześnie pogubionych kobiet. Fakt, że została zamordowana, był przykry. To, że znalazła ją jego córka – na swój sposób potworny.

Pamiętał ostatnie spotkanie z Luizą. Monika, jego żona, przyglądała mu się później podejrzliwie, bo chodził zamyślony przez kilka dni, ale milczała. Mieli w związku zasadę: nie czepiać się. Poza tym kochał żonę ponad wszystko i nigdy by jej nie zdradził, co nie znaczy, że nie zdarzało mu się próbować.

– Luiza, wiem, że nie mogę cię zmusić, żebyś zeznawała w sprawie ojca – mówił powoli, chcąc wzbudzić jej zaufanie. – Takie jest prawo. Ale wiesz, jak było. Ja też wiem. Musisz nam pomóc.

Nie mieli twardych dowodów przeciwko Orłowiczowi. Prawda była taka, że komisarz bardziej się domyślał, niż miał pewność. Kwaśnik dał mu ostatnią szansę, ale wyraził się jasno:

– Wiem, że chcesz przyskrzynić Orłowicza, i rozumiem to, choć czuję, że nie mówisz mi wszystkiego. – Patrzył na niego spod przymkniętych powiek. – Ale okej, szanuję to. Orłowicz to kawał szui, wiemy to nie od dziś, jednak machina kłamstw jest nie do pokonania. Spróbuj przycisnąć córkę. Jak to nic nie da, zamykam sprawę. Będziemy czekać, aż się sam podłoży.

Więc próbował przycisnąć Luizę. To, że przyszła na komendę, uznał za dobry znak. Nie musiała. Spotykali się do tej pory towarzysko, ale postanowił zagrać w otwarte karty.

Rozglądała się po pomieszczeniu, jakby próbowała zapamiętać każdy szczegół jego parszywego, śmierdzącego szczykami pokoju. Awaria kibli dawała się tego lata szczególnie we znaki w całym budynku komendy. Nos po jakimś czasie się przyzwyczajał, ale było to dalekie od komfortu.

Nie wyglądała na swój wiek. Coś dziewczęcego i nieporadnego w niej sprawiało, że

miął ochotę ją przytulić. Nienaganną urodę zakłócała blizna przecinająca brew, prawie niewidoczna pod warstwą makijażu. Kobieta położyła ręce na stole. Dopiero wtedy zauważył bliznę również na prawej dłoni. Gdy spostrzegła, że się przygląda, naciągnęła na nią rękaw. Spojrzała na niego zielonymi oczami. Z powagą.

– Nie mogę. Ja naprawdę nic nie wiem.

Czy mogła nie wiedzieć? Wątpił. Zależało mu, żeby zaczęła mówić. Cokolwiek, byle pchnąć sprawę, z którą tyle czasu się już woził. Choćby o milimetr. Zaprosił ją na tę nieformalną rozmowę i czuł, że się poniża.

– Luiza, błagam. Czego ty się boisz?! Wszyscy wiemy, jak było!

– Ja nie wiem. Nie jestem wszyscy – odparła spokojnie. Jednak szybkie mruganie powiekami świadczyło o zdenerwowaniu.

– A te wezwania policji? Tyle lat was bił i co? Twój brat Marek miał nawet przeprowadzoną obdukcję, ale szybko sprawę zatuszowali. – Dotknął czułego miejsca. Stare zeznania szybko wycofywane. Speszyła się. – Nie chciałabyś się w końcu odwdziaczyć tatusiowi? On truje ludzi nielegalnymi lekami, to chyba poważne oskarżenie?

Szybko się opanowała. Długo milczała.

– Ja... – zawahała się. – To wszystko stare historie. Teraz już nie mają znaczenia. Poza tym ja... – Przerwała. Dotknął jakiejś struny, czekał na dźwięk. – Ja się staram o adopcję. Nie mogę teraz z wami współpracować. Nawet gdybym wiedziała i chciała o tym mówić.

Zamurowało go.

– Ale czego się boisz?

– Że się o tym wszystkim dowiedzą i cofną mi warunkową zgodę.

Niestety, nie zorientował się, że kłamała. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Znasz Henryka Lorenca? – Zadał to pytanie, bo nagle poszczególne elementy zaczęły układać mu się w całość.

– Tak, znam go – odparła bez zastanowienia. – To bardzo miły człowiek. Owszem, znam go od dość dawna.

– Pomógł ci?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo do pokoju wparowała bez pukania chuda dziewczyna. Zakłóciła moment wyznania prawdy, który przeminął bezpowrotnie.

– Marta, nie mogę teraz. Możesz poczekać?

– Tato, ale...

– Nie ma ale.

Wyszła wprawdzie, ale złorzecząc mu pod nosem.

– Coś się stało? – Luiza wykorzystała sytuację i zmieniła temat.

– Moja córka. Szuka pracy i kręci się tu po komendzie. – Mówił, jakby przyłapany na czymś niestosownym. – Gdybym mógł coś zrobić... Ale nie potrafię! Tyle razy z nią

rozmawiałem. Staralem się wytłumaczyć. Że matka pije, że ona musi uważać, że powinna się wyprowadzić... Jak grochem o ścianę... A teraz jeszcze praca... Skąd ja jej wytrzasnę pracę?

Patrzył na kobietę zrezygowany, jakby szukając zrozumienia. Po co on to wszystko opowiada i robi z siebie idiotę?

– Może ją przyślesz do mnie? – Luiza sprawiała wrażenie zamyślanej. – Może dam radę jakoś pomóc. Co ona potrafi?

– Kończyła kursy kosmetyczne. To mądra dziewczyna. Tylko dzika. – Sam nie wiedział, skąd przyszło mu do głowy takie określenie.

Wyszli z komendy, zaproponował jej kawę i ciastko. Zaczęli rozmawiać. Czas płynął szybko. Nie wiedział, kiedy minęły dwie godziny. Opowiadał jej swoje życie, jakby znali się od lat. Jakby siedział na tarasie przy plaży, patrząc w słońce, gdy śmieją się oczy, a twarz otula ciepły wiatr. Nie pamiętał, kiedy i z kim rozmawiało mu się równie dobrze. Oczywiście nie wrócili do tematu Henryka Lorenca, człowieka, którego tak bardzo chciał ukarać. Opowiadali o życiu. Pozwolił sobie na to, nie wiedział dlaczego. Czy to był flirt? Granica flirtu. Luiza była szczerą i miała w sobie coś bezkompromisowego, cichą siłę, z którą się nie dyskutuje. Dużo się śmiała, chociaż jej oczy pozostawały smutne. Może przypomniał mu się jego ojciec? Może to porozumienie dusz, które pozwala powiedzieć: tak, wiem, co przeszłaś, mam tak samo. Może pomyślał o matce, którą stracił tak wcześnie? Tak, wiem, co przeszłaś, mam tak samo. Widzieli się wtedy ostatni raz. Luiza, prosząc o zrozumienie, odmówiła kolejnych spotkań.

Tamtego dnia prokurator Aleksander Zawadzki zamknął sprawę Zbigniewa Orłowicza z braku przekonujących dowodów i z powodu, jak to określił, nacisku grup bezpośrednio zainteresowanych. Wypili kilka wódek i rozeszli się do domów.

Modest wiedział, że to, co mówili o Luizie Orłowicz, nie było prawdą. Nie spodziewał się jednak, że dowie się o tym właśnie teraz, próbując wyciągnąć własną córkę z kręgu podejrzanych o zabicie Luizy.

Biadoń mówił coś do niego, ale zupełnie nie słyszał co. Zareagował w końcu na pytanie:

– Śpisz? Co ci jest? Wyglądasz jak naćpany.

– Oby – powiedział.

Biadoń zmarszczył czoło.

– Co oby?

– Oby mnie przecucia nie myliły.

– Przykra sprawa z Martą, współczuję. – Stary kumpel miał szeroką, prostoduszną twarz i takim też był człowiekiem: dobrodusznym i szczerym. – Masz ty, biedaku, pod górę. Ja bym się posrał.

Modest milczał. Niepokoiło go coraz bardziej, że córka nie reagowała na żadne

telefony. Nawet Piotrek nie zdołał się z nią skontaktować. Czuł się nieswojo – zły ojciec, zły policjant, zły mąż. Czy naprawdę musiał ciągle widzieć swoje porażki? Czy przynajmniej raz na dekadę nie mógłby się zdarzyć jakiś mały sukces?

PRAGA-PÓŁNOC

Zawadzki przyszedł do pracy późno, bo wieczór spędził, odrabiając zaległości w papierach, i wrócił do domu nad ranem. Iga spała mocno i nawet nie drgnęła. Przemknęło mu przez głowę, czy nie wróciła do nawyku brania środków nasennych, ale odsunął tę myśl. Znów zaczęli żyć obok siebie, oszukiwał się, że przecież nic złego się nie działo. Szedł okrężną drogą, żeby zyskać czas na zastanowienie. Bał się, że jego poukładane życie rozsadza od środka podrzucony ukradkiem granat.

Wiedział, że tym razem nie ucieknie od podjęcia decyzji, tego był pewny. Miał czterdzieści trzy lata i nie zamierzał stracić tego, co z takim trudem udało mu się osiągnąć. Dom, rodzina, stabilizacja. Żaden zasrany Lorenc mu tego nie odbierze!

Z determinacją nacisnął klamkę drzwi do gabinetu. Biadoń i Modest siedzieli i rozmawiali ściszymi głosami.

– Przerwałem spowiedź? – zakpił Zawadzki, rzucając z impetem teczkę pod biurko.

– Ja już idę. – Biadoń nerwowo poderwał się z krzesła, aż zachwiało się i upadło z hukiem.

– Sprawdziłeś alibi? – spytał Zawadzki, nie patrząc na Modesta.

– Ma je tylko Barbara Nałęcz. Faktycznie w tym czasie widziano ją na bazarze na Szembeka. Rozpytaliśmy i kilka osób to potwierdza.

– A reszta?

– Adam Kosiński nie ma alibi. Matka, owszem, potwierdziła, że przywiózł dzieci, ale o czwartej. W przedszkolu był około piętnastej. Mógł zdążyć. To nie są wielkie odległości.

– Marta?

– Nic nie wiemy.

Biadoń wycofał się z pokoju, zerkając ukradkiem na Modesta, który siedział nieruchomo. Dłuższe włosy ułożył na żel. W sumie przystojniak z niego, pomyślał Zawadzki, obserwując starego towarzysza. Nieźle się trzyma, ocenił.

– Nie musiałeś się dla mnie tak stroić. Wyglądasz jak cieć! – Zawadzki zaśmiał się, ale Modest się nie uśmiechnął. Poprawił kraciatą koszulę.

– Ty za to jak szkapa – odgryzł się.

Modest patrzył ze zdenerwowaniem na dawnego przyjaciela. Zawadzki wyczuwał dystans. Już nie byli kumplami, a to zdecydowanie zmieniało postać rzeczy.

– Co tam? – Zawadzki przyglądał mu się z uwagą. Czuł, że coś jest nie w porządku. Zbyt dobrze go znał. – Dopadły cię wyrzuty sumienia?

- Porozmawiam z Martą.
- Najwyższa pora.
- Nie wierzę, że ma z tym coś wspólnego.
- Mnie chcesz przekonać? Ja nie mam pojęcia.
- Masz coś na nią?
- Nie.

Modest wsadził papierosa do ust, ale widząc wzrok Zawadzkiego, zaraz go wyjął. Prokurator mówił powoli i wyraźnie.

– Kwaśnik ma spięcie dupy. Media już wlażyły, węszy Kowalska, znasz ją? Prawdziwa sucz.

– Czytałem. Nieźle ci przyłożyła.

Na wspomnienie sprawy Malanowskiego Zawadzki wzruszył ramionami.

Dziennikarka zdążyła już wyprowadzić go z równowagi. Lobby farmaceutyczne także deptało im po piętach, a Kwaśnik dostawał spazmów. Nikt nie chciał, żeby sprawa zabójstwa zaszkodziła prywatnym interesom kilku znanych osób. Nienawidził takich nacisków.

– Znasz starego. Trzęsie portkami. Chcę ci tylko powiedzieć, że tym razem nie ma żartów. Zastrany pech, że w tym wszystkim Marta się pojawia.

– Widzę, że interesuje cię tylko jedno – powiedział cicho Modest. – Twój stołek.

– Nie przesadzaj...

– Nie przesadzaj? – przerwał mu Modest, wstając z krzesła. – Ja się zamartwiam, czy czegoś nie nawywijała, a ty myślisz tylko o tym, czy powiązania ze mną nie zaszkodzą twojej karierze!

Zawadzki poprawił okulary na nosie i zimnym wzrokiem popatrzył na Modesta. Trwali chwilę w milczeniu. Modest w końcu powiedział:

– Zresztą mu się nie dziwię. Lorenc plus nielegalne leki – to nie wróży nic dobrego.

– Ale Kwaśnik tego nie łączy – obruszył się Zawadzki.

Modest spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Nie powiedziałeś o Lorencu? – podniósł głos. – Czemu go osłaniasz?

Zawadzki zaprzeczył.

– A o czym mam mówić? – Prokurator czuł, że kłamie. – Nie mamy nic na niego, a ty wpadasz w obsesję.

– Zdobęde twarde dowody. – Modest przygwozdził oczami Zawadzkiego tak, że przez moment prokurator wstrzymał oddech. – Daj mi dostęp do archiwum.

– To niezgodne z prawem – zachnął się prokurator. Palcem wskazującym poprawił okulary, które wraz z potem zsuwały się po nosie jak na zjeżdżalni, coraz bardziej go irytując.

– Wiesz, że muszę. Jestem pewien, że to zasadzka.

– Zwariowałeś?

- Muszę rozwikłać tę starą sprawę.
- A ja w tym czasie zajmę się prawdziwą pracą. – Prokurator uśmiechnął się złośliwie.
- Tylko tak mogę pomóc. Znajdę coś na Lorenca.
- Zawadzki zamyślił się. Po chwili powiedział, wymawiając każde słowo tak wyraźnie, jak aktor na scenie.
- Dostaniesz te akta. Jednak ja nie kiwnę w tej sprawie nawet palcem. Mam co robić. Spóźniłeś się z tym dochodzeniem o kilka lat.
- Modest kiwnął głową z zadowoleniem i wymamrotał pod nosem coś, co miało oznaczać najprawdopodobniej „dziękuję”.
- To wszystko? – Zawadzki posłał Modestowi zimne spojrzenie.
- Dasz mi znać, jak się czegoś dowiesz?
- Zawadzki przytaknął. Wahał się, czy powiedzieć, czego dowiedział się już z samego rana.
- Pamiętasz Suchockiego?
- Oczywiście. – Odpowiedź padła szybko, a Modest zastrzygł uszami jak zwierzę węszące trop.
- Luiza przed śmiercią kilkakrotnie do niego dzwoniła. Poza tym telefonowała do rodziny i na numery, których nie jesteśmy w stanie ustalić.
- Ciekawe po co...
- Modest podniósł się z krzesła, a Zawadzkiego zdziwił nagły grymas bólu na jego twarzy.
- Moja rada – zajmij się Martą. – Prokurator westchnął. – I przestań śledzić duchy przeszłości. To nie ma sensu.
- Sam sobie zaprzeczasz, Olek. – Modest wyszedł z pokoju bez pożegnania. Zawadzki zauważył jego sztywny chód i nienaturalne podtrzymywanie lewego łokcia prawą dłońią.

ANIN

Niewielki pokój Zbigniewa Orłowicza wypełniał ciężki zaduch whisky i stojącego powietrza. Kilkunastometrowe królestwo pokryte grubą warstwą kurzu. Dookoła porozrzucane książki i stare gazety o polityce i farmacji z czasów, kiedy jeszcze czytał. Niechlujnie przykryte wełnianym szarym pledem pojedyncze łóżko. Sypiał na nim, gdy pił. Ostatnio stale. To była jego melina. Jego sekretny świat, do którego wpuszczał tylko własne myśli. Małe, dwuskrzydłowe okno wychodziło na zarośniętą krzakami skarpe. Widok z niego nie wyróżniał się niczym szczególnym – wierzchołki sosen, kawałek nieba. Przebywając tam, miał wrażenie, że znajduje się w dobrze zaprojektowanej kryjówce, z dala od świata i hałasu. Mały, niewycyszczony kominek

czekał w kącie na jesień. Mosiężny pogrzebacz leżał w kącie niczym porzucony miecz samuraja.

Dom w Aninie to był jego pomysł. Najpierw pomieszkiwał tu z Anną, gdy uczynił ją swoją kochanką. Później zdecydował się kupić ten dom i zamieszkać z nią tam na stałe.

Zbigniew Orłowicz siedział w fotelu, który Anka chciała jakiś czas temu spalić. Kilka razy się na niego wyrzygał, kilka razy, podobno, ale nie był tego pewny, zesrał i posikał. Lubił go jednak i nie wyobrażał sobie żadnego innego.

Pograżony w myślach mężczyzna sprawiał wrażenie nieobecnego. Siwe włosy okalały opuchniętą twarz. Obrzęki powodowały, że oczy wyglądały jak szparki. Głowa, która prawie opadła na klatkę piersiową, podniosła się nagle, a twarz zmarszczyła. Przetarł oczy. Szklanka po whisky leżała obok na fotelu. Plama po reszcie alkoholu powoli wysychała. Czego, do cholery, znowu chcą?!, pomyślał nagle zirytowany. Czy nie mogą zrozumieć, że nie ma dzisiaj do tego głowy? Nie zamierza teraz żadnych kontraktów negocjować ani z kimkolwiek o czymkolwiek gadać. Myślą, że jest ślepy i nie widzi, o co w tym wszystkim chodzi? Zdrajcy. Tak, zgodził się, owszem, ale nikt mu nie zabroni zmienić zdania, jeśli zechce.

– Mam w dupie, szanowny synu, co zrobią – oświadczył w czasie porannej rozmowy z Markiem. – Jeśli już przeliczałeś pieniądze za moją krwawicę, to się pospieszyłeś. Zmieniłem zdanie i nigdzie się nie wybieram. Nie zamierzam sprzedać swoich udziałów i gównu mnie obchodzi, co macie na ten temat do powiedzenia. Nie bierz przykładu ze swojej siostry – dodał ostrzegawczo. – Upór w życiu nie zawsze popłaca.

Poranek spędził w prokuraturze. Miał prawo odmowy zeznań, więc milczał. Nie miał nic do powiedzenia na temat swojej córki. Śmierć Luizy? Przecież sama się o nią prosiła. Tak się kończy, jak się chce za dużo wiedzieć. Nic go to nie obchodzi. Nad czym tu rozpaczać? Wszystkich wiele lat temu uprzedzał: nielojalni zginą. Zostaną ci, którzy są wobec niego uczciwi. Owszem, rozmawiał z nią rano. Pokłócili się, bo naciskała na niego, a on tego nie lubił. W ogóle nie lubił, gdy ktokolwiek próbował dyktować mu swoje warunki.

– Wszystko można dla nich poświęcić, a im ciągle mało – burknął do siebie. – Zawsze mało, mało, mało! – Zaczął się śmiać, a spieniona ślina spływała mu po brodzie. – Biedny Mareczek... A myślał, że mnie przechytry. Starego lisa nikt nie przechytry! – Zbyszek zanosił się coraz głośniejszym śmiechem.

Gdy się uspokoił, zaczął nasłuchiwać. Oczy lśniły mu szaleństwem. Z kuchni znajdującej się piętro niżej dochodziły głosy dzieci. Podźwignięcie się z fotela przyszło mu z trudem. W głowie mu szumiało, przedmioty wokół traciły wyrazistość. Otworzył drzwi na korytarz i zszedł na dół. Niech nie myślą, że się będzie tu ukrywał. Nie ma nic do ukrycia. Jego ciężkie kroki na schodach sprawiły, że dom wypełniła cisza.

Gdy zszedł na dół, próbował usiąść przy wyspie kuchennej, ale nie był w stanie

utrzymać równowagi na stołku barowym. Oparł się więc o blat i czekał, patrząc, jak Anna chowa zakupy do lodówki. Szykowała obiad.

– Chcesz coś zjeść? – spytała cicho, unikając jego spojrzenia.

– Nie – odparł tonem zniechęcającym do dyskusji.

Dzieci oswojone z jego obecnością powróciły do przekomarzania się podczas oglądania bajki.

– Cicho tam! – krzyknął. Zamilkły i z przestachem spojrzwały na ojca.

– Jak chcesz się wydzierać, idź lepiej do tej swojej nory. Mało ci? – Histeria żony zawsze go wkurzała. Jej piskliwy głos doprowadzał do furii.

Już chciał wstać, ale się powstrzymał. Nie dzisiaj. Teraz nie będzie reagował. Rzucił jej tylko ostrzegawcze spojrzenie. Nagła hardość w jej postawie zdziwiła go. Coś przede mną, suko, ukrywasz, pomyślał.

– Czego chcesz? – spytał twardo.

– Ja? Nie rozumiem? – Nadal unikała jego wzroku.

– Coś się stało?

– Oprócz tego, że ktoś zamordował twoją córkę, nic szczególnego – syknęła. – Rozmawiałeś z Markiem?

– A o czym miałem z nim rozmawiać? – spytał czujnie.

– Kiedy wracają?

– Już wrócili. A co?

– Będiesz z nim jeszcze rozmawiać? – Anna drżącymi rękami nakładała jedzenie na talerze.

– Może, nie wiem. Co cię to tak nagle interesuje? – Błądził pijanym wzrokiem po kuchni.

– Jestem ciekawa, co myśli o tym wszystkim.

– Sama go spytaj, bo ja nie jestem ciekawy.

– Jak było w prokuraturze? – Zmieniła temat.

– Niby jak miało być? Niczego się ode mnie nie dowiedzą. Nasze rodzinne sprawy to nie ich zasrany interes!

Anna wyglądała na zmęczoną. Włosy, które utraciły dawny blask, ziemista, zmęczona cera niczym pokryte patyną srebro nadawała jej wygląd chorej. Młodość uciekła, pozostawiając po sobie jedynie przykre wspomnienie. Kąciki pełnych ust opadły, oczy poszarzały. Chuda, z pociągłą twarzą o wystających kościach policzkowych, wąskich plecach i długich nogach przypominała mu charta. Pierdolony chart. Do tej nagłej myśli zachichotał.

Anna bez słowa podeszła do dzieci, które coraz głośniejszy dyskutowały. Usiadła między nimi, a każde się w nią wtuliło. Zbyszek przyglądał się im, kiwając się przy blacie, i czuł narastającą złość. Mają go w dupie. Zawsze tak było. Jedyne syn, którego kochał i z którym mógł rozmawiać, został mu odebrany. Wstał i podszedł do barku,

z którego wyciągnął kolejną butelkę. Nawet na niego nie spojrzeli, gdy szedł w kierunku schodów. Niewdzięcznicy.

Usłyszał dobiegający z jego kryjówki dźwięk telefonu. Przyspieszył kroku. Po drugiej stronie stalowy głos dawnego przyjaciela sprawił, że nieomal wytrzeźwiał. Świadomość, że znów rozmawiają, sprawiła mu radość. Czyżby nadal był dla niego ważny? Czy liczył się z jego zdaniem tak jak kiedyś, gdy był jeszcze młodym gościem o wielkiej sile? Odpowiedział na parę pytań. Zdał sobie nagle sprawę, że już kilka osób szuka mordercy Luizy. Córki, której nienawidził.

PRAGA-PÓŁNOC

Zawadzki dopił stojącą na biurku od rana herbatę, choć zimny, mętny napój smakował źle, a wyglądał jeszcze gorzej. Po wyjściu Modesta popadł w zadumę. Spotkanie pod hasłem: pokażę ci, że żyję, wytrąciło go z równowagi. Posiedział chwilę, patrząc tępo przed siebie, w końcu z rezygnacją wstał zza biurka i poszedł w kierunku drzwi, które uchylił.

– Zapraszam. – Nie zabrzmiało zachęcająco. Czekającej na korytarzu parze zajęło pół minuty, aby zrozumieć, że komunikat był skierowany do nich. Spojrzeli po sobie z niepokojem, a mężczyzna wstał pierwszy i podążył za prokuratorem.

Buty Marka Orłowicza lśniły. Zawadzki nie pamiętał, kiedy sam miał takie błyszczące, chyba nigdy. W świetle przedpołudniowego słońca wpadającego przez otwarte na oścież okno biała koszula prezentowała się tak, jakby Marek planował tuż po wyjściu z prokuratury stanąć na ślubnym kobiercu. Garnitur drogi. Błyszczący, elegancki materiał. Prokurator patrzył z niemym podziwem na krój.

Brat zmarłej, nie kryjąc zniecierpliwienia, zaczął krążyć po pokoju z dłońmi w kieszeniach spodni, czego Zawadzki nie znośił.

– Będzie pan łaskaw spocząć – rzucił cierpko.

Mężczyzna niechętnie spojrział na podsunięte mu krzesło. Robił wszystko, żeby nie zabawić długo w tym pomieszczeniu, to było dla Zawadzkiego jasne. Ostatecznie, ociągając się, usiadł.

– Proszę powiedzieć, gdzie pan był wczoraj od trzynastej.

– Rano wróciliśmy z żoną z Paryża. Odpoczywaliśmy po locie.

– Czyli był pan w domu?

– Tak.

– Kiedy ostatnio widział pan Luizę?

Marek przygryzał nerwowo wargę.

– W piątek.

– Nie rozumiem.

– Wpadłem na chwilę życzyć jej powodzenia przed spektaklem.

- O której to było?
- Około dziesiątej.
- Pojechał pan po to specjalnie?
- Tak.
- Łączyły was bliskie relacje? – Zawadzki zmarszczył czoło. Mężczyzna milczał, a w końcu odpowiedział:
 - Jak rodzeństwo.
 - Byliście mocno związani?
 - Ja byłem sporo starszy, mieliśmy inne matki, krótko mieszkaliśmy pod jednym dachem. Sam pan rozumie – odpowiedział wymijająco.
 - A kiedy wyprowadził się pan z domu?
 - Miałem osiemnaście lat. Bardzo szybko się usamodzielniałem.
 - Czemu?
 - Po prostu. Ojciec jest trudny. Dom i praca to trochę za dużo. – Zmusił się do uśmiechu. Zawadzki miał pewność, że praca ze Zbigniewem Orłowiczem nie należała do łatwych.
 - Czy dobrze rozumiem, że teraz pracuje pan z ojcem?
 - Tak, dobrze pan rozumie. Jestem dyrektorem finansowym w Farmaceutykcie.
 - Pracuje pan z nim od czasu, gdy wyniósł się pan z domu?
 - Nie. – Marek roześmiał się. – Gdybym z nim pracował tak długo, pewnie bym już tutaj z panem nie siedział.
 - Nie rozumiem. – Zawadzki przyglądał się Markowi z powagą.
 - Nie wytrzymałbym tego przez tyle lat. Ojciec jest tyranem. Najpierw wyjechałem na studia za granicę. Musiałem się wyszumieć. Po studiach pracowałem w innych firmach, a potem, gdzieś koło trzydziestki, wylądowałem u ojca.
 - Czy państwa firma miała kłopoty w ciągu ostatnich lat?
- Marek zwlekał z odpowiedzią. Wyraźnie nie spodziewał się tego pytania, wybiło go ono z płynności odpowiedzi.
 - Kłopoty? Nie wiem, o czym pan mówi.
 - Nie pamięta pan sprawy wprowadzenia nielegalnych leków na rynek? Który to był rok? Dwa tysiące jedenasty? – Zawadzki udawał, że nie pamięta.
 - Przecież to były pomówienia, sam pan wie. Konkurencja napuściła na nas prokuraturę, stary chwyt. Na pewno nie nazwałbym tego kłopotami. – Marek zdobył się na nieszczery uśmiech.
 - Luiza była współnikiem pańskiego ojca?
 - Tak. – Pytania, co było widać, stawały się dla Marka coraz mniej wygodne.
 - Czemu pan, jako starszy syn, nie był współnikiem?
 - To pytanie nie do mnie, tylko do mojego ojca. Ja jestem zadowolony z mojej pracy.
 - Chce pan powiedzieć, że zadowala się pan stanowiskiem dyrektora?

– Nie rozumiem, do czego pan zmierza – zirytował się mężczyzna.
– Chyba trudno zaakceptować fakt, że pańska siostra, nie pracując w firmie, ma więcej niż pan?

– Nie miałem z tym najmniejszych problemów – uciął Marek. – Dogadywaliśmy się z Luizą.

Zawadzki spojrzał od niechcienia w notatki.

– Czy zna pan doktora Suchockiego?

Przez twarz Marka przebiegł cień. Chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Owszem. Był naszym lekarzem rodzinnym. To przyjaciel ojca.

– Nie wie pan, czego chciał od Luizy?

– Nie rozumiem? – Marek był zdezorientowany.

– Kontaktowali się kilkakrotnie w ciągu ostatniego miesiąca. – Zawadzki głośno strzelił palcami.

– Proszę jego o to zapytać. Był jej lekarzem.

Zawadzki uznał, że wie już sporo, podziękował i poprosił do siebie Ewę Orłowicz.

Wraz z pojawieniem się żony Marka w pokoju Zawadzkiego niczym burzowa chmura zawisł zapach ciężkich kobiecych perfum. Zmysłowy, ale zdecydowanie zbyt duszący jak na tę porę dnia. Kobieta, na oko czterdziestoparoletnia. Zniszczona cera zdradzała niejedną nieprzespaną noc i świadczyła o niejednym wypalonym papierosie. Ewa Orłowicz bez wahania usiadła na krześle i założyła nogę na nogę.

– Mam kilka rutynowych pytań. Gdzie była pani wczoraj od trzynastej?

– W domu, razem z mężem. – Matowy, niski głos potwierdzał tezę o nałogu.

– Jak dobrze znała pani Luizę?

– Ja... Cóż, znałam, widywałyśmy się czasami, ale nie byłyśmy przyjaciółkami. Inny świat.

– Co pani ma na myśli?

– Ja nie mam dzieci, o czym miałyśmy rozmawiać? Ona miała dzieci, ten swój teatr, ja restaurację. Zresztą...

Zawadzki spojrzał na Ewę pytająco.

– Nie miała o mnie najlepszego zdania. To znaczy chyba za mną nie przepadała. Mogę zapalić?

Drżały jej ręce. Nie czekając na odpowiedź, wyciągnęła slimy. Zawadzki wstał i poszedł otworzyć drugie okno. Nie znosił, gdy ktoś palił w jego pokoju.

– Wie pan, trochę się denerwuję, te przesłuchania, to wszystko. Nie lubię takich sytuacji – wyjaśniła.

– Często się chyba pani nie zdarzają?

Ewa uśmiechnęła się. Dziewczęcy uśmiech ujmował jej lat.

– Nie, nie zdarzają. Unikam kłopotów i niech tak zostanie.

– Dobrze, wróćmy do tematu. Nie lubiłyście się, czy tak?

– Nie, tego nie powiedziałam – zaprotestowała Ewa. – To Luiza za mną nie przepadała. Tak jak cała ich rodzina. Mają i mieli mnie zawsze za nic. Zgodzili się, żebym była z Markiem, żeby się nie stoczył. Byłam bezpieczna i można mną było manipulować.

Zawadzki zdziwił się, słysząc szczere wyznanie, którego się nie spodziewał.

– A jaka była Luiza?

Ewa wyraźnie się zawahała.

– Właściwie nie wiem. Chyba dobra. – A po chwili dodała: – Dla wszystkich.

– To jakim cudem pani nie lubiła, skoro dla wszystkich była dobra? – Zawadzki zaczynał się irytować. Cała ta rozmowa nie miała sensu.

– Nie powiedziałam, że mnie nie lubiła, tylko że ja do nich nie pasowałam! Oni po prostu mnie nie akceptowali. Jestem inna. – Kobieta, mówiąc, potrząsała głową jak nastolatka i tak też się zachowywała.

– Czy sądzi pani, że miała wrogów?

Ewa zmarszczyła czoło. Zaciągnęła się papierosem.

– Teściowa jej nie znosiła. – Ewa spojrzała mu prosto w oczy.

Zawadzki zbaraniał.

– Cóż, to dość częste – skwitował.

– To było ekstremalne. Dogryzała jej na każdym kroku.

Zawadzki odnotował, ale w głębi serca wykluczył. Rzucająca się z nożem teściowa jakoś nie przemówiła do jego wyobraźni.

– A z pani mężem mieli dobre relacje?

– Bardzo dobre – odparła szybko. – Jedno za drugim poszłoby w ogień.

Prokurator poprawił zsuwające się okulary.

– Po co pański mąż pojechał rano do Luizy?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Często rozmawiali. Nie wiem, o czym. Chciał jej na pewno życzyć udanej premiery. Mieszkamy niedaleko. Zdarzało się, że jak rano biegał, wpadał do niej na kawę.

Zawadzki kiwnął ze zrozumieniem głową.

– Czy zna pani doktora Suchockiego?

– Tak, jestem jego pacjentką. Świetny lekarz.

– Leczył całą rodzinę?

Ewa zaśmiała się.

– Tak, chociaż jest ginekologiem. To fenomenalny człowiek i doskonały specjalista. Leczył matkę Luizy wiele lat temu. Był pomocny. Wiem, że Zbyszek go lubił. Luiza też do niego kiedyś chodziła, ale czy teraz, nie mam pojęcia.

Ewa wyszła, ale w pokoju unosił się nadal jej zapach pomieszany z dymem

papierosowym. Na stole pozostała porzucona fikuśna zapalniczka.

Nie miał wątpliwości, że kobieta wiedziała więcej, niż pozwoliłaby dać komukolwiek poznać. Aleksander Zawadzki skrzywił się z niesmakiem. Intuicja podpowiadała mu, że wszyscy kłamią, a wyłowienie chociaż śladu po prawdzie w morzu łgarstw nie będzie łatwym zadaniem. Zdał sobie też sprawę, że jak najszybciej musi przesłuchać Suchockiego.

SASKA KĘPA

Ewa z Markiem wysiedli bez słowa z samochodu na parkingu podziemnym i weszli do swojego apartamentu przy Meksykańskiej. Marek z niechęcią patrzył na stosy zakupionych ubrań i butów, które musieli posegregować. W kieszeni zawibrowała komórka. Zostawił wchodzącą pod prysznic Ewę i wyszedł do salonu.

– Tak, słucham? – Dowiedzieli się za szybko, pomyślał. Prasa zareagowała błyskawicznie. Łakomy kąsek dla tych darmozjadów. Czuł, że medialnie tego nie opanują. – Zdaję sobie sprawę. Proszę się nie martwić, załatwimy to. – Zacisnął mocniej szczęki. – Nie, oczywiście, że nie ma to wpływu na nasze ustalenia. W tej sytuacji pozostajemy tylko my sami, bez siostry. Wszystko jest pod kontrolą. Udziały sprzedaje ojciec. To oczywiste.

Rozłączył się. Już trzęsą portkami, pomyślał. Przecież się umawiali. Jasne, że nie zamierza stracić takiej okazji. Byle tylko Adam nie zawiódł. Kto wie, jak to zniesie? Zawsze przecież był mięczakiem.

Czy to za sprawą znużenia, czy stresu poczuł nagle, że brakuje mu powietrza. Obraz przed oczami zaczął się zamazywać. Zamrugał powiekami. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Wyszedł na taras. Przed bramą jakiś gość właśnie odgrażał się taksówkarzowi, który najwyraźniej za drogo policzył za przejazd. Było późne popołudnie, ale nadal było gorąco. Marek obserwował rozgrywającą się scenę z niewielkim zainteresowaniem. Kilka wdechów i zrobiło mu się trochę lepiej. Tylko się trzymać, nie można się rozklejać, powtarzał w myślach. Nigdy, pod żadnym pozorem.

Ewa wyszła z łazienki i rozejrzała się po pokoju. Po chwili dostrzegła, że jej mąż stoi na zewnątrz. Owinięta ręcznikiem wyszła na taras. Nie słyszał, jak podeszła. Przyglądała się jego wysportowanej sylwetce. Był podobny do ojca. Zgrabne pośladki, ładnie umięśnione ramiona. Smukły kark, kręcone, oprószone lekką siwizną fale sztywnych włosów.

– Nic nie mówiłam.

Spojrzał na nią.

– To dobrze. – Pocałował ją w usta. – Będzie dobrze, kochanie. – Dotknął jej nagich ramion. Musnął opuszkami palców gładką skórę. – Chodź – powiedział. Ewa przyłgnęła do niego ciałem. Poczuł, że narasta w nim żądza, której nie zamierzał

powstrzymywać.

PRAGA-PÓŁNOC

Halinka uważnie przyglądała się czekającej w korytarzu młodej kobiecie. Znała ją ze słyszenia. Dopiero teraz po raz pierwszy spotkała ją osobiście i nie zrobiła na niej dobrego wrażenia. Dwudziestoparoletnia kobieta, niezbyt zgrabna, ale najwyraźniej niewiele sobie robiąca z tego faktu. Wysokie szpilki, wąska spódnica oplatała zbyt grube uda niczym kokon tuż przed narodzinami owada. Co kilka sekund poprawiała opadające na czoło grube loki, spoglądając na Halinkę spode łba.

- Nie mam czasu na takie czekanie – powtarzała co rusz z irytacją.
- Pan prokurator jest zajęty. Mówiłam pani, żeby pani poszła do rzecznika.
- Rzecznik to idiota, nie będę z nim rozmawiać.

Halinka wzięła głęboki wdech.

- W takim razie musi pani poczekać.

Z otwartych drzwi wyłonił się Zawadzki. Z nieukrywaną złością spojrzął na małe monstrum czekające na niego na korytarzu.

- Myślałam, że mnie pan nie zaszczyci obecnością. – Ostentacyjnie westchnęła.
- Chyba pani zwariowała, jeśli pani myśli, że sobie teraz pogadamy.
- Proszę poczekać. A może to ja mogę mieć coś, co pana zainteresuje.
- Konfabulacje? Wątpię.
- Nie pożałuje pan.

Halinka wzniosła oczy do nieba.

– Marta Tokaj, córka byłego komisarza, mordująca z zazdrości, to chyba dobry temat?

Zawadzki poczerwieniał.

– Proszę natychmiast opuścić ten budynek! Nie życzę sobie tutaj brukowców. Jeśli pani chce pisać szmatławie teksty do szmatławej gazety, proszę bardzo! Jednak osobiście dopilnuję, aby wyciągnięto wobec pani konsekwencje, jeśli będzie pani pomawiać kogokolwiek w trakcie mojego śledztwa. Tym razem się pani nie upiecze!

- Ale... – Magda Kowalska straciła rezon.

Zawadzki ze złością otworzył drzwi prowadzące do wyjścia.

- Do widzenia – powiedział sucho.

Kobieta opuściła budynek prokuratury, stukając obcasami jak żołnierz przy zmianie warty.

Prokurator Aleksander Zawadzki wrócił do swojego gabinetu, zamknął komputer, chwycił teczkę i nie patrząc na Halinkę, wyszedł z budynku.

PRAGA-PÓŁNOC

Teatr Larum mieścił się w nowoczesnym budynku, w którym było widać i gust, i zainwestowane pieniądze. Oddany do użytku zaledwie pół roku temu przynosił zyski, przyciągając wielu widzów. Poprzemysłowy barak przeobraził się w olbrzymią, wysoką na kilkanaście metrów, solidną konstrukcję, a sceny mogły pozazdrościć największe europejskie teatry. Andrzej Szymański, reżyser i właściciel teatru, był barwną postacią, którą interesowała się zarówno prasa, jak i wiele instytucji kulturalnych. Jego nazwisko było gwarancją jakości – z czego doskonale zdawali sobie sprawę współpracujący z nim młodzi aktorzy. Grasz u Szymańskiego – daleko zajdziesz. Eksperymentator, geniusz, wizjoner. Poruszał się niekiedy na granicy dobrego smaku, lecz mimo to budził powszechny szacunek swoją pomysłowością i rozmachem.

Wysoki postawny mężczyzna, z zaczesanymi do tyłu siwymi włosami, patrzył na Zawadzkiego przez grube czarne oprawki, ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

– To chyba zły sen. – Głos miał hipnotyzująco melodyjny. Mógłby prowadzić słuchowiska radiowe, pomyślał Zawadzki. – Do tej chwili nie mogę w to uwierzyć.

– Nie miał pan wrażenia, że z Luizą działo się ostatnio coś niedobrego?

Szymański nieznacznie podniósł brwi.

– Śmiem twierdzić, że był to najlepszy okres w jej życiu. Ona po prostu rozkwitała. Na scenie przeobrażała się w prawdziwą doskonałość. To niezwykle rzadkie, że tak późny debiut przynosi taką sławę. Luiza była wyjątkowa. Miała prawdziwy talent i była bardzo pracowita. Wróżyłem jej wielką przyszłość...

– Czemu przebrała się w domu do spektaklu?

– Nie ograniczam aktorów. Czasem, gdy chcą, zabierają kostium i ćwiczą w domu. Muszą się wczuć w rolę. To wprawdzie nie mielenie kotletów, ale też rzemiosło. Powtarzam moim studentom, że sztuka to przede wszystkim ciężka praca. Trzeba się solidnie przygotować. Aktorzy często mnie zaskakują. Dawanie swobody daje dużo lepszy efekt niż zamykanie w ścisłych ramach. Nie chcę mieć tutaj niewolników.

– Jak Luiza czuła się w swojej roli? Ta peruka...

Szymański spojrział na niego z powagą.

– Mistycznie. Ona reagowała wspaniale. *Motyl zmierzchu* był jej powołaniem. Nie mogłem się doczekać, kiedy zatraci się w granej postaci. Nie mogę przeboleć, że tego nie zrobiła.

Reżyserowi zamglily się oczy, odwrócił wzrok w kierunku przeszkłonych drzwi, za którymi poruszały się cienie.

– Próba, pan wybaczy. Chcemy zagrać *Motyła zmierzchu* ze specjalną dedykacją dla Luizy. Rozumie pan.

Zawadzkiemu zrobiło się gorąco.

– Kto zagra jej rolę?

– Weronika Latoszek.

- Miała grać w tym spektaklu?
- Nie. Ale myślę, że spróbuje dorównać Luizie. Choć nie będzie to ta sama jakość.
- Czy Luiza skarżyła się na coś w pracy? Czy była chimeryczna?
- Nie. Była zawsze perfekcyjnie przygotowana i nie mieszała życia osobistego z zawodowym.
- Czy mógłbym zobaczyć jej garderobę?
- W tej chwili jest tam Weronika, ale proszę śmiało. Pewnie z panem chętnie porozmawia. To słodka istota.

Zawadzki zapukał do drzwi garderoby, na której wisiała jeszcze tabliczka z nazwiskiem Luizy. Po chwili ukazała się kobieta o szerokiej twarzy, ogromnych oczach i łysej głowie. Prokurator odruchowo cofnął się, jakby zobaczył ducha.

- Prokurator Aleksander Zawadzki. Chciałbym zadać pani kilka pytań.

Kobieta w milczeniu wpuściła go do środka, kopnięciem przesuwając karton zagradzający przejście.

Zawadzki rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu bez okien. Mocno oświetlone lustro, do którego przymocowane były liczne kartki i zdjęcia. Niewielki stolik zavalony kosmetykami. Szafa z uchylonymi drzwiami, z której wystawały ubrania. Wazon z kwiatami.

– Długo pani tu pracuje? – Zawadzki czekał, aż kobieta zaproponuje mu, żeby spoczął, ale nie doczekawszy się zaproszenia, usiadł na obitym skórą stołku dostawionym do stolika z lustrem. Kobieta zapadła się w stojącym w rogu fotelu. Brzydsza od Luizy, pomyślał Zawadzki, ale wybrana według podobnego klucza.

– Od stycznia. Czyli niedługo. – Kobieta nie była zadowolona z jego obecności, to było dla prokuratora jasne.

- Dobrze znała pani Luizę?

– Myśli pan, że ją wygryzłam? – Policzki Weroniki oblał rumieniec. – Nie zrobiłabym czegoś takiego. Nigdy.

- Nic takiego nie powiedziałem. Pytam tylko, czy znała pani Luizę.

- Trochę. Jak się pracuje w jednym miejscu, to wiadomo, że się co nieco słyszy.

- A co mówiono o niej?

Weronika prychnęła.

- Mogę zapalić?

– Oczywiście. – Zawadzki pomyślał z niechęcią, że przesiądnie do reszty papierosowym dymem.

Kobieta mocno się zaciągnęła.

– Chwiejna była. Ale genialna. Dużo się na jej temat plotkowało. Że sypia z Szymańskim, że wykorzystuje mężczyzn. Nie wiem, czy to była prawda.

Zawadzki zerknął na wiszące nad stolikiem zdjęcia. Luiza po spektaklach,

obejmująca widzów, uśmiechnięta, piękna.

– Zazdrozczono jej?

– Wszystkiego. Kasa, sława, rodzina. Rzadkie połączenie. Ten jej mąż wpatrzony w nią jak w obraz. A ona oganiająca się od wielbicieli...

– Dużo ich było?

– Kto by to liczył?

– A te kwiaty? – Zawadzki wskazał palcem na stojący tuż obok bukiet.

– Przyniósł wczoraj jakiś mężczyzna. Młody.

– Nie wie pani, kim był?

– Pojęcia nie mam. Wie pan, co tu się wczoraj działo? Ludzie wyli na scenie. Bałagan był nie z tej ziemi. Zwroty musieliśmy robić. Wszyscy się zaczęli awanturować. A jak się dowiedzieli, że Luiza nie żyje – wybuchła histeria. Nie wiem, ludzie ją kochali.

– Mogę zobaczyć? – Zawadzki wskazał na liścik przyczepiony do bukietu.

– Mnie się pan pyta? – Spojrzała na niego z niechęcią.

Prokurator owinął palce chusteczką i wziął liścik przyczepiony białą wstążką do białych róż, starając się nie pokłuć. Otworzył karteczki i odczytał napis. „Jesteśmy jak ćmy, które spłoną”.

– I co? – Dziewczyna patrzyła na niego z ciekawością. – Następny pojeb?

Zawadzki nie odpowiedział, ale schował liścik do foliowej torebki i podniósł się z krzesła. Podziękował i pożegnał się z Weroniką, której twarz w świetle scenicznego światła zaczynała mu się nawet podobać.

– Macie tu jakieś kamery? – spytał jeszcze na odchodnym. Weronika od razu zrozumiała, co miał na myśli.

– Niestety, bez przerwy się psują, a jak nie, obraz jest zamazany i niewiele widać. Najlepsza jest ta przy kasie. Może pan spytać naszych techników. Są na dole, w podziemiach. A i jeszcze jedno – widziałam tego faceta wcześniej. On nie był tu pierwszy raz.

– Potrafi sobie pani przypomnieć kiedy?

– Moim zdaniem przed poprzednią premierą, jakieś dwa miesiące temu. Może pan dokładnie sprawdzić nasz repertuar w informacji.

Zawadzki jeszcze raz podziękował i opuścił Teatr Larum z mętlikiem w głowie.

PRAGA-PÓŁNOC

Marta nie wiedziała, co się z nią działo. Obraz martwej Luizy jej nie opuszczał, chociaż próbowała nie myśleć o tym, co się stało. Spędziła cały dzień w łóżku, starając się, aby nawet pościel nie drgnęła na jej ciele. Patrząc na obdrapaną ścianę przed sobą, widziała rozbebeszony brzuch. Krew, która zastygła niczym stara farba w wiadrze.

Zdzira nie żyje. Fałszywa zdzira.

Może ten koleś, którego spotkała u niej przypadkiem, miał rację? Nadchodzi koniec świata? Wreszcie zatriumfuje sprawiedliwość.

Nie żałowała jej. Tak miało być. Musi tylko chronić siebie, żeby nikt nie pomyślał, że mogła mieć z tym cokolwiek wspólnego. To przecież oczywiste, że podejrzenia padną na nią – miała powód i okazję, aby zabić.

Matka podeszła do niej bezszelestnie, usiadła na skraju łóżka, sama jakby skrepowana tym, że się do niej zbliża. Uchyliła kołdrę, szukając jej ciała, dowodu, że nie zniknęła.

– Dobrze się czujesz? – spytała, sepleniąc przez szczerbę w uzębieniu. Pamiątka po kolejnym przyjacielu. – Zrobiłam zupę...

Zupę. Kiedy ona ostatnio zrobiła zupę?! Boże, ja chyba śnię, pomyślała Marta. Otworzyła oczy i spojrzała na matkę. Przypatrywała się jej zniszczonej alkoholem twarzy, pooranej zmarszczkami. Podkrążone oczy patrzyły na nią jakby z obawą. Czy była kiedyś piękna? Czy ktoś jej mówił, jaka jest słodka z tymi dołeczkami? Marta pierwszy raz, patrząc na nią, nie poczuła strachu. Jak daleko sięgała pamięcią, zawsze walczyły. Dziewczyna często uciekała z domu, ale wracała. Do jednego łóżka, w którym razem spały, odkąd Modest odszedł. Tak było bezpieczniej. Gdy matka była pijana, Marta zawsze mogła ją podtrzymać, żeby nie spadła, podać miskę, gdy chciała wymiotować. Zawsze też było cieplej, gdy administracja wyłączała ogrzewanie z powodu niezapłaconych rachunków.

Z biegiem lat stawało się to dla Marty coraz trudniejsze. Ciągłe walki z matką odbierały jej życiową siłę, choć nauczyła się, że w razie ostrej awantury trzeba wezwać policję. Na koniec jednak znowu lądowały w tym samym łóżku.

– Jaka? – spytała po dłuższej chwili. Może była głodna?

– Pomidorową. Nalać ci? Poczujesz się lepiej.

– Czemu się tak nagle o mnie martwisz? – Marta spojrzała na matkę podejrzliwie.

Matka patrzyła spode łba.

– Nie, nie martwię się... Ja po prostu... – Twarz jej nagle stężała. – Po prostu chcę, żebyś coś zjadła. I może byś już wstała, bo ile tak będziesz leżeć w tym wyrze? Nie masz pracy? Co ty myślisz, że tak będziesz tu tkwić beczynnienie?

Koniec. Krótka piękna chwila minęła. Marta przetarła oczy i z rezygnacją podniosła wzrok. Tak, wstanie, ale po co? Rzeczy niezmiennie nie zmieniają się nigdy. A w jej życiu takich rzeczy było niezmiernie dużo. Podniosła się i ruszyła do łazienki, nie zwracając uwagi na pełny talerz, zachlapany pomarańczową cieczą stół i minę matki. Marta puściła wody do wanny, w której rdzawe ślady na wyżartej emalii przypomniły jej znowu o krwi w salonie Luizy. Przyjrzała się swoim przepoconym ubraniom. Wrzuciła wszystkie do pralki i nastawiła pranie. Wróciła jeszcze do pokoju, żeby zabrać telefon. Matki już nie było. Pusty słoik na parapecie nie wróżył niczego

dobrego.

Wróciła z powrotem do łazienki, usiadła na skraju wanny. Powoli zanurzała się w wodzie. Gdy jej chude ciało pokryła piana, spojrzała na wyświetlacz komórki. Nieodebrane połączenie – ojciec. I to ile razy. Piotrek ją uprzedzał. Nie domyślił się, że jemu też przestała ufać. Odczytała wiadomości. Przy jednej z nich zastygła. Krótki komunikat wysłany z nieznanego numeru: CZY MOŻEMY SIĘ SPOTKAĆ? STOJĘ POD BLOKIEM. JACEK, sprawił, że serce zabiło jej szybciej. Wyszła z wanny w pośpiechu. Włożyła podkoszulek i dżinsy. Mokre włosy związała w długi kucyk. Jak dobrze, że jesteś, szepnęła do siebie i już była przy wyjściu. Zbiegła szybko na dół po starych, drewnianych schodach i wypadła z klatki. Drzwi zatrzasnęły się za nią, a sterczący jak kawałek lodu odłamek szyby zadrżał złowrogo i o mało nie wypadł.

Stał nieruchomo pod drzewem. Marta powstrzymała odruch zarzucenia mu rąk na szyję. Poczowała, że coś jest inaczej.

– Jacek, kochanie – powiedziała, przytulając się do jego mocnego ciała. – Wejdiesz na górę? Jestem sama.

Skinął głową i bez słowa poszedł za nią. Marta zamknęła drzwi na zasuwę, żeby matka nie mogła ich nakryć, jeśli wróci. Marzyła o tym, żeby zapomnieć się, zanurzyć w jego zapachu i na chwilę przestać istnieć.

– Chcesz? – spytała, rozpinając guziki jego koszuli. – Myślałam, że już się nie pojawisz... Że z nami koniec.

Dotknął jej twarzy dłońmi i pocałował. Miała wrażenie, że czuje smak alkoholu, ale nie skomentowała tego. Nie powinien pić, wiedziała o tym.

Gdy skończyli, Marta popatrzyła na niego spod wpółprzymkniętych powiek.

– Potrafisz mnie zaskoczyć. – Była pod wrażeniem jego mocnych ruchów, pewności, z jaką przenikał jej ciało.

– Ty też – powiedział cicho.

– Co ci jest?

Dotknęła jego klatki piersiowej.

– Nic. – Odsunął się, jakby jej dotyk parzył.

Leżeli w milczeniu. Patrzyła na jego ładny profil, wydatne usta, kształtny nos, długie rzęsy i nie mogła uwierzyć swojemu szczęściu.

– Wczoraj znalazłaś Luizę? – spytał, patrząc ze smutkiem w okno. Marta była pewna, że oczy zaszyły mu łzami.

– To straszne – powiedziała, ale nie wypadło to szczerze.

Nie odpowiedział, tylko podniósł się, usiadł na łóżku i skrył twarz w dłoniach. Oglądała jego gładkie, szerokie plecy. Po chwili podniósł głowę i popatrzył na nią badawczo.

– Jak wyglądała?

Marta nie wiedziała, co odpowiedzieć. Unikała jego wzroku. Czyżby przyszedł tylko

po to, żeby spytać o Luizę? Jak zwykle to ona była dla niego najważniejsza, nawet martwa? Czy także po śmierci będzie z nią konkurować?

– Miała wyprute flaki i wyglądała jak kukła – powiedziała sucho i spojrzała na niego prowokacyjnie.

Zauważyła, że mocniej zacisnął szczęki.

– Po co tam polazłaś? – wycedził.

– Zadzwoń na mnie. Taka moja praca. – Marta wzruszyła ramionami. – Ona nie żyje! Rozumiesz?! Przestań w końcu o niej myśleć. Patrz na mnie. – Ruchem dłoni pokazała swoje piersi. – Czegoś mi brak?!

Jacek zaczął się ubierać. Poruszał się jak robot. Przyszedł tutaj pieprzyć się z tą suką, pomyślała. Już miała coś powiedzieć, ale nie chciała, by wybuchł. Patrzył na nią lśnącymi z gniewu oczami. Było w nich coś niepokojącego. Wiedziała, że balansują na granicy, której żadne z nich nie powinno przekroczyć.

– Idziesz już? – spytała pojednawczo.

– Tak.

– Czyli po prostu tylko do jednego ci jestem potrzebna. – Nie mogła powstrzymać komentarza.

Nie odpowiedział. Podeszedł do drzwi, na moment się zatrzymał i odwrócił.

– Mam nadzieję, że jej nie zabiłaś. – Jego słowa zawisły w ciszy mieszkania niczym para w łazience po zbyt gorącej kąpieli.

Martę przeszedł dreszcz. Nie zdążyła nic powiedzieć, bo zniknął tak szybko, jak się pojawił. Weszła do łóżka i okryła się kołdrą. Okno zatrzasnęło się z hukiem. Przeciąg zapowiadał burzę. Okryła się szczelniej, jakby to miało zagłuszyć pędzące myśli. Słowa układały się w zdania i nie dawały spokoju.

„Jeśli tego nie powstrzymasz, pożałujesz! Nie tak się umawialiśmy!”.

Podśluchiwała tę rozmowę przypadkiem. Mogła wtedy odejść, ale stała sparaliżowana i ciekawa, co z niej wyniknie. Zdawała sobie doskonale sprawę, że musi milczeć. Jeśli nie chce go stracić, nie może nic powiedzieć.

ŚRÓDMIEŚCIE

Gdy Modest Tokaj wszedł do domu, zaskoczyła go cisza. Włączył światło, choć na zewnątrz dopiero zapadał zmierzch. Ich blisko stumetrowe mieszkanie, wychodzące na północny wschód, wypełniał półmrok. Kamienica na Nowogrodzkiej, o ciemnych murach i żelaznej bramie, była jego ostoją. Skrzypiące schody prowadzące na piąte piętro, stara mozaika w bladoniebieski wzór, którą przyozdobiona była klatka. Tabliczka z powyginanymi jak jesienny liść inicjałami „M. M. Tokaj” wisiała na drzwiach od lat. Nie zamierzał tego zmieniać.

Odwiesił bluzę na wieszak, odstawił buty do stojącej nieopodal drzwi szafki.

Prześląknięte potem skarpetki cisnął w kąt. Westchnął. Czuł, że irytuje się coraz bardziej. Spodziewał się, że zastanie Piotrka, bo chciał z nim porozmawiać, ale wyglądało na to, że syn gdzieś wyszedł. Dziwne, zazwyczaj zostawiał wiadomość.

Nagły ból przeszył mu plecy, zakleszczając się w okolicach lędźwi. Przysiadł na taborecie, nie mając siły przejść dalej. Przez otwarte okna dobiegały odgłosy dziecięcej zabawy. Gdyby krzyknął, nikt by go nie usłyszał. Po cichu policzył do dwudziestu. Ból ustępował, ale powoli. Modest dotknął spoconego czoła. Czuł, że z każdym dniem jest gorzej. Czekał na wizytę w instytucie onkologii, dokąd skierował go ostatni specjalista. Na szczęście pracował tam jego kolega i czas oczekiwania był krótki. Można by nawet rzec – ekspresowy. Dwa tygodnie. Czy to możliwe, że za czternaście dni się dowie? Rak. Starał się o tym nie myśleć. Szkoda mu było na to czasu. Będzie, co ma być, byleby przestało tak kurewsko boleć. Powoli wstał z krzesła i ciężkim krokiem, opierając się o ścianę, poszedł do kuchni. Facet w kwiecie wieku, zaśmiał się w myślach, a czuję się jak starzec wiszący nad grobem. Gdy dotarł do długiego blatu, otworzył znajdujące się nad nim okno z widokiem na studnię i wyciągnął z szafki pudełko z lekami. Zaciskając szczęki z bólu, wyciągnął tabletki. Miał trudny dzień i nie chciał się skazywać na wieczór dogorywania. Zresztą oczekiwał, że gdy Piotrek wróci, uda im się pogadać. Chciał go spytać o Martę. Miał wrażenie, że syn nie był z nim szczery. Wiedział, że utrzymuje kontakt z Martą. Z dziewczyną naprawdę trudno było się dogadać, ale Piotrkowi się to udawało. Odnaleźli wspólny język. Modest zupełnie tego nie pojmował. Jak jego syn, nie nazbyt rozmowny, trafia do jego wycofanej i dziwnej córki? On sam nie był w stanie. Wstyd mu się było przyznać samemu przed sobą, ale zawsze miał problem z trudnymi dziećmi. Trochę się ich bał, a trochę nie dowierzał, że rozmowa z nimi może przynieść jakikolwiek wychowawczy efekt. Czuł, że traci czas. Tak, miał tego pełną świadomość, choć trudno się było do tego przyznać – czuł też, że traci czas, próbując rozmawiać z własnym dzieckiem. Nie mogło być gorzej.

Wszłuchał się w ciszę. Wibrowała w uszach, mieszając się z dźwiękami ulicy. Pomyślał o Luizie i poczuł niezrozumiałą tęsknotę. W zlewie, na talerzu pała się *Calliphora vicina*. Mucha niebieska musiała być dumna ze swojej zdobyczy. Chociaż lepszy byłby kawałek zepsutego mięsa. Pomyślał o martwym ciele pięknej kobiety. Rozpad. Mucha ocierała swoje włochate odnóża o odwłok. Najadła się. Piękna, wyraziste oczy. Mucha przesuwała się w kierunku resztek kanapki. Rozkład.

Wstał, nalał sobie ponownie wody i skierował kroki do sypialni służącej mu jednocześnie za gabinet. Vis-à-vis jego pokoju znajdowało się królestwo Piotra, do którego zajrzał. Rozrzucone rzeczy świadczyły o tym, że chłopak gdzieś wybiegł. Zazwyczaj zostawiał porządek. Tym razem musiało mu się bardzo spieszyć. Młody nie znosił bałaganu. To, że na biurku leżał porzucony telefon komórkowy, nie zdziwiło go. Piotrek nie był typowym nastolatkiem i nie uzależnił się jeszcze ani od tabletu, ani od

komórki. Wolał karate. Może miał dzisiaj zajęcia? Modest zawstydził się. Stare sprawy, które odżyły, pochłonęły go do tego stopnia, że znów nie wiedział, co słyhać u syna.

Nacisnął klamkę w drzwiach swojej sypialni. Najpierw zobaczył otwartą szafkę nocną, potem dłonie Piotrka, jeszcze nie męskie, ale już zdecydowanie nie dziecięce. Złapał powietrze. Ból zamarł razem z nim.

– Co ty, do kurwy nędzy, robisz?! – ryknął i rzucił się do przodu.

Piotrek odskoczył jak poparzony. Z rąk wypadł mu glock. Chłopak był siny ze strachu.

– Czemu się skradasz?! – krzyknął piskliwie.

– Ja się skradam?! – Modest gwałtownym gestem podniósł broń. – A co, mam śpiewać od progu?! Co ty wyprawiasz z moją bronią?!

Dopiero teraz zauważył, że Piotrek się trzęsie.

– Co się dzieje? – Modest próbował się uspokoić.

Piotr wyglądał, jakby chciał się rozplakać.

– Co się stało? – Ojciec tracił cierpliwość. – Mów wreszcie!

– Widziałem dzisiaj rano, jak oglądałeś tę broń – zaczął łamiącym się głosem chłopak. – Nie zamknąłeś szafki. Nic mi nie mówisz. Nigdy mi nie powiedziałeś, co się naprawdę stało i dlaczego do mnie wtedy strzeliłeś. Czy to moja wina, że nie pracujesz jako glina? Śmiali się ze mnie w szkole, że jestem dupa, że nic nie umiem, że się nie znam na broni, że tym swoim karate to sobie mogę Chinki rwać.

Modest znów poczuł tak dobrze znany gorzki smak wyrzutów sumienia.

– Byłem ciekaw. – Piotrek się uspokajał. Patrzył ojcu prosto w oczy. – Byłem po prostu ciekaw, czy jak się trzyma broń w ręku, to jest się bardziej odważnym. Czy coś się wtedy zmienia.

Modest usiadł na łóżku, starając się uspokoić oddech. Czuł wewnątrz wzbierający szloch. Ruchem ręki wskazał Piotrkowi, żeby usiadł przy nim.

– Nic się nie zmienia – zaczął powoli. – Ten, kto ma broń, jest bezsilny. Jakby tracił inne narzędzia, żeby sobie radzić. Broń wchodzi do akcji, kiedy brakuje komunikacji, gdy nie ma już ani siły, ani odwagi.

Przygarnął syna. Chłopak niechętnie dał się przytulić.

– Sorry, tato. Nie chciałem cię... No wiesz.

– Nie rób tego nigdy więcej.

– Czemu?

– Broń jest moja.

– Ale z niej nie korzystasz. Od kiedy... – Chłopak zawiesił głos. Widać było, że zbiera się na odwagę. W końcu wyrzucił z siebie: – Czemu do mnie wtedy strzeliłeś? Powiesz mi wreszcie?

Modest czuł w głowie pustkę. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek będą o tym

rozmawiać, a już na pewno nie teraz. Nie teraz, gdy zbliżała się kolejna katastrofa.

– Nie dzisiaj. Nie mogę.

– A kiedy będziesz mógł? – Piotrek patrzył na ojca ze złością.

– Zaufaj mi. Teraz muszę pomóc Marcie.

Piotrek wydawał się zaskoczony.

– Jak to? Wracasz do policji?

Czy Modestowi się zdawało, czy usłyszał w głosie syna nadzieję?

– Nie... – Nie wiedział, czy powinien, ale dodał: – Być może będę pomagał w sprawie Marty.

– Coś jej grozi?

Chwila ciszy.

– To ty mi powiedz.

Modest spojrzał uważnie w oczy syna. Piotrek spuścił wzrok.

– Jak coś wiesz, gadaj. Natychmiast. Wszystko, co ci przychodzi do głowy.

– Nic nie wiem. – Chłopak patrzył w okno. Chude ręce splótł na kolanach.

– Właśnie widzę.

– Sam z nią pogadaj.

– Ona ze mną nie rozmawia. Nie odbiera telefonu.

– Teraz będzie. Obiecała mi, że z tobą pogada.

Modest spojrzał uważnie na syna. Piotrek coś ukrywał, jednak nie było sensu dążyć. Jak sobie coś postanowił, trudno go było przekonać, by zmienił zdanie.

– Dobrze. Zadzwoń do niej. A ty – nigdy więcej. – Wskazał na rewolwer. – Pamiętaj.

Piotr nie mógł się domyślić, ile kosztowało Modesta, żeby się ruszyć, nie dając po sobie poznać, jak bardzo go wszystko boli.

Gdy Piotr poszedł do swojego pokoju, Modest ciężko usiadł na fotelu. Zaczynało do niego docierać, że syn nie miał łatwo. Że jako ojciec powinien wcześniej o tym pomyśleć. Że to przez niego. Mógł go zabrać z tamtej szkoły. A co teraz mógł zrobić? Za chwilę matura. Powinien wiedzieć, że gówniarze potrafią być bezwzględni. Co mu odbiło z tą bronią? Tyle czasu nic na ten temat nie mówił. Jak mógłby mu to wyjaśnić? Doskonale wiedział, że było to niemożliwe.

Modest chwycił komórkę. Nieuchronność tego, co miało nadejść, nie pozostawiała miejsca na inne decyzje. Prawda była smutna i okrutna: Henryk Lorenc wkraczał ponownie w jego świat, burząc spokój, który odzyskiwał przez te kilka lat z takim mozolem. Nie szkodzi, że był to pozorny spokój.

Niechętnie wykręcił numer. Po drugiej stronie rozległo się kilka sygnałów. Abonent czasowo niedostępny. Ponowił wybieranie. To samo.

Chwilę się wahał. Jeśli coś się stanie jego córce, nigdy sobie tego nie daruje. Z drugiej jednak strony czuł, że nie można jej ufać. Zapukał do drzwi syna i wszedł do

pokoju, nie czekając na zaproszenie. Jemu też ograniczy kredyt zaufania.

– Pojadę do Marty – oświadczył.

W oczach Piotra zauważył niepokój.

– Tak? – spytał, jakby nie wierzył w to, co powiedział ojciec.

– Tak. Nie odbiera telefonu. Nie jest jeszcze późno. Pogadam z nią.

– Jesteś pewien? – Piotr wyglądał na przestraszonego.

Modest popatrzył na syna, starając się panować nad nerwami.

– Młody, przestań mówić do mnie szyfrem. Chcę z nią porozmawiać, bo się bardzo o nią martwię. Mam nadzieję, że denerwuję się na wyrost.

Czy to możliwe, że Piotrek się bał? Przemknęło mu to przez myśl, ale szybko to wyparł. W ciszy korytarza zabrzmiała komórka. Odebrał, nie kryjąc lęku.

– Cześć, Marto, dziękuję, że oddzwoniasz. Możemy pogadać?

Szybkim krokiem przeszedł z powrotem do swojej sypialni i zamknął za sobą drzwi.

– Cześć. – Po drugiej stronie usłyszał cichy głos córki.

– Pozbierałaś się? – Pytanie wydało mu się niezbyt mądre, ale nie było go stać w tej chwili na nic innego.

– Tak. Jest okej. Nie zabiłam Luizy, jeśli o to chcesz zapytać – powiedziała sucho.

– Nie... – Westchnął głęboko. Zupełnie mu nie szło. – Nie o to chodzi.

– A o co? – Zaśmiała się. – Co innego mogłoby być istotne? Uspokoję cię, tatusiu. Znalazłam tylko trupa, nic więcej. – I zaraz dodała: – Oczywiście żal mi jej.

– Rozumiem. Czy możemy się jednak spotkać, chciałbym cię tylko...

– Przesłuchać? – weszła mu w słowo.

– Nie, nie nazywajmy tak tego. – Poczuł się urażony.

– To jak? – W jej głosie słychać było drwinę. – Przecież jesteś gliną.

– Chciałbym z tobą po prostu pogadać. Może coś wiesz, a nawet nie zdajesz sobie sprawy, że ma to związek ze sprawą.

Zapanowała cisza. Dużo by dał, żeby zobaczyć teraz minę Marty. Czuł, że się denerwowała.

– Dobrze, to kiedy?

– Jutro? O której możesz?

– Dziesiąta?

– Super. Czy mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie?

– Oczywiście. Nie wiem tylko, czy odpowiem.

– Czy poznałaś u Luizy Henryka Lorenca? Pamiętasz kogoś takiego?

– Tak, pamiętam – odparła bez zastanowienia. – Widziałam go raz czy dwa. Bardzo miły pan.

Modest zamarł.

– O czym rozmawialiście?

– Nie pamiętam dokładnie. Ale był bardzo uprzejmy i ujmujący, to pamiętam.

Modest zaklął w duchu, pożegnał się i szybko rozłączył. Zupełnie niespodziewanie poczuł na ramieniu chłodny oddech. Odwrócił się, ale nikogo nie było. Czuł, że drętwieją mu dłonie i zbliża się kolejny atak bólu. W pokoju zrobiło się duszno. Otworzył okno i wyjrzał na opustoszałą ulicę. Dotknął dłonią zastygłej w bólu twarzy.

„To bardzo miły człowiek. Jest chyba w pana wieku?”

Przed oczami, jak obraz, stanęła mu twarz Luizy Orłowicz. Jej dziewczęcy uśmiech i zdanie, które wwierciło mu się w głowę być może na zawsze.

LUIZA ORŁOWICZ

Poniedziałek, 1 czerwca 2015 roku

Zbliżaliśmy się do końca naszej pracy. Rok upłynął szybciej, niż się spodziewałam. Odkrycie prawdy napawało mnie strachem, ale też nadzieją, że moje życie stanie się lepsze. Odnajdę w sobie spokój, którego nigdy nie miałam. Uśmiechnę się. Zatańczę. Spojrzę w bezchmurne niebo i pomyślę: Było warto. Może jestem zbyt wielką idealistką?

Siedziałyśmy w rozświetlonym słońcem pokoju. Zająłam miejsce, jak zwykle, w fotelu stojącym nieopodal okna. Było otwarte. Lubiłam to miejsce, siadałam blisko, tak jakbym chciała przez nie wylecieć. Bo nieraz, prawdę mówiąc, chciałam to zrobić. Miałam też ochotę zapalić, ale na samo wspomnienie papierosa moje wnętrze się kurczyło. Nie paliłam już bardzo długo. To nie byłby dobry pomysł, nawet jeśli w głowie była to wizja czegoś, co było wspaniałe, ale zostało poza mną – już definitywnie.

Zza rozchylonej firanki dochodziły wesołe krzyki dzieci bawiących się na placu zabaw. Było parno i duszno jak przed burzą.

– Jak się czujesz? – Małgorzata patrzyła na mnie uważnie. Wiem, że nawiązywała do rozmów, które miałam odbyć. Chciałam odwlec ten moment. Zamierzałam powiedzieć jej o tym później.

– Bez zmian – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Czułam się nadal źle.

– Jesteś spięta. Coś się stało?

– Denerwuję się.

– Bo?

– Mogę odkryć prawdę.

– Po to tu chyba przyszłaś rok temu?

– Wiem, ale mimo wszystko się boję. – Nie kłamałam, tak rzeczywiście było.

– Czego?

– Tej prawdy.

– Prawdy nie można się bać. Cóż możemy odkryć lepszego niż prawdę o nas samych

– wyrecytowała, jakby czytała na głos ckliwą książkę Paola Coelho. Nie lubiłam tego taniego patosu.

– Niektórzy mówią, że prawda to banał. – Zaśmiałam się nerwowo.

– Być może, ale moim zdaniem nie mają racji. – Małgorzata zapatrzyła się w okno. Gdy ponownie spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i zachęcająco dodała: – Zaczynajmy. Jesteś gotowa?

Kiwnęłam głową, chociaż nie byłam gotowa. Nie byłam, bo na to nie mogłam się przygotować. Nie byłam, bo nie rozumiałam, co się ze mną dzieje. Miałam urodzić prawdę o sobie. Moja położna odliczała czas i sprawdzała wielkość rozwarcia. Wierzyła we mnie zapewne bardziej niż ja.

Zaczęła hipnozę, a ja rozpoczęłam poród swojej historii. Słowa wypływały ze mnie jedno za drugim, jednostajnie. Byłam w transie. Moje ciało drżało, nie byłam w stanie nad tym zapanować. Po śliskich kamieniach, potykając się co chwila, wkroczyłam w ciemny tunel.

– Nagle jakbym odzyskała świadomość. Wokół mnie zgromadzili się ludzie. Nie wiem, ilu ich było. Kilku. Nawet nie jestem pewna, czy byli to sami mężczyźni. Jeden zbliżył się do mnie i wydawało mi się, że poznałam głos i poczułam charakterystyczny zapach. Ale może było to tylko złudzenie. Wokół panował mrok i śmierdziało benzyną. Czulałam, że jestem cała obolała. Było mi zimno, musiałam być naga. Miałam chyba na sobie majtki, jakąś koszulkę. Leżałam na podłodze i nie mogłam się podnieść. Nie czulałam nóg. Potwornie bolała mnie szyja. Nie mam pojęcia, co się ze mną działo. Chyba krwawiłam. Czulałam, że na przemian tracę i odzyskuję przytomność.

Ciemność potęgowała odczucie, że nie wiem, gdzie się znajduję, czy jestem sama. W pewnym momencie wokół zapadła zupełna cisza i odniosłam wrażenie, że wszyscy sobie poszli. Zapaliły się mrugające światła. To mogły być świece. Dużo świec. Albo pochodnie. Spróbowałam się podnieść, ale natychmiast pojawił się znowu, jakby cały czas stał tuż za mną i patrzył. Przycisnął moją głowę do podłogi, nie mogłam się ruszyć. W pewnym momencie poczułam, że zaczyna dotykać tyłów moich ud i przesuwając dłonie do moich pośladków. Poddałam się temu, co zamierzał zrobić, tak jak wcześniej tracąc i odzyskując świadomość. Zdjął mi majtki. Wszedł we mnie gwałtownie. Poczułam ból, jakby wsadził mi tam nóż. Zagryzłam zęby na dłoni. Wiedziałam, że nie mogę krzyczeć. Nie pamiętam, czy coś mówił. Nie wiem, czy był sam. Nie widziałam twarzy. Słyszałam śpiew, ale szum w głowie sprawiał, że z trudem przychodziło mi rozpoznanie głosów... Pieśń brzmiała, jakby była w innym języku. W pewnym momencie głosy ucichły, jakby ktoś wyłączył magnetofon. Jego napierające na mnie ciało opadło i przycisnęło mnie do podłogi. Poczułam, że ktoś mną szarpie, zapala światło i klepie po policzku. Nad sobą ujrzałam twarz matki.

– Czy pamiętasz coś jeszcze, Luizoz

Małgorzata nie chciała naciskać. Wiedziałem, że wszystkiego naraz sobie nie przypomnę. W końcu umknęło mi kilkanaście lat. Wyparłem, nie pamiętałem. Amnezja wsteczna. Mechanizm obronny. Nie dowierzałem, że można temu nadać aż tak głęboki sens i tak wiele definicji. W ogóle nie mogłem uwierzyć, że tak wielu rzeczy nie pamiętam. Nie chciałem wiedzieć, co się tam stało. Nie teraz. Siedziałam w otępieniu, pragnąc natychmiast zapomnieć wszystko, co mi się przypomniało. Niewidzialna, śmierdząca stęchlizną wilgoć osiadła na mych policzkach i choć tarłam skórę, nie mogłam się jej pozbyć.

Po kilkunastu minutach milczenia terapeutka wróciła do początku naszej rozmowy.

– Pytałaś?

Milczałam zawzięcie, nie patrząc na Małgorzatę. Pytałam. Jednak nie chciałam o tym mówić. Trudno mi było przyznać, że odniosłam porażkę.

– Jak twoja nowa rola? – Małgorzata zmieniła temat. – W *Motyłu zmierzchu*, prawda?

– Tak. Ciężka. Ale chyba wyzwalająca. Jestem chorą na raka kobietą, która dzięki chorobie odzyskuje rodzinę i sens życia.

– To rzeczywiście trudne.

– Tak. Boję się, że dosłownie spłonę. Reżyser ciśnie, żebym dała z siebie wszystko, ale nie wiem, czy znajdę siłę. Mam wrażenie, że coś ciągnie mnie cały czas w dół. I nie potrafię się temu oprzeć.

– Przestań. Właśnie to robisz. Widzimy się za tydzień.

Poczułam nagle, że Małgorzata wie więcej, niż chce mi powiedzieć, ale zdusiłam w sobie ciekawość, która pojawiła się i zniknęła jak kruchy motyl.

Niedziela, 7 czerwca 2015 roku

SASKA KĘPA

Latanie sprawiało Markowi coraz mniejszą przyjemność. Może tak się zaczyna starość? Lot z Hamburga był krótki, a mimo to odczuwał tak dotkliwy ból głowy, jakby dostała się w ciężkie imadło, które niczym dziadek do orzechów rozłupie ją na części. Leżąc w ogromnym łóżku, mężczyzna miał wrażenie, że ściany coraz bardziej napierają na niego, a cisza w apartamencie przygniata go do łóżka. Nienawidził siebie takiego: rozmemłanego, poddającego się bólowi – egoistycznemu i decydującemu, kiedy ustąpi. W pedantycznie poukładanym mieszkaniu cierpienie Marka wydawało się nie na miejscu. Z dużym wysiłkiem sięgnął do nocnej szafki, w której przechowywał zapas tabletek. Połknął dwie, żeby ból ustąpił, żeby jego niedoskonałość nie psuła idealnie zaprojektowanej całości.

Najgorsze było to, że nawet w tym poczuciu całkowitego poddania się kaprysom swojego ciała nie był w stanie przestać myśleć. Kontrahenci nie byli zachwyceni zmianami statusu firmy. Rozmowa ze szwagrem zupełnie go rozbiła. Z nieznanego mu powodu ojciec nie zadzwonił bezpośrednio do niego. To było w jego stylu, wiedział, że w ten sposób jeszcze bardziej go upokorzy i okaże mu swoją pogardę.

– No to jesteśmy w gównie. – Marek skwitował wypowiedź Adama.

– Wiedziałem, że tak, kurwa, będzie. – Szwagier był wściekły i wcale się z tym nie krył.

– No, ale przynajmniej jesteś współnikiem – rzucił drwiąco Marek.

– Myślisz, że to jest zajebiście śmieszne? Rzeczywiście bardzo mnie bawi, jak ten stary kutas mi wygraża! I spływa po mnie, że ktoś zadzgał moją żonę!

– Cóż, witaj w rodzinie. – Marek się zaśmiał.

– Spierdalaj.

– Nie denerwuj się. – Musiał go uspokoić. Nie może się teraz wycofać. – Na pewno znajdzie się jakiś sposób.

– Tak, chyba jak go diabli wezmą.

– Jest to jakaś myśl. – Marek zamyślił się.

– Daj spokój. Nie będę się razem z nim smażył w piekle!

Marek nie miał wątpliwości, że śmierć siostry skomplikowała sytuację. Tylko kto w ten sposób chciał im zaszkodzić? Henryk nie mógł mieć z tym nic wspólnego,

przecież się umawiali? Ustalili jasno, czego kto oczekuje, i zamierzał się tego trzymać. Myśl o starym koledze wywołała wspomnienia.

Lorenca znał od dziecka. Byli prawie równoletkami i przez pewien czas chodzili do tej samej szkoły. Henryk był synem Saszy, dawnego wspólnika ojca, tyle że zawsze uczył się lepiej, lepiej wyglądał i znał się na interesach i prowadzeniu biznesu. Rуска krew robiła swoje. Gdy jego ojciec zginął tragicznie, wspólnikiem Zbyszka została Miła, matka Henryka. Henryk był wtedy w liceum. Już od dawna pomagał rodzicom w prowadzeniu biznesu – stary chlubił się tak zdolnym synem. Dlatego jakież było zaskoczenie, gdy pani Lorenc i jej syn sprzedali swoje udziały w spółce Zbigniewa. Po tym fakcie przez wiele lat młodzi się nie widzieli. Spotkali się dopiero kilka lat później w Londynie, na bankiecie młodych przedsiębiorców. Obaj studiowali wówczas w Anglii, ale każdy na innej uczelni i z innych pobudek.

– Jak interesy? – spytał Henryk uśmiechnięty, opalony, niebieskooki. Nienagannie ubrany, z manierami, których mógłby mu pozazdrościć sam książę Karol.

– Ojciec prowadzi firmę. Chyba jest zadowolony – odparł Marek powściągliwie. Wstyd mu było przyznać, że Zbyszek nie dopuszcza go w firmie do głosu.

– A ty? – Nic nie mogło się ukryć przed przenikliwością Henryka.

– Ja jestem tutaj – odpowiedział Marek, zmieszany. – Po powrocie zamierzam podjąć pracę u ojca.

Henryk zaśmiał się, a potem nagle spoważniał i zasugerował:

– Musisz go wygryźć. – Odchylił się, przymrużył oczy. – On się do tego nie nadaje.

To krótkie, rzucone od niechcienia zdanie podziało na Marka piorunująco.

Wtedy nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Kiwał się na palcach w przód i w tył, wiedząc, że wygląda jak palant.

– Znam twojego ojca lepiej niż inni – kontynuował Lorenec. Kolor jego oczu przypominał kawałek świetlistego metalu. – Dużo mu zawdzięczam, sporo nas łączyło, ale nie uważam, że musisz być lojalny. Przejmij ster, wtedy będziemy mieli o czym rozmawiać.

– A co ty robisz? – Marek próbował zmienić temat. Czuł się niewygodnie.

Henryk zdawał się nie słyszeć pytania. Jego uwagę przykuła latynoska piękność o długich nogach i obfitym biuście, która pojawiła się w wejściu. Spojrzała na nich spod długich rzęs. Lorenec nie spuszczał z niej oka. Uśmiechnęła się do niego, podeszła, musnęła pełnymi wargami jego policzek, szepnęła coś do ucha. Gdy odeszła, kołysząc biodrami opiętymi aksamitną suknią, Henryk wrócił do rozmowy.

– Biznes.

Marek nie zrozumiał.

– Czysty biznes robię. Jestem wizjonerem. – Lorenec zaczął się śmiać. Po chwili rozejrzał się po sali i dodał: – Muszę już lecieć. Miło było cię zobaczyć. Daj znać, jak już będziesz w Polsce. Chciałbym, żebyśmy nie tracili kontaktu.

Marek został sam z myślą, która kiełkowała, aż w końcu urosła do rozmiarów trudnych do udźwignięcia. Do rozmowy wrócili wiele lat później. Marek był już wystarczająco sfrustrowany, żeby przyjąć punkt widzenia Lorenca, a Henryk wystarczająco rozbuchany w swoich planach, by chcieć z nim rozmawiać. Jeden i drugi pragnął zemsty na tym samym człowieku. Nie musieli sobie tego tłumaczyć.

Marek wrócił myślami do siostry. Nie wiedział, jak się zachować. Może jednak powinien zadzwonić do ojca? Powiedzieć, że wrócił i że mogą się spotkać? Sięgnął po telefon i nie podnosząc się z łóżka, niechętnie wybrał numer.

– Halo? – Nie spodziewał się, że usłyszy jej głos.

– Anna? – Marek poczuł, jak głos uwiązał mu w gardle. – Co się stało? Gdzie ojciec?

– Śpi – powiedziała tak cicho, że ledwie usłyszał.

– Czemu płaczesz?

Odpowiedziała mu cisza.

– Jesteś tam?

– Tak – szepnęła. – Marek, mam już tego dość...

– Kochanie, bądź cierpliwa... Jeszcze trochę i to wszystko się skończy. Obiecuję.

– Co powiedziała policja?

– Nic. Na razie nic nie ustalili.

– Musisz na siebie uważać.

– Wiem.

– Będę u was jutro, dobrze? Gdzie dzieci?

– U matki.

– Może chcesz, żebym dziś przyjechał?

– Nie, daj spokój. Idę teraz spać, on na pewno ocknie się dopiero rano.

– Skoro tak wolisz.

– Marek, ja...

– Wiem. Uważaj na siebie.

Gdy odłożył słuchawkę, miał wrażenie, że głowa zaraz mu pęknie. Wziął kolejny proszek i zapadł w ciężki sen. Nie słyszał, jak do domu wróciła Ewa.

ŚRÓDMIEŚCIE

Modest wstał wcześnie. Była szósta, a poranna śmieciarka waliła kontenerami pod oknem jego sypialni. W nocy nie zmrużył oka. Przed oczami przelatywały mu obrazy Marty, Lorenca i skaczącego z bronią syna. Zapowiadał się długi dzień.

Ze zdziwieniem stwierdził, że ból zelżał, zostawiając więcej miejsca na natrętne myśli. Rozciągnął się, delikatnie poruszając barkami. Zdjął podkoszulek i poszedł do łazienki. Piotr spał. Modest wszedł do kuchni, włączył radio i wysłuchał porannych wiadomości. Znow zapowiadali upały. Nie dał rady zjeść śniadania, było za wcześnie.

Na samą myśl o wepchnięciu suchej kanapki do żołądka zrobiło mu się niedobrze. Wypił kawę. Już od rana dzień wydał mu się za długi. W głowie kotłowały mu się wszystkie sprawy, niedokończone i te do załatwienia. Nie przepadał za taką gonitwą myśli.

– Cześć, tato. – Nagłe pojawienie się Piotrka wyrwało go z zamyślenia. Kiedy on się nauczył tak skradać?

– Cześć, synu. – Spojrzał na jego kudłatą głowę, za długie ręce i za długie nogi. Nastolatek. Prawie dorosły.

Chłopak usiadł i patrzył na niego półprzytomnie, przecierając zaspane oczy.

– Może byśmy kupili psa? – zapytał, ziewając.

Modest spojrzał na niego zdumiony.

– A skąd ten pomysł?

– Z głowy.

– Będiesz z nim wychodził?

– Będę.

– A jakiego?

– Dużego.

Modest przyglądał się Piotrkowi z uwagą. Czyżby syn się bał? Dlaczego nagle wpadł na taki pomysł? Już kiedyś o tym rozmawiali, po wyprowadzce Moniki, że może chciałby, i nigdy nie chciał. Wczoraj broń, dzisiaj pies. Modesta ogarniały wątpliwości, czy aby na pewno syn mówi mu wszystko.

– Co to znaczy dużego?

– Owczarek niemiecki. Są do sprzedania szczeniaki, znalazłem w internecie.

– Skoro chcesz... – odparł z wahaniem.

– Na urodziny.

Modest poczuł, że zaraz zapadnie się pod ziemię. Przecież na śmierć o tym zapomniał! Nie kupił Piotrkowi żadnego prezentu!

– Tato, nic się nie stało. To kup mi psa. – Piotr czytał w myślach ojca.

– Okej. Przepraszam.

– Idziesz do Marty? – Młody sprytnie zmienił temat.

– Tak.

Piotr wstał z krzesła i odsunął białoszarą firankę w oknie. Stał tyłem, więc Modest nie widział twarzy chłopca.

– Ona się, tato, zakochała.

Gdyby nie to, że Piotrek powiedział to takim tonem, pewnie by się nie zdziwił. Była dorosła, cóż w tym nadzwyczajnego.

– W kim? – Czuł, że tak naprawdę nie chce znać odpowiedzi na to pytanie.

– Powiedziała, że w jakimś starszym facecie.

Modest poczuł, że ból w lędźwiach daje mu solidnego kopa.

– Wiesz, jak się nazywa?

– Nie mówiła. Może tobie powie. Dlatego ci mówię, żebyś podrażył temat.

Modest poczuł napięcie w całym ciele. Co jeszcze może się okazać? Że młoda ma romans z jego wrogiem? Na samą myśl zrobiło mu się niedobrze. To mogło być w jego stylu. Pomyślał o Roksanie i przeszedł go dreszcz. Co, jeśli miał rację? Wszystkie przypuszczenia wydały mu się tak absurdalne, że nie był pewien, czy psychika po raz drugi nie płała mu figla.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma. Miał jeszcze dwie godziny. Postanowił zajrzeć do pracy, a stamtąd pojechać do Marty.

PRAGA-PÓŁNOC

Gdy Modest Tokaj stanął pod bramą starej rudery, przyszło mu na myśl, że nie był tu kilka ładnych lat. Była to myśl równie nieprzyjemna, jak świadomość, że był facetem z Pragi. Tu się wychował, tu obrósł w wiedzę o ludziach i świecie, która – niczym nacieki na ścianie – pozostała na zawsze z nim wtłoczona w jego jestestwo jak cudza krew. Czuł się dokładnie tak, jakby wkraczał w obcą rzeczywistość, której nie chciał, nie rozumiał, którą wyparł, bo tak mu było wygodniej. Nie chciał pamiętać, że można tak żyć. Zostawił to już za sobą. Widok męczył go – stara Praga-Północ, z obdrapanymi, sypiącymi się budynkami, wyglądała jak inny świat, którego nie chciał już i nie potrzebował.

Patrzył na małe dzieci w brudnych koszulkach biegające samopas, na pijaków straszących w bramach smrodem ciała i ubrań, spotęgowanym upalnym dniem, na szwendające się po śmietnikach bezpańskie koty, na kobiety w mocnym makijażu, z długimi tipsami w neonowych kolorach.

Ciało miał jak zamrożone. Kroki sztywne. Ograniczone bólem ruchy pozbawione były gracji. Szedł, nie zastanawiając się, ponieważ znał drogę. Kiedyś bywał tu o wiele częściej. W oknie na parterze, obok kapliczki maryjnej, siedział na parapecie rudy, ślepy kot. Nawet nie drgnął, gdy Modest go mijał, choć bacznie obserwował jego kroki.

Mężczyzna wszedł na klatkę. Było chłodno, śmierdziało zgnilizną, a gdzieniegdzie przebiegały prusaki. Marta z matką mieszkały na strychu zaadaptowanym na cele mieszkalne. Przy 11 Listopada. Wdrapał się na ostatnie piętro. Przed drzwiami leżała nowa wycieraczka. Drzwi stare, ale czyste. Ktoś pomalował je na dziecięcy zielony kolor, co wzbudziło zdziwienie Modesta.

Najpierw zapukał. Po drugiej stronie nie było słyhać odgłosu niczyjej obecności. Nacisnął dzwonek, ale też bez rezultatu.

Po półgodzinnym wyczekiwaniu wybrał numer Marty, ale bezskutecznie i po piątym razie dał za wygraną. Nie odbierze, nie ma się co oszukiwać, pomyślał.

Modest jeszcze raz machinalnie nacisnął dzwonek. Ktoś za drzwiami zaczął się krztusić. Zasuwa przesunęła się z szurgotem i w drzwiach ujrzał Grażynę. Modest zaniemówił. Jego była żona z trudem trzymała się na nogach.

– Przecież słyszę, co tak bombardujesz? Właśnie się położyłam. – Jej widok wzbudził w nim stare obrzydzenie. Całe mieszkanie przesiąknięte było odorem gorzały. Powstrzymał odruch wymiotny. Przed oczami stanęły mu migawki z ich wspólnego życia. Gdy wracał z pracy, żona leżała zalana na podłodze w kałuży moczu, a córka bezradnie krążyła wokół niej w poszukiwaniu jedzenia. Popełnił niewybaczalny błąd – Modest zdał sobie z tego sprawę po raz pierwszy w tak namacalny sposób.

– Gdzie Marta? – Głos mu drżał.

– Nie wiem. – Zachwiała się i opadła na łóżko. Zobaczył, że spodnie ma przesiąknięte sikami. – Przecież ci mówię, że dopiero wróciłam!

Modest patrzył na kobietę ze wstrętem. Grażyna wyglądała, jakby balansowała gdzieś pomiędzy delirium a psychozą. Miała czterdzieści kilka lat, ale wyglądała na wiele więcej. Zaniedbana, zniszczona alkoholem. Nic do niej nie docierało. Ciągłe awantury, bezrobocie. Marta miała z nią po prostu krzyż pański. Od urodzenia pod górkę. Kiedyś się tym przejmował, ale potem sam stracił kontrolę nad swoim życiem i przestał. Teraz nie mógł sobie tego wybaczyć.

– Gdzie jest Marta?! – Tracił panowanie nad sobą.

– A skąd ja mam wiedzieć? Co ja – przyzwoitka? Może się gzi z jakimś utrzymankiem.

– Są jej rzeczy? Torba, buty?

– A ślepy? – Podniosła tułów z poduszki. – Sam szukaj.

– Czyli nie mówiła ci, że gdzieś wychodzi, że się umówiła?

Grażyna rzuciła się z powrotem na rozgrzebane łóżko i zapadła w sen. Rozejrzył się po pokoju i maleńkiej kuchni. Nigdzie śladu dziewczyny. W łazience leżało trochę ubrań, ale wyglądało na to, że się spakowała.

Na wszelki wypadek wysłał Marcie SMS-a, że czekał i żeby do niego oddzwoniła. Nie wierzył jednak, że to zrobi.

PRAGA-PÓŁNOC

Prokurator Zawadzki szedł chodnikiem i co jakiś czas przystawał. Myślami był przy swojej córce, która od niedawna zaczęła mówić do niego „tato”. Coraz więcej rozumiała. Patrzyła na niego wielkimi oczami, a on się rozplętywał ze szczęścia.

Pamiętał dzień, gdy po raz pierwszy trzymał ją w ramionach. Była taka maleńka i krucha. Iga płakała, a on ze wzruszenia nie mógł wydobyć głosu. Piękna scena, która zostanie z nim na zawsze.

Za długo walczył, żeby się teraz poddawać. Zbyt dużo ich to wszystko kosztowało.

Gdy myślał o rączce, która wczoraj wieczorem chwyciła jego wielką, szorstką dłoń, szybciej zabiło mu serce. Opłacało się.

Teraz, gdy szedł na spotkanie, już nie bił się z myślami. Postanowione. Najważniejsze, żeby rodzina nie ucierpiała. Nic innego nie miało znaczenia.

Lorenc zaproponował szczególne miejsce. Mogli się spotkać wszędzie, a on wybrał właśnie to. Bazylika na Kawęczyńskiej. Miejsce, które nie raziło przepychem, ale na tle okolicznych zabudowań Szmulowizny wypadało monumentalnie i zaskakująco. Kiedy pierwszy raz przyjechał na miejsce zbrodni w bloku nieopodal, nie mógł się nadziwić. Potężna, przypominająca bryłę rzymską bazylikę św. Pawła za Murami była na Pradze-Północ czymś niezwykłym.

Zawadzki pokonał wysokie schody szybkim krokiem. Zatrzymał się pod rzędem wysokich kolumn okalających wejście główne do bazyliki. W środku tygodnia można się było spodziewać tu co najwyżej pogrzebu. Tym razem jednak kościół świecił pustkami. Wszedł do środka, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

Wewnątrz panował przyjemny chłód, ale Zawadzkiego drażnił zapach kurzu. Wielka nawa mogła pomieścić tłumy wiernych. Często organizowano tu koncerty. Do samego ołtarza zamiast ławek prowadziły rzędy drewnianych, pokrytych ciemną bejczką krzeseł. Strzeliste kolumny tworzyły spójną drogę do wypełnionego kolorowymi freskami ołtarza. Światło przenikające przez okna osadzone pod sufitem nadawało wnętrzu przestrzenny wygląd.

Zawadzki zatrzymał się. Nie był pewien, czy powinien iść dalej, czy czekać bliżej wejścia. W kieszeni zawibrował mu telefon. Wyjął komórkę i spojrzął na wyświetlacz: IDŹ PROSTO, SKRĘĆ W PRAWO ZA OŁTARZEM. CZEKAM NA WIEŻY.

Jak on się tam, do cholery, dostał? Zawadzki rozejrzał się. Drgnął, gdy uwięziony u sklepienia kościoła gołąb z trzepotem skrzydeł przefrunął na drugą stronę kopuły. Jak u Hitchcocka, pomyślał prokurator, ale nie było mu do śmiechu. Schował telefon i ruszył w kierunku bocznej nawy. Po raz kolejny poczuł się niepewnie. Przetarł wierzchem dłoni wilgotne czoło. Nie wiedział, czy zrobiło mu się duszno, bo było naprawdę gorąco, a w bazylice brakowało powietrza, czy też dopadł go po prostu strach. Lorenc był nieobliczalny. Co do tego nie miał wątpliwości. Jak inaczej można by wytłumaczyć to, że nadal przebywał na wolności? Nikt nie był mu w stanie udowodnić przestępstwa, być może tylko Zawadzki.

Temu właśnie człowiekowi prokurator Aleksander Zawadzki postanowił dzisiaj zawierzyć. Po raz kolejny w życiu.

Zbliżył się do prowadzących na wieżę niewielkich drzwi. W korytarzu było ciemno, ale zdołał dostrzec, że znajdująca się po prawej stronie tabliczka informowała, że wejście na wieżę było możliwe wyłącznie z przewodnikiem salezjańskim i tylko po wcześniejszym telefonicznym umówieniu. Rozejrzał się wokół, ale nikogo nie zauważył. Nacisnął klamkę, która miękko poszła w dół i drzwi uchyliły się bez

najmniejszego skrzygnięcia. Wszedł szybko i zamknął je za sobą.

Małe pomieszczenie tonęło w mroku. Wyjął telefon, którym oświetlił sobie podejście do schodów. Gdy podniósł głowę, wysoko w górze zobaczył niewielki otwór, który prowadził na szczyt wieży. Zawadzki wciągnął nosem powietrze – pachniało grzybem i wilgocią. Powoli zaczął wspinać się po schodach. Na każdej z pięciu kondygnacji przystawał w ciemności, próbując wyszukać Henryka Lorenca. A jeśli nie przyjdzie? Jeśli to żart? Ogarniały go coraz większe wątpliwości. Może z niego zakpił? Może to tylko gra? Zawadzki wiedział, jak naiwne było myślenie, że zdoła przechytrzyć Lorenca lub go oszukać. Dlatego stawiał na lojalność – poddańcze przekonanie, że jak go nie sypnie, wszystko pójdzie jak z płatka.

Przystanął na przedostatniej, nieco już jaśniejszej kondygnacji. Dochodzące przez spory otwór, który tylko z dołu wydawał się niewielki, światło pozwalało poruszać się bez trudu. Czuł się zmęczony. Nagle telefon w kieszeni ponownie zawibrował: ZOSTAŃ NA OSTATNIM PODEŚCIE. Zawadzki poczuł, że robi mu się niedobrze. Potwornie chciało mu się pić. Gdy dotarł do celu, dostrzegł stojące w kącie krzesło. NAPIJ SIĘ WODY – kolejny komunikat z telefonu. Czy nie zamierza z nim rozmawiać?

Posłusznie usiadł na krześle i z obawą zerknął na stojącą obok butelkę z wodą i szklankę. Z uczuciem niepokoju odkręcił ją i nalał. Wypił i poczuł chwilową ulgę. Na moment zrobiło mu się chłodniej. Z zewnątrz dochodziły dźwięki przejeżdżającego tramwaju i gruchania gołębi. ODWRÓĆ SIĘ. Powoli odwrócił głowę. Na wysokości oczu znajdował się otwór w ścianie o średnicy jakichś trzech centymetrów. Gdy Zawadzki wyjrzał na zewnątrz, odskoczył. Spoglądało na niego niebieskie, nieruchome oko Henryka Lorenca.

– Piękny dzień. – Głos dobiegający zza ściany był przytłumiony, oko cofnęło się, a Zawadzki zobaczył niebieskie, bezchmurne niebo. – O czym chciałbyś ze mną porozmawiać?

Zawadzki czuł, że Lorenc jest w przerażająco znakomitej formie. Przez moment nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Zanim spotkamy się w sądzie, chciałbym, żebyś wiedział, że nie jest moją intencją, żeby tak się stało.

– Strach cię obleciał? – Lorenc zaczął się śmiać. – Co takiego masz na sumieniu?

– Nic. – Zawadzki zacisnął szczękę. Skurwiel doskonale wiedział, w co grają.

– Czyżby? To po co zgodziłeś się ze mną spotkać? Nie mów, że to nagła potrzeba modlitwy.

– Nie ujawnię cię.

– Zbytek łaski.

– Nie zależy ci?

– Kto to wie, na czym komu zależy?

– Chcę mieć święty spokój. Nie zrobiłem nikomu nic złego.

– Czyżby?

– Chcesz układu? – Zawadzki myślał, że te słowa nigdy nie przejdą mu przez gardło.

– Dopiero co ułożyłeś się ze swoim starym przyjacielem. Nie za dużo tych paktów z diabłem? – zaśmiał się Lorenc.

Zawadzki czuł krew pulsującą mu w skroniach. Znów zachciało mu się pić.

– Doceniam twoje starania. – Lorenc wyraźnie triumfował. – Ja oczywiście nie mam z tym, co się stało, nic wspólnego, żyję spokojnie. Głównie czytam i kontempluję. Szukam Boga. Świat zmierza ku zagładzie. Zbliży się sądny dzień dla niedowiarków.

– Henryk, daj spokój. – Prokurator był coraz bardziej zirytowany.

Odpowiedziała mu przedłużająca się cisza.

– Dzieci są naszym życiem. Życzę ci, żeby cię nigdy nie zdradziły.

– Czyli się rozumiemy? – Zawadzki czekał na potwierdzenie.

– Czy my się kiedykolwiek nie rozumieliśmy? Kocham dzieci, zawsze to mówiłem. Kocham życie!

Zawadzki miał wrażenie, że znalazł się w niewłaściwym miejscu, czasie i towarzystwie. Za późno jednak było, by móc się wycofać.

– Masz moje słowo.

– Dziękuję. – Lorenc znów się roześmiał. – Świat schodzi na psy, jeśli dobro brata się ze złem, nie uważasz? Koniec świata jest nieuchronny.

– Zostawisz w spokoju moją rodzinę?

Zamiast odpowiedzi usłyszał kroki. Lorenc zbliżał się do otworu prowadzącego na dach. Po chwili prokurator zobaczył dłoń wrzucającą teczkę, która spadła z hukiem na podłogę.

Zawadzki otworzył ją. Jego oczom ukazały się zdjęcia niemowlęcia trzymanego przez kobietę, której nie znał, ale której zawdzięczał tak dużo.

– Mam nadzieję, że chowa się dobrze – ciągnął Lorenc, a jego głos brzmiał łagodnie.

– Powiem ci, najgorzej, jak mężczyzna chowa swoje dzieci sam. Rozumiem twój niepokój.

Zawadzki poczuł, że traci oddech. Wstał z ławki i zaczął schodzić po schodach, trzymając się poręczy jak pijany. Gdy wyszedł z kościoła, światło na zewnątrz oślepiło go. Oddychał ciężko. Obrazy przelatywały mu przed oczami. Zataczając się, doszedł do drzewa. Oparł się o nie i zapatrzył na przejeżdżający tramwaj. Postanowił dojść do pracy na piechotę. Musiał ochłonąć przed kolejnymi przesłuchaniami. Nie chciał, żeby ktokolwiek widział go w takim stanie.

PRAGA-PÓŁNOC

Gdy prokurator Zawadzki pojawił się w korytarzu budynku prokuratury, nikt nie domyśliłby się, że przed godziną wyglądał jak człowiek, któremu wali się cały świat.

Uśmiechnął się do Halinki, zapytał o kilka spraw, spojrzął na czekające na przesłuchanie dwie osoby i wszedł do gabinetu. Padł z wyczerpania na fotel. Poprawił koszulę, która zdążyła już na nim wyschnąć. Przejrzał mejle. Na biurku czekał na niego stos dokumentów do przewertowania. Nowe sprawy spływały jedna za drugą – nie nadążał się z nimi zapoznawać. Biadoń wydzwaniał do niego przez cały dzień, żeby przypomnieć o milionie rzeczy, których powinien dopilnować. Szczególnie zależało wszystkim na sprawie zabójstwa, ale niestety, nie tylko tym musiał się zajmować.

Po kilku minutach Zawadzki westchnął i poprosił do pokoju żonę Zbigniewa Orłowicza. Kobieta od progu patrzyła na niego lekko wystraszonego wzrokiem. Ścisnęła mocno niewielką torebkę. Nie miał wątpliwości, że była onieśmiona. Przyjrzał się jej uważnie, gdy zasiadła na krześle przed jego biurkiem. Cicha, bez własnego zdania, zależna, ocenił szybko w myślach. Niezbyt piękna – typ wysuszonej, nieco zmęczonej życiem modelki z zapadłymi policzkami, pociągłą twarzą. Szare, lekko skośne oczy z jasnymi rzęsami. Słowem, obraz nędzy i rozpacz, utwierdził się, ale uśmiechnął się i na głos spytał:

– Gdzie była pani w piątek od godziny trzynastej? – Zawadzki zapatrzył się na jej długie palce, które kurczowo zaciskała na poręczach krzesła, jakby za moment miała mu się rzucić do gardła. Obgryzione paznokcie nie pasowały do wizerunku żony milionera.

– W domu.

– Razem z mężem?

– Tak.

– Cały czas?

Kobieta milczała, wpatrując się w blat biurka. Wąskie usta utworzyły prostą linię.

– Tak mi się zdaje – powiedziała po chwili.

– To znaczy? – Zawadzki spojrzął na nią z zaciekawieniem.

– To znaczy, że zazwyczaj jesteśmy z mężem w różnych pomieszczeniach.

– Jesteście w separacji?

– Pan żartuje? – Popatrzyła na niego z ironią w oczach. – Mój mąż i ja jesteśmy udanym małżeństwem. Mamy tylko swoje sprawy.

– Czyli jest pani pewna, że mąż był w domu?

– Tak.

– Nie wychodził?

– Nie. – Spojrzała w okno. Prokurator był pewien, że kłamała. Zdał sobie sprawę, że nie będzie mu łatwo przedrzeć się przez mur determinacji, którą się odgradzała od niego. – Ma pani jakieś podejrzenia?

– Słucham?

– Czy domyśla się pani, kto mógł zabić Luizę Orłowicz?

Kobieta sięgnęła dłonią do włosów. Siedziała w milczeniu. Po chwili odezwała się:

– Nie mam pojęcia. Jestem w szoku, że ją to spotkało. Nigdy bym nie podejrzewała, że ktoś może chcieć jej śmierci. Była dobra. Może to ktoś z tego teatru? Tam na pewno wszyscy jej zazdrościli. Ale żeby zabić, chyba trzeba mieć poważniejszy powód?

Prokurator Zawadzki pokiwał w zamyśleniu głową. Nie miał czasu na rozmowy, które niewiele wnosily do sprawy. Nie wycisnie z niej nic więcej. Podziękował Annie i poprosił kolejną osobę.

Kobieta, która pojawiła się w jego gabinecie, przywołała prokuratorowi Zawadzkiemu bohaterkę *101 dalmatyńczyków*. Cruella de Mon, nic dodać, nic ująć. Chuda postać w czerni niczym żałobnica stanęła na środku pokoju i rozejrzała się dookoła, jakby była u siebie. Włosy zebrane z tyłu nad karkiem w kok nie miały szans wydostać się z ciasnego uścisku spinek. Wysokie, mądre czoło nadawało jej fizjonomii szlachetny, ale mało przyjazny wygląd. Oczy kobiety były niewielkie, ale z powodu ciemnej barwy wyraziste, a spojrzenie przenikliwe. Na dzień dobry odpowiedziała niechętnie. Zofia Frankowska spojrzała podejrzliwie na krzesło, które prokurator jej wskazał, i spytała bez żadnych wstępów:

– Skąd mogę wiedzieć, kto tu wcześniej siedział?

– Anna Orłowicz. – Zawadzki poczuł, że nie będzie łatwo. Zdobył się na uprzejmy uśmiech, który miał zachęcić ją do tego, by jednak usiadła.

– Ona jest nieodpowiedzialna, nie myśli o takich sprawach. Biedaczka, wygląda już jak strach na wróble. Widział pan? Czy ona ma głowę, jak ona nic nie je? Mózg potrzebuje pożywienia. Ona się nie zastanawia, czy na tym krześle nie siedział morderca.

– Na pewno jakiś siedział – uciął Zawadzki i westchnął. – I to niejeden.

Zofia cmoknęła i z ociąganiem usiadła. Poprawiła torebkę o kształcie kuferka i zaczęła:

– Po co ja tu w ogóle zostałam wezwana? Przecież ja nic nie wiem!

– To rutynowe przesłuchanie. Musimy porozmawiać ze wszystkimi osobami, które w ostatnim czasie miały styczność z denatką. Jest pani siostrą matki Luizy Orłowicz?

– Zgadza się. Mojej zmarłej siostry Ireny.

– Kiedy ostatnio widziała pani siostrzenicę?

– Dwa miesiące temu.

– Czy coś panią zdziwiło w jej zachowaniu? Jak przebiegło spotkanie?

– Spokojnie. A jak miało przebiec? Przecież się nie biłyśmy. – Zofia zamyśliła się. – Musiałam jej zwrócić pieniądze. Pożyczyła mi. – Zofia wyglądała na osobę, która nie lubiła zawdzięczać niczego komukolwiek.

– I? – ciągnął ją za język Zawadzki.

– Oddałam i wyszłam. A co pan sądzi? – Spojrzała na niego urażona. Jej twarz pokryta skórą cienką jak pergamin, usiana zmarszczkami niczym najbardziej

skomplikowana mapa, poruszała się ze wzburzeniem.

– Rozmawiałyście o czymś ważnym?

– W zasadzie nie... – Kobieta urwała.

– W zasadzie?

– Spytała mnie tylko o coś, co mnie zastanowiło. – Zofia spoważniała.

– Co to było? – dopytywał się prokurator.

– Nie wiem, to było dziwne pytanie i niespecjalnie się nim przejęłam.

– Proszę powiedzieć.

– Spytała mnie, czy była w ciąży.

Zawadzki spojrział na nią, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Proszę jaśniej.

– Tylko tak. Spytała, czy nie wiem, czy nie była w ciąży.

– I co pani odpowiedziała?

– Że to niemożliwe. Popatrzyłam na nią jak na szaloną.

– Jest pani pewna, że to niemożliwe?

– Luiza nie mogła mieć dzieci. Coś sobie ubzdurzyła... Ona... – Zofia teatralnie zawiesiła głos.

– Tak?

– Ona przez ten teatr zaczęła wariować. Ten cały Szymański. Zna go pan? Łajdak i hochsztapler. Dają się wszyscy nabrać na ten jego geniusz, a to po prostu wierutny kłamca. Doprowadza tych swoich aktorzyńców do obłądu. To wariatkowo, a nie teatr! Ja już im to mówiłam, ale jak zwykle nikt mnie nie słucha.

Zawadzki poprawił okulary na nosie i spytał:

– Sądzi pani, że działo się z nią coś niedobrego?

– Ja nie sądzę, ja jestem pewna. Wpadła w złe towarzystwo. Liczyli na jej pieniądze. Ten cały Szymański...

– Mówi się, że miała talent. – Zawadzki zaprotestował, słysząc insynuacje Zofii.

– Phi, talent – prychnęła starsza pani. – Taki talent ma każdy. Co to za talent? Pan by pewnie lepiej zagrał tego motyla niż ona. *Motyl zmierzchu*, co to w ogóle za tytuł? Głowę sobie ogoliła, biedaczka. Kobieta powinna dbać o dzieci i męża. Jeśli już je ma. Ja nie mam i nie miałam, więc wiem, co mówię.

– Co pani robiła w piątek po trzynastej? – Prokurator postanowił zmienić temat.

– Byłam w domu.

– Cały czas?

– Tak. Myśli pan, że w moim wieku to ja fruwać po mieście w taki upał? W taki upał to starsze osoby siedzą w domu, żeby nie paść plackiem na chodnik. Kto mnie wtedy pozbiera? Pies z kulawą nogą się nie zainteresuje.

– Czy ktoś może panią odwiedzał?

– A co, nie wierzy mi pan, że byłam w domu? – Zofia rzuciła mu wrogie spojrzenie.

– Ja po prostu pytam.
– Była u mnie Lena, sprzątaczką. Co to za czasy, że słowo uczciwego człowieka już nie wystarczy!
– Zna pani Henryka Lorenca?
Bystre oczy Zofii patrzyły na niego z uwagą.
– Bym nie znała! Przecież się wychowywał razem z Markiem. I Luizą. Potem pracował ze Zbyszkim.
– Może pani coś więcej o nim powiedzieć?
– Mądry, przystojny. Udany mężczyzna. Cóż więcej.
– Był blisko rodziny?
– Po śmierci swojego ojca, współnika Zbyszka, bardzo. Zbyszek starał się zastąpić mu ojca. Potem, gdy tamten dorósł, rywalizowali trochę o biznesy. Podobni do siebie jak dwie krople wody. – Zofia zamyśliła się i po chwili dodała: – Zbyszek go bardzo szanował, a i cała rodzina go lubiła.
– A Bernard Suchocki?
Zofia znów się ożywiła.
– Ta larwa? Nie wiem, co w nim wszystkie pacjentki widzą. Ja jestem jednak odporna na jego urok. Zarobił parę złotych na Zbyszku i jego głupocie – nie mam co do tego złudzeń.
Prokurator skończył notować i podziękował Zofii.
– Mam nadzieję, że nie będziecie mnie tu ciągać jeszcze? – spytała na odchodnym.
– Postaramy się już nie zawracać pani głowy.
Gdy zamknęły się drzwi za Zofią, Zawadzki ukrył twarz w dłoniach. Czekala go jeszcze jedna trudna rozmowa.

Marta stanęła przed nim ubrana w wąskie dżinsy, przetarty za duży podkoszulek z ledwie widocznym napisem. Rozpuszczone blond włosy sięgały pośladków. Wyglądała gorzej niż ostatnim razem, ale nadal patrzyła na niego spode łba.

– Siadaj – powiedział prokurator.
Usiadła posłusznie. Nerwowo zaciskała długie, chude palce.
– Musimy sobie coś wyjaśnić – rzucił sucho Zawadzki.
– Czyżby? – Spojrzała na niego hardo.
– Modest cię szukał. Nie odbierasz od niego telefonów. Zgarnął cię posterunkowy. Czy chcesz mieć kłopoty?
Dziewczyna milczała.
– Czasem nocuję poza domem. Chyba nie muszę się nikomu spowiadać?
– Tym razem musisz. Czemu wyszorowałaś całą podłogę przy Luizie acetonem?
Twarz Marty oblał rumieniec.
– To nie ja.

– A kto?

– Nie mam pojęcia.

– Czy chcesz, żebym cię zamknął?

– Nie. Nie macie na mnie nic. Ja nic nie zrobiłam.

Zawadzki westchnął. Czuł się zmęczony.

– Dam ci czas na zastanowienie. Nie będę cię do niczego zmuszał. Chcę, żebyś powiedziała mi całą prawdę.

– Powiedziałam ci całą prawdę. – Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Zawadzkiego zakłuło w sercu.

– Ktoś chce, żebym ja została oskarżona. Ale ja nic nie zrobiłam. Wujku, musisz mi uwierzyć. Nie masz na mnie nic.

– Marta, jeśli to ty zabiłaś tę kobietę, znajdę cię. Żarty się skończyły. Jesteś dorosła.

Wstała, patrząc na niego wyzywająco. Szurnęła krzesłem i wyszła, trzaskając drzwiami. Modest nie będzie zadowolony, pomyślał Zawadzki i sięgnął po butelkę z wodą. Nie miał pojęcia, czy mała kłamała, ale na pewno nie była do końca szczerą. Nie podobało mu się jej spojrzenie. Nie lubił dziewczyny albo tego, co się z nią stało. I czuł, że całą winę za to ponosi jego stary kumpel. Zawadzki zaklął pod nosem i wybrał numer Modesta.

PRAGA-PÓŁNOC

Gdy przełożona Giedrojć weszła do gabinetu pielęgniarek, zadzwonił telefon. Spojrzała na niego niechętnie. Czy od samego rana muszą zawracać jej głowę?

– Doktor Suchocki nie może rozmawiać, jest na obchodzie. – Odłożyła słuchawkę, zanim po drugiej stronie usłyszała odpowiedź. Była zmęczona.

Pokój był jasny i schludny. Zapach szpitala nie był tutaj tak natrętny. Jakby nie mógł przedrzeć się z sal, w których leżeli chorzy.

Oprócz niej w pokoju nie było nikogo. Przełożona nie lubiła towarzystwa. Woląa przydzielić pracę personelowi, a potem oddać się w ciszy samotnemu uzupełnianiu dokumentacji.

Nie przepadano za nią, ale odnoszono się do niej z szacunkiem. Jej dziwactwa traktowano z przymrużeniem oka, była bowiem pracownikiem bez skazy. Zawsze wszystko gotowe na czas, prawidłowe. Żadnych pomyłek, żadnych błędów.

I dzięki swojej perfekcji przełożona od lat była prawą ręką doktora Suchockiego. Od tamtego dnia, gdy przywitał się z nimi jako stażysta po raz pierwszy, ona postanowiła, że pozostanie doktorowi wierna do śmierci, i w tym postanowieniu trwała już ponad dwadzieścia lat.

Drzwi do pokoju otworzyły się i stanął w nich młody doktor Majewski, nowy dyrektor szpitala.

– Co nowego? – Majewski był roztargniony. Krótco go znała, ale był na jej długiej liście ludzi, wobec których należało zachować ostrożność.

– Wszystko w porządku, kilka nowych pacjentek, ale wszystko pod kontrolą.

Musiało się coś stać, skoro się tutaj pojawił. Czyżby miało to związek ze śmiercią Luizy Orłowicz? Wzdrygnęła się na tę myśl.

– Dobrze. – Dyrektor rozglądał się po pomieszczeniu, jakby znajdował się w nim po raz pierwszy. – A czy jest ordynator Suchocki?

– Na obchodzie – odparła szybko.

– Dobrze, jak wróci, proszę mu przekazać, że oczekuję go u siebie. – Z naciskiem dodał: – To pilne.

– Oczywiście, przekazę.

Suchocki wszedł do gabinetu pół godziny później. Zorientowała się, że nie miał dobrego humoru. Nienawidził weekendowych dyżurów, ale prawdopodobnie nie był to jedyny powód jego złego nastroju.

– Dzień dobry, Jolu, jak mija dzień? Wyglądasz jak zwykle oszałamiająco – rzekł, siląc się na uśmiech.

– Dzień dobry, doktorze. Dzień w porządku. A jak u pana?

Pomimo że znali się tyle lat i byli mniej więcej w podobnym wieku, nigdy nie przeszła z nim na ty. On mówił jej po imieniu, a ona do niego per pan, jakby za tą formą próbowała ukryć swoje zaangażowanie. Nie chciała się z nim spoufalać.

– U mnie też dobrze. Co nowego, ktoś mnie szukał?

Przełożona poczuła, że się spina.

– W zasadzie nie.

– Ale? – Suchocki zbyt dobrze ją znał, żeby nie odgadnąć, że coś przed nim ukrywa.

– Dyrektor chce się z panem widzieć. Jak najszybciej.

– Dobrze, pójdę do niego. Jak skończę.

Przełożona wyglądała na przestraszoną.

– Myślę, że nierozsądnie jest nie pójść zaraz.

Suchocki popatrzył na nią z niepokojem.

– Czy coś się stało? Jest coś, o czym nie wiem?

– Nie mam pojęcia, doktorze – skłamała. A może właściwie nie? Przecież to były tylko jej domysły.

– Jolu, jeśli coś wiesz, powiedz mi o tym natychmiast!

– Doktorze, przysięgam, nie wiem, o co chodzi. Może to jakieś rutynowe spotkanie?

Suchocki nie wyglądał na przekonanego.

– Dobrze. Zaraz do niego pójdę. Jest kawa?

– Na stoliku. Nalać? – Giedrojć podniosła się z krzesła.

– Nie, poradzę sobie.

Suchocki zbliżył się do stolika i drżącą ręką nalał kawy do małego kubka. Usiadł po

drugiej stronie biurka, naprzeciwko Joli, ale odwrócił się do okna. Sprawiał wrażenie, jakby na coś czekał. Przełożona milczała. Nie lubiła odzywać się niepytana. Przeważnie uważała, że się narzuca albo mówi coś głupiego. Udawała więc, że jest zajęta uzupełnianiem dokumentacji.

– Ale my nic nie pamiętamy, prawda? – Pytanie Suchockiego zawisło ciężko w powietrzu.

Jolanta Giedrojc nie odrywała wzroku od papierów. Po dłuższej chwili wstała, nalała sobie kawy i nie odwracając się do Suchockiego, powiedziała:

– Nie pamiętamy.

Doktor odstawił kubek na biurko. Poprawił fartuch, ręką przegarnął włosy. Nie patrząc na Jolę, wyszedł na spotkanie z Majewskim.

Dyrektor Szpitala Wszystkich Świętych na Pradze-Północ doktor Witold Majewski patrzył w zamyśleniu przez okno. Co chwila mierzwił palcami rudawe wąsy. Nerwowo poruszał nogą założoną na drugą nogę. W końcu wstał i zaczął spacerować po gabinecie. Tydzień nie zacznie się dla niego pomyślnie, tego był pewny. Prokurator w rozmowie nie powiedział nic konkretnego, ale stanowczym tonem wyraził wolę przesłuchania jego podwładnego, którego nie można było zastać pod adresem zameldowania. Doktor Majewski wiedział, że po Suchockim można się spodziewać wszystkiego. Miał za sobą długą historię pracy w tym szpitalu, ale też i długą historię spapanego życia. Dobry lekarz, ale jako człowiek nic ciekawego.

Dyrektor nie lubił go od momentu, w którym go zobaczył. Przypominał mu ojca, z którym od lat nie utrzymywał kontaktu. Zajęty sobą, egocentryczny geniusz. Majewski był profesjonalistą i nie dał po sobie poznać, że nie żywi do Suchockiego ani odrobiny sympatii. Ale gdyby znalazł coś na niego, na pewno by to wykorzystał. To była jego prywatna walka z ludźmi tego pokroju.

Byle nie popaść przez niego w kłopoty, pomyślał nerwowo. A jeśli się okaże, że w to coś jest zamieszany szpital? Będzie nowa pożywka dla dziennikarzy – taka wizja napełniała go przerażeniem. Z rozmyślań wyrwało go głośne pukanie do drzwi.

– Dzień dobry. Wzywał mnie pan, dyrektorze. – Suchocki wszedł sztywno wyprostowany. Uśmiech nie schodził mu z twarzy przyklejony niczym plaster miodu. Ulubieniec jak zwykle ślisko uprzejmy, pomyślał dyrektor na widok lekarza. Głośno powiedział:

– Tak, doktorze, proszę usiąść. Kawy?

– Nie, dziękuję, właśnie wypiliśmy. W tym wieku muszę już dbać o serce. – Zaśmiał się Suchocki, masując się dłońmi po klatce piersiowej.

– Mam kilka pytań, pozwoli pan, że zadam je od razu, nie chcę doktora odciągać od obowiązków – powiedział sucho Majewski.

– Proszę śmiało pytać, o co tylko pan chce! Nie mam przed panem tajemnic! –

Suchocki sprawiał wrażenie, że świetnie się bawi i nic nie jest w stanie zmącić mu spokoju i popsuć dobrego samopoczucia.

– Dobrze więc. Miałem telefon z policji. W sprawie Luizy Kosińskiej.

Suchocki nie wyglądał, jakby cokolwiek mówiło mu to nazwisko.

– Z domu Orłowicz – dodał dyrektor, bacznie obserwując podwładnego.

Czy mu się tylko zdawało, czy na moment na twarzy Suchockiego pojawił się grymas niezadowolenia?

– Chyba nie kojarzę – odpowiedział tamten, patrząc mu prosto w oczy.

– Naprawdę?

– Nie wiem, miałem w życiu tysiące pacjentek. Jak mógłbym pamiętać wszystkie nazwiska? Może ją kiedyś leczyłem.

– Czyli nie miał pan nic wspólnego z tą osobą?

– Nic nie mam do powiedzenia w jej sprawie.

W pokoju zapanowała cisza. Przerwał ją Majewski:

– Została zamordowana. Prokurator podejrzewa, że pan ją znał.

– Przykro mi to słyszeć. Być może kiedyś ją znałem...

– Chcieliby się z panem spotkać.

– Oczywiście. Nie wiem tylko, czy będę w stanie cokolwiek pomóc.

– Ja również mam wątpliwości – stwierdził sucho Majewski.

– Proszę przekazać, że jestem otwarty. – Suchocki uśmiechnął się. – W każdej chwili służę swoją wiedzą.

– Dobrze. – Majewski nie był zadowolony z przebiegu rozmowy. – Przekażę, że pan nic nie wie, ale jeśli mimo to będą chcieli się tu pofatygować, zaproszę do mnie do gabinetu. Uzgodnię z panem termin.

– Oczywiście. Czy to wszystko?

– Tak. W zasadzie. Chociaż...

– Słucham?

– Nie chciałbym, żeby szpital był przez pana zamieszany w cokolwiek niestosownego.

Suchocki wstał szybko. Przy drzwiach odwrócił się i głośno powiedział:

– Zupełnie niepotrzebnie się pan martwi, dyrektorze. – Posłał Majewskiemu kolejny uśmiech. – Po prostu nie ma o czym mówić. Przez tyle lat zarządzam swoim zespołem bez zarzutu. Nie musi mnie pan uczyć, ile jest warte nazwisko.

– Skoro tak pan uważa. – Majewski kiwnął głową. – Mam nadzieję, że pańskie zeznania to potwierdzą. Oczekuję, że pan mi o nich opowie. Nie chciałbym się dowiadywać z gazet, w co angażuje się mój personel.

Suchocki przestał się uśmiechać. Odwrócił się i wyszedł.

Majewski nie miał wątpliwości, że lekarz coś ukrywał. Niechętnie spojrział na kartkę, na której zanotował numer do prokuratora prowadzącego sprawę. Jego nazwisko nic

mu nie mówiło. Ale nazwisko Orłowicz, owszem. I nie był z tego powodu zadowolony.

PRAGA-PÓŁNOC

Po wizycie w prokuraturze Marta po raz pierwszy w życiu żałowała, że matka nie wróciła na noc do domu. W pustym mieszkaniu czuła się jak nigdy dotąd obco.

Powoli zapadał wieczór, ale w kuchni było jeszcze jasno od świecącej się za oknem latarni. Dziewczyna kiwała się na krześle, które z każdym jej ruchem wydawało niebezpieczny trzask. Dłonie zaciskała na poręczy, paznokciem zdrapując białą farbę. Odchodziła łatwo, bezgłośnie opadając na podłogę jak płatki śniegu. Dziewczyna wpatrywała się w okna kamienicy naprzeciwko, nie dostrzegając jednak niczego, co mogłoby ją zainteresować. Dzieci darły się, bo nie chciały spać. Jakiś sąsiad urządzał pijacką awanturę.

Do Marty niewiele docierało. Przed oczami miała scenę z domu Orłowiczów, odświeżoną rozmową z wujem. Przelatywała jej przed oczami klatka po klatce i przenikała ją cała. Czuła, że za moment udusi ją niewydobyty z wnętrza ukryty szloch.

Przyszła na czas. Zlecenie od Luizy Orłowicz było na szesnastą. Przed furtką spotkała Barbarę, gospodynię. Wracała z zakupów, targając ciężkie torby. Gdy weszły do domu, przywitała je martwa cisza. Wiatr falował firanką w oknie na ganku, a okiennica delikatnie zamykała się i otwierała. Chłód w pomieszczeniu kontrastował z powietrzem na zewnątrz. Stare, grube mury skutecznie broniły się przed upałem.

Gdy weszły do środka, Barbara zawołała Luizę, ale nikt nie odpowiedział.

Marta stała, nie bardzo wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. Luiza miała przecież czekać w domu, i nigdy się nie spóźniała.

Barbara zajrzała do kuchni, a Marta ujęła rączkę walizki i zdecydowanym krokiem skierowała się do salonu, gdzie zwykle, przy dużym stole, wykonywała usługę. Kółka gładko sunęły po lśniącej posadzce. Pamiętała, jak Luiza się śmiała, gdy dziewczyna pojawiła się po raz pierwszy w jej domu z wielką różową walizką, w której trzymała cały swój sprzęt do manikiuru i pedikiuru.

Nie czekając na Barbarę, Marta uchyliła duże, dwuskrzydłowe białe drzwi prowadzące do przestronnego pokoju i weszła do środka. W pomieszczeniu unosił się dziwny zapach, który uderzył ją od progu. Nie pomyliłaby go nigdy z niczym innym, zbyt dobrze był jej znany. W kamienicy, w której mieszkała z matką, nieraz znajdowali trupa. Zapach powolnego rozkładu martwego ciała, słodki od krwi, mdły od upału.

Z okna, do którego przodem ustawiona była kanapa, roztaczał się piękny widok na zieleni. Marta zawahała się, czy nie zawrócić, ale szła dalej. Po chwili zamarła. Poczowała, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa i że nie da rady podejść nawet pół metra bliżej. Widok krwi zastygłej na brzuchu kobiety nie wzruszył jej. Nie wiedziała, jak długo stała tak bez ruchu, zachłannie wpatrując się w martwą postać Luizy. Zamknięte

oczy, zastygły grymas. Uśmiechu czy krzyku?

Odgoniła wspomnienie. Chwyciła się za głowę. Przecież widziała już gorsze rzeczy, czemu nie mogła zapomnieć Luizy, której nie znosiła? Kobieta była zepsuta i niewdzięczna. Nie zasługiwała na takie życie! Nie doceniała go! Marta z wściekłością zacisnęła pięści. Ani trochę nie jest mi przykro, mogłam cię jeszcze kopnąć, dziwko, pomyślała.

Wściekłość przerodziła się w nagły strach. Podniosła się z krzesła, chwyciła skórzaną kamizelkę i zarzuciła ją na ramiona. Do tylnej kieszeni spranych, obcisłych dżinsów schowała portfel. Dlaczego Jacek ją tak potraktował? Nie miała pojęcia. Czyżby czuł, że wiedziała za dużo? Czy podsłuchana rozmowa miała jakieś znaczenie? Odsunęła tę myśl. Do tej pory nie przejmowała się tym zupełnie, ale teraz poczuła się zagrożona.

Ani trochę nie miała ochoty na rozmowę z ojcem. Owszem, Piotr ją namawiał i była mu za to wdzięczna, ale stary nic nie wiedział. Nie mógł jej zrozumieć. Zresztą od nikogo tego nie oczekiwała. Sama z ledwością ogarniała to, w jakim kierunku zmierzało jej życie. Dryfowała jak statek, który nie mógł dopłynąć do żadnego portu. W tej podróży jednego była pewna – za nic nie zaufa żadnemu psu, a w szczególności swojemu ojcu.

W pośpiechu opuściła mieszkanie i zbiegła po schodach. Z bijącym sercem przecięła dziedziniec, na którym gromadziły się watahy młodych. Nie zwrócili na nią uwagi, zajęci puszkami z piwem, słuchając dowcipów naćpanego łysego wyrostka z nagim torsem. Na stacji benzynowej kupiła nowy starter, na wszelki wypadek, papierosy i gumę do żucia. Miała wrażenie, że ktoś ją śledzi. Nerwowo obejrzała się za siebie, ale nikogo nie spostrzegła. Skryła się za przejeżdżającym ulicą 11 Listopada tramwajem i z mocno bijącym sercem wróciła do domu, pokonując po kilka stopni naraz.

Podstawowa zasada: jeśli nie chcesz, by ktokolwiek wiedział, nikomu nie mów, pomyślała. I tego będzie się trzymać. Osunęła się po ścianie na zimną posadzkę w kuchni. Musi obmyślić plan. Nie będzie tu siedzieć i czekać, aż będzie po niej.

Gdy zaciągała się kolejnym papierosem, wsłuchując się w dźwięk kapiącej z kranu wody, przy drzwiach wejściowych usłyszała delikatne kasznięcie. To nie mogła być matka. Gdy wracała, zazwyczaj słyszała o tym cała kamienica.

Z drzeniem podeszła pod drzwi. Teraz usłyszała, że ktoś nuci melodię, która w ciemności brzmiała hipnotycznie i nierzeczywiście. Gdy była już na tyle blisko, że mogła dotknąć klamki, usłyszała znajomy dobiegający z drugiej strony głos:

– Czy mogę wejść, pani Marto? Przepraszam, że niepokoję, proszę się niczego nie obawiać.

Wstrzymała oddech. W panice nie potrafiła zebrać myśli.

– Wiem, że pani tam jest, proszę mnie wpuścić. – Głos był stanowczy. Nie miała

wątpliwości, kim był mężczyzna, który pojawił się u niej w środku nocy.

Otworzyła drzwi. Stał w nich Henryk Lorenc, dokładnie taki, jakim go zapamiętała. Uśmiechnął się na jej widok.

– Czemu siedzi pani po ciemku?

Stał przed nią w cienkim lnianym garniturze. Rozpięta pod szyją koszula wyraźnie odcinała się w mroku bielą. Nie czekając na zaproszenie, Lorenc delikatnie popchnął dziewczynę do mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Włączył światło. Przymrużyła oczy, odwykłe od jasności.

– Usiądźmy. – Gestem wskazał krzesła przy niewielkim stole znajdującym się nieopodal drzwi.

Całe pomieszczenie miało może trzydzieści metrów. Gdy pojawił się w nim obcy mężczyzna, Marcie wydało się jeszcze ciasniejsze. Kiedy usiadła, podszedł do kuchennego blatu. Włączył czajnik. Otworzył jedyną szafkę, wiszącą nad kuchenką gazową, w której znalazł herbatę i cukier. Zalał dwa kubki. Przyglądała się jego ruchom: były sprężyste i pewne, jakby znał doskonale rozmieszczenie znajdujących się tu przedmiotów. Ile mógł mieć lat? Gdy widziała go ostatni raz, wydał jej się starszy.

Stawiając przed nią herbatę, niespodziewanie dotknął dłonią jej twarzy. Pogłaskał z czułością jej skórę opuszkami palców.

– Będzie dobrze – powiedział.

Była zaskoczona. Nikt wcześniej do niej tak nie mówił. Czemu ten człowiek jest dla mnie taki dobry?

Gdy spojrzała na stół, zamarła. Leżał przed nią list, który wysłała kilka tygodni temu. Zmięta koperta podziałała na Martę piorunująco. Skąd ją wziął?

Henryk Lorenc wpatrywał się w nią uważnie.

– Cudowne i świeże uczucie, nieprawdaż? Sam poczułem się przez chwilę zakochany. Chciałabyś, żeby ten chłopiec również cię pokochał? Znam Jacka. Martwi się o ciebie.

Patrzyła na swoje dłonie. Delikatnie drżały. Czowała, że szczęki jej się zaciskają.

– Skąd pan to ma? – spytała cicho.

– Dostałem. Jacek jest porywczy. Ale to dobry chłopak. Wcale się nie dziwię, że ci się spodobał.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czowała się przyłapaną, jej tajemnica wyszła na jaw. Wstyd mieszał się z upokorzeniem. A jeśli Lorenc pomyśli, że to ona z zazdrości zabiła Luiżę? Ciszę przerywał jedynie dźwięk odstawianej przez Henryka szklanki.

– Nie martw się. Wiem tylko ja i on. – Mężczyzna zdawał się czytać w jej myślach. – Nikomu nie powiem. Mogę ci pomóc, jeśli...

Mężczyzna urwał. Spojrzał na bladą twarz dziewczyny. Wyjął z kieszeni marynarki paczkę marlboro light. Podał jej. Marta wyjęła jednego papierosa i sięgnęła po leżącą na końcu stołu zapalniczkę. Musiała nachylić się w kierunku mężczyzny. Jego mocny,

skórzany zapach drażnił nos.

– Zrobić panu laskę? – spytała z determinacją głosem niskim z zażenowania.

Henryk Lorenc oparł się mocniej o poręcz krzesła. Oczy mu pociemniały. Mięśnie zastygły w oczekiwaniu. Kłopotliwa cisza zbiła Martę z tropu.

Mężczyzna wstał. Powoli podszedł do niej i stanął tak, że rozparek z wyraźnie widocznym wybrzuszeniem znajdował się na wysokości jej oczu. Marta oblizwała wargi. Zgasiła papierosa. W tym samym momencie Henryk Lorenc chwycił ją za ramiona i przyklęknął. Jego dłonie były duże i ciepłe.

– Przyjdzie i na to pora – zaśmiał się. – Tymczasem uznam, że nie pytałaś. Nie wiem, czego uczyła cię matka, ale chyba nie tego, czego powinna.

Nagle zachciało jej się płakać. Łzy popłynęły mimowolnie.

RYBIENKO

Monika Tokaj była zdziwiona, gdy na wyświetlaczu komórki zobaczyła imię swojego byłego męża. Dzwonił rzadko, a jeśli już mu się to zdarzyło, zazwyczaj miał do niej jakiś interes. Już dawno nie towarzyszył temu tak dobrze znany kiedyś ucisk w klatce piersiowej i żołądku, gdy widziała, że dzwoni, i gdy bała się, co może usłyszeć. Miała teraz swoje nowe, poukładane i przewidywalne życie. Bez ciągłego strachu o męża i dziecko.

To nie była łatwa decyzja. Zostawić kogoś po tylu latach, zwłaszcza kiedy się naprawdę kocha, nie jest ani prosto, ani przyjemnie. Jednak lata poświęcania się dla Modesta, życia jego życiem, odcisnęły na niej ślad, zmęczyły. Gdy omal nie zastrzelił Piotrka, myślała, że zwariuje. Miała wrażenie, że grała w jakimś zupełnie porąbanym filmie, w którym stać się mogło wszystko i w każdym momencie. Musiała się uwolnić. Jak teraz żył, to była jego sprawa. Martwiła się tylko o Piotrka.

Gdy zorientowała się, że dzwonił, a nie mogła się domyślić, z jakich powodów, zrobiło jej się zimno i poczuła strach. Nie odebrała, ale natychmiast dopadły ją wyrzuty sumienia. Może coś się stało z Piotrkiem? Dzwoniła do niego, ale rozmawiał z nią bardzo krótko. Złożyła mu życzenia urodzinowe, spytała, co chciałby dostać. Poprosił ją o kilka stów na wyprawkę dla psa. Zdziwiła się, że Modest się zgodził na zwierzaka w domu, ale widać nawet jego stać było czasem na spontaniczność. Pana chodzącą kontrolę i obsesję.

Była sama w domu. Pracowała, korzystając z ciszy, którą niósł wieczór. Polubiła wieś. Miasto przytłaczało ją hałasem i chaosem. Męczyło brudem i ciągłą gonitwą. Zaletą jej pracy było to, że tłumaczyć mogła wszędzie. Zapięła szarą bluzę od dresu, naciągnęła na głowę kaptur i wyszła na dwór. Na zewnątrz otoczyły ją odgłosy wiejskiego wieczoru. Gdzieś słyhać było ujadanie psa, szczebiot ptaka, rżenie konia. Usiadła na schodach i patrzyła na skraj lasu, który coraz bardziej zlewał się z czernią

nieba. Wybrała to miejsce ze względu na przestrzeń i wolność. Aż po horyzont nie było na czym zatrzymać wzroku.

Zagryzła wargi i przymrużyła ciemne oczy. Przeszkadzała jej zbyt długa grzywka, którą bezskutecznie próbowała wepchnąć pod kaptur. Była zdenerwowana. Chwyliła telefon i wybrała numer Modesta.

– Cześć. – Głos po drugiej stronie brzmiał niepewnie.

– Cześć – powiedziała chłodno. Nie zamierzała ułatwiać mu tej rozmowy. – Dzwoniłeś.

– Jak żyjesz?

– W porządku. – Wiedziała, że nie dzwoni, by zapytać o jej samopoczucie. Nastąpiła chwila milczenia. – Po co dzwonicz? Zakładam, że czegoś ode mnie chcesz? – spytała w końcu niecierpliwie.

Nie rozstali się w pokojowej atmosferze, chociaż się nie pokłócili. Bo w ciągu prawie osiemnastu wspólnie spędzonych lat nigdy się nie kłócili. Mimo że nie było lekko. Nie spodziewała się, że zdoła ją zrozumieć, sama nie wiedziała, jak to wszystko się stało. Może było to głupie? Może i było, ale czy wszystko musiało być mądre?

– Jak ty mnie dobrze znasz. – Zaśmiał się. Nigdy się nie zmieni, wiedziała o tym.

– No więc?

– Wiesz, że Marta ma kłopoty?

– Twoja córka? – Monika lubiła Martę, choć gdy dziewczyna zaczęła dorastać, Monice trudniej było do niej dotrzeć. Marta zazdrościła im, że są razem, że tworzą rodzinę, a ona wraca do domu, gdzie nigdy nie było dobrze.

– Tak.

– Jak to kłopoty? – Monika intuicyjnie poczuła, że nie chce znać odpowiedzi na pytanie, które niestety musiała zadać.

– Po prostu. Znalazła zwłoki kobiety i być może będzie podejrzana.

– W jakiej sprawie? – Czuła, jak w żołądku rośnie jej wielka kula.

– Morderstwo Luizy Orłowicz.

– Brzmi nie najlepiej. – Czy to sprawa, o której ostatnio czytała w gazetach?

– No bo chyba tak jest. Miała się ze mną spotkać. Znaleźli ją i Zawadzki ją przesłuchał. – Głos miał zrezygnowany, co ją zaskoczyło. Pewnie się zaharowuje. Musi się w to zaangażować, choć nie ma na to siły. Ale się nie przyzna. Była tego pewna.

– Olek prowadzi tę sprawę?

– Tak.

– Proszę, jaki zbieg okoliczności – zakpiła nerwowo. – Zakopiecie topór wojenny?

– Nie będzie łatwo.

Monika zamyśliła się. W sporze, który poróżnił kolegów, trzymała stronę Olka. Nie mogła wybaczyć mężowi tego, co zrobił.

– Nic kompletnie nie wiadomo? – spytała z coraz większym niepokojem. –

O Grażynę nie pytam.

– Nie wiadomo. I słusznie, nie ma o co pytać.

Znowu zapadła cisza. Każde pogrążone było w swoich myślach. Po chwili Monika spytała:

– Jak mogę ci pomóc?

– Szczerze mówiąc, chciałbym porozmawiać z tobą o wakacjach. Czy Piotrek może do ciebie przyjechać?

Zaskoczył ją. Poukładała sobie życie. Nikt z miejscowych specjalnie nie dociekał, co robi. Ważne i wystarczające było tylko to, że przyjechała z Warszawy.

– Nie tak dawno się upierałeś, że Piotrek musi zostać z tobą, bo tam mu będzie lepiej. Sam mówiłeś, że moja depresja może mu zaszkodzić bardziej niż twoje szaleństwo.

– To twoja interpretacja.

Wzięła głęboki oddech. Fakty same układały jej się w głowie. Modesta знаła lepiej niż on sam siebie. Nagle do niej dotarło.

– Czy to ma coś wspólnego z Lorencem? Musisz powiedzieć mi prawdę! Marta jest zaplątana w zabójstwo Luizy Orłowicz, chcesz przysłać Piotrka do mnie, chociaż jeszcze niedawno mówiłeś, że nie pozwolisz z niego robić świniopasa. Co to, do cholery, znaczy?

Najwyraźniej wrogość w jej głosie sprawiła, że zwlekał z odpowiedzią.

– Musimy pogadać.

– Czyli mam rację! – Intuicja żony policjanta nie mogła jej zawieść. Sprawa Orłowiczów, to o tym czytała. Wstała ze schodów i zaczęła nerwowo okrążyć taras. Po chwili milczenia spytała drżącym głosem:

– Czyli coś mu grozi? – po czym dodała: – Wam?

– Być może – odparł po chwili.

Czuła, że robi jej się gorąco. Wzięła głęboki wdech.

– Sam go przywieziesz czy ja mam przyjechać? – spytała szybko.

– Przyjedź po niego.

Nie mogła uwierzyć, że to słyszy. Jej mąż, który miał wszystko pod kontrolą, nagle cedował na nią jakieś obowiązki.

– Nie poznaję cię – zakpiła.

– Monika, dałem ci dużo czasu – odparł z rezygnacją, ale jednocześnie z błaganiem w głosie. – Musisz mi pomóc.

Już miała zripostować, czy pamięta, ile czasu dostał od niej, ale coś w jego głosie ją powstrzymało.

Pożegnali się dość oficjalnie. Weszła do kuchni i otworzyła puszkę z colą. Wypiła zawartość niemalże jednym haustem. Może taka ilość cukru pomoże jej rozważyć to, co usłyszała. Jej myśli wróciły do Marty. Był czas, kiedy właściwie się u nich wychowywała. Po wypadku z Piotrkim oddaliły się. Marta znalazła pracę, zajęła się

sobą.

Co się tam, do cholery, stało? I co ma z tym wspólnego ten bydlak? Monika poczuła nagle, że to, w czym przez tyle lat żyła, ciąży jej niczym źle strawione mięso.

ŚRÓDMIEŚCIE

Zawadzki szedł ze spuszczoną głową Wiktorską w kierunku domu. Był późny, ciepły wieczór. Kopał leżące na chodniku śmieci. Ulice były opustoszałe. Co byś zrobił, gdyby to była twoja córka? Modest rozwalił go tym pytaniem zadany przez telefon. Wkurzył się, że musieli ją docisnąć. Co mógł jednak innego zrobić? Jeśli to ona zabiła Luizę, będzie musiała ponieść konsekwencje. Chciało mu się wyć. Też miał córkę. To o nią walczył tak naprawdę przez całe swoje życie. Jak ma ocenić, co jest ważniejsze? Młoda dziewczyna z problemami czy jego małe wielkie szczęście? Może gdyby był na miejscu Modesta, zachowałby się tak samo?

Przystanął, gdy telefon zabrzączał w kieszeni. Spodziewał się, że Lorenc przejdzie do ataku jak dźgnięty kijem wąż. Zawadzki odwrócił się z przestraszeniem, gdy kot skoczył za jego plecami na ogrodzenie. Z trudem złapał oddech.

Wszedł do domu, nie zdjął kurtki ani butów. Czuł się brudny i zmęczony. Wokół panowała cisza. Mała pewnie zasnęła. Iga wyszła od niej z pokoju. Nie wyglądała dobrze. Podkrążone oczy, ziemista cera. Czyżby tak odreagowywała stres? Spojrzała na męża, a w jej oczach pojawił się niepokój. Często rozumieli się bez słów.

– Co się stało? – spytała szeptem, by nie obudzić córki, która miała bardzo lekki sen.

Usiedli w kuchni. Ruchem dłoni przywołał ją do siebie, zagarnął niezdarnie i posadził sobie na kolanach. Zaczął gładzić ją po długich włosach. Pachniała domem. Wtulił twarz w jej bok i powiedział:

– Lorenc wrócił.

Iga gwałtownie odwróciła się ku jego twarzy.

– Nie rozumiem? – Oczy miała szeroko otwarte. Doskonale rozumiała.

– Zaproponowałem mu milczenie. – Przełknął ślinę. – Właściwie obiecałem mu, że będę go chronił, jeśli padnie na niego choćby cień podejrzeń w związku ze sprawą Orłowiczów.

Żona patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Jak to możliwe? – zapytała cicho.

– Nie wiem, skarbie.

W milczeniu słyhać było tylko tykanie zegara w kuchni. Twarz Igi spochmurniała. Nie patrzyła na niego.

– Czemu się teraz tym martwisz? – spytała głucho.

– Wydaje mi się, że jest umaczany w morderstwo Luizy Orłowicz. Modest od początku to podejrzewał.

– A on skąd wie?

– Nie wie. Ma swoją teorię spiskową. I teraz postanowił ją udowodnić – stwierdził cierpko.

– Może chce uratować Martę?

Zawadzki zepchnął delikatnie żonę z kolan. Musiał wstać. Zaczął chodzić po kilku metrach kwadratowych kuchni.

– Chce. Marta była przesłuchiwana.

– Zabiła tę kobietę?

– Nie mam pojęcia. Mam jednak wrażenie, że ta sprawa jest bardziej skomplikowana, niż nam się zdaje.

– Mówiłam, że to wszystko jest bez sensu.

Zawadzki spojrzął na żonę ze zdziwieniem. Wiedział, że złe wiadomości mogły się odbić na jej zdrowiu.

– Ale co wszystko?

Iga zawzięcie milczała. Podeszła do okna.

– Podejrzewa, ale nie ma pewności. A my mamy pewność, prawda? – spytała w końcu cicho. Olek nie odpowiedział. Iga wyglądała, jakby w ciągu kilku minut postarzała się o kilka lat. Nie mógł patrzeć na jej smutek i odwrócił wzrok. – Czego od nas chce? – spytała w końcu.

– Wie, że wiemy. Sami mamy swoje na sumieniu. Trzyma mnie w szachu.

– Nie chcesz porozmawiać z Modestem? – Wzięła głęboki oddech i dodała: – Szczerze.

– I co mam mu powiedzieć, że zawdzięczam tyle temu szui? Wiesz, co to dla nas oznacza?

Oczy Igi zasły łzami.

– Stracimy Basię, jak się dowiedzą. – Zawadzki cały drżał. – Wywalą mnie z roboty. Kryłem gościa, który powinien siedzieć. Nie wiem, co robić.

Zawadzki ukrył twarz w dłoniach. Plecy wygięły mu się w łuk. Iga zapaliła papierosa. Kilka wysuszonych trzymała w szufladzie na czarną godzinę, choć nie paliła od dawna.

– Musisz mu powiedzieć. Nie będziemy się z tym kryć do końca życia.

Zawadzki otarł oczy. Czuł się zmęczony jak nigdy w życiu. Spojrzął na żonę. Wiedział, że miała rację. Wstał i nic nie mówiąc, poszedł do sypialni.

ŚRÓDMIEŚCIE

Sen, który towarzyszył Modestowi od lat, tej nocy się nie pojawił. Za to wróciła do niego scena, której się nie spodziewał i którą wyparł z pamięci wiele lat temu. Ujrzał ją w całej wyrazistości bieli, poczuł z zapachem ostrego mrozu, który tamtej zimy

bezlitośnie ścinał krew w żyłach.

Kobieta nie patrzyła na siedzącego przed nią mężczyznę. Jej blond włosy zebrane w kucyk nadawały jej dziewczęcy wygląd. Kosmyki spływały na twarz, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało. Modest chłonał ten obraz jak narkotyk, który dawkowany smakuje dobrze, ale nie pozwala zaspokoić łaknienia do końca.

Świat zamknął się i znieruchomiał. Dwoje niemowląt przyssanych do piersi kobiety wydawało z siebie głośne mlaskanie. Mężczyzna siedzący naprzeciwko niej starał się tego nie słyszeć. Był młody. Jego muskularne plecy oparte o ramię krzesła wyglądały jak wyrzeźbione w granicie. Mężczyzna odliczał na głos minuty, lecz kobieta nie zwracała na to uwagi. W porannej ciszy mieszkania słyszał tylko pochrapywania istot, które burzyły jego spokój.

Henryk Lorenc spoglądał na duży zegar nad stołem, którego wskazówki miarowo przesuwwały się do przodu. Potarł jedną dłonią o przegub drugiej.

Jego żona Roksana Lorenc z zachwytem patrzyła na małe, bezwłose główki. Usta niemowląt wypuściły jej zmęczone brodawki i zamieniły je na smoczki. Modest widział, że była szczęśliwa i pochłonięta tym, do czego została stworzona.

Henryk sprawdził, że nie spojrziała na niego przez godzinę, dwadzieścia minut i trzydzieści dwie sekundy. Przełknął głośno ślinę. Widać było, że wzbiera w nim gniew. Wstał. Modest słyszał szum w głowie, zamknął oczy, żeby nie patrzeć na to, co zdarzyło się później.

Za oknami mieszkania Henryka Lorenca było jeszcze ciemno, gdy Modest wybiegł z budynku, nie mogąc złapać tchu. Spóźnione ptaki odlatywały do ciepłych krajów, hałasując bardziej, niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić. Modest poślizgnął się na zamrożonej kałuży, upadł i rozciął skroń. Gdy wpadł na korytarz swojego bloku, dozorca spojrzął na niego z politowaniem. „Ćmy”, rzekł do siebie. Nikt jednak tych słów nie słyszał.

Modest obudził się, gdy za oknem szarzało. Obraz martwej Roksany Lorenec zlał się z obrazem Luizy Orłowicz i przez chwilę ekspolicjant pomyślał, że obie były do siebie niezwykle podobne.

LUIZA ORŁOWICZ

Czwartek, 19 czerwca 2014 roku

Małgorzata lubiła, gdy zaczynałyśmy sesję bez zbędnych wstępów. Nie chciałam wracać do tematu brata, skierowałam więc swoją opowieść na inny tor. Zresztą jak nikt potrafiłam umiejętnie przeskakiwać z tematu na temat. Zmylenie przeciwnika było dla mnie bułką z masłem.

– Dzisiaj opowiem, co było dalej. Nienawidziłam tego uciekania.

Poruszałyśmy się po omacku, za wszelką cenę starając się go nie obudzić. Ubrana w piżamkę z misiem byłam przestraszona, jak zawsze, gdy to się działo. Zbyt mała, żeby zrozumieć, ale nie za mała, żeby czuć, że musiałyśmy się ratować. Nie zadawałam pytań: „Mamo, gdzie idziemy?”. Nie prosiłam: „Mamo, poczekaj, zostanemy”. Żadnego płaczu, przecież wiedziałam, że nie można płakać. Jak zwykle było mało czasu. Ucieczka odbywała się w ciszy i po ciemku. Doczekaliśmy chwili, w której nieprzytomny zasnął, tylko tak miałyśmy szansę wymknąć się niezauważone. Dreptałam posłusznie przez hol, wykonując nieme polecenia matki. Tylnymi drzwiami, przez ogród, uciekłyśmy do samochodu. Gdy odjeżdżałyśmy, w oknie kuchennym zapaliło się światło. Czyli jednak się ocknął, wstał i doczołgał się do kuchni. „Mamy jeszcze chwilę, zanim się zorientuje, że nas nie ma” – szeptała matka, drżącymi rękami włączając silnik samochodu. Tuliłam się do niej, czując jej niepokój. Doskonale wiedziałam, że to nie zabawa.

Tym razem nie idziemy do babci. Mama twierdzi, że nie możemy, bo babcia jest już zmęczona. Teraz inne miejsce, inna pani patrząca ze zdziwieniem na kobietę i dziecko ubrane w kurtki, spod których wystawały koszule nocne. Podawała nam klucz do pokoju, w którym będzie bezpiecznie. Nie opuszczałyśmy go nawet na moment. Leżałyśmy w łóżku, ciało mamy było ciepłe i pachnące. Ktoś ładnie ubrany i uśmiechnięty przyniósł nam posiłek. Najpierw ze strachem, ale z każdym kęsem coraz śmielej jadłam to, co podawała mi matka. Przyglądałam się wszystkiemu uważnie. Ruda grzywka opadała mi na czoło, spod niej patrzyły na świat wielkie, zielone, zbyt poważne oczy. W mojej dziecięcej główce roiło się od pytań: Czemu ta pani, która

przyniosła jedzenie, się uśmiechała? Może tatuś tej pani nie jest zły? Bo mój tatuś jest zły. Niedobry tatuś. Może każdy tatuś jest taki?

– Lusi, nie marudź – strofowała mnie matka, gdy niespodziewanie wybuchnąłam głośnym płaczem. – Nie ma powodu do łez.

Ale powód był. Dziwiłam się, że jest taka twarda. Miałam ochotę płakać za nas obie.

– Teraz też jesteś ofiarą? – spytała, gdy zakończyłam swoją opowieść. – Jak ci się zdaje, Luizoz?

– Byłam. – Pytanie Małgorzaty zbiło mnie z tropu. – I nienawidziłam robienia z siebie ofiary. Nienawidziłam, gdy ktoś mówił potem, że jestem beznadziejna, bo trzeba było, kurwa, inaczej. – Cała spięłam się ze złości.

– A teraz jesteś ofiarą? – zapytała ponownie.

Zawahałam się, ale odpowiedziałam:

– Teraz też tak jest. Chcą sprzedać firmę i wmawiają mi, że jestem nieudacznikiem, że na niczym się nie znam. Chcą, żebym namówiła ojca, aby sprzedał swoje udziały. W ten sposób mamy się od niego uwolnić. – Uśmiechnęłam się drwiąco, sama zdziwiona tym, co powiedziałam. Przecież jeszcze niedawno sama w to wierzyłam.

– Kto tego chce?

– Mój brat i mąż.

– Nie możesz się sprzeciwić?

– Nie potrafię.

– Spróbuj.

Poniedziałek, 8 czerwca 2015 roku

PRAGA-PÓŁNOC

Zawadzki czuł się kiepsko po źle przespanej nocy. Wstał wczesnie, nie budząc Igi, zajrzał do małej, której nie widział od kilku dni. Wychodził skoro świt, wracał zbyt późno, by mogli nacieszyć się sobą. Spała z otwartą buzią. Kręcone włosy rozrzucone na poduszce wyglądały, jakby dziewczynka była otoczona aureolą. Wyświechtany królik spoczywał na skraju łóżka, wisząc głową w dół. Otulił Basię kołdrą i wyszedł na palcach.

Jeszcze przed udaniem się na sekcję Luizy Orłowicz postanowił spytać Adama Kosińskiego o adopcję ich dzieci. Rozmowa z Zofią Frankowską utwierdziła go w przekonaniu, że to jest temat, który powinien zbadać, mimo że czuł przed nim wewnętrzny opór.

Adam niechętnie przyjechał na spotkanie. Wyglądał jak człowiek, który znajduje się na granicy wytrzymałości. Wymięte ubranie, nieogolony zarost, pusty wzrok. Zawadzkiemu zrobiło się go żal, ale zaraz zganił się za to w myślach – gdy zaczynał roztkliwiać się nad ludźmi, nie przynosiło to nic dobrego dla śledztwa. A gdy zaczynał przekładać swoje życie osobiste na zawodowe – kończyło się tragedią.

– Dziękuję, że udało się panu dotrzeć. Chciałbym porozmawiać o pańskich dzieciach.

Adam spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Co takiego?

– Wiem, że pochodzą z adopcji. Może mi pan coś więcej powiedzieć na ten temat?

Kiedy zdecydowaliście się na przysposobienie?

Adam odchylił głowę do tyłu i przymknął oczy. Wspomnienia, które Zawadzki wywołał, były pewnie najtrudniejsze.

– Luiza i ja podjęliśmy decyzję o adopcji po kilku latach starań o dziecko. Nie wchodziło w grę in vitro. Luiza nie chciała poddać się kuracji hormonalnej, co uszanowałem. Zaczęliśmy drążyć temat adopcji. Cztery lata temu udało nam się uzyskać zgodę ośrodka adopcyjnego w Krakowie.

– Czemu akurat tam? – przerwał mu Zawadzki.

– Akurat tam tryb załatwiania był szybszy. Dzieci już czekały na adopcję.

– Ktoś wam pomógł?

Adam zwlekał chwilę, lecz szybko odpowiedział:

– Nie. Czy pan coś sugeruje?
– Nic nie sugeruję, pytam. Czy wiecie, kim byli rodzice?
– Ta informacja jest utajniona. Dzieci zostały oddane do pełnej adopcji. Rodzice zrzekli się praw rodzicielskich.
– Czy Luiza była kiedykolwiek w ciąży?
Adam wzruszył ramionami.
– Na pewno nie ze mną. Nic mi o tym nie wiadomo. Nie sędzę. – Mężczyzna zmarszczył brwi.
– Luiza nigdy nic na ten temat nie mówiła?
– Nie. – Adam wyglądał tak, jakby czuł się urażony tymi pytaniami. Uderzały w jego poczucie męskości.
– Proszę mnie źle nie zrozumieć, sprawdzamy wszystkie ewentualności.
– Skoro musicie. – Mężczyzna ciężko westchnął. – Czy jeszcze coś pana interesuje?
– Rozumiem, że nikt wam nie groził, nikt was nie szantażował?
– Nie.
– Dzieci nie sprawiały kłopotów wychowawczych?
– Zupełnie.
Zawadzki kiwnął głową. Zastanawiał się, czy zadać ostatnie pytanie. Po chwili wahania jednak spytał:
– Co pan teraz zrobi?
Adam spojrzał na niego, jakby nie rozumiał.
– Z czym?
– Z dziećmi.
Adam posłał mu spojrzenie pełne politowania.
– Wychowam. Do widzenia.
Gdy zamknął za sobą drzwi, Zawadzki poczuł, że wyszedł na kompletnego durnia, i zrobiło mu się wstyd.

SASKA KĘPA

W małym mieszkaniu nieopodal ulicy Poselskiej siedziały naprzeciwko siebie dwie osoby: kobieta o interesującej urodzie i mężczyzna. Mężczyzna był bardzo młody. Uwagę zwracały jego wielkie dłonie, którymi podpierał szeroką twarz. Nie odrywał od kobiety wzroku.

Jacek Nałęcz siedział przy stole, słuchając relacji Barbary, swojej matki, jedynej bliskiej osoby, którą miał. Nie płakał, gdy powiadomiła go o śmierci Luizy. Sądziła, że bardziej go ten fakt poruszy. Wiedziała, że był skryty. Długo milczał, zanim w końcu powiedział:

– Ciekawe. Jak myślisz, kto mógł to zrobić?

Nie spodziewała się tak powściągliwej reakcji. Był czas, gdy w swoim szaleństwie bardzo kochał Luizę. Łączyło ich coś szczególnego. Bała się, że to coś mogło sprawić, że w obecnej sytuacji straci nad sobą panowanie, zacznie demolować kuchnię, wpadnie w szal albo w depresję. Takie zachowania były naturalne dla jego choroby.

– Skąd mam to wiedzieć? – odparła zmartwiona. – To przerażające, to po prostu nie mieści się w głowie! Ktoś musiał jej pozazdrościć sławy... Zresztą nie wiem. Była taka jak ty – tajemnicza. Kiedyś lepiej ją znałeś – dodała po chwili, sama nie wiedząc właściwie czemu. Zabrzmiało to jak niezamierzony wyrzut. Od razu tego pożałowała.

– To już historia – powiedział sucho. – Musisz ciągle do tego wracać? – Jego szczęki zacisnęły się mocniej. – Gdybyś nie była taka upierdliwa, Luiza by mnie nie odrzuciła.

Znów odlatywał. Nienawidziła tych jego wizji i obsesji. Lekarze mówili, że to niegroźny objaw, o ile nikt nie będzie w nim tego podsycać. Teraz mogło być różnie.

– Przepraszam, nie denerwuj się. – Była przerażona. Różowa obwódka wokół oczu stała się bardziej widoczna, a cienie pod oczami głębsze.

– Ufasz jej? – spytał niewróżącym niczego dobrego tonem.

– O co ci chodzi? Komu? – zaniepokoiła się.

– No czy ufasz tej dziewczynie, Marcie? Mogła ją zabić?

Barbara rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie.

– Jacek, nie wiem. Nie znam jej na tyle. Ale nie wygląda mi na morderczynię! Zresztą po co? Nie wiem. To jakiś nonsens!

– Według mnie to ona jest podejrzana. – Jacek gwałtownie poderwał się z krzesła, które się zachwiało i z hukiem przewróciło. – Sama się przekonasz.

– Przecież jej nie znasz! – zaprotestowała Barbara. Jej szare, poważne oczy patrzyły z przestrachem. Wyprostowała się jak struna. – Jezus Maria, opanuj się!

– Widziałem ją kilka razy i to mi wystarczy – powiedział z determinacją. – Chodziła, podsłuchiwała. Jakby ją z wariatkoma zabrali, wypłosz jeden z meliny praskiej. Zawsze mówiłem Luizie, że otacza się niewłaściwymi ludźmi, ale nie chciała mnie słuchać.

– Jak to podsłuchiwała? O czym ty mówisz? – Barbara patrzyła na syna z coraz większym przerażeniem.

– Nieraz ją przyłapałem.

Zaniemówiła. Chwyciła szklanekę z wodą i szybko wypila.

– Kiedy ostatnio byłeś u Luizy?

– Nie mam już piętnastu lat, nie możesz mi niczego zabronić!

– Kiedy widziałeś Luizę? – spytała stanowczo. Czyżby oboje ją okłamali? Czyżby Luiza nie dotrzymała słowa? Jak mogła zwodzić jej syna? Przecież wiedziała, że jest chory. Obiecała to jej – matce. Barbara poczuła nagły przypływ złości.

– Pieprzyła się ze mną, jeśli to chcesz wiedzieć. Kiedy tylko nie było jej męża i dzieci, przychodziłem i robiłem wszystko, co chciała. To cię interesuje?!

– Przestań! – Barbarze drżały usta. Nienawidziła go w takim stanie. Musiał wpaść w panikę, dlatego tracił kontrolę nad tym, co mówił. – To jakieś bzdury. Skończmy już ten temat, bo będę musiała wezwać lekarza. Chyba tego nie chcesz? – A po chwili łagodniejszym już tonem dodała: – Wiem, że się zmartwiłeś, ale zostaw to. Policja znajdzie mordercę. Nic nam do tego. Jedz, kochanie, bo wystygnie.

Po obiedzie zaproponowała mu herbatę, ale odmówił. Powiedział, że się spieszy, jest umówiony, i wyszedł. Nie był to stan, w którym powinien opuszczać dom, ale nie mogła go zamknąć, tak jak wtedy, gdy był małym chłopcem. Drżącą ręką odsunęła firankę w kuchni i obserwowała, jak pochylony szedł chodnikiem. Stawiał szybkie, zamaszyste kroki. Jej mały, pogubiony chłopiec. Boże, nie sądziłam, że tego dożyję, pomyślała i wybuchnęła płaczem.

PRAGA-PÓŁNOC

Zawadzki czuł, że rozmowa z Bernardem Suchockim ma kluczowe znaczenie dla ustalenia przyczyny śmierci Luizy Orłowicz i może stanowić dobry punkt zaczepienia. Znał Suchockiego, bo był powiązany z Orłowiczem. Facet cień. Często widywano go w towarzystwie Orłowicza, ale nigdy nie udało się ustalić, jakie łączyły ich interesy. Oficjalnie Suchocki był lekarzem i doradcą farmaceutycznym firm, które produkowały leki stosowane w położnictwie. Konsultował procedury medyczne wprowadzania leków na rynek, zwłaszcza tych, które mogły powodować groźne skutki uboczne. Jednak ostatnio zajmował się tym rzadziej, jeśli w ogóle.

– Aleksander Zawadzki. – Prokurator stanął wyprostowany przy drzwiach dyrektorskiego gabinetu. Schudł i ubranie zaczęło na nim wisieć. Nienagannie dopasowane spodnie marszczyły się w pasie. Nie miał czasu, żeby zmienić garderobę. Zresztą przyzwyczajają się do ubrań i nie znosił zakupów.

Majewski niechętnie spojrzał na stojącego przed nim wysokiego mężczyznę. Nie wyglądał na prokuratora ani na glinę, a dyrektorowi zależało na dyskrecji.

– Witam, miło mi. – Zawadzki rozpoznał wymuszony uśmiech dla stworzenia pozorów, że rozmowa z prokuratorem nie robi na nim wrażenia. – Zapraszam do mojego gabinetu. – Ruchem ręki wskazał białe drzwi. Obok nich widniała plakietka z nazwiskiem dyrektora.

Kilka osób na korytarzu spojrzało z zaciekawieniem na gościa Majewskiego. Doktor rozejrzał się dookoła, wprowadził Zawadzkiego do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Na wszelki wypadek przekręcił klucz.

– Żeby nikt nam nie przeszkadzał – wyjaśnił z napięciem w głosie. – Coś do picia?

– Nie, dziękuję. – Zawadzki rozglądał się z ciekawością. Nie lubił szpitali, ale ten pokój robił miłe wrażenie. Został przerobiony na elegancki gabinet, rzadko spotykany w szpitalach. Skąd miał na to fundusze, Zawadzki nie chciał się nawet zastanawiać.

Ostatecznie nie przyszedł tu robić audytu.

– Czym mogę służyć? – zaczął z udawaną nonszalancją dyrektor. Jakby to była zupełnie niewinna rutynowa wizyta.

– Tak jak powiedziałem panu...

– Tak, wiem, że chodzi o niejaką Orłowicz. – Majewski nie wytrzymał ciśnienia i wszedł Zawadzkiemu w pół słowa.

Prokurator nie znosił, gdy ktoś mu przerywał.

– Chciałbym porozmawiać z doktorem Suchockim – oznajmił chłodno. – Natychmiast.

– Tak, oczywiście. Ale czy mogę wiedzieć, z jakiego konkretnie powodu? – Policzki Majewskiego zaróżowiły się.

– Cóż, istnieje podejrzenie, że ofiara w ostatnim czasie kilkakrotnie kontaktowała się z doktorem Suchockim. Być może również odwiedziła doktora tutaj, w szpitalu.

– A czy wiadomo, z jakiego powodu chciała się z nim skontaktować? – Majewski wydawał się coraz bardziej zaniepokojony.

– Nie mogę rozmawiać z panem na temat dochodzenia, dopóki śledztwo jest w toku. Musimy ustalić, czy zabójstwo ma związek z działalnością szpitala. Nie mamy jeszcze żadnej pewności co do związku pana Suchockiego ze sprawą. Na razie szukamy powiązań.

– Rozumiem. – Majewski zawiesił głos. – Ale jeśli okaże się, że ma to jednak, w co, oczywiście szczerze wątpię, jakikolwiek, nawet najmniejszy związek z działalnością naszej placówki, bardzo proszę, abym był pierwszy, który się o tym dowie, panie prokuratorze, dobrze? Chodzi o dobro szpitala i całego personelu. No i przede wszystkim pacjentów. – Po chwili Majewski dodał: – Chyba pan mnie rozumie, prawda?

Zawadzki odgadł od razu, że Majewski bał się o własny tyłek. Żyłasty, mały człowiek nie wzbudzał w Zawadzkiem zaufania.

– Oczywiście, doktorze. Będziemy pana informować o tym, o czym będziemy mogli.

Majewski nie wyglądał na uspokojonego wymijającą odpowiedzią prokuratora, ale wiedział, że nic więcej nie wskóra. Widać było, że się zastanawia, czy coś jeszcze powiedzieć, jednak milczał.

– Czy zatem mogę porozmawiać z doktorem Suchockim? – Zawadzki czuł, że traci czas.

– Oczywiście, ale czy jest możliwe, aby został przesłuchany poza terenem szpitala? Chciałbym uniknąć niepotrzebnej sensacji, rozumie pan...

– Panie doktorze, myślę, że niepotrzebnie się pan denerwuje – przerwał mu z irytacją Zawadzki. – To będzie luźna rozmowa. Porozmawiam z doktorem Suchockim w jego gabinecie i proszę mi wierzyć, nikt się nawet nie zorientuje, kim jestem. Proszę mi zaufać.

Majewski patrzył na Zawadzkiego bez przekonania.

– No dobrze. Gabinet lekarski na samym dole. Pozwoli pan, że nie będę pana odprowadzał.

– Nie ma takiej potrzeby, sam trafię. Dziękuję, doktorze.

Majewski kiwnął głową i pożegnał się. Gdy tylko prokurator wyszedł, wykręcił numer wewnętrzny do Suchockiego. Kiedy usłyszał jego głos, powiedział:

– Idzie do pana prokurator Zawadzki. Proszę się postarać nie afiszować z tą wizytą, rozumiemy się? Żadnych świadków.

Zawadzki patrzył zimnym wzrokiem na Suchockiego. Gdy zobaczył faceta, poczuł do niego ogromną i nieprofesjonalną niechęć. Wiedział, że nie powinien ulegać mało uzasadnionej animozji, ale było to silniejsze od niego. Nic nie mógł poradzić, że twarz lekarza wydała mu się obleśna, a jedyne określenie, jakie przyszło mu na myśl, to śliski bydlak. Zawadzki pomyślał, że nie jest dobrze, że uprzedza się do kolesia już na samym wstępie.

– Czym mogę panu służyć?

Służyć. Ty i służenie, już to widzę, ty sukinsynu, pomyślał ze złością prokurator.

– Jak już pan wie, zajmujemy się sprawą śmierci Luizy Orłowicz.

– Tak, coś tam słyszałem od dyrektora. Tylko nadal nie wiem, co ja mam z tym wspólnego.

– Nie znał jej pan?

– Niespecjalnie.

Zawadzki z uwagą przyglądał się pokerowej twarzy Suchockiego.

– To znaczy?

Suchocki jakby przez chwilę stracił pewność siebie albo tak się Zawadzkiemu wydawało.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Mogła być moją pacjentką. Nie pamiętam, po co dzwoniła.

Zawadzki wyczekująco patrzył na Suchockiego, nie odrywając od niego wzroku.

Doktor, jakby czytając w jego myślach, kontynuował:

– Cóż, wie pan, ile osób dzwoni do mnie każdego dnia? Jeśli macie takie możliwości, może to również ustalicie? Jak mogę pamiętać, w jakiej sprawie dzwoniła pacjentka, której nie widziałem tyle lat?

– Czyli nie spotkał się pan z nią ani razu?

– Nie przypominam sobie – westchnął teatralnie doktor, po czym dodał: – Przykro mi, mówiłem panu, że rozmowa ze mną okaże się zupełną stratą czasu.

Na twarzy Suchockiego zagościł lisi uśmiech.

– Wie pan, nie do końca. – Zawadzki był wściekły i robił wszystko, żeby to ukryć. – A jeśli powiem, że ktoś ją u pana widział?

W oczach Suchockiego pojawiło się wahanie, ale szybko odpowiedział:

– Nie twierdzą, że jej nigdy nie widziałem. Ale niestety nie mam dobrej pamięci do nazwisk. Mam za dużo pacjentek.

Suchocki bezradnie wzruszył ramionami. Zawadzki skwitował przez zęby:

– Dobrze. W takim razie widzę, że pan rzeczywiście nie ma nic więcej do powiedzenia w tej sprawie, i nic tu po mnie.

Prokurator wstał. Nie uściskał wyciągniętej przez doktora dłoni, burknął „do widzenia” i wyszedł. Był wściekły. Nienawidził, gdy ktoś robił z niego idiotę.

ANIN

– Pierdolona dziwka! – wykrzyknął Zbigniew, przeszukując szafki, z których Anna usunęła butelki alkoholu. W szybie gabloty nie rozpoznał swojej twarzy. Myśli przeskakiwały jedna za drugą i nie miał ochoty się na nich zatrzymywać. Wziąć pieniądze i wyjść? Zamówić taksówkarza? Rozbawił go fakt, że nie był w stanie przypomnieć sobie kodu do własnego sejfu.

W domu nie było nikogo i panowała cisza. Drażniła go teraz bardziej, gdy trzeźwiał. Powinien spotkać się z Lorencem. Obiecał mu, że porozmawiają. Jednak nie był w stanie.

– Zbyszek, jak ja ci się odwdzięczę? – Pamiętał słowa Lorenca wypowiedziane z taką mocą i wiarą w jego osobę. Młody mężczyzna wpatrzony w niego jak w obraz. Doskonale wiedzieli, ile dla siebie znaczą.

– Heniek, daj spokój.

Rozpierała go duma, że młody był tak pojętym uczniem. Nie to co Marek, który nie dorastał mu do pięt. Zawsze powolny, zbyt zachowawczy, nadmiernie impulsywny. Nie wróżył mu kariery. Lorenc to co innego. Urodził się, żeby błyszczeć. Zbyszek żałował, że ich drogi rozeszły się w momencie, gdy mogli być równoprawnymi partnerami. Wiedział, że Henryk oczekiwał więcej. Był żądny władzy – niczym dziki koń nie ustawał w galopie i nie znosił chodzenia na postronku.

Zbigniew poczuł narastającą suchość w gardle. Podszedł do zlewu i nalał sobie szklanek wody. Pił zachłannie, płyn spływał mu po brodzie, kapiąc na ubranie.

– Luiza nic nie pamięta?

Lorenc zadał to pytanie już dawno temu, jakby nie dowierzał, że jest to możliwe. Zbyszek ujrzał przed oczami małą dziewczynkę z rudymi warkoczami skaczącą na skakance przed domem. Mały pies biegał wokół jej nóg, głośno szczekając. Dziewczynka śmieje się głośno, a śmiech ten drażni go coraz bardziej. Wybiega z domu, chwyta małą za ramię, szarpie i rzuca o chodnik. Śmiech gaśnie jak zdmuchnięty płomień świecy. Urywa się, lecz nie przechodzi w płacz. Dziewczynka znika.

Zbyszek nie czuje, jak wali z całej siły głową w ścianę, a krew napływa do oczu

i sływa mu po policzkach.

ANIN

Było już sporo po piątej i biuro Zbigniewa Orłowicza świeciło pustkami, choć Farmaceutiks nigdy nie spał.

Adamowi Kosińskiemu nie podobało się w siedzibie firmy teścia. Przyjeżdżał tu niechętnie, czuł się nieswojo, pociły mu się ręce i nie potrafił ukryć zdenerwowania. Budynek zaprojektowany przez znanego architekta i osadzony na skraju skarpy w podwarszawskim Aninie robił wrażenie. W kształcie przypominał nieco pancernik, jak go też czasem nazywano, co potwierdzało jedynie zamięłowanie starego Orłowicza do żeglugi. Obecnie pasja rodzinna ze względu na stan ojca zeszła na dalszy plan, ale niegdyś stanowiła ważną część życia wszystkich członków rodziny. Na Adamie budynek robił złowrogię wrażenie. Wewnętrzne korytarze przypominały labirynt i nie sposób było się w nich nie pogubić. Przez zbyt niskie pomieszczenia wydawało się, że sufit zaraz zwali się na głowę, a dominująca biel z niebieskawym odcieniem nadawała wszystkiemu odpychający, zimny wygląd. Fioletowe światło jarzeniówek sprawiało, że stojąc w siedzibie firmy teścia, Adam mrużył oczy.

Gabinet Marka był znacznie przytulniejszy. Adam patrzył na rozmawiającego przez telefon szwagra wzrokiem, w którym obawa mieszała się z nadzieją. Początkowo nie był przekonany do pomysłu Marka, ale z biegiem czasu jego wizja coraz bardziej mu się podobała. Będą wolni i bogaci. Czy nie tego chce większość ludzi? Adam nie był pewien, czy te dwa elementy mogą iść w parze, ale entuzjazm Marka był tak zaraźliwy, że w końcu i jemu się udzielił. Przestał skupiać się na swych obawach.

No i, co najważniejsze, Luiza prawie się zgodziła. Zaznaczyła jednak, że dla niej najistotniejsze jest, żeby nikomu nie stała się krzywda, i że znajdzie sposób na ojca. Prawdę mówiąc, to, że była współnikiem, w żaden sposób nie przekładało się na jej faktyczny udział w firmie. Po prostu podpisywała dokumenty, nie angażując się w pracę ani niczego nie kontrolując.

Taki był plan – sprzedadzą firmę i będą szczęśliwi. Skończą tę farsę i udawanie. Może jemu z Luizą też zaczną się lepiej układać?

Teraz, gdy Luiza nie żyła, to on miał podjąć decyzję.

– Tak, proszę się nie obawiać, wszystko jest dokładnie tak, jak zaplanowaliśmy. – Marek jak zawsze brylował. Mówił głosem stuprocentowo pewnym. Klatka piersiowa wypięta do przodu. Postawny, wysoki, z powodzeniem mógł uchodzić za człowieka sukcesu. – Tak, dokumenty są sprawdzone. Nie, nie mam żadnych wątpliwości. Chyba nie sądzi pan, że chcemy was oszukać! – Cóż za kokieteria. Adam patrzył na Marka z niemym podziwem. On sam by tak nie potrafił. Nie teraz. Był za słaby i nie nadawał się do tego rodzaju rozmów. – Po raz ostatni panu powtarzam: nie mamy nic do

ukrycia. Naszą dewizą od zawsze była transparentność działań. Dokumenty są już gotowe, czekamy na waszych prawników.

Adam patrzył na szwagra zdumiony. Nie, on na pewno by tak nie potrafił.

– Mamy mało czasu – powiedział Marek, gdy skończył rozmawiać.

– Myślisz, że nie wiem?

– Jak się czujesz? – Marek spojrzał badawczo na szwagra.

– Bez zmian. – Adam nie patrzył na Marka. Jak mógł się czuć?

– Musisz się trzymać. Wchodzisz na miejsce Luizy. Podpiszesz dokumenty u notariusza. Wszystko już załatwiłem. Nic nie zmieniamy. – Marek wyraźnie tracił panowanie nad sobą.

– Spokojnie – odpowiedział Adam, choć nie wierzył w to, co mówił. – Załatwimy to z ojcem. Sprzeda udziały, czemu miałyby nam to utrudniać? Może zresztą sam też jest tą firmą zmęczony?

Adam dużo by dał, żeby poznać myśli swego szwagra. Marek odezwał się dopiero po chwili:

– Nie jestem tego taki pewien.

– Będzie, co będzie, Marek...

Marek spojrzał na Adama ze złością.

– Jeśli zawalisz, obiecuję, że zgnijesz razem ze mną.

Adama przeszedł dreszcz.

PRAGA-PÓŁNOC

Bernard Suchocki bez pukania wtargnął do pokoju przełożonej Giedrojc. Gdy ujrzała jego zaczerwienioną twarz, nie miała wątpliwości, co było tematem rozmowy z prokuratorem. Podniosła się z krzesła i przesunęła się ze strachem pod okno. Suchocki nawet na nią nie spojrzał. Był wściekły, a jego dłonie drżały jak w delirium.

– Kurwa, mówiłem, że tak będzie – warknął i opadł na krzesło.

– Czy coś wiedzą? – spytała, oglądając swoje palce.

– Na razie nic. Wystarczy, że węszą. Ten stary dureń jeszcze narobi nam kłopotów.

Na słowo „nam” przełożona podniosła wzrok.

– Nie mam z tym nic wspólnego – oznajmiła cicho.

Suchocki spojrzał na nią i pokręcił głową z politowaniem.

– Masz – powiedział, a ton jego głosu zabrzmiał złowrogo. – A jeśli ci się do tej pory wydawało, że tak nie jest, to wyprowadzę cię z błędu. – Doktor podszedł do kobiety i parszając śliną, dokończył: – Jak ja się nie wywinę, to i ty się nie wywiniesz. Możesz być tego pewna.

Przełożona Giedrojc słyszała bicie swojego serca, gdy Bernard Suchocki opuszczał gabinet, mówiąc, że już dziś nie wróci do szpitala.

WAWER

Po spotkaniu z Markiem Adam siedział na kanapie w domu swoich rodziców i przytulał dzieci. Jutro miała przyjść i porozmawiać z nimi psycholog dziecięca. Nienawidził tych bzdur, ale teraz nawet jemu wydawało się to konieczne. Sami sobie nie poradzą. A on nie był w stanie wyjaśnić maluchom śmierci matki.

Nie wiedział, jak się ułoży ich życie, jak on sobie poradzi. Godziny bieły jedna za drugą, a on czuł się odrętwiały i pozbawiony energii. Przetrwać dzień, potem tydzień. Bez planów.

Ostatnio przechodzili z Luizą mały kryzys, ale nie zakładał rozstania. Wiedział, że to, co się z nią dzieje, minie. Lu tkwiła w stresie, ale miał nadzieję, że w końcu go pokona. Wiedział, że musiała odnaleźć swoją przeszłość, ale tego nie rozumiał. Z dnia na dzień było gorzej. Kilka tygodni temu powiedziała mu, że już prawie wszystko wie. Żeby się nie martwił, bo jednak miała rację. Wyglądała na szczęśliwą. Powiedział, że się cieszy, choć to nie była prawda. Jak inaczej mógł zareagować? Żywił jedynie nadzieję, że przyjdzie taki dzień, gdy się uwolnią od przeszłości i uciekną. Sami.

Z zamyślenia wyrwał go szept matki. Rozpamiętywał ostatnie tygodnie i dni z Luizą, próbując ułożyć w głowie ciąg zdarzeń, nie zauważył nawet, że dzieci zasnęły. Powoli odsunął ich rączki i przykrył maluchy kocem.

Poszedł za matką do kuchni i zamknął za sobą drzwi. Matka usiadła przy stole. Była blada i miała podkrążone oczy. Wyglądała jak kostucha. Patrzył na nią z niechęcią. Odsunął krzesło, ale nie mógł się zdecydować, czy usiąść naprzeciwko. Czekala go niewątpliwie trudna rozmowa.

– Usiądź. – To był rozkaz. Nienawidził, gdy się tak do niego zwracała. Jak do psa. – Gdzie byłeś?

– U Marka – odparł z ociąganiem.

– Luiza jeszcze w ziemi nie ostygła, a wy już handlujecie? Myślisz, że jestem głupia?

– Matka wpatrywała się w niego wzrokiem pozbawionym litości.

Adam zachnął się.

– Co mam teraz zrobić? Firma nie przestanie istnieć. Musi ktoś przejąć obowiązki po Luizie. A co, czy zaczęłaś być jej pośmiertnym adwokatem? Jak żyła, nic ci się w niej nie podobało.

– Ludzie będą gadać. Ostrzegam cię, nie rób głupot. Nie będziemy ci z ojcem pomagać.

– Możesz sobie darować teraz te wykłady?

– Masz z tym coś wspólnego? – Jej wzrok badawczo śledził każdy ruch mięśni jego twarzy.

– Nie rozumiem? – Adam patrzył osłupiały. – O co ci chodzi?

– No czy masz coś wspólnego ze śmiercią Luizy?

– Czyś ty oszalała?! – Nie krył oburzenia. – Skąd ten idiotyczny pomysł?

– Nie mogłam się do ciebie dodzwonić... To znaczy nie odbierałeś, kiedy najprawdopodobniej... Ty ostatni ją widziałeś.

– Mamo, nie słyszałem twojego telefonu. Nie mam teraz ochoty wysłuchiwać morałów ani twoich kretyńskich podejrzeń. Chcesz, to spytaj prokuratora.

– Przepraszam. Byłam taka niespokojna, jakbym przeczuwała, że może się coś przytrafić... – Westchnęła. – Co my teraz pocniemy?

Zabrzmiało to sztucznie. Wiedział, że mimo zachowywania pozorów sympatii matka w głębi serca nie znosiła Lu. Zazdrościła jej klasy, wyglądu, pieniędzy i możliwości. Niechęć do niej pogłębiała się, w miarę jak jego żona zaczynała być coraz bardziej znana.

Matka nienawidziła młodych, szczęśliwych kobiet od czasu, gdy ojciec został przyłapany z młodszą o blisko trzydzieści lat studentką. Romans ukrywał prawie dwa lata. Matka poznała prawdę przypadkiem, choć Adam nie mógł pozbyć się wrażenia, że ojciec sam się wystawił. Chciał jej wreszcie pokazać, jak go źle traktuje. Po tym skandalu wprawdzie się nie rozstali, ale przestali się do siebie odzywać. Ona prowadziła mu dom, on do tego domu wracał, ale wieczory i święta spędzali w milczeniu jak obcy ludzie.

Adam popatrzył na matkę. Potrzebował teraz jej pomocy bardziej niż kiedykolwiek, ale nie wiedział, jak długo wytrzyma jej ciągłe gderanie i fukanie na wszystko i wszystkich. Nie dziwił się ojcu, że miał tego dość. Może zachował się podle, ale miał powody. Matka była zimna i niedostępna. W sposób wyjątkowy traktowała jedynie wnuki, im potrafiła okazywać ciepło. Bliskość, której nam zawsze brakowało, pomyślał.

– Teraz potrzebna mi tylko twoja pomoc przy dzieciach, nic więcej – oświadczył zrezygowany.

– Czy policja już coś ustaliła? – Zmieniła temat, jakby nie usłyszała, co powiedział.

– Nie wiem – zawahał się – chyba to trochę potrwa. Zrobią sekcję. Pewnie trzeba poczekać kilka dni. Prokurator powiedział, że nas poinformują.

Ręce mu drżały, jeszcze chwila, a rozplącze się jak dziecko. Nigdy wcześniej nie czuł się tak bezradny. Gdy miał wyjść z kuchni, matka rzuciła:

– Adam, to się nie skończy dobrze. Nie mów potem, że cię nie ostrzegałam. – Czyżby zauważył na jej twarzy troskę? Szybko odgonił tę naiwną myśl. To przecież niemożliwe. Zresztą co ona może wiedzieć o jego sprawach. Myśli, że jest nieudacznikiem i że nigdy nie da sobie rady. Myli się, właśnie, że da.

Tylko jak poradzi sobie bez Lu? Po raz pierwszy przerażająca wydała mu się myśl, że teraz musi żyć bez niej.

OCHOTA

Zakład na Oczki wiał chłodem. Jasny hol wyłożony eleganckim białym kamieniem oraz prowadzące do laboratoriów wysokie schody z misternie rzeźbioną stalową poręczą przywracały spokój Zawadzkiemu. Budynek po remoncie prezentował się znakomicie. Prokurator przystanął, żeby zebrać myśli. Na zewnątrz było zbyt gorąco, by skupić uwagę na czymkolwiek prócz spływających po plecach strużkach potu. Ochroniarz na jego widok uchylił czapki i przywitał go.

Wiśniewska, jakby wyczuwając obecność Zawadzkiego przez ścianę sekretariatu, wychyliła głowę zza szklanych drzwi.

– Oluś, minuta – zawołała i ponownie zniknęła.

Gdy weszli na salę sekcijną, promienie słońca odbijały się w stalowych stołach tak, że Zawadzki zmrużył oczy.

– Macie już coś? – spytała Wiśniewska, wchodząc na salę. Stukot jej obcasów rozniósł się echem po pomieszczeniu.

– Nie bardzo. Przesłuchuję, zbieram informacje. Mam jeden wątek, który chciałbym zbadać, chociaż wydaje mi się dziwny. Każda z osób jest na swój sposób podejrzana.

– Popatrzmy. – Wiśniewska zastygła na widok ciała Luizy, z którego miała zamiar wyczytać wszystko to, co było możliwe. Drobiazgowo, tkanka po tkance, jak stronice w książce. Zawadzki milczał, bo wiedział, że Alina nie lubiła, gdy ktokolwiek wtrącał jej się do pracy. Tolerowała jedynie Leona, technika, który pomagał jej w robocie i nadążał za jej tokiem myślenia. Dla większości śmiertelników – za szybkim. Zawadzki podszedł do okna i oparł się plecami o parapet. Po półgodzinie Wiśniewska oznajmiła:

– Trzy rany klute. Ciosy zadane nożem. Duża determinacja, niekoniecznie siła, nóż wszedł aż w nerkę.

– Możesz coś więcej powiedzieć o tym nożu?

– Ostrze dość cienkie, długie, na moje oko standardowy nóż kuchenny. – Wiśniewska przyglądała się rozciętym organom. – W sumie niezła miazga. – Poprawiając maskę, kontynuowała: – Brak śladów walki. – Wiśniewska obejrzała dłonie i przedramiona Luizy Orłowicz. – Ofiara się nie broniła.

– Jak to możliwe? – zdumiał się Zawadzki.

– Myślę, że spała. Musimy oddać krew na toksykologię.

– Tak, znaleziono w domu środki nasenne. – Zawadzki podrapał się w głowę. – Chociaż to dziwne, była przed premierą.

Wiśniewska spojrzała na niego spode łba.

– Dziwne? Czy ciebie jeszcze coś w ogóle dziwi? – rzuciła kpiąco. – Bo mnie nie. Nie pamiętasz już tego Ostaszewskiego, aktora, co miał we krwi? Spodziewałbyś się, że ktoś taki prezentuje na scenie Hamleta? Bo ja nie. Może miała kłopoty psychiczne?

Może brała coś na uspokojenie? Ostatecznie mogła nawet napić się ziół. To wystarczy, żeby się nie obudzić i wykrwawić. Sam przecież wiesz. – Po chwili powiedziała jeszcze: – Spójrz na to.

Zawadzki nie domyślił się, o co chodzi, gdy pokazała na dłoń zmarłej.

– Nie rozumiem. – Brwi na jego wysokim czole uniosły się do góry.

– To prawda, możesz nie rozumieć. – Wiśniewska uśmiechnęła się pod nosem. – To akurat ci wybaczę. Otóż nie rozumiem, z jakiego powodu Luiza wezwała Martę. Miała perfekcyjny manikiur w kolorze idealnie dobranym do koloru sukienki. Nie było potrzeby malowania tych paznokci. Mówię ci to ja, nie lekceważ tej opinii.

Zawadzki wodził wzrokiem za każdym ruchem Wiśniewskiej. Dłonie Luizy z idealnie zadbanymi paznokciami, bez najmniejszego odprysku czy naddarcia, rzeczywiście prezentowały się dobrze.

– Czyli? – spytał bezradnie, bo to, co przyszło mu właśnie do głowy, wcale mu się w niej nie mieściło.

– Czyli albo to bujda, albo Marta malowała paznokcie trupowi.

Zawadzki westchnął.

– Każda odpowiedź jest zła.

– Chyba nie przyszedłeś tu po jakieś nadzieje na lepszą przyszłość, co? Ja tu zazwyczaj pozbawiam złudzeń.

Wiśniewska kontynuowała sekcję, a Zawadzki usiadł na krześle, obserwując czynności z umiarkowanym spokojem.

– Muszę zadzwonić do Modesta.

– Poczekaj, nie bądź w gorącej wodzie kąpany.

Prokurator nerwowo poruszał prawą stopą.

– Rodziła?

Wiśniewska spojrzała na niego spode łba.

– Możesz usiąść?

Zawadzki posłusznie usiadł z powrotem.

– Według mojej wiedzy tak – powiedziała Alina po półgodzinie.

– Kurwa.

Wiśniewska podniosła oczy do góry i poprawiła maseczkę.

– Czyli mamy nowe puzzle w tej dzikiej układance, czyż nie?

Prokurator zamyślił się.

W głowie układała mu się lista podejrzanych, z której wykluczyć mógł może kilka osób. Biadoń potwierdzał, że Zofia Frankowska miała alibi, bo rzeczywiście była u niej wtedy sprzątaczką. Barbara Nałęcz, jak ustalili, była w tym czasie na bazarze przy Szembeka. Pozostałe osoby mogły kłamać i najprawdopodobniej tak właśnie było. Psychopatyczny Zbigniew rozjuszony faktem, że jego rodzina niczego więcej nie pragnie, jak końca świetności jego firmy? Lorenc unurzany w swoich szemranych

interesach? Suchocki robiący wszystko, żeby się nie wydało, że był sprzedajnym doktorzyną na usługach organizacji paramafijnych? Marek, zostawiony przez ojca, skrzywdzony syn? Adam wzgardzony przez wszystkich czy żadna zemsta Anna? Wszyscy razem i bez wyjątku mieli motyw, żeby pozbyć się Luizy – mniej lub bardziej realny. Na koniec Marta – malująca paznokcie martwej kobiecie z nieznanego nikomu powodu.

Prokuratorowi zrobiło się niedobrze.

PRAGA-POŁUDNIE

Nadchodził wieczór. Postronny obserwator nie miałby wątpliwości, że siedzący na dużej, czarnej skórzanej sofie mężczyźni czekali. Jeden niecierpliwie ruszał kolanem, drugi skubał dłonią siwe wąsy. Obaj byli nienagannie ubrani. Opalone twarze, na których widoczne było napięcie. Stefan, młodszy, miał twarz modela. Starszy, Gustaw, jego ojciec, bo podobieństwo było uderzające, odznaczał się elegancką siwizną i dostojnością. Mimo że w restauracji hotelowej było sporo gości, zwracali na siebie uwagę.

– Nie przyjdzie. – Stefan zaklął po niemiecku. – Co myślisz?

– Wie, czym to grozi. W taki sposób się spraw nie załatwia. Stefan, jesteś zbyt narwany. – Starszy uśmiechnął się, choć też nabierał wątpliwości, czy Polak ich nie zwodzi.

– No a jak nie przyjdzie?

Gustaw zawahał się, a po chwili powiedział:

– Jeśli nie przyjdzie, urwę mu jaja. – To mówiąc, charknął, i nie mogąc splunąć na podłogę, wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł nią usta.

Po piętnastu minutach oczekiwania w głównym wejściu pojawił się Marek Orłowicz, prowadząc u swego boku Bernarda Suchockiego. Marek był spięty, Suchocki zaś wyglądał, jakby właśnie zszedł ze swojego jachtu na Karaibach.

– Przepraszam za spóźnienie. – Marek uśmiechnął się. – Czekałem na doktora. Kończył dyżur.

Obaj mężczyźni spojrzeli na Suchockiego z uwagą.

– O, to pan? Słyszałem, że jest pan wielkim specjalistą w swojej dziedzinie. Liderem opinii – mówiąc to, roześmiał się. Gustaw mówił płynnie po polsku, ale z mocno wyczuwalnym, twardym akcentem.

– Nie takim znowu wielkim – odrzekł skromnie Suchocki, ale uśmiechnął się z zadowoleniem.

Rozmowę mężczyzn przerwało nadejście kelnerki, która z uroczym uśmiechem przyjęła od nich zamówienie. Stefan patrzył na nią pożądliwie.

– Przejdźmy do rzeczy – zaproponował Gustaw.

Marka niepokoiła nieobecność mecenasa. Czyżby przestał grać do jego bramki? Przecież dostał pieniądze!

– Jak pan widzi, nie ma prawnika. – Niemiec zawiesił głos. – Jest zajęty, więc sami chcemy to z panem załatwić. Otóż... Chcielibyśmy ustalić kilka kwestii. Pański ojciec ma się dobrze?

Marek uśmiechnął się. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nagle przypomniał sobie słowa ojca: „Marek, musisz się uczyć. Pamiętaj, Lorenc osiągnął tyle tylko dlatego, że jest pracowity. Musisz się przykładać. Jego ojciec nie żyje. Ale ja się nigdzie nie wybieram, więc na stołek prezesa musisz trochę poczekać”. Uśmiechnięta drwiąco twarz ojca śniła mu się po nocach. „Ucz się, Marek, ucz, debilu”.

– Ma się dobrze, choć ostatnio ma mniejszy zapał do pracy – rzekł wymijająco.

– Słyszeliśmy. Czyli nie zmienił zdania?

– Skąd taka obawa?

– Wie pan, mamy swoje źródła. I...

– Nic mi o tym nie wiadomo – szybko uciął Marek.

– Okej. Załóżmy, że panu wierzę. Chciałbym jednak porozmawiać o cenie.

Marek poczuł żelazny ucisk w karku – zapowiedź ataku migreny, który nadchodził jak potężna fala przyływu. Miał wrażenie, że jeszcze chwila, a straci nad sobą panowanie.

– Cena zostanie na tym samym poziomie. Dwadzieścia milionów euro – włączył się do rozmowy Stefan. Zawiesił teatralnie głos, obserwując reakcje Polaków. – O ile...

– O ile co? – Markowi głos uwiązł w gardle.

– O ile wprowadzicie na rynek kilka zalegalizowanych u nas leków. Nie powinno być z tym problemów. Pan doktor, jak rozumiem, ma w tym doświadczenie?

Suchocki wyglądał na zdenerwowanego, wiercił się na krześle jak dziecko. Przyszedł na spotkanie, naciskany przez Marka, który zaczął go szantażować, że jeśli go nie wesprze, powie o jego interesach z Orłowiczem. Doktor nie chciał, żeby stare sprawy wróciły. Przez tyle lat był przecież głównym pomocnikiem Zbyszka. Wiedział dużo, nie miał ochoty uczestniczyć teraz w tej żenującej rozgrywce. Sprawa była śmierdząca i nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Zresztą Marek był nikim i nie znał się na interesach. Nie dorastał ojcu do pięt.

– Cóż, doskonale się składa. – Gustaw wybuchnął śmiechem.

– Ale ja nie jestem lobbystą. – Suchocki był urażony i nie zamierzał tego ukrywać.

– *O guys, so serious!* – roześmiał się Stefan. – Wystarczy, że zna się pan na swojej robocie. Chyba nas pan nie zawiedzie, doktorze?

– Nie jestem pewien, czy się rozumiemy. – Starszy Niemiec już nie żartował.

– Oczywiście, że tak – uciął Marek. – Doskonale się rozumiemy. Nie widzę problemów.

– To nie jest prośba, tylko warunek – mówił powoli Gustaw, akcentując każde

słowo. – Albo to załatwicie, albo obniżam cenę o siedemdziesiąt procent.

– To niezgodne z umową! – Marek czuł, że traci grunt pod nogami.

– Jaką umową? Chce pan, żebyśmy oskarżyli pana o przekazanie łapówki? Że podrzucił nam pan trzy miliony złotych, żeby zyskać naszą przychylność? Żeby sprzedać ojca? – Gustaw uśmiechnął się z zadowoleniem, upił łyk drinka i dodał: – Żartowałem. Mam nadzieję, że się rozumiemy?

Marek kiwnął głową. Miał ochotę chwycić Niemca za szyję i nie puścić. Suchocki z pobladłą nagle twarzą przyglądał się tej wymianie zdań w milczeniu.

LUIZA ORŁOWICZ

Wtorek, 8 lipca 2014 roku

Jednak nie uniknęłam rozmowy o bracie, choć włożyłam tyle wysiłku, żeby pokazać, że temat jest nieistotny. Małgorzata drążyła ten wątek z godnym podziwu uporem.

– A czy brat mógł cię zabić? – walnęła z grubej rury. Może była zła, że unikałam jej przez kilka tygodni? Nie mogłam się przemóc. Tydzień za tygodniem upływały mi na udawaniu, że wszystko jest w porządku (tak, w tym jestem mistrzem).

– Wiele razy. Mógł mnie zabić każdego dnia. Że tego nie zrobił, powinno się zgłosić do Watykanu jako cud.

– Czemu tego nie zrobił?

– Nie miał ochoty, a może nie zdążył? Na pewno nie z braku możliwości. – Wybuchnęłam śmiechem, choć wynikał on z rosnącego we mnie napięcia, a nie z radosnego nastroju. Rżałam jak koń. Siebie przecież nie mogę oszukiwać. Wszystkich innych tak, ale siebie?

– Bałaś się go?

Dobre pytanie. Przestałam się śmiać.

– Gdy się pojawiał, czułam się sparaliżowana. Chciałam być niewidzialna, chciałam zniknąć. Przestać istnieć.

Zapadłam się głębiej w fotel i zaczęłam mówić. Słowa wypływały ze mnie jak wartki strumień.

Wodził po mojej skórze nożem, zostawiając prawie niewidoczne gołym okiem zaczerwienienia. Spałam, choć doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że nie jestem sama. Czułam, że wchodzi w mój sen, jest coraz bliżej. Gdy spinał mi włosy, mój oddech stawał się płytszy i szybszy. Potem tłumaczył mi, jak ważne jest to połączenie. Przecież nie byliśmy związani wyłącznie więzami krwi.

Kolegom powiedział, że podzieli się mną później, chciał być pierwszy. Wprowadzał mnie w swoje mroki, a ja udawałam, że nie wiem, co się dzieje. Czy się bałam? Nie wiem. Sztywniałam, gdy mówił, że przyjdzie czas na ostateczną ofiarę. To była tylko

inicjacja.

Gdy wpatrywał się zachłannie w siatkę żył na moich stopach, nie spostrzegł, że dwoje szeroko otwartych oczu wbiło w niego wzrok. Za wcześnie się obudziłam. Nie spodziewał się tego.

– Co ty robisz? – spytałam, jakbym nie wiedziała.

Szybko schował nóż za plecy.

– Nic – skłamał.

– To po co ci to? – Patrzyłam na przegub ręki, na której pojawiło się skaleczenie.

Do tej pory mam bliznę.

Uśmiechnął się, ale oczy pozostały zimne. Zawsze takie miał.

Wtorek, 9 czerwca 2015 roku

W DRODZE

Samochód jechał szybko. Za oknem przewijały się obrazy nocy i zlewały się w pasmo szaroczarnych plam. Gęsty, ciemny i złowrogi las zachęcał, aby zanurzyć się w nim bezpowrotnie. Marta próbowała nie zasnąć, choć ciężkie powieki opadały mimo woli. Oczy bolały, soczewki uwierały po zbyt długim noszeniu. Serce trzepotało jak u ptaka – głośno i szybko.

Potężna dłoń gładziła jej kolano. Mężczyzna prowadzący samochód był spokojny. Mówił cicho, łagodnie. Próbowała zrozumieć, ale nie mogła się skupić na żadnym ze słów. Czego od niej właściwie chciał? Co miał z tym wspólnego Jacek? Czyżby chciał ją ochronić? Oczywiście, pewnie zrozumiał, jak się poczuła po ich ostatnim spotkaniu. Jak mogła być dla niego tak okrutna i niesprawiedliwa? Przecież chciał dobrze. To ona nie potrafi być za nic wdzięczna. Niewdzięczna dziewczyna.

– Będiesz tam bezpieczna, a ja porozmawiam z Jackiem. Na pewno do ciebie przyjedzie. O nic się nie martw. Teraz powinnaś pozostać w ukryciu. Mogą cię uznać za główną podejrzaną, sama rozumiesz. Wpakowałaś się w trudną sytuację.

Marta otworzyła oczy. Mężczyzna patrzył na nią ze zrozumieniem, delikatnie się uśmiechając. Przecież nie chciała, o co mu chodzi? Przecież ona nic nie wie. Palce mężczyzny mocniej zacisnęły się na jej kolanie. Dłoń powoli przesuwała się coraz wyżej. Odruchowo rozsunęła szerzej nogi.

– Przeczekaś najgorsze – kontynuował mężczyzna – bezpiecznie. Dobrze ci zrobi odpoczynek. To dobre miejsce. Dziewczynko, damy sobie radę.

W samochodzie pachniało intensywnie męskimi perfumami. Było czysto. Z przodu było dużo miejsca. Jej długie nogi mieściły się dość swobodnie. Patrzyła na swoje zasnurowane botki. Jedna sznurówka urwała się podczas wiązania.

Dłonie zacisnęła na krawędzi fotela. Mężczyzna raptownie cofnął rękę. Marta patrzyła w okno, nie rozumiejąc dlaczego. Rozprostowała nogi. Była gotowa. Przygryzła usta. Nie chciała widzieć wyrazu jego twarzy. Samochód gwałtownie przyhamował i Henryk Lorenc skręcił w las. Zatrzymał się na niewielkim parkingu.

Pomógł jej przy pakowaniu. Jej różowa walizka leżała w bagażniku. Spakowany świat. Zabawne, że potrzeba było zaledwie kilku minut, żeby znaleźć się tu. Z tym obcym, dziwnym mężczyzną. Bez planu. Z bijącym sercem i nadzieją na lepsze jutro,

które nigdy nie nadejdzie. Po kokpicie auta chodził pająk. Zauważyła go w ciemności. Patrzył na nią, nie miała jednak odwagi, żeby się odwrócić i go zabić – jednym ruchem przygwoździć go botkiem albo torebką.

Silnik przestał pracować. Zapanowała cisza. Niewdzięczna dziewczyna. Moja kochana dziewczynko. Niewdzięczna dziewczyno, jesteś zepsuta. Dziecko, pomogę ci. Moja mała. Po policzku płynęła łza. Marta zamknęła oczy. Ciepły oddech na szyi. Bez dotyku, proszę, bez dotyku. Nie dam rady. Nie wytrzymam. Widzę tylko zaparowane okna, mgła wokół osacza mnie, nie jestem w stanie się wydostać. Drzewa oplotły samochód w uścisku nocy. Konary przebijają się przez szczeliny, czuję, że zaraz znajdę się w potrzasku. Zaczął wyć wilk.

Otworzyła oczy. Odwróciła głowę. Mężczyzna patrzył na nią uważnie.

– Nie bój się – wyszeptał.

Odsunął fotel do tyłu i zachęcająco skinął dłonią. Zrozumiała. Poruszyła spięte i odrętwiałe ciało. Uwolniła stopy z butów. Podtrzymał ją, żeby nie straciła równowagi. Uda dotykały jego ud. Czowała ciepło. Klatka piersiowa opadała i unosiła się miarowo. Mężczyzna patrzył na nią spod przymrużonych powiek. Przyjrzała mu się dokładnie. W mroku jego twarz traciła na ostrości. Podkrążone oczy. Szerokie, mocno zarysowane brwi. Delikatny, prawie kobiecy nos. Usta o ładnym kształcie. Mocne szczęki, pociągła twarz, regularna. Włosy krótkie, dobrze obcięte. Wyciągnęła dłoń, żeby dotknąć jego głowy. Cofnął się.

– Nie.

Było jej niewygodnie. Czego chciał ten dziwny mężczyzna? Siedziała na nim okrakiem zupełnie bez ruchu. Patrzył na nią, nie dotykając. Pająk sunął po zagłówek. Nie odrywała od niego wzroku. Był gotów przeleźć po jego głowie. Nie mogła na to patrzeć.

– Pokaż bliźnię.

Marta spojrzała na niego pytająco. Skąd wiedział? Przeważenie było jak cięcie nożem.

– Nie bój się. Pokaż. – Wpatrywał się w nią niczym drapieżnik.

Zaczęła rozpinąć guziki. Jeden po drugim. Koszula spłynęła po jej nagich ramionach niczym muśnięcie wiatru. Czarny stanik z oderwaną kokardką był za duży. Miała nadzieję, że nie każe jej go zdjąć. Wstydziła się swych nędznych piersi. Blizna zaczynała się poniżej pępka. Sięgnęła dłonią, żeby rozpiąć rozporek. Patrzył na nią w bezruchu. Dłoń powoli przesunęła się w kierunku wyraźnego zgrubienia na jej podbrzuszu. Masował jej skórę, oddychając coraz głośniejszymi oddechami. Patrzyła na tę niemą scenę. Smutek zalewał jej duszę. Czowała, że stoi obok, oddziela się od ciała, które staje się łupinką i znika.

– Gdzie jest teraz?

Nie mogła mówić. Nie pamiętała wiele. Nie chciała pamiętać. Dziecko sprzedane za

kilka flaszek w największej tajemnicy. Wzdrygnęła się. Miała ochotę zwymiotować.

– No gdzie? – Jego palce mocniej ścisnęły fałd skóry.

– Nie mam pojęcia. Gdzieś w Niemczech. – W ciemności nie poznawała swojego głosu. Był niski, matowy, obcy.

– Opowiesz mi teraz. – Oczy Lorenca patrzyły czujnie. Podniósł koszulę i zaczął ją ubierać. Drżała. Była pusta w środku. Dotknij mnie, zrób coś. Zrób coś, żeby nie bolało. Zagłusz mnie. Natychmiast.

– Opowiesz mi teraz o swojej matce kurwie.

Ciało zamarło. Poczwała, że spada. Nisko, daleko, w mrok.

ŚRÓDMIEŚCIE

Modest pił poranną kawę zatopiony w myślach. Wczorajsza rozmowa z Zawadzkiem wyprowadziła go z równowagi. Podejrzenia co do Marty wydawały się uzasadnione, choć brakowało motywu. W najlepszym razie jego córka ocierała się o szaleństwo, czego również, ku jego niezadowoleniu, nie mogli wykluczyć.

– Jak długo tu siedzisz? – Piotrek wszedł do kuchni, szurając kapciami. – Dasz mi pospać czasem?

– Szkołę masz jeszcze.

– E tam, teraz to już wiesz...

– Słuchaj, rozmawiałem z mamą.

Piotrek ziewnął, przecierając oczy.

– I?

– I pojedziesz do niej na wakacje.

– Tato, ale ja mam też swoje plany – skłamał. Modest doskonale wiedział, że syn nie ma żadnych planów. Mógł co najwyżej jechać do ciotki Kaśki nad morze, zarabiać w barze jako kelner. Towarzystwo nie udzielał się wcale.

– Nie pytam jakie.

– Jestem już prawie pełnoletni.

– Prawie. Pomożesz mamie odnowić dom – skłamał Modest. – Zarobisz sobie.

Piotrek wybałuszył oczy, jakby zobaczył zjawę.

– Że co? Nic mi nie mówiła.

– Może chciała ci zrobić niespodziankę.

– Niespodziankę? A co ja tam będę robił? Tu chociaż do kina pójde. Kurde, tato...

– Masz braki, synu. Za dwa lata matura. Ledwo przejdiesz do następnej klasy. Może sobie coś w głowie poukładasz.

Piotrek naburmuszył się i ostentacyjnie odwrócił się do ojca plecami. Włączył czajnik.

– W dupie mam takie wakacje – stwierdził cicho.

Modest westchnął.

– Może, jak się sprawa z Martą wyjaśni, pojedziemy gdzieś na tydzień za granicę.

Piotrek odwrócił się i powiedział z ożywieniem:

– Ty mnie tam wysyłasz, bo się o mnie boisz?

Modest nie patrzył na syna.

– Wysyłam cię, bo tak będzie najlepiej. Koniec tematu.

Syn jednak nie dawał za wygraną.

– A jak Marta? Coś wiadomo?

– Kompletnie nic. Ale nie wygląda to dobrze.

– Mają coś na nią? – W głosie syna słychać było troskę.

– Jeszcze nie, jednak coś im nie pasuje.

Piotrek zasepił się.

– Głupia sprawa – powiedział w końcu. – Czy to nasza wina? Może poczuła się odrzucona? Trochę ma kiepsko z tą matką.

– Jeśli w ogóle czyjkolwiek wina, to moja.

Ciszę, która nagle zapadła w kuchni, przerwało walenie do drzwi.

– Czy ktoś nie widzi dzwonka? – zirytował się Piotrek. Modest powstrzymał go ręką.

– Ja pójdę.

Tknięty złym przeczuciem, szybko przeciął korytarz, żeby otworzyć. W drzwiach ujrzał swoją byłą żonę z podbitym okiem i zaschniętą krwią na twarzy. Naciągnięta głęboko na czoło czapka z daszkiem sprawiła, że przez sekundę pomylił ją z podwórkową meliniarą Bronką. Rozejrzał się po klatce schodowej, czy nie ma nikogo z sąsiadów, i z odrazą wpuścił ją do środka.

– Skąd się tu wzięłaś? – warknął. Buchnęło od niej alkoholem, więc się odsunął.

– Tato... – Piotr stał w przedpokoju z szeroko otwartymi ustami.

– Idź do swojego pokoju.

Syn posłusznie zniknął w głębi mieszkania.

– Czego chcesz? – Modest obserwował, jak Grażyna łakomie rozgląda się po mieszkaniu. – Bo jeśli coś ukraść, to pomyliłaś adres.

– Nie ma Marty. Chciałam ci powiedzieć, że mówili mi, że wyszła wczoraj z jakimś kolesiem. Wzięła walizkę i zniknęła. Przyszłam dziś w nocy i po rybach.

Zgarbiona przestępowała z nogi na nogę.

– Jesteś pewna, że był z nią jakiś mężczyzna?

– Ja nie widziałam.

Modest nie był zdziwiony.

– A kto widział?

– Waldek widział. Ten z parteru. Nie wie kto, ale wsiadła do jakiegoś samochodu i pojechała. Ona się prowadziła z takim jednym...

Modest podchwycił temat, choć dużo go kosztowało patrzeć na byłą żonę,

a właściwie na to, co się z nią stało.

– Wiesz coś o nim?

– Słyszałam, że mówiła o nim Jacek. Kilka razy. Kiedy myślała, że śpię.

Stary numer. Nasłuchiwała, ile ma klientek, żeby wyciągnąć z niej jak najwięcej kasy, pomyślał Modest. Grażyna kiwała się coraz bardziej.

– Chce mi się rzygać. – Cwane oczka rozejrzały się w poszukiwaniu łazienki.

– Nie, moja droga, to na pewno nie tu.

– Nie dasz nawet grosza? Teraz jak zostałam sama...

Modest szybkim ruchem otworzył drzwi.

– Żegnam.

Stała, nie ruszając się z miejsca, i patrzyła na niego mściwie.

– Zawsze byłeś kawał...

– Wypierdalaj – przerwał jej i wypchnął za drzwi. Słyszał, jak przeklinała na klatce i z hałasem zeszła na dół. Huk drzwi wejściowych utwierdził go, że opuściła budynek.

– Tato, ona i mnie mówiła o jakimś Jacku. To w nim się zabujała. – Modest spojrzał na syna, nie wiedząc, jak zareagować. Już miał spytać, ale syn ubiegł go i powiedział:

– Prosiła, żebym nie mówił. To nie mówiłem. Ty też mi nie wszystko mówisz, prawda?

Piotrek odwrócił się na pięcie i poszedł się myć.

PRAGA-PÓŁNOC

Czekając na Modesta, prokurator Aleksander Zawadzki mieszał kawę. Kawiarnia Blues na Stalowej nie była zatłoczona i stanowiła dobre miejsce spotkań. Granatowe ściany wypełniały czarno-białe fotografie ulic miasta. Dużo zdjęć powojennych, gdy Warszawa wyglądała jak jedno wielkie gruzowisko. Usiadł przy okrągłym stoliku w samym rogu, aby jak najmniej rzucać się w oczy. Dawno tutaj nie był i z zainteresowaniem oglądał wnętrze. Wokół panował lekki gwar, a głośno nastawione radio odciągało uwagę od natłoku myśli.

Zatrzymał wzrok na siedzącej nieopodal młodej dziewczynie. Była w widocznej ciąży. Czytała książkę, której tytuł krzyczał z okładki drukowanymi, czerwonymi literami: *Obsesja*. Wyglądała, jakby świat dookoła niej przestał istnieć. Była śliczna. Zamyślił się. Bruzda na czole stała się wyraźniejsza. Z zamyślenia wyrwało go pojawienie się starego kumpla.

Modest wszedł do kawiarni szybkim krokiem. Uwagę Zawadzkiego zwrócił sztywny chód mężczyzny. Dłuższe włosy ułożył na żel. Trzyma się świetnie, ale coś jest nie w porządku, pomyślał Zawadzki, obserwując, jak stary towarzysz balansuje między stolikami, idąc w jego kierunku.

Modest zamówił macchiato i patrzył ze zdenerwowaniem na dawnego przyjaciela.

– Co tam? – Zawadzki przyglądał mu się z uwagą. Czuł, że coś musiało się wydarzyć,

skoro zadzwonił do niego o tak wczesnej porze. Zbyt dobrze go znał.

– Marta zniknęła – oznajmił Modest bez zbędnych wstępów. – Kolega nadal spoglądał na niego pytająco, więc Modest kontynuował: – Grażyna była u mnie rano.

Zawadzki podniósł wyżej brwi.

– Nic z tych rzeczy. – Modest był poirytowany. – Chyba zwariowałeś. Przeraziła się, bo jej źródło dochodów zniknęło. Wygląda na to, że albo związała sama, albo ktoś jej w tym pomógł.

– Niedobrze. – Zawadzki się skrzywił. – Sprawy się komplikują.

Teraz Modest spojrział na niego z uwagą.

– Tyle to i ja wiem. Masz coś na nią?

– Są pewne poszlaki. Miałem to z nią dzisiaj wyjaśnić. Wiśniewska zrobiła sekcję Luizy. – Zawadzki w kilku zdaniach streścił jej przebieg. Modest pobladł i milczał. Zawadzki ciągnął: – Mogła przyjść, zabić, odczekać i...

– Co ty insynuujesz?! – przerwał Modest. Był wściekły.

– Chcę cię delikatnie nakłonić do tego, żebyś ruszył dupę.

Modest skrzywił się i zeszywniał.

– Przecież tu z tobą siedzę. – Modest wyglądał na urażonego.

– Siedzisz, ale nie myślisz. Mówisz, że zniknęła, i na co liczysz? Że się rozplacze? Czas ucieka. Piękny trup zdążył ostygnąć, a nagle i niespodziewanie twoja córka znikła. Maluje zmarłej paznokcie, myje podłogę acetonem i wieje.

– Może uciekła z Lorencem.

Zawadzki spojrział na kolegę jak na wariata.

– Oszalałeś do reszty?

– Mam przeczucie, że on maczał w tym palce.

Prokurator nie odpowiedział, tylko upił soku.

– A Lorenc nie daje znaku życia. Do ciebie się odezwał?

– Może to jednak nie on? – Zawadzki odpowiedział pytaniem, nie kryjąc irytacji.

– A kto, Kubaś Puchatek? – denerwował się coraz bardziej Modest. – Daj mi dostęp do archiwum. Chcę przejrzeć jeszcze raz sprawę Roksany.

Zawadzki zastanawiał się.

– Jak chcesz. Załatwię to. Jednak nie obnoś się z tą wiedzą, okej? Chciałbym, żeby to pozostało między nami.

– Dziękuję. – Modest nie wyglądał na pocieszonego.

– Mamy pewien trop. – Zawadzki starał się poprawić mu nastrój. – Denatka kontaktowała się z niejakim Suchockim. Pamiętasz go, prawda? Nie należał do twoich ulubieńców. Dzwoniła do niego dzień przed śmiercią. Może to przypadek. Przesłuchaliśmy go. Niewiele to dało, ale nie budzi mojego zaufania.

Modest kiwnął głową.

– Pamiętam go. A reszta rodziny? Zbyszek?

Zawadzki prychnął. Miał już wyrobiony pogląd o całej rodzinie.

– Reszta rodziny opowiada o kwiatkach bławatkach. Kto ich tam wie, co właściwie myślą i co wiedzą. Osobiście mam wrażenie, że Luiza to było niezłe ziółko. Zresztą jak oni wszyscy. Cholera ich wie. Większość nie ma alibi na sto procent. Żona Orłowicza na bank ściemnia.

Modest zmarszczył brwi.

– Zaczynam szukać Marty. Powiedziałem już chłopakom.

Zawadzki wypił resztkę kawy i powiedział:

– Kwaśnik szaleje. Boję się, że znów będą kłopoty, więc bądź ostrożny. Modest, jak nie znajdę innego punktu zaczepienia, będę musiał uznać Martę za oficjalnie podejrzaną. Chcę, żebyś to wiedział.

Modest wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał i nie mógł się zdecydować. W końcu powiedział:

– Grażyna przypuszcza, że Marta wyjechała z jakimś gościem. Podobno spotykała się z niejakim Jackiem. Piotrek też to potwierdza.

Zawadzki wyglądał na zdziwionego.

– No to szukamy – skwitował.

Modest przytaknął i opuścił kawiarnię. Zawadzki obserwował, jak idzie ulicą. Zgarbiony, wpatrzony w chodnik, wsiada do samochodu i odjeżdża.

SASKA KĘPA

Adam siedział w barze na Saskiej Kępie, sącząc kolejne whisky. Kelner rozpoznał go, ale o nic nie pytał. Wieść o śmierci Luizy szybko rozniosła się po dzielnicy. Wszyscy Luizę tutaj znali.

Rozmowa ze Zbyszkim była obrzydliwa. Adam dopiero teraz, zbierając myśli, przypomniał sobie, co mówił teść. To, co usłyszał, wydało mu się absurdalne. Był pewien, że to jakiś głupi żart, że Zbyszek bredził. Że to efekt wielotygodniowego picia. Czego on mógł od niego chcieć? Przecież Marek obiecał dyskrecję. Ale może niepotrzebnie mu zaufał? A Lu? Miała z nim porozmawiać, obiecywała, że to załatwi. Zapewniała, że jej nie może odmówić. Jakim był głupcem! W głowie plątały mu się zdania, które usłyszał albo też zdawało mu się, że zostały wypowiedziane. Może to wszystko roіło mu się ze zmęczenia?

Gdy przyjechał rano, teść wpatrzył się w niego mętym wzrokiem. Stali w salonie. Wokół panowała cisza. Słysząc było tylko objadającą się o szybę zdesperowaną muchę.

Adam wcale nie chciał tam się spotkać. Było jeszcze za wcześnie, żeby wrócić do ich domu. Nie miał odwagi patrzeć na to, co wspólnie z Luizą przez te lata zbudowali. To Zbyszek się uparł. Zależało mu, żeby spotkać się w ich domu. Adam nie miał pojęcia dlaczego. Teść zaczął bez zbędnych wstępów:

– Będiesz współnikiem, nie musiałeś długo na to czekać, prawda? – Zawiesił głos, oczekując na reakcję Adama. – I na dodatek planujesz bardzo szybko pozbyć się udziałów po mojej córce. Już wszystko ustalone?

Adam zbladł, słysząc te słowa.

– Nie rozumiem? – Przychodziło mu na myśl tylko jedno: fiasko.

– Czyżby? Nie przesadzaj. Nie posądzam cię o głupotę. Zawsze byłeś cwany. – Teść dolewał sobie alkoholu do szklanki.

– Zbyszek, nie wiem, o czym mówisz. – Głos łamał mu się jak dziecku, które ma za chwilę dostać lanie.

– Nienawidzę żebraków. Wiesz, co z nimi robię? – W spojrzeniu Zbyszka nie było nawet cienia litości. – Cóż, nic ci nie może stać na przeszkodzie, prawda? Tak ci się wydaje, nie myślę się? Chyba cię nie doceniłem! – Parsknął śmiechem.

Adam patrzył na niego osłupiały. Teść najwyraźniej bardzo dobrze się bawił.

– Nie będę taki i powiem ci w tajemnicy: będzie was więcej! I ugotujecie się w tym waszym towarzystwie. Myślałeś, że Luiza mnie przekonała? Nikt mnie nie jest w stanie przekonać! Zresztą miło mi będzie patrzeć, jak idziecie na dno po trupie mojej córki!

Adam wypił do końca kolejnego drinka i wstał z krzesła barowego. Ruszył w kierunku toalety. Patrzył długo na swoje dłonie zanurzone w strumieniu zimnej wody. Skostniałe palce robiły się coraz bledsze. Spojrzał na odbicie w lustrze. Jej rozmazany obraz znajdował się tuż za nim. Dorosła, poważna. Podobna do niego. Nie myślał o niej, chciał odsunąć od siebie wszystko, co było związane z Aleksandrą. Wspomnienia zbyt bolesne, by je przywoływać. Siostra była mu taka bliska. Wszędzie woda, matka stanęła na brzegu. On stoi za nią, nie wie, co się dzieje. Kryje się za jej nogami. Nie umie pływać, w przeciwieństwie do siostry, która to kocha. Ola krzyczy, że da radę. Niczego się nie boi. Matka trwa bez ruchu, patrząc, jak jej córka ginie wśród wzburzonych fal. Dwójka ludzi stoi na brzegu, nie słychać nic prócz szumu wody. Świat zapada się głucho. Wokół panuje cisza.

Życie za życie, tak sobie to wytłumaczył. Musi zginąć ktoś, żeby ktoś inny mógł przeżyć i odzyskać wolność.

MOKOTÓW

Szukanie Marty przypominało Modestowi próbę schwytania dłonią węgorza. Śliski, wymykający się z rąk, obrzydliwy, skaczący na patelni w trakcie smażenia, zawsze wzbudzał w nim odrazę. Modest nie miał pojęcia, skąd w jego głowie wzięło się to porównanie. Powinien rozpaczać. Jego jedyna córka wplątana w morderstwo. Może po prostu nie lubił Marty? Szukał jej wyłącznie dlatego, że była jego dzieckiem? Z dziwnie pojmowanego obowiązku? Z poczucia winy napędzanego gryzącymi coraz bardziej wyrzutami sumienia? Żał mu jej było tak jak miliona innych popapranych

dzieciaków, którym dorosli zgotowali kiepski los. Natomiast nie miał do niej zaufania. I gdyby ktoś go spytał, nie byłby w stanie na sto procent powiedzieć, czy jest pewien, że nikogo nie zabiła. Jej niewinność nie była niewinnością młodej, skrzywdzonej dziewczyny, lecz młodej, doświadczonej patologiczną walką kobiety, zdolnej zapewne do wszystkiego. Marta była jego życiową osobistą porażką.

Wymknęła im się, znikając w oparach nocy. Czy ktoś jej w tym pomógł? Jeśli był to Lorenc, nie mieli szans. Musieli czekać, aż da sygnał, że rozpoczął grę. Zazwyczaj dawał. Taki scenariusz miał opanowany do perfekcji. Wiedział doskonale, kiedy zacząć, żeby nikt nie był na to przygotowany, i w którym momencie skończyć, by nikt się tego nie spodziewał. Tak zapewne stanie się i tym razem. Historia lubi się powtarzać, przecież tak się zdarzyło z jego synem. Na to wspomnienie Modest skrzywił się i zrobiło mu się niedobrze.

Przeszukiwał prokuratorskie archiwum, jakby był w nim po raz pierwszy. Metalowe, wysokie, zavalone aktami regały, do których rzadko ktoś zaglądał. Mroczne korytarze kryjące niejedną tajemnicę pod osłoną grubej warstwy kurzu. Z uczuciem obrzydzenia otwierał stare teczki. Strony, które kleiły się, jakby były pokryte warstwą miodu.

Akta ze sprawą Roksany Lorenc, umorzoną z powodu stwierdzonej bezzasadności, znalazł po numerze sygnatury na siódmym regale. Teczka nie zawierała wiele. Brak dokumentacji zdjęciowej ciała i miejsca zbrodni trochę dziwił, ale czy aż tak? Przeglądał akta, co chwila prychając od pyłu. Przyczyna śmierci: zawał. Rozpoznanie dziwne, zaważywszy na tak młodym wieku kobiety. Miała wtedy zaledwie dwadzieścia pięć lat. Jedna z pozółkłych stronic, datowana na rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty siódmy, zawierała wniosek o wznowienie postępowania w sprawie morderstwa Roksany Lorenc. Złożyła go matka, Maria Lipkowska. Sprawa jednak nie została wznowiona. Modest zanotował adres zamieszkania kobiety, nie łudząc się, że po tylu latach, jeśli w ogóle żyła jeszcze, ją tam odnajdzie.

Odwrócił się, gdy w przeciwległym końcu pomieszczenia usłyszał trzepot. Jakby uwięziony ptak próbował wzbić się do lotu. Ruszył szybko między półkami. Czujnik ruchu przy każdym mijanym regale zapalał się i gasł. Gdy dotarł do ściany, jego oczom ukazało się leżące w kącie gniazdo.

Kto tu, do cholery, coś takiego podrzucił, pomyślał. Czuł, że niepokój w nim narasta. Zbliżył się i spojrzał na delikatny zarys pustych skorupki w ciemności. Próbował znaleźć włącznik światła, ale bez rezultatu. Nagle wszystkie światła rozbłysły. Blask jarzeniówek przez moment go oślepił. Otworzył przymrużone oczy i ujrzał dwa pisklaki synogarlicy. Poruszały się niespokojnie, dziobiąc coś zawzięcie. Zbliżył się do nich powoli, nie chcąc ich spłoszyć.

Leżący w kącie martwy ptak, a właściwie to, co z niego zostało, wabił je ziarnami, którymi posypane były jego szczątki. Młode niezdarnie wchodziły na matkę, wybierając pożywienie. Dziobami kaleczyły martwe ciało.

Modest Tokaj oparł się czołem o chłodną ścianę. Oddychał głęboko, powstrzymując odruch wymiotny. Lorenc wrócił. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

LUIZA ORŁOWICZ

Środa, 16 lipca 2014 roku

– Rodzice wiedzieli?

Patrzyłam na Małgorzatę, nie rozumiejąc pytania. Zadała je niemalże zaraz po: dzień dobry i jak się czujesz? Nie zdążyłam się przygotować na ten szybki cios. Trzymałam łyk kawy w ustach i próbowałam unikać odpowiedzi. Jacy rodzice, o czym wiedzieli? Powtarzałam w głowie to pytanie, usiłując powstrzymać wewnętrzny rechot.

– Czy rodzice wiedzieli, co ci robił? – Terapeutka wwierała się we mnie wzrokiem, co irytowało mnie coraz bardziej.

Musiałam w końcu połknąć płyn. Mogłam jeszcze beknąć dla zyskania na czasie, ale się powstrzymałam.

– Nie wiem – odrzekłam powoli. Wyglądałam zapewne jak zblazowana nastolatka, która mówi rodzicom: Jaka impreza? Byłam tylko u koleżanki.

– A mówiłaś im?

Kolejne pytanie wciska mnie w fotel. Postanawiam jednak zareagować. No dobrze, porozmawiajmy. Oto garść informacji na dzisiaj, moja droga terapeutko, myślę złośliwie, a na głos mówię:

– Nie. Nikt by mi nie uwierzył. Moja matka dopiero później się zorientowała. Tak mi się przynajmniej zdaje. Ojciec nigdy nic nie mówił. Kochał mojego brata ponad wszystko. Zresztą... – wzruszyłam ramionami – ja też.

Przywołanie wspomnień z tego czasu przyszło mi łatwo. Doskonale pamiętałam, co robili rodzice. I doskonale pamiętałam, czego nie chcieli widzieć.

Tego dnia mieliśmy się bawić w ogródku. To znaczy ja się miałam bawić, a on miał mnie pilnować, bo rodzice wychodzili na jakieś przyjęcie. Czułam, że coś się wydarzy. Cały dzień chodziłam niespokojna, próbowałam wymóc na nich, żeby przyszła babcia Janina. Tak jakbym nagle zapałała wielką miłością do tej podłej staruchy.

– Przecież nie zostajesz sama. Twój brat obiecał, że się tobą zajmie. Będiesz, kochanie, bezpieczna. Nie dramatyzuj. – Mama nawet na mnie nie spojrzała, malując

po raz dziesiąty rzęsy. Miała akurat nawrót miłości do ojca, widać kupił jej jakieś kolejne naszyjniki czy jakieś łauszki. Gruchali jak dwa gołąbki.

Pozostali nieugięci na moje błagania wypowiedane niemalże szeptem. Opędzali się ode mnie jak od namolnej muchy. Pamiętam dokładnie, jak taksówka zabierała wystrojoną mamę i wstawionego ojca na spotkanie radosnego wieczoru. Czułam, że moje ciało twardnieje niczym kamień. Niespodziewane łzy napłynęły mi do oczu. Zrobiło mi się zimno. Chciałam krzyczeć, ale byłam zbyt przestraszona.

Usiadłam w kącie ogrodu i nasłuchiwałam. Staralam się nie poruszać, udawać niewidzialną. Zapadała noc, więc bałam się coraz bardziej. Od dziecka nienawidziłam ciemności. Podniosłam się z zimnej i coraz bardziej wilgotnej ziemi i skierowałam się do domu. Poruszałam się bezszelestnie, nie chcąc, żeby mnie zauważył. Słyszałam, że był w kuchni, pogwizdywał. Humor dopisywał mu jak nigdy. Pobiełam co sił w nogach na górę, do swojego pokoju. Zamknęłam drzwi na klucz. Miałam nadzieję, że nie zauważy. Nie sądziłam, że dostanie się do mnie oknem, po drabinie. Nie miałam pojęcia, że zaplanował to już dawno, przekonując moich rodziców, że jest na tyle dorosły, by się mną opiekować. Po co zawracać komuś głowę? Nawet Barbara miała tego dnia wolne. Zostałam z nim sama i nikt nie mógł mnie ochronić.

Nie musiał mnie wiązać, żebym nie krzyczała. Byłam tak przerażona, że nie wydałabym z siebie żadnego dźwięku. Mój mały biustonosz pozostał nietknięty. Nie interesował się nim. Leżałam naga, a on nożem rysował po moim brzuchu. Czułam przenikający mnie na wylot ból. Kiedy myślałam, że stracę przytomność, zadzwonił telefon, a on wtedy przerwał. Rozmawiał krótko. Wydawało mi się, że ktoś wydaje mu polecenia. Przytakiwał. Stał ze spuszczoną głową jak pojętny uczeń. Gdy skończył rozmawiać, ponownie do mnie podszedł. Zsunął spodnie. Jego członek był naprężony.

Onanizował się, a łzy spływały mi po policzkach. W rytmie jego pchnięć i charkotu minuty ciągnęły się w nieskończoność. Kończył i zaczynał od początku. Gdy próbowałam wstać, wymierzył mi policzek.

– Masz mi służyć. Jesteś nic niewarta! Nie widzisz, jaka jesteś ohydna? Wszystkie jesteście takie same! Zbiera mi się na wymioty, jak na ciebie patrzę!

Gdy rodzice wrócili, a było już rano, leżałam, ale moje ciało nie miało duszy. Czułam się jak kłoda, jak wiór, jak wydmuszka. Widać ciało musiało się oddzielić od duszy, bo pewnie by umarła, gdyby ze mną wtedy została.

Od tamtej nocy zaczęłam go nienawidzić, życzyć mu śmierci w męczarniach. Mój dziecięcy, i tak dość pogmatwany, świat legł w gruzach.

To był pierwszy raz. Potem były kolejne. Każdy zaczynał się w ten sam sposób. Gasił światła, zapalał świece i rozkazywał:

– Połóż się, pokrako.

Kończąc opowieść, spojrzałam na Małgorzatę, skupioną, poważną, smutną.

– Nie pytaj mnie więcej, czy wiedzieli, to nie ma sensu – powiedziałam, kładąc należną zapłatę na stole. – Będę za tydzień.

Wyszłam. Nie pamiętałam, gdzie zaparkowałam auto.

Środa, 10 czerwca 2015 roku

PRAGA-PÓŁNOC

Kwaśnik zapowiedział się o ósmej rano i o ósmej rano stanął w gabinecie Zawadzkiego. Punktualność była obsesją przełożonego. Ogorzała, okrągła twarz była spięta, a wzrok pełen złości. Nie wyglądał na człowieka, który właśnie wrócił z dwutygodniowego urlopu. Gdy tylko stanął w progu, Zawadzki nie miał wątpliwości, że nie będzie to miła rozmowa.

– Ile to jeszcze ma trwać? – Stary sapał jak parowóz. Wczasy odchudzające nie przyniosły w tym zakresie żadnej zmiany.

– Nie wiem, miło mi cię widzieć.

– Nie pierdol. Wszystko już wiem. Masz postawić tej małej zarzut popełnienia morderstwa. Wydaj nakaz poszukiwania.

Zawadzki zaniemówił. Tego się nie spodziewał.

– Co się tak gapisz? Ogłuchłeś? Nie mamy czasu. Musimy coś z tym gównem zrobić.

– Ale ja nie mam mocnych podstaw.

– Słabych też nie.

– Ale jaki motyw, Tadek?! – Zawadzkiemu zrobiło się gorąco. – Że jej za usługę nie zapłaciła?!

– A skąd ja mogę, do cholery, wiedzieć? Wy macie ustalić. Może zazdrosna? Może niepoczytalna? Cokolwiek. Ta dziewczyna ma siedzieć w areszcie, aż pęknie.

Zawadzki milczał.

– Coś ty taki nabuzowany wrócił?

– Ta. Od razu nabuzowany. – Stary wyjrzał przez okno. Nie mówił prawdy. Ale jak nie chciał, na pewno nie powie. Zawadzki znał go aż za dobrze. Po chwili Kwaśnik dorzucił: – Uprzedź Modesta.

– Już uprzedzałem.

– To dobrze.

– Szkoda mi go.

– Już go tak nie żałuj. Jemu ciebie nie było szkoda.

– A jednak.

Kwaśnik wstał. Guzik koszuli opinającej jego wielki brzuch piwosza odpadł i potoczył się po podłodze.

- Psiakrew, znajdę inny. – Machnął ręką i wyszedł z pokoju bez słowa pożegnania. Zawadzki wziął głęboki wdech i wybrał numer komisarza Biadonia.
- Stary, dobrze, że dzwonisz. – Policjant był wyraźnie przejęty. – Mam coś dla ciebie. Siedzisz?

SASKA KĘPA

Gdy Zawadzki zbliżał się do miejsca, w którym odnaleziono zwłoki nieznanej kobiety, już z oddali widział tłum gapiów. Dom Luizy Orłowicz znajdował się w bliskim sąsiedztwie posesji, na której rozpoczęto budowę. Podchodząc, przejechał dłonią po włosach, poprawił koszulę i zaczął się rozglądać. Pośród policjantów i techników zauważył Wiśniewską. Ubrana jak zwykle w jedyny, jak mawiała, słuszny kolor – czarny, żywo gestykulowała, rozmawiając z młodym mężczyzną, którego prokurator widział chyba po raz pierwszy. Na widok Zawadzkiego przerwała rozmowę i podeszła do niego.

– Ostatnio, Oluś, coś nie mamy szczęścia do Saskiej Kępy. A taka prestiżowa dzielnica. – Uśmiechnęła się.

– Sama stąd jesteś.

– Dlatego się nie cieszę. Przystaję być anonimowa. Nie będą chcieli mi podawać ręki. – Zaśmiała się ponownie. Spojrzał na jej dłonie. Były ładne i zadbane. Zapewne nie tak ludzie wyobrażają sobie dłonie patologa.

– Co tu mamy? – Patrzył na kobietę leżącą na hałdzie piachu. Duży stopień rozkładu, ale z rozpoznaniem nie powinno być problemu, pomyślał. Szczupła, raczej z tych żylastych, dzinsy, podkoszulek, zielone buty na wyższych obcasach. Żadnych śladów zadrapań czy walki. Twarz owalna, włosy ciemne, dłuższe, kręcone.

– Kobieta uderzona tęnym narzędziem w tył głowy. Z tyłu widać eleganckie podcięcie czaszki. Stawiam na cegłę. Spadła do dołu, gdzie ją trochę przysypało.

Ogarnęli spojrzeniem rozpoczętą budowę: cegieł tam nie brakowało.

– Kiedy zmarła?

Lekarka zwlekała chwilę z odpowiedzią.

– Kilka dób tu leży. Nie rozłożyła się zupełnie, więc myślę, że piątek, może sobota.

– Tak jak Orłowicz?

– Sądzę, że tak. Mniej więcej.

– Coś bliżej?

– Było gorąco, to trudne warunki. Musicie poczekać na sekcję. Przy ofierze znaleziono portfel. – Po chwili Wiśniewska kontynuowała: – Słyszałam, że Modest wraca. Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt?

– Widzę, że dobre wieści szybko się rozchodzą. Otóż nie wraca.

– Mam nadzieję, że tym razem nikogo nie zabije.

– Daj spokój. Nikogo nie zabił.

Wiśniewska wzięła już porządny wdech, żeby odpowiedzieć, ale uratował go dzwoniący telefon, który musiała odebrać.

Zawadzki przyglądał się zwłokom, kiedy stanęła przy nim niska kobieta o szerokich biodrach, zasuszonej wąskiej twarzy, rudych, krótkich włosach. Przyglądała się z uwagą miejscu zbrodni i zwłokom. Długi, wąski nos nadawał jej wygląd osoby wścibskiej i niezbyt uprzejmej.

– Wiatrakowa – przedstawiła się. – Moje wnuki odnalazły tę kobitę. W okopy się bawią na tych hałdach. But wystawał, to pociągłi.

Zawadzki otaksował spojrzeniem kobietę, wahając się, czy ją natychmiast wyprosić, czy dać jej jeszcze mówić. Wygrało przeczucie, że powinien jej wysłuchać.

– W piątek tu była. Ja ją widziałam. Myśmy na weekend wyjeżdżali z córką i zięciem. Z rana. I ona szła. Tam gdzieś przy rondzie Waszyngtona ją zauważyłam na światłach. Takie buty miała – kobieta uśmiechnęła się nagle jak dziewczynka – zielone, ja buciara jestem straszna. A ona miała dokładnie takie zielone, jak ja na syna wesele potrzebuję i znaleźć nie mogę. I ten but poznaję.

Prokurator osłupiał.

– O której to mogło być godzinie?

– Rano, jakaś dziewiąta była.

– Ale nie wie pani, kim jest ta kobieta?

– Pojęcia nie mam. Tylko te buty poznaję, bo tak mi się wryły w pamięć, że przeboleć nie mogłam, że jej nie zapytałam przez okno w aucie, gdzie kupiła. Wie pan, czasem okazja się nadarza, a my jak ślepy koń – klapki na oczach. Może jakbym ją zagadnęła, toby się biedaczka w tym dole nie znalazła?

ŁOCHÓW

Zapadły dom starców w Łochowie nie stanowił dobrej reklamy dla instytucji tego typu. Był raczej potwierdzeniem tezy, że najgorszy koniec życia to taki, gdy się ląduje w przytułku. Ciemna elewacja porośnięta grzybem i przesiąknięta wilgocią. Obdrapane okna pozbawione firanek. Już od pierwszego rzutu oka na budynek Modest poczuł, że nie zapowiadało się na miłą wizytę. Otworzył drzwi i utwierdził się w przekonaniu, że to pewnie jeden z bardziej zaniedbanych ośrodków w Polsce. Karaluchy maszerujące po podłodze. Ostry szelest ich odwłoków ciągniętych po posadzce. Muchy oblepiające resztki jedzenia pozostawione na starych meblach. Śmierzący, otwarty na oścież kibel, a w nim tłąca się mała żarówka na kawałku przewodu. Boazeria z odchodzącą w wielu miejscach farbą pamiętała pewnie lepsze czasy. Skrzypiąca, ciemna podłoga z dziurami w deskach. Unoszące się nad wszystkim starość i kurz.

Mają tu zdechnąć, pomyślał Modest i się przeraził. Doskonale wiedział, dlaczego

Maria Lipkowska znalazła się właśnie tutaj. To miejsce musiało przypominać norę. Im gorzej była traktowana, tym lepiej. Lorenc nie miał najmniejszych skrupułów wobec matki swojej zmarłej żony.

Ze wstrętem wtulił nos w kołnierz marynarki. Kobieta, która nagle wyrosła przed nim jak spod ziemi, spojrzała na niego podejrzliwie. Po długim wywiadzie, którego musiał udzielić, poprowadziła go do pokoju pensjonariuszki, ale wcześniej wyraziła obawę, czy to dobry pomysł, że ją nachodzi. Jak sucho stwierdziła, Maria Lipkowska nie miewała gości i nie przepadała za ludźmi. Nie lubiła nawet oglądać telewizji. Używając resztek swojego uroku osobistego, przekonał jednak opiekunkę, że nie ma złych zamiarów i postara się jak najszybciej zakończyć wizytę. Zapiął marynarkę. Jednooki smok na T-shircie mógłby zrobić złe wrażenie na starszej pani.

Z trudem próbował przyzwyczać wzrok do braku światła i dojrzeć ukrywające się w ciemności sprzęty. Małe okno zasłaniały kotary, a w pokoju nie paliła się żadna lampka. Po prawej stronie, pod ścianą stało łóżko. Na boku, odwrócone przodem do tejże ściany i przykryte kołdrą, leżało ciało. Podeszedł bliżej. Nie był pewien, czy się odezwać, czy dotknąć, żeby się obudziła. Nie chciał przestraszyć kobiety.

– Dzień dobry pani! Mam do pani kilka pytań – powiedział niezbyt głośno.

Nadal cisza. Leżąca kobieta nawet nie drgnęła. Dotknął kawałka kołdry i pomacał ciało. Zamaszystym ruchem ściągnął przykrycie.

– To nie ona – wyszeptał ze zdumieniem, patrząc na wielką wypchaną kukłę. Na moment zabrakło mu tchu. Zastygł, nie wierząc, że ma przed sobą wielką lalkę niczym stracha na wróble. Rzucił się pędem do drzwi i wypadł z impetem na korytarz. Nie zważając na obowiązujący w domu opieki nakaz ciszy, zaczął krzyczeć: – Co to ma być?! Jak wy traktujecie starszych ludzi?! Kto tego pilnuje?! – Poczul rwący ból w lewym ramieniu i syknął. – Czy ktoś tu może, do cholery, przyjść?!

Z pokoiów na piętrze wyjrzały siwe głowy pensjonariuszy, którzy mogli chodzić o własnych siłach. Nasłuchiwali z zaciekawieniem. Sanitariuszka biegła w jego kierunku, kołyszając się na boki jak pingwin.

– W łóżku tej kobiety leży jakaś wypchana kukła – stwierdził rzeczowo Modest. – Czyżby uciekła? – dorzucił ironicznie.

Do kobiety patrzącej na Modesta wzrokiem niepasującym do opiekunki domu dobrej starości dobiegła młodsza asystentka. Stojąc w półmroku, wyglądały jak bohaterki taniego horroru.

– Maria z pewnością jest w pokoju. Musiał jej pan nie zauważyć – odpowiedzieli chórem.

Popatrzył na nie ogłupiały. Miał ochotę zrzucić je ze schodów.

– Jak to nie zauważyć? Schowała się do szafy? – spytał kąśliwie.

– Pan pozwoli z nami.

Ponownie otworzyły drzwi do pokoju. Jedna z nich od razu skierowała się do

łazienki. Dopiero teraz zauważył pod drzwiami cienki pasek światła.

Łazienka okazała się zadziwiająco przestronna. Pośrodku znajdował się, ustawiony tyłem do drzwi, a przodem do okna, fotel obity wytartą już gdzieniegdzie kwiecistą tkaniną. Siedziała w nim starsza kobieta. Siwe włosy spływały po oparciu, tworząc coś na kształt wachlarza.

– Pani Mario! A już tyle razy prosiłyśmy, aby pani tego nie robiła! W nocy trzeba spać, a nie siedzieć po ciemku. Nie należy histeryzować. Wszystko jest w porządku.

Kobieta odwróciła się. Ubrana była w wypłowiały szlafrok, który z pewnością pamiętał znacznie lepsze czasy. Jej pomarszczona twarz nie była pozbawiona życia. Ciemne oczy patrzyły badawczo i żywo, nadając kobiecie młodzięńczy wygląd.

Wzdrygnął się na jej widok. Stare wspomnienia wróciły. Wzruszenie, które chwyciło go za gardło, pojawiło się zupełnie niespodziewanie. Poczł szum w głowie. Podeszedł do umywalki i napił się wody. Otarł usta wierzchem dłoni i ponownie spojrzł na starszą kobietę.

Maria Lipkowska przyglądała mu się ze zdziwieniem. Dobre oczy były wciąż uważne. Modest nie był w stanie ocenić, czy kobieta go poznaje. W końcu odchrząknął i przerwał ciszę.

– Dzień dobry, proszę się nie niepokoić. Chciałbym zadać pani kilka pytań, jeśli oczywiście zechce pani ze mną porozmawiać.

Kobieta zmarszczyła czoło, a oczy jej pociemniały. Żyłaste dłonie zacisnęły się mocniej na poręczach fotela. Dolna szczęka zaczęła drżeć. Widać było, że jest poruszona.

– Czego pan chce? – Jej głos był zaskakująco rzeczowy. Modest stracił pewność siebie. Oparł się o zimne białoniebieskie kafle.

– Podejrzewam, że pani córka została zamordowana.

Maria Lipkowska patrzyła na Modesta. Milczała.

– Czy może mi pani powiedzieć coś na temat tamtego zdarzenia? – To pytanie wypadło na tyle sucho, że natychmiast dodał: – Czy może mi pani powiedzieć coś na temat śmierci pani córki Roksany?

Kobieta pokiwała głową i nagle się uśmiechnęła. Modest poczuł, że się ośmieszył. Maria Lipkowska z pewnością nie była starą demencją.

– Po tylu latach? Mam panu opowiedzieć, co się stało z moją córką? Wtedy nikt mnie nie chciał słuchać.

Kobieta zamyśliła się. Jej dłonie drżały. Na zmianę zaciskała palce i zwalniała uścisk. Cała skupiła się na tej czynności.

– Tak, zdaję sobie sprawę, że minęło trochę czasu – przyznał Modest. Czuł wstyd.

– Trochę? – Lipkowska uniosła wysoko brwi i zaczęła się śmiać. Pogłós sprawiał, że śmiech świdrował w uszach.

– Tak, wiem, że to szmat czasu – zaczął niepewnie – ale w świetle nowych

okoliczności...

– I co? – Starsza pani baczenie się mu przyglądała. Modest wytrzymał jej wzrok.

– I mam podstawy wątpić, czy Roksana Lorenc faktycznie zmarła śmiercią naturalną. Czy mogłaby mi pani to wszystko opowiedzieć raz jeszcze?

Zapadło milczenie. Modest przestępował z nogi na nogę. W końcu usiadł na sedesie, zdając sobie sprawę, że wygląda to dość komicznie.

– Może czas, żeby prawda wyszła na jaw, a sprawca został ukarany? Nie chciałaby pani tego? – Nie dawał za wygraną, choć jakaś część jego osoby mówiła mu, że będzie tego żałować.

Maria Lipkowska odchyliła się w fotelu.

– A pan?

Modest się zmieszał.

– Co ja? – udał, że nie rozumie pytania.

– Czy chciałby pan tego? Jest pan pewien?

– Oczywiście, chyba każdy z nas chce poznać prawdę. – Nie czuł się komfortowo, naciskany przez starą kobietę.

Maria Lipkowska rozpoczęła łamiącym się głosem.

– Skoro tak. Moja córka zmarła w zimowy, mroźny poranek. Wstałam wtedy o piątej i pomyślałam, że pójdę do niej na dziesiątą, pomogę jej przy dzieciach. Miałam wtedy popołudniową zmianę w pracy. Za oknem wstawało słońce, a na szybach mróz malował koronki. Pamiętam ten czerwonoszary poranek i, daj Bóg, nigdy go nie zapomnę. Cały ranek gotowałam dla niej jedzenie i pakowałam do słoików. Telefon zadzwonił przed dziesiątą. Nie zdążyłam jeszcze wyjść z domu. Gdy odebrałam, mój zięć, Henryk Lorenc, przekazał mi tę informację. Spytał, czy mogę przyjechać i zająć się dziećmi. – Staruszka na moment zamilkła. W kieszeni szlafroka niezgrabnie szukała chustki. Po chwili kontynuowała: – Nie mogłam w to uwierzyć. Moja młoda, pełna życia córka? Przecież dopiero co urodziła! Nie dałam sobie wmówić tej choroby serca. Ona była zdrowa jak koń!

– Dlaczego pani nie wierzy w wersję ustaloną przez policję i prokuratora? – spytał Modest. Serce biło mu tak mocno, jakby miało wyskoczyć z piersi.

– Bo to bzdury! Mój zięć nie chciał takiego rozgłosu. Miał plany, chciał rozwijać biznes. Szum wokół śmierci tylko by mu zaszkodził. Nie było śledztwa z prawdziwego zdarzenia.

– Kogoś pani podejrzewa? – spytał Modest.

– Mój zięć jest człowiekiem nieobliczalnym.

– Mógł zabić matkę swoich dzieci?

– Mógł. Albo się do tego przyczynić.

– Z jakiego powodu? – Modest czuł, że twarz mu płonie.

Oczy staruszki wpatrywały się w niego przez moment. Nad ich głowami rozległ się

nagły huk i krzyk. W pokoju na górze ktoś potknął się o coś i przewrócił. Ktoś biegł do niego po schodach.

– Myślałam o tym przez prawie trzydzieści lat. Nie kłócili się. Moja córka była spokojną osobą. Może dała się zdominować? Nie wiem. Ale z jakiegoś powodu Henryk ją znienawidził. Mam wrażenie, że coś się popsło w ich związku po przyjściu na świat dzieci. I to mi nie daje spokoju. – Maria Lipkowska schowała głowę w ramionach. Patrzyła nieobecny wzrokiem.

Modest odebrał to jako znak zakończenia rozmowy. Pożegnał się i otworzył drzwi do pokoju.

– Proszę poczekać. – Kobieta zatrzymała go. Mierzyli się przez chwilę wzrokiem.

– Modeście Tokaj, nawet się nie przedstawiłeś. Tak nie przystoi. Trochę czasu ci zajęło, żeby wreszcie zająć się tą sprawą. Moja córka byłaby ci wdzięczna.

– Wybacz mi – wyszeptał Modest, ale starsza pani już nie słyszała i zamknęła oczy.

Modest opuścił dom starców, starając się nie rozpłakać.

ANIN

Marek ze zniecierpliwieniem czekał, aż ktoś otworzy mu furtkę. Dzwonił wielokrotnie, ale nikt się nie pojawił. Samochód Anny stał na podjeździe. Czyżby gdzieś wyszli? Ogród zarósł. Trawa przed wjazdem wyschła, bo dawno nie padało.

Wybrał numer komórki ojca. Znowu automatyczna sekretarka. Gdy w końcu zadzwonił do Anny, jej głowa wyjrzała zza drzwi wejściowych.

– Już cię wpuszczam. – W jej głosie słychać było zdenerwowanie.

Gdy się zbliżył, zauważył, że jest bardzo blada i najwyraźniej zmęczona. Jego dłoń musnęła jej dłoń, którą szybko cofnęła. Prawie szeptem powiedziała:

– Bądź ostrożny. Zbyszek nie jest dziś w formie.

Marek odruchowo wytarł buty i wszedł przez hol do salonu. Ojciec siedział przy stole i jadł. Nawet nie podniósł głowy. Przypominał skulonego niedźwiedzia pałaszującego zdobycz. Marek nie wiedział, co powiedzieć. Przeszł z nogi na nogę jak uczeń wyrwany niespodziewanie do tablicy.

– Co cię do nas sprowadza? – Ojciec wypowiadał słowa z namaszcczeniem, jak zawsze gdy był na bani. Jadł dalej, skupiony na zawartości talerza. Jako że Marek nie odpowiedział, powtórzył: – Co cię do nas sprowadza?

– Ja... No wiesz, przyjechałem, żeby spytać, jak się trzymacie... Nie mogłem się dodzwonić ani do ciebie, ani do Adama i postanowiłem, że przyjadę. Co się dzieje?

– A co się ma dziać? Nic.

– A jak po...

– A jak ma być, czekamy, co powie prokurator, jeśli w ogóle cokolwiek powie. Na razie nie ma rozgłosu i to mi wystarczy. Nie ma co robić niepotrzebnego

zamieszania. Ktokolwiek to zrobił, cóż, zrobił.

– Ale przecież trzeba się dowiedzieć kto!

– Doprawdy?

Ojciec wyglądał na szczerze zdziwionego, co zbiło Marka z tropu. Podniósł na niego przekrwione oczy. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, aż Marek poczuł się nieswojo.

– A nie? Przecież to było morderstwo! Może komuś też grozi niebezpieczeństwo? Nie można tego tak zostawić!

– Dla mnie najważniejsze, żeby nie ucierpiało dobre imię mojej firmy i żeby rodzina nie miała kłopotów. Ten przykry incydent powinien tak naprawdę pozostać między nami.

– Incydent?! Czy ty słyszysz, co mówisz, tato?

– Przestań się tak ekscytować, za stary jesteś.

– Tato, ale to przecież twoja córka!

– I co, uważasz, że dochodzeniowa babranina ją wskrzesi?

Marek zamilkł. Nie wiedział, co powiedzieć. Takiej dyskusji zupełnie się nie spodziewał. Nie chciał tego słuchać.

– Dobra, tato, nie rozumiemy się. Mam nadzieję, że policja stanie na wysokości zadania i dowiemy się, kto to zrobił.

– Wiedza jeszcze nikogo nie uratowała, mój drogi. – Ojciec patrzył na Marka, nie odrywając od niego wzroku. Marek znał doskonale to spojrzenie, które nie oznaczało nic dobrego. Poczuł, że się poci. W takich momentach zapominał, że ma przed sobą jedynie starego ojca, który już nie jest dla niego zagrożeniem. Mógłby go zabić, gdyby chciał.

– A firma? – zaczął niepewnie Marek.

– Co, do kurwy nędzy, firma?! Już raz powiedziałem, co myślę, czy muszę się powtarzać?! – Zbyszek wstał z krzesła i zaczął krążyć po salonie. Teraz niedźwiedz powoli wpadał w szal. – Jesteście hieny jebane, nic więcej! Przyjdzie pora, że sobie porządacie, ale nie teraz. Tamtemu pacanowi już powiedziałem, co o nim myślę, ty też chcesz co nieco usłyszeć?

– Ale jesteśmy umówieni. To świetna oferta.

– Świetna oferta, żeby zrobić mnie w konia. Myślisz, że nie wiem, co knujecie? Po moim trupie! Żałuję, że Lorenc nie jest moim wspólnikiem. On jeden miał biznes we krwi. Ty jesteś... – Ojciec urwał.

Marek drżał.

– Ale wyraziłeś zgodę. Luiza mówiła, że...

– Cóż, trudno mi zgadnąć, co moja nieżyjąca córka mówiła, ale cokolwiek to było, nie skończyło się dla niej dobrze, więc uważaj.

Anna weszła do salonu i otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale Zbyszek ją ubiegł.

– Wypuść Marka. Musi wracać do firmy. Chyba już zapomniałeś, jak się pracuje, co? Marek ominął spojrzeniem Annę.

– Tak, Aniu. Będę leciał. Nie musisz mnie odprowadzać. Znam drogę.

Anna niepewnie stała w miejscu, jakby walcząc ze sobą.

– Ale... – zaczęła.

Zbyszek podszedł do niej i dotknął jej ramienia.

– Anno, możesz jechać po dzieci? Wydaje mi się, że są za długo u twojej matki. Albo wiesz co, razem pojedziemy.

Gdy Marek wsiadł do samochodu, nie mógł opanować drżenia rąk. Pospieszenie odpalił silnik, próbując odpędzić wspomnienie o Henryku Lorencu. Nie podobało mu się to, co usłyszał od ojca – cały ich misterny plan mógł wziąć w łeb. Kusiło go, żeby zadzwonić do Henryka, ale co mógłby mu powiedzieć? Czy mógłby mu przekazać coś, czego tamten nie wiedział?

– Witaj, Henryku, ojciec do reszty zwariował.

– Zabij go, mówiłem ci już tyle razy.

– Po prostu?

– Po prostu.

Tak zapewne wyglądałaby ta rozmowa. Henryk nie denerwował się ani nie unosił. Zawsze miał gotową odpowiedź i nigdy nie żartował. Gdy zamykał temat, nigdy do niego nie wracał. Jeśli coś było skończone, było skończone. Jeśli nie, należało czekać.

Marek jechał do domu powoli i najdłuższą drogą. Musiał ochłoniąć i zebrać myśli. Mijając kolejne ulice, układał sobie w głowie to, co usłyszał w trakcie rozmowy. Bydlak. Tylko takie słowa cisnęły mu się na usta. Z niechęcią spojrział na wyświetlacz dzwoniącego telefonu. Gdy odebrał, automatycznie włączył się zestaw głośnomówiący, przez co głos mecenasa Budkowskiego zdawał się jeszcze donośniejszy niż w rzeczywistości.

– Witam, panie mecenasie.

– Dzień dobry, nie przeszkadzam? – Nawet gdybyś przeszkadzał, pewnie nie bardzo byś się przejął, pomyślał Marek, ale głośno powiedział:

– Skądże, dla pana zawsze mam czas. Co się stało?

– W zasadzie nic, ale... – W głosie mecenasa pobrzmiwała udawana troska. – Nasi kontrahenci się niecierpliwą.

– Nie rozumiem?

– Nikt się z panem nie kontaktował? Mnie powiedziano, że chcą się wycofać.

– Nie, nikt ze mną nie rozmawiał. – Zaniepokoił się. – Co takiego mówią?

– Nic konkretnego, ale wygląda na to, że przestraszyli się ostatnich zdarzeń w państwa rodzinie. Oczywiście wyraziły współczucia.

– Co chce pan powiedzieć?

– Boją się, że sytuacja prawna nie jest do końca jasna. – Budkowski wyraźnie ważył

słowa.

– Jak to?

– Mają obawy, że zanim zostanie zakończona sprawa spadkowa po pańskiej siostrze, może upłynąć sporo czasu. Czy wiadomo, kto po niej dziedziczy?

– Jej mąż.

– A dzieci?

– Nie. Luiza zostawiła testament. Wszystko jest jasne i oczywiste! Czemu pan sieje zamęt?

– Proszę mi wybaczyć, ale czytam gazety. Nic nie wygląda, nad czym oczywiście ubolewam, na oczywiste i mniemam, że tak samo stwierdzi zajmujący się państwa sprawą prokurator.

– Co pan, do cholery, sugeruje?! – Marek zacisnął mocniej dłonie na kierownicy.

– Cóż, a jeśli to ktoś z państwa jest sprawcą i sąd zablokuje dziedziczenie na wniosek prokuratora? Chodzi o duże pieniądze, chyba nie muszę panu przypominać.

– Przepraszam, ale odnoszę wrażenie, że zapomniał pan, za co panu płacę. Nie życzę sobie rzucania podejrzeń na kogokolwiek z mojej rodziny! Czy pan oszalał?!

– Doskonale pamiętam, dla kogo pracuję. Potrzebne będą pieniądze.

– Ile?

– Dwieście tysięcy. Na początek.

Udław się, pomyślał Marek i rozłączył się. Zapłaci mu, bo nie ma wyjścia. Nie pozwoli, żeby cokolwiek zablokowało kontrakt, nie tym razem.

POWIŚLE

Jacek Nałęcz lubił ciemną i zazwyczaj tłoczną kawiarnię na Powiślu. Wieczorami, zwłaszcza latem, trudno było tu o stolik. Normalni młodzi ludzie, normalne problemy. Piwo, wino, hamburger, dobra muza. Stanowił tam część czegoś, co przyprawiało go o dreszcz podniecenia, ale z drugiej strony uspokajało. Był taki, jaki był. Nie lepszy, nie gorszy, podobny do innych. Anonimowy. Nikt o nim nic nie wiedział oprócz barmana, który wołał na niego „świr”. Widać kojarzył go z prasy, z wypadku, którego Jacek nie chciał wspominać. Bzdura. Rozdmuchany temat, niewart tego, żeby się nim zajmować.

Zazwyczaj przychodził tutaj z komputerem. Siadał w najciemniejszym kącie sali, grał albo czytał. Gdy był zmęczony, przeważnie zajmował się jakąś lekturą. Dziś nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie. Dziś po prostu chciał siedzieć w tłumie i nie myśleć.

Jacek nawet nie zauważył, że ktoś usiadł przy jego stoliku. Wpatrzony w ekran monitora nie odrywał od niego wzroku. Co jakiś czas podnosił kufel piwa i upijał kilka łyków. Pomiedzy kliknięciami jego mózg rejestrował tylko poruszające się nieme obrazy.

– Nie radziłbym łączyć leków z alkoholem. Zaszkodzi ci. – Henryk Lorenc uśmiechnął się.

Jacek zastygł w bezruchu, ale pił dalej.

– Słabo wyglądasz. Jesz coś? Chyba nie chcesz, żeby matka się o ciebie martwiła?

Twarz Jacka była blada. Nie miał apetytu. Od śmierci Luizy nie funkcjonował tak dobrze jak przedtem. Gestem zaprosił do stolika kelnerkę.

– Orzeszki do piwa. Albo frytki.

Dziewczyna spojrzała na niego.

– To co ma być?

– Frytki.

– A ja poproszę piwo. – Lorenc uśmiechnął się do kelnerki. Odpowiedziała uśmiechem.

Jacek wrócił do przerwanej czynności.

– Poznałem tę twoją dziewczynę – zaczął innym tonem Lorenc. Jacek drgnął. Lorenc zawiesił głos, ale po chwili ciągnął: – Fajna jest. Nie w moim typie, ale może się podobać. Ma coś w sobie.

Jacek po raz pierwszy spojrzał na mężczyznę. Duże niebieskie oczy patrzyły na Lorenca z pogardą i ledwie uchwytną wyższością. Nie lubił go od zawsze. I nie rozumiał, czemu Luiza tak do niego lgnęła. Zupełnie nie znała się na ludziach.

– I co? – Głos miał zachrypnięty. Długo się do nikogo nie odzywał. Nie miał ochoty na rozmowy. – Przeleciałeś ją? – Ironia w jego głosie zabrzmiała gorzko. Pochylił głowę nad kuflem piwa. Resztkę żółtego płynu przykrywała gruba warstwa piany.

– Mówiłem, że nie jest w moim typie. Brak jej kindersztuby – zaśmiał się Henryk. Zmarszczył czoło. Zanim zaczął mówić, w myślach ważył słowa.

Jacek poczuł niepokój. O co mu chodzi?

– Posłuchaj, wiem, ile ostatnio przeszedłeś. Wiem, że musisz odparować. – Teraz Lorenc przemawiał tonem kumpla ze szkolnej ławki. – Każdy tak ma. Będziesz na pogrzebie?

Jacek zamrugał.

– Może. Nie myślałem o tym – skłamał. O niczym innym nie myślał. Gdyby mógł, skremowałby się razem z nią. Miał tu jednak jeszcze coś do zrobienia.

– Przyjdź. Pożegnaj ją. Wiem, że cię lubiła.

Lubiła. Poczuł ukłucie w sercu. Wspomnienie nocy, gdy tulił ją w ramionach, chłonał jej zapach – słodki, obezwładniający, którego nie sposób było zapomnieć. Wszyscy kłamią. Ona go kochała. Tak samo jak on ją. Splecione, spocone ciała. Żądza, bezkres. Przełknął ślinę. Zamknął oczy.

– Może – powiedział w zamyśleniu po chwili milczenia.

– Zastanawiałeś się, kto mógł to zrobić? – Lorenc upił łyk piwa. Obserwował tańczącą na niewielkim parkiecie wstawioną brunetkę. Sukienka podwinęła jej się do

połowy uda. Dziewczyna odchyliła kokieteryjnie głowę. Gdy zauważyła, że ją obserwuje, lekko się uśmiechnęła.

Jacek sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał pytania.

– Wiesz, że to może być ona?

– Kto? – Jacek obojętnie spojrział na Lorenca.

– Nie udawaj. Dziewczyna. Jest zazdrosna jak diabli.

Jacek zgrzytnął zębami. Skąd on to wszystko wie? Czyżby matka się wygadała?

– Też ci to przyszło do głowy? Może trochę za późno, co? – zakpił Henryk. Zależało mu wyraźnie, żeby wyprowadzić go z równowagi. – Zabawiłeś się lalą, a ona cię opacznie zrozumiała. Gdybyś się pilnował, może Luiza by jeszcze żyła.

– Kurwa, przestań. – Jacek był wściekły. W prowokacjach Lorenc nie miał sobie równych. – We wszystko się musisz wpierdalać? Taki jesteś zajebisty wujaszek? Załatwię to po swoim.

Lorenc pogładził się po brodzie. Nieskazitelnie gładka skóra bez śladu zacięcia. Widać, że golił się powoli i dokładnie.

– Chcę ci pomóc.

– Niby jak? I czemu zakładasz, że potrzebuję twojej pomocy?

– Wiesz doskonale, że prędzej czy później dowiedzą się, że...

– To nieprawda! – Jacek zaczął się trząść.

– Niestety, obaj wiemy, że tak. Każdy popełnia błędy, ale od czego ma się przyjaciół?

– Nie jesteś moim przyjacielem! Jesteś nikim! – Jacek dygotał. Zbierająca naczynia kelnerka spojrzała na niego z niepokojem.

Henryk wyprostował się na krześle. Nadal patrząc na wijącą się brunetkę, do której dołączyła równie wysoka, lecz chudsza blondynka, powiedział:

– Jestem jedynym przyjacielem, jakiego masz. Twoja nowa kochasia Marta jest tak zakochana, że prawdopodobnie pójdzie za ciebie nawet do kicia. Pojedziesz do niej i z nią pogadasz.

Jacek zmarszczył brwi. Nie miał ochoty na rozmowy z Martą. Nie chciał jej widzieć. Jeśli to przez nią Luiza nie żyje, powinna smażyć się w piekle.

– Nie mówię, że jest morderczynią. Ale dla ciebie powinna być.

– Czego ty właściwie chcesz? – Pytanie chłopaka zawisło w próżni.

Lorenc nie odpowiedział. Wypił do końca piwo. Otarł usta serwetką i wstał od stolika.

– We właściwym czasie powiem ci, gdzie masz pojechać. Teraz czekaj i unikaj policji, jasne? Do jutra.

Jacek siedział w milczeniu, wpatrując się w wirujący tłum. Czuł, jak jego ciało wznosi się i opada. Miał go w ręku. Znał jego tajemnicę. Mógł mu narobić problemów. Matka poczuje się oszukana. Znow będzie płakać. Nie chciał tego. Klik, wejście na

stronę ze zdjęciami Luizy. Zero ulgi. Musi z tym skończyć. Teraz wszystko pokasuje.
Ona nie żyje. Odeszła. Nie ma. Nic już nie ma.

Świtało, gdy otwierał drzwi do swojego mieszkania.

LUIZA ORŁOWICZ

Piątek, 1 sierpnia 2014 roku

Małgorzata zawsze przyszpilała mnie pytaniami. Atakowała z zaskoczenia. Nie byłam w stanie się przygotować, przewidzieć, co będzie tematem spotkania. Działo mi to na nerwy, ale z każdym kolejnym razem jakby mniej. Godziłam się z tym, że nie na wszystko mam wpływ i że powinnam odpuścić. Brałam głęboki wdech i odpowiadałam. Tak było i teraz.

– Twoja mama kochała ojca? – Małgorzata wyglądała na wkurzoną. Ciekawe, co ją tak zdenerwowało. Może się z kimś pokłóciła?

– A jak myślisz? – Byłam zirytowana. – Skąd mam wiedzieć? Bił ją, mnie też czasem sprął, straszył. Widać kochała, skoro tkwiła w tym związku.

– Niekoniecznie.

Patrzyłam na nią, a moja złość się potęgowała. Nie ja powinnam to wiedzieć.

– Czy w życiu twojej mamy ktoś był? – spytała.

Na to wspomnienie poczułam się dziwnie. Pytanie było niespodziewane i nie widziałam w nim sensu. Dawno o tym nie myślałam. I chyba nikomu do tej pory o tym nie mówiłam. Wymazałam ten fakt, jak wiele rzeczy dla mnie ważnych i dobrych, bo były chwilowe i ulotne. Nie opłacało się ich zatrzymywać na dłużej. Bolały.

Miałam dziesięć lat, gdy zaczął przychodzić Albert, przyjaciel mojej matki z liceum. Wtedy zawsze było lepiej. Uspokajałam się, słysząc jego kojący głos, i życie wydawało mi się piękniejsze. Wierzyłam, że kochał matkę, skoro przychodził, było dla mnie jasne, że może nas zabierze, może życie się zmieni. Nawet któregoś dnia spytałam o to matkę, ale zmieszana powiedziała:

– Córeczko, o czym ty mówisz, pleciesz jakieś głupotki. Albert jest moim przyjacielem, bardzo nas wszystkich kocha, ale... – Matka się zamyśliła. – Twoje pytania nie mają sensu. Przecież masz już tatę i tak musi pozostać. Jesteśmy rodziną, skarbie. – I pogłaskała mnie po głowie, dodając, żebym pobiegła pobawić się do ogrodu.

Gdy przychodził, zamykałam się w swoim pokoju i udawałam, że nie wiem, co się dzieje. Matka trochę się krygowała, ale ja wiedziałam swoje. Słyszałam, jak ją całował, pieścił, jak szli do jej sypialni, gdy myśleli, że ja już śpię i nic nie słyszę. Zawsze słyszałam. Zabawne, jak często dorośli zakładają, że ich dzieci są głuche i ślepe.

Podobno każde dziecko jest zniesmaczone, gdy widzi rodzica w sytuacji intymnej. Ja chyba się tak nie czułam. Może nie było tak, jak być powinno, ale i tak lepiej, gdy nie było ojca.

Albert był miły. Zawsze ładnie pachniał i przynosił mi czekoladki. Pamiętam, że pewnego dnia przyniósł mi nawet lalkę, taką z Peweksu. Miałam już kilka, ale ta wydała mi się zupełnie wyjątkowa. Pozostałe wyrzuciłam i zostawiłam tylko tę jedną. Byłam dumna, gdy mnie zauważał. Nigdy nie krzyczał. Zawsze mówił łagodnym, niskim głosem, który brzmiał jak muzyka.

Ukradkiem gładził mamę po szyi, a ona uśmiechała się promiennie. Nigdy wcześniej i przy nikim innym mama się tak nie uśmiechała. Dlatego nie przeszkadzało mi, że przychodził. Czułam, że mama nie chce, by ktokolwiek o tym wiedział, więc milczałam. Gosposi też nigdy nie było w dni, kiedy zjawiał się Albert. Mama zawsze uprzedzała Barbarę, że poradzi sobie sama, że skoro Zbyszka nie ma, to ona nie musi przychodzić. Nie zdarzało się to często, ale zawsze wtedy, gdy nie było ojca.

Z każdymi odwiedzinami Alberta bardziej traciłam nadzieję, że pewnego dnia ten elegancki, miły pan zabierze nas ze sobą tam, skąd przyszedł. A musiało to być jakieś piękne miejsce, położone gdzieś daleko, w przeciwnym razie przecież bywałyby u nas częściej. To było dla mnie oczywiste.

Mówił, żebyśmy na siebie uważały, i odchodził. Trwało to kilka lat. Aż pewnego razu, stojąc pod drzwiami i podsłuchując, usłyszałam, że on już nigdy nie przyjdzie, że tak nie może, że to nie w porządku, że nie potrafi sobie z tym poradzić. Postanowił wybrać inną drogę. Mama go nie zatrzymała, nie odezwała się nawet słowem. Chciałam krzyknąć: „Goń go, zatrzymaj, przecież on nie może nas tak zostawić!”, ale tylko stałam i słuchałam rozgrywającej się sceny, która nagle wydała mi się rozdzierająco smutna.

Albert spojrzał na mnie, uśmiechnął, ale nie był to uśmiech, jaki znałam. Nie podszedł do mnie, nie uściskał.

Zamknęły się za nim drzwi, a mama, w kompletnej ciszy, płakała i gryzła pięści. Podeszłam i przytuliłam się do niej, choć byłam na nią zła. Nic nie zrobiła. Wiedziałam, że już nikt, żaden mężczyzna, nie zdoła nas uratować. Widać nie byliśmy tego warte.

– Nic się nie stało, córeńko. Nic się nie stało.

Matki głos ani trochę mnie nie uspokoił. Dużo się stało. Obie wiedziałyśmy o tym bardzo dobrze.

Albert pojawił się w naszym życiu wiele lat później, jako ktoś zupełnie inny, ale ja nie chciałam już z nim rozmawiać.

Czwartek, 11 czerwca 2015 roku

FALENICA

Henryk Lorenc szedł korytarzem, nasłuchując. Koszulę muskał przeciąg. Czuł, jak zimne powietrze okala mu biodra. Dłonią dotykał wilgotnej kamiennej ściany. Nozdrza rozszerzały się w poszukiwaniu zapachu. Oddychał głęboko, uśmiechając się do siebie. Przenikała go woń mokrej, nigdy nieogrzonej słońcem ziemi. Podziemne królestwo napawało dumą i uspokajało. Nigdzie nie czuł się tak dobrze, jak tu.

Przywieziono dwie kolejne kobiety, ale nie było słyhać krzyków. Wszystko odbywało się z zachowaniem środków ostrożności. Przestrzegano procedur, pilnował tego. Wiedzieli, co grozi za niestosowanie się do jego nakazów. W tym miejscu budynku nie dochodziły żadne odgłosy z izolatek. Dwójka dzieci miała trafić do nowych domów w najbliższych dniach. Chciał je zobaczyć, ale rozboleła go głowa.

Lorenc przystanął i zamknął oczy. Tutaj czuł się najlepiej. W swoim królestwie adopcyjnym. Jego małym świecie, w którym był bogiem. Sam decydował o losach dzieci. Sam wymierzał karę kobietom, które były niegodne, żeby żyć i dawać życie.

Pamiętał dzień, gdy wszedł do mieszkania z uśmiechem, który zamarł na jego twarzy. Spojrzał na matkę, jej dłonie były umazane krwią. Nie płakała. W oczach zastygły strach i rozpacz. Wpadł do pokoju. Ojciec leżał z głową na biurku. Mówili, że strzelił sobie w łeb z powodu długów. Mówili, że nie wytrzymał presji. On wiedział, jaka była prawda. Zastrzelił się, bo przyjaźń z Orłowiczem stała się jego zgubą. Bo się zawiódł. Głupiec. Jak ojciec mógł tak mu zawierzyć? Jak mógł wystawić całą swoją rodzinę na pożarcie przez tego małego człowieka?!

Od tamtego dnia nienawidził też kobiet. Pogardał nimi. Wszystkie kobiety jego życia okazały się nic niewarte. Roksana... Tak ją kochał, a jedyne, co po niej zostało, to wspomnienie dwóch żalosnych istot, których pozbył się szybko, bo nie miał zamiaru patrzeć, jak będą dorastać u jego boku. Matka... nigdy nie liczyła się z ojcem. Ślepo jej wierzył, a ona zdradzała go, kradła jego pieniądze, żeby w końcu wystawić go na śmierć jak ostatniego frajera.

Henryk przystanął. Spojrzał za siebie, bo wydawało mu się, że ktoś za nim idzie. Nasłuchiwał przez chwilę, ale nikogo nie było. Przeszedł kilka metrów dalej, korytarz zwęzał się i ciemniał. *Requiem* Mozarta przecięło ciszę. Henryk odebrał telefon po kilkudziesięciu sekundach wsłuchiwania się w dobrze znane dźwięki.

– Dziękuję za informację – odezwał się. – Odwdzięczę się za pańską dobroć. Wierzy pan we mnie? Niezwykłe miło mi to słyszeć. Tak, rzeczywiście, chyba muszę zająć się kilkoma sprawami. Jeszcze raz dziękuję.

Gdy się rozłączył, wziął głęboki wdech. Depczą mu po piętach. Nadchodził koniec świata. Nie mógł czekać z założonymi rękami. Kiedy stanął przed metalowymi drzwiami, nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Jako że pomieszczenie było pozbawione okien, zawsze paliła się w nim stojąca na biurku lampka. Tym razem wewnątrz panował absolutny mrok. Musiała przepalić się żarówka, zaklął w myślach. Wyszukał po omacku kontakt. Gdy zapalił światło, nie miał już wątpliwości – ktoś dostał się do jego biura i grzebał w jego rzeczach.

SASKA KĘPA, PRAGA-PÓŁNOC

Gdy Zawadzki wrócił do prokuratury po oględzinach miejsca kolejnego zabójstwa, próbował uporządkować w głowie wszystkie fakty. Zmarszczył brwi. Obietnica złożona Lorencowi ciążyła mu z każdą godziną coraz bardziej, ale nie mógł jej złamać. Nie może stanąć po stronie Modesta. Tym razem nie może nic dla niego zrobić. Czuł ból. Przed oczami stanęła mu scena sprzed lat.

– Będiesz zawsze po mojej stronie, jak już nie będziesz po mojej stronie? – Modest wpatrywał się w Olka, nie spuszczać z niego wzroku. Był zdeterminowany. Oczekiwał prawdy, zasad, lojalności do końca. Przyjaźń wyryta na nadgarstku chłopięcą krwią. Olek zaśmiał się.

– Przestań, nie rozumiem. Letni dzień, piwko, po co rozmawiać o takich poważnych sprawach?

– Powiedz, czy będziesz zawsze po mojej stronie, gdy już nie będziesz po mojej stronie?

– Będę po stronie sprawiedliwości. Będę prokuratorem. – Uśmiechnął się z młodzieńczą wiarą w marzenia, które zawsze się spełniają.

Modest skrzywił się.

– Będziesz gryziopiórkiem. Wiesz, jak to wygląda.

– A ty będziesz psem. Wiesz, jak to wygląda? – zadrwił.

Modest odwrócił się do niego plecami. Chude sterczące łopatki. Zawsze był niepokojąco drobny. Nie dojadł, ale nikt w jego domu się tym nie przejmował.

– Spójrz na mnie, stary. – Olek zaniepokoił się. Podszedł do kumpla. Modest płakał. – No co ty? – Nie wiedział, co powinien powiedzieć. – Nie wygłupiaj się, no przecież zawsze... No wiesz, gdzie ty, tam i ja. Bez kitu. – Niezdarnie próbował objąć go ramieniem.

Modest otarł łzy brudnym rękawem. Została ciemna smuga na policzku.

– No to zapamiętaj sobie. Z czego jak z czego, ale z tego cię rozliczę. Obaj jedziemy

na tym samym wózku. – Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Czy nie zdradzi? Czy nie sprzeniewierzy się temu, co obiecał? Czemu teraz nie stoją razem po tej samej lepszej stronie? Zawadzki skrył twarz w dłoniach. Kimkolwiek byli, przestali tacy być już dawno temu.

Do jego pokoju wtargnęła niespodziewanie Halinka. Pogrążone w mroku pomieszczenie wyglądało jak nora. Jego awans. Jego krwawica. Jego poświęcenie i ideały. Cztery źle otynkowane, pomalowane na szary kolor ściany. Białe biurko z IKEA, krzesło pamiętające czasy pierwszego stażu oraz okno z widokiem na podwórko i park. Duże zdjęcie żony i córki ustawione tak, że widział je tylko on.

– Czemu siedzisz po ciemku? – Bez pytania zapaliła światło. – Mamy coś.

Spojrzał na nią pytająco. Miał podkrążone oczy. Źle sypiał. Widział, jak skanowała jego twarz w poszukiwaniu odpowiedzi: co się z nim dzieje?

Halina rzuciła na stół informacje, które udało się zebrać na temat denatki. Intuicja podpowiadała mu, że oba morderstwa miały ze sobą związek. Małgorzata Łowicka, bo tak nazywała się druga zamordowana, jak udało się ustalić, z zawodu była psychiatrą.

Kobieta, dobre czterdzieści kilka lat, rozwódka, bezdzietna, samotna. Długoletnia praktyka w ośrodku uzależnień. Kilka lat temu odeszła z pracy. Wyglądało na to, że sama miała problemy osobiste. Tego dnia, gdy zginęła Luiza Orłowicz, wracała z ośrodka terapeutycznego Życie mieszczącego się na Saskiej Kępie, przy rondzie Waszyngtona. Miała tego ranka superwizję, więc potwierdzało to wersję Wiatrakowej, że widziała kobietę w tej okolicy.

– Umów mnie z tą drugą psychiatrą z ośrodka. Muszę ją przesłuchać natychmiast.

Halina bez słowa spełniła jego polecenie.

SASKA KĘPA

Marianna Nowacka była certyfikowanym superwizorem, wieloletnim i uznanym członkiem Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Specjalizowała się w terapiach uzależnień rodzin alkoholowych. Zawadzki zobaczył sztucznie uśmiechającą się kobietę o pociągłej twarzy, małych, przymrużonych oczkach i wąskich zaciśniętych ustach. Antyteza kobiety szczęśliwej i spełnionej nie wróżyła owocnej rozmowy ani owocnej terapii.

Rozejrzał się uważnie po gabinecie, który był sterylny i surowy jak jego właścicielka.

– Czy to prawda, że w piątek miała pani superwizję Małgorzaty Łowickiej?

Kobieta splotła dłonie na kolanach. Wystudiuowana mina typu: tak, wiem, ma pan ze sobą problem, już od pierwszej chwili podziałała mu na nerwy.

– Tak. Była u mnie o dziewiątej. Wyszła po jedenastej.

– Proszę powiedzieć, jaki był powód wizyty?

Na twarzy terapeutki pojawił się grymas niezadowolenia. Zawadzki miał wrażenie, że starsza kobieta nie była w stanie zrozumieć kogokolwiek, a już na pewno nie jego.

– Prowadziła terapię, z którą miała problemy. Nie znam szczegółów. Wiem tylko, że jej pacjentka została poddana nowatorskiej metodzie transowej hipnozy i ujawniła fakty, które przedstawiały dziwne wydarzenia z jej dzieciństwa. Rozmawialiśmy o tej metodzie, którą ja zdecydowanie kwestionuję. Uważam, że to nie terapia, ale wywoływanie duchów i robienie pacjentom wody z mózgu. Łowicka się ze mną nie zgadzała, więc zakończyliśmy spotkanie, bo i tak trwało za długo.

– Może jakieś szczegóły?

– Łowicka była profesjonalistką, a ja uznałam, że to naprawdę strata czasu zajmować się takim teatrem. Źle się dzieje, gdy terapeucie się wydaje, że znalazł patent na całe zło tego świata.

– Czyżby sama miała kłopoty osobiste?

Spojrzała na niego pytająco, ale odpowiedziała:

– O tym nie rozmawialiśmy. Łowicka nie była w dobrym stanie od dawna. Miała skłonność do depresji. Zawsze uważałam, że szybko się wypali. Za bardzo żyła życiem swoich pacjentów. Odradzałam jej prowadzenie jakichkolwiek terapii, ale się uparła – bardzo lubiła tę klientkę i wyraźnie podchodziła do jej spraw emocjonalnie. Zdecydowanie zbyt emocjonalnie. Pomimo moich próśb nie chciała odwołać sesji. Co najmniej jakby chodziło o życie tamtej kobiety.

Zawadzki zamarł.

– Może jednak chodziło?

– Słucham? – Kobieta spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Pacjentka Małgorzaty Łowickiej nie żyje. Sądzę, że właśnie ta, o której rozmawialiście.

Zbił ją z tropu i wyglądała na przestraszoną. Jej pewność siebie nagle się ulotniła.

– Popełniła samobójstwo? – spytała, patrząc na niego z niepokojem.

– A czy ja to powiedziałem? – Zawadzki był zdumiony jej reakcją.

– Powinien pan sobie zdawać sprawę – zaczęła cierpko, próbując zatuszować swój niespodziewany przestach – jak często się to teraz zdarza. Wieszają się, łykają tabletki, tną, rzucają z mostu, z okna. Takie czasy.

Zawadzki uniósł brwi i spoglądał na kobietę z zaciekawieniem. Osobiście nie znosił psychiatrów, psychoterapeutów, ale ta baba, niezależnie od wszystkiego, wydała mu się zwyczajnie po ludzku wredna.

– Ani jedna, ani druga z pań nie popełniła samobójstwa. To zostało przez nas wykluczone. Bez względu na mamy do czynienia z morderstwami.

– Cóż, przykre. – Uderzyła dłońmi o kolana, co w odczuciu Zawadzkiego miało kończyć rozmowę. – Najwyraźniej obie miały kiepską sytuację życiową. Małgorzata była w desperacji, jak tylko pamiętam. Mogła również pogorszyć kiepską kondycję

psychiczną swojej pacjentki. Powiedziałam jej to podczas naszej ostatniej rozmowy.

– Czemu pani tego nigdzie nie zgłosiła?

– Czego? – Kobieta spojrzała na niego ze złością.

– Że podejrzewała pani nakłanianie do samobójstwa.

– O czym pan mówi? – Nie sądził, że uda mu się ten manewr, ale była wściekła. – Co pan insynuuje?

Zawadzki milczał, ale zaraz zapytał:

– Zdaje sobie pani sprawę, że chodzi o dwa morderstwa?

– No i? Co ja mam niby z tym wspólnego?

– Może mi pani wreszcie powie, o co chodziło? Z czym miała problem Małgorzata, gdy się do pani zgłosiła? Bo może się okazać, że coś wspólnego pani ma.

Cisza, która zapadła, przepełniona była złością. Lekarka, wpatrzona w ścianę, milczała. Przez moment zdawało się, że prowadzi ze sobą ożywioną rozmowę. Na jej czole pogłębiała się silnie zarysowana pozioma bruzda.

– Chodziło o to, że klientka w hipnozie przypominała sobie bardzo dramatyczną scenę ze swojej przeszłości. Scenę gwałtu, którego padła ofiarą.

Zawadzki zastygł. Tego akurat się nie spodziewał.

– Czy jej klientką była Luiza Orłowicz?

– Tak – odparła sucho.

– I? – ponaglił kobietę, która najwyraźniej w pełni zdawała sobie sprawę, jakie wrażenie robią na nim jej słowa.

– I pytała, czy to możliwe, że kobieta wymazała z pamięci fakt, że była kiedyś w ciąży. Być może w związku z tym gwałtem, ale nie wiem tego na pewno.

Zawadzki przełknął ślinę, zrobiło mu się gorąco. Dzieci. Niemowlęta. Bezbronność. Matki. Lorenc. Łańcuch przyczynowo-skutkowy, który układał mu się w głowie niczym najbardziej skomplikowany chemiczny wzór, zaczynał go przerażać.

– I co pani odpowiedziała?

– Że jak najbardziej. – Nagle machnęła ze smutkiem ręką. – Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Uważam jednak, że Łowicka powinna skierować pacjentkę do leczenia szpitalnego albo ten temat w cholerę zostawić. Przepisać leki i zostawić. Na to wszystko potrzebny jest czas – to nie przychodzi ot tak sobie, proszę pana.

– Czy nie padło jakieś nazwisko? Kto mógł być sprawcą?

Kobieta zawahała się, ale dała za wygraną.

– Łowicka podejrzewała ojca, tak przynajmniej zrozumiałam, ale nie rozmawialiśmy na ten temat.

Jej słowa podziały na niego piorunująco.

– Karta leczenia Łowickiej? – spytał sucho.

– Zawiera to, co panu przekazałam – stwierdziła chłodno. – Jest objęta tajemnicą lekarską, jak pan zapewne wie.

– Czy mam panią aresztować?

Kobieta posłusznie wstała i pogrzebała w regale. Wyjęła stamtąd teczkę, która leżała na wierzchu, i podała Zawadzkiemu.

Prokurator nie miał wątpliwości: Małgorzata Łowicka musiała za dużo wiedzieć. I komuś to przeszkadzało. Tylko komu?

Wracał do prokuratury taksówką. Pytań było coraz więcej. Dlaczego Łowicka weszła na teren znajdującej się w pobliżu domu Orłowiczów budowy? Dlaczego zginęła akurat tam? Nikt nie wiedział. Ośrodek, w którym odbyła rozmowę z terapeutką, mieścił się w dość dużej odległości od miejsca śmierci. Przeszukanie domu Małgorzaty również nic nie wniosło. Wyglądało na to, że nie prowadziła już żadnej dokumentacji terapeutycznej albo ktoś zdołał ją usunąć, tego też nie mogli wykluczyć. Nie znaleźli niczego na temat terapii Luizy Orłowicz. Był jednak głęboko przekonany, że obie te śmierci miały ze sobą związek. Dzieci stanowiły w tej łamigłówce wspólny mianownik.

Zawadzkiemu zrobiło się nagle niedobrze. Wiedział, że z Orłowicza niczego nie wyciśnie, musiał szukać dalej. Gdy dotarł do prokuratury, zadzwonił do niego Biadoń.

– Mam tego Jacka. Mogło chodzić o Jacka Nałęczca. Widziano go kilka razy z Martą na mieście.

– Sprowadźcie go do mnie – powiedział roztargniony.

– Ale jest lepszy numer. Luiza też go znała. Bywał w domu Orłowiczów od dziecka.

– To syn Barbary, ich gospodyni. Marta musiała go tam poznać.

Zawadzki poczuł, że informacje zaczynają go przytłaczać.

ŚRÓDMIEŚCIE

Alina Wiśniewska zaciągnęła się papierosem. Jej gabinet zarzucony był papierami, książkami z zakresu medycyny sądowej i patologii. Niedopałki w wypełnionej po brzegi popielniczce przy każdym powiewie wiatru brudziły stół popiołem. Wiśniewska tępo wpatrywała się w monitor, czekając na Zawadzkiego.

W pokoju było biało od dymu, ale Wiśniewskiej to nie przeszkadzało.

– Wszędzie cię szukam. – Zawadzki rzucił te słowa tonem, w którym można było wyczuć lekką pretensję. Wiśniewska apatycznie kiwnęła głową.

– Co jest? – Zawadzki spojrzał na nią ze zdziwieniem. Rzadko widywał ją zamyśloną. Nostalgia nie była stanem, który do niej pasował.

W milczeniu odrzuciła na bok gęstą, platynową grzywkę. Wyjęła następnego papierosa.

– To była starsza ode mnie koleżanka ze studiów.

Zawadzki podniósł brwi z zaciekawieniem.

– Łowicka?

Wiśniewska przytaknęła.

– Nawet przez pewien czas utrzymywałyśmy bliski kontakt. Nie spodziewałam się, że ją będę kroić.

– Może poproszę kogoś innego?

– Nie – odparła sucho.

Zawadzki wiedział, że nie należy jej narzucać swojego zdania.

– Ona była za dobra, a potem zwariowała. – Wiśniewska dmuchnęła dymem prosto w twarz Zawadzkiego, ale nie zareagował. – Dla swoich pacjentów zwariowała. Zaczęła zajmować się hipnozą. Nie wychodziła z gabinetu. A jak się zawzięła na jakiś przypadek, nie było na nią siły. Drażyla za wszelką cenę.

– To samo mówiła Nowacka. Wiesz, co się u niej działo ostatnio?

– Nie mam pojęcia. Mogę popytać. Przyjaźniła się z kilkoma osobami, które znam. Choć nie sądzę, żeby ktoś się nią interesował. Przez pracę cierpiało jej życie prywatne.

– Wiśniewska przerwała i roześmiała się. – Skąd my to znamy, co, Oluś?

W milczeniu kiwnął głową. O swoim życiu prywatnym nie był w stanie opowiadać, bo prawie go nie było. Często zaledwie starczało czasu, żeby pojechać na tydzień wakacji. A wyjście z żoną do kina stanowiło nie lada wydarzenie.

– Tak, Oluś. A potem ładujesz na stole, czego ci oczywiście nie życzę. Nie mam zamiaru cię kroić. – Wiśniewska porozumiewawczo mrugnęła.

– Byłbym wdzięczny. – Zawadzki odpowiedział uśmiechem.

Gdy wchodzili przez służbę na salę sekcyjną, dotarł do nich zapach, którego nie sposób było z niczym innym pomylić.

– Myślisz, że sprawcą jest ta sama osoba? – Wiśniewska przystanęła, zakładając maskę.

– Myślę, że tak. Lekarz i pacjent. Musiała je połączyć wiedza, która komuś przeszkadzała tak mocno, że postanowił zabić. Obie.

– W popłochu i bez planu?

– Chyba tak. Ewidentnie ktoś wykorzystał okazję, ale zrobił to na mój gust w ostatniej chwili. Myślę, że Łowicka szła na spotkanie z Luizą.

– Czyli morderstwo jedno po drugim?

– Na to wygląda.

W milczeniu stanęli przy zwłokach. Był już tam technik Leon z nieodgadnionym wyrazem twarzy, do czego Zawadzki zdążył się już przyzwyczaić.

– Oluś, bym zapomniała. Luiza zażyła Estasolanum. To wyjaśnia jej bierność w zakresie obrony. Musiała się nie wybudzić, pomimo dźgnięcia nożem.

– Na miejscu zbrodni znaleźliśmy puste opakowanie.

– Nie dziwi mnie to. Mogła na tym całkiem nieźle funkcjonować.

– Czyli powoli układa się to wszystko w całość?

Wiśniewska nie odpowiedziała, tylko przetarła oczy chustką i przystąpiła do pracy.

RYBIENKO

Modest zaparkował samochód pod domem Moniki. Podobało mu się to, co zobaczył. Pomalowany na ciemny kolor drewniany dom na jasnej podmurówce, niebieskie okna i drzwi, szwedzki szaroniebieski dach. Zadbane, zazielenione na dziko podwórko, zapach eterycznych olejków sosnowych unoszący się w powietrzu miło pieścił nozdrza. Mężczyzna przestępował z nogi na nogę, nie wiedząc, czy wejść do środka.

– Co się tak kiwasz? – Monika uśmiechnęła się nieznacznie na jego widok, otwierając mu szeroko drzwi wejściowe. Nogą powstrzymała kota, który korzystając ze sposobności, chciał dać drapaką.

– Piotrek jest? – Modest czuł się skrępowany. Od miesięcy rozmawiali wyłącznie przez telefon. Odzwyczyił się od jej wyglądu i zapachu. Ale zarówno jedno, jak i drugie sprawiło mu zaskakująco dużą przyjemność.

– Tak, robi porządek w szopie. Chcesz kawy?

Przytaknął niepewnie, rozglądając się dookoła. Zamiłowanie żony do rózu i prowansalskiego stylu było widoczne. Tutaj bardziej pasowało niż w ich mieszkaniu w Warszawie.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Pytasz o Piotra? – Uśmiechnęła się, unikając jego spojrzenia. Wyglądała na równie skrępowaną. – Tak, etap skakania sobie do oczu mamy już za sobą.

– Naprawdę chcesz, żeby pomalował ci elewację? – spytał z niedowierzaniem.

– Naprawdę. Przecież musi coś robić. Zapłacę mu, a potem sobie gdzieś pojedzie.

Zapadła cisza. Pierwszy odezwał się Modest.

– Na razie nigdzie nie pojedzie.

Monika spojrzała na niego badawczo. Przechyliła głowę na bok jak zawsze, gdy szykowała się do słownej potyczki.

– Nie pojedzie, póki nie zamkną tej sprawy – dopowiedział Modest.

– A jak im idzie? – spytała podejrzliwie.

– Wiedzą coraz więcej. Znaleźli kolejne kobiece zwłoki. Prawdopodobnie sprawcą obu morderstw jest ta sama osoba. – Modest usiadł na krześle przy tarasowym stole. Popatrzył w dal i dodał cicho: – Marta uciekła.

– Żartujesz? – Monika zachłysnęła się kawą.

– Niestety, nie. Szukają jej. Teraz podejrzewają, że uciekła z jakimś mężczyzną. Mają go odszukać i przesłuchać.

Monika zmarszczyła brwi.

– Źle to wygląda?

– Na razie jest główną podejrzaną, więc źle.

– Ale dlaczego miałyby zamordować tę kobietę? Czy też kobiety? – Widać było, że Monika nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Też mi to trudno pojąć. Jednak od dawna nic nie wiem o jej życiu. Nie mam pojęcia, co mogło nią kierować.

– Naprawdę uważasz, że Lorenc maczał w tym palce?

Modest wpatrywał się w dal w milczeniu. Po chwili powiedział:

– Rozmawiałem z matką Roksany Lorenc.

Monika wstrzymała oddech.

– Nie rozumiem? Co to ma z nią wspólnego?

– Pamiętam dzień, kiedy...

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś. – Monika wpatrywała się w Modesta w osłupieniu, nerwowo obracając w dłoni kubek.

– Byłem tam. Lorenc zamordował Roksanę na moich oczach.

Monika wyglądała na wstrząśniętą.

– I nic nie zrobiłeś?!

Modest miał minę zbitego psa. Czuł, jak palący wstyd pozbawia go tchu. Ból promieniował mocniej niż do tej pory, atakując lędźwie i uniemożliwiając swobodne ruchy.

– Nic – odpowiedział głucho.

– Ale dlaczego?

– Roksana była moją kochanką.

Monika siedziała z otwartymi ustami. Po kilku minutach milczenia zdobyła się na pytanie, które sprawiło, że skulił się jak mały chłopiec.

– I przez ciebie zginęła?

Modest milczał.

– I nikomu nie powiedziałeś tyle lat?! Czyli to, co się wydarzyło wtedy z Piotrkim, to była jego zemsta?!

Monika wstała i zaczęła nerwowo krążyć wokół stołu. Modest podszedł i wziął ją w ramiona.

– Z Martą może być podobnie – powiedział cicho. – Lorenc nie spocznie, póki się nie zemści do końca.

PRAGA-PÓŁNOC

Po kilku minutach do pokoju wszedł Jacek Nałęcz, młody, wysoki mężczyzna, o niezwykle wyrazistych, niebieskich oczach. Myśl, która pojawiła się nagle, wydała się Zawadzkiemu tak absurdalna, że natychmiast ją wyparł. Obserwował Nałęcza, który usiadł na krześle i patrzył na niego spode łba.

– Dziękuję, że pan przyszedł – rozpoczął Zawadzki. Uśmiechnął się do chłopaka i czekał na reakcję.

Jacek spoglądał na niego nadal w ten sam sposób. Był nieobecny i przestraszony.

– Może przejdę od razu do pytań, żeby nie zajmować panu zbyt dużo czasu.

Cisza potęgowała wrażenie, że nic z gościa nie wyciśnie. Tylko pozornie chłopak wyglądał tak bezbrinnie. Kilka lat temu został zatrzymany, bo poturbował nastolatka na basenie. Uczył go pływać. Nikt nie wiedział, czemu Jacek wpadł w szal. Chłopak ledwie uszedł z życiem, a Jacek dostał dozór kuratora.

– Kim jest dla pana Marta?

Mężczyzna wbił spojrzenie w podłogę. Milczał.

– Wie pan – postanowił spróbować z innej strony Zawadzki – to córka mojego przyjaciela i bardzo się o nią martwię. Może domyśla się pan, gdzie jest teraz?

Chłopak posłał mu wrogie spojrzenie.

– Nie mam pojęcia. Po to mnie tu wezwaliście?

– Spotykał się pan z nią, a ona zniknęła.

– Nie spotykałem się z nią! – Zawadzki domyślał się, że młody potrafi być agresywny. – To ona się do mnie przyczepiła!

– Okej. Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Łaziła za mną jak jakaś nawiedzona – mówił ze złością. – Pisała listy. Ona mi się nawet nie podobała.

– Jak to się skończyło?

– Przespałem się z nią i tyle.

Zawadzki jakoś się nie zdziwił.

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

– Nie wiem, chyba kilka dni temu. – Chłopak kłamał, było to widoczne.

Zawadzki robił wszystko, żeby trzymać nerwy na wodzy.

– To ważne. Czy możemy ustalić, kiedy to było dokładnie? Zniknęła w niedzielę.

– Widziałem się z nią w sobotę. – Chłopak posłał prokuratorowi spojrzenie pełne niechęci.

– Gdzie?

– Byłem u niej.

– Co robiliście?

– Uprawialiśmy seks.

– A potem?

– Powiedziałem jej, że to koniec. Była taka namolna, miałem dość. Nie było mi z nią tak, jak trzeba.

– Jak zareagowała?

– Nadzwyczaj dobrze. Zdziwiłem się. Myślałem, że wpadnie w histerię.

Czy młody kłamał? Zawadzki się zamyślił.

– To co zrobiła? Może coś powiedziała?

– Nic nie powiedziała. No, spojrzała na mnie i powiedziała, że pożałuję.

– Nie mówiła nic, że wyjeżdża?

– Nie.

Nie sprawiał wrażenia, że kłamie.

– Znał pan Luizę Orłowicz?

Jacek milczał. Prokurator obserwował go uważnie. Mina mężczyzny świadczyła o tym, że prokurator poruszył niewygodny temat. Najwyraźniej Luiza Orłowicz nie była mu obojętna.

– Znał ją pan, prawda?

– Tak – odpowiedział z ociąganiem.

– Może mi pan coś o niej powiedzieć?

Jackowi zaczęła drzeć broda. Wyglądał jak dziecko, które zaraz się rozpłacze. Zawadzkiemu zrobiło się gorąco.

– To ważne – odezwał się łagodnie.

– Znałem. Z widzenia. Nic szczególnego. – Twarz młodego mężczyzny była zacięta.

Aleksander Zawadzki próbował rozgryźć, czy Jacek lubił Luizę, czy też za nią nie przepadał.

– Czy wie pan, kto mógł jej źle życzyć?

Jacek Nałęcz spojrział na niego i wybuchnął śmiechem.

– Na moje oko wszyscy. Ojciec jej nienawidził. Brat dybał na jej pieniądze. W teatrze wszyscy zazdrościli.

– Skąd pan to wie?

– Wszyscy to wiedzą, ale nikt nie chce o tym gadać. Nie zna pan Orłowiczów? Tam nikt nie mówi prawdy – z zasady.

Zawadzki długo milczał. Młody wiedział więcej, niż chciał przekazać. Nie uległo najmniejszej wątpliwości, że chłopak wychowywał się w cieniu rodziny Orłowiczów i znał ich różne sprawy.

– Spytam po raz ostatni: czy wie pan, gdzie może być teraz Marta? – odezwał się w końcu Zawadzki.

Pewność siebie Jacka nagle zniknęła.

– Nie mam pojęcia. – Zmrużył oczy. – Nie miałem z nią kontaktu od ostatniego razu.

Zawadzki odchylił się na krześle. Przyszło mu do głowy jeszcze jedno pytanie.

– Zna pan Henryka Lorenca. – Sam nie wiedział, dlaczego właściwie stwierdził fakt.

Jacek spojrział z zaciekawieniem na Zawadzkiego.

– Nie znam.

– Na pewno? Bywał u Orłowiczów, musieliście się poznać – ciągnął chłodno Zawadzki.

– Nie przypominam sobie. Ale może nie zostałem przedstawiony? – W głosie chłopaka słychać było drwinę.

Zawadzki rozumiał, że wszyscy boją się Lorenca. Jacek łął jak pies.

– On mówił co innego.

Chłopak spojrział na niego z przestraszaniem.

– Nie rozumiem?

– Mówił mi, że pana zna.

Jacek niespokojnie kręcił się na krześle. Sprawiał wrażenie, jakby natychmiast chciał wybiec z pokoju.

– Lepiej, żeby powiedział pan teraz. Nie chciałbym was konfrontować.

– No dobra, poznałem – dał w końcu za wygraną.

– Co pan o nim wie?

– Nic. Widziałem go, tylko tyle.

Teraz Jacek wyglądał, jakby zobaczył ducha.

– Czemu pan kłamał?

– Nie chcę o nim rozmawiać. Po prostu.

– Boi się pan?

– Tak jakby.

– Kiedy pan go widział?

– Kilka dni temu.

– Gdzie?

– Na mieście.

– O czymś rozmawialiście?

– Mówił o Luizie.

– Co mówił?

– Że to bardzo dziwne, że ktoś coś takiego zrobił.

– Mówił coś o Marcie?

Jacek milczał przez chwilę.

– Mówił, że to ona zabiła Luizę.

Okno trzasnęło na skutek przeciągu. Słowa Jacka docierały do Zawadzkiego powoli. Nie miał powodu nie wierzyć chłopakowi.

– Myśli pan, że Marta mogła zabić Luizę?

– Nie wiem. – Spojrzenie Jacka było lodowate. – Chyba każdy może zabić, jeśli ma powód, prawda?

LUIZA ORŁOWICZ

Wtorek, 5 sierpnia 2014 roku

Padało, a mnie koszmarnie nie chciało się iść do Małgorzaty. Czułam się fatalnie po tym, jak sprowokowała rozmowę o kochanku mojej matki, czułam się fatalnie.

Czyżby pozbawiła mnie iluzji, że Irena była aniołem? A może chodziło o Alberta? Nic nie wiedziałam o tym rycerzu na białym koniu, który miał uratować mnie i moją schorowaną rodzicielkę przed niechybnym końcem.

Nie znałam jego nazwiska, nie pamiętałam nawet, jak wyglądał. Przecież to było tyle lat temu. Musiał być teraz mocno starszym panem.

Przeszukałam rzeczy matki. Gdy już miałam zrezygnować z dalszych poszukiwań, odkryłam obrazek wetknięty za lustrem. Na przodzie Matka Boska, a z tyłu dedykacja: „Z błogosławieństwem dla rodziny Orłowiczów – ksiądz Albert Janik, 1992 rok”.

Zamarłam.

Przestałam oddychać.

Nie mogłam uwierzyć.

Zapragnęłam dowiedzieć się natychmiast, co to miało znaczyć.

Dlaczego, w imię Boga, nas nie wybawił?

Napisałam do Małgorzaty, że nie przyjdę, bo jestem chora.

Kimkolwiek był teraz, zamierzałam go odnaleźć. Nie wiedziałam tylko po co.

Znalazłam go bez trudu. Poznał mnie. Nie wiem, jak to się stało, przecież byłam wtedy dzieckiem! Miał łzy w oczach i wydało mi się, że naprawdę cieszy się z naszego spotkania.

– Lusi, co ty tu robisz, dziecko?

Stałam jak zaczarowana. Przede mną kulił się siwy, wysoki, mocno zapadnięty w sobie mężczyzna, na którego czekałam tyle czasu. Pogodne niebieskie oczy spoglądały nadal młodzieńczo. W dzieciństwie fantazjowałam, że wybuduje dla nas dom, będziemy w nim mieszkać szczęśliwie aż po kres życia. We trójkę: ja, mama i Albert.

Powiedział, że bardzo mu przykro i że żałuje. Musiał iść swoją drogą. Wybrał inną służbę. Kochał moją matkę uczuciem innym, niż powinien.

– Wybrałem seminarium. Zrobiłem to dla niej. Dziecko, tak się czasem w życiu układa. Nie płacz.

Nawet nie czułam, jak łzy spływają mi po policzkach. Zamurowało mnie. Zupełnie inaczej to zapamiętałam. Czy mogłam aż tak wszystko poplątać?

– Zostaw to – powiedział cicho, a twarz drżała mu ze wzruszenia. – Zostaw wszystkie stare brudy. Nic dobrego nie przyjdzie z odgrzebywania przeszłości. Bóg tak chciał.

Niestety, Albert nie mógł wiedzieć, że zabrnęłam za daleko. Byłam zbyt ciekawa tego, co mogę odkryć. Nie tylko o swojej matce, ale przede wszystkim o sobie.

Patrzył na mnie z uwagą. Widocznie nie byłam w stanie ukryć tego, jak bardzo jestem wściekła. Czułam się oszukana. Ocierałam mokre oczy, wstydząc się swoich łez.

– Zostaw to, dziecko, nic z tego dobrego nie wyniknie – powtórzył, jakby chciał przypieczętować koniec rozmowy. A może chciał mnie przed czymś ostrzec?

Nawet nie drgnęłam. Nie miałam odwagi powiedzieć, co myślę. Nie miałam odwagi, żeby pytać i prosić o więcej.

Człowiek, na którym opierałam swoje dziecięce marzenia, okazał się tchórzem. Cóż więcej mogłam dodać?

Piątek, 12 czerwca 2015 roku

ANIN

Anna wróciła do domu rano. Gdy podążała wąską ścieżką, patrzyła, jak dzieci sąsiadów machają na pożegnanie swojej mamie. Uśmiechnięty tata czekał przy samochodzie. Przystanęła. Poczowała ukłucie zazdrości. A może to też iluzja? Może takich bajek nie ma? A może tylko ona niewłaściwie szukała i źle trafiła?

Przypomniała sobie scenę, kiedy spotkała Zbyszka po raz pierwszy. Miał gościnny wykład o zarządzaniu firmą na ich uczelni. Ekspert od biznesu. Gdy go zobaczyła, pomyślała: nadęty bufon. Jednak przystojny facet po czterdziestce szybko udowodnił, że warto go słuchać. Gdy mówił, w auli panowała absolutna cisza. Przemawiał do nich niczym Bóg. Nie bardzo pamiętała, co było tematem, ale wrażenie pozostało. Charyzma mówcy była nie do opisania. Wierzył w sukces, był sukcesem. Zaczepił ją po wykładzie, gdy siedziała sama w uczelnianym barze. Nie spodziewała się, że zwrócił na nią uwagę. Może wyróżniała ją uroda, może wzrost, ale nie była jedną z tych, które rzuciły się do jego biurka na przerwie, aby zadać jakieś pseudomądre pytanie. Po prostu wyszła. Potem dowiedziała się, że on ma fioła na punkcie długonogich brunetek.

Szybko oszalała na jego punkcie. Po kilku miesiącach dowiedziała się, że jest żonaty, ale że to tylko kwestia czasu, bo żona umiera na raka. Wtedy na jeden dzień go zostawiła. Kiedy jednak wrócił z wielkim bukietem kwiatów, takim, że jej własna matka powiedziała, że jeszcze w życiu podobnego nie widziała, przyjęła go z powrotem. Skoro jego żona i tak umrze... Trudno się dziwić, że szuka pocieszenia.

Niechętnie weszła do domu. W środku panował półmrok. Z łazienki dobiegał szum lejącej się wody.

Poszła zrobić kawę. Może to doda jej sił, żeby przetrwać ten koszmary dzień. Przechodząc korytarzem, popatrzyła w lustro. Ślad na wardze nie był zbyt wyraźny. Przypomniała sobie dotyk dłoni Marka i poczuła nagły ucisk w podbrzuszu. Nie, nie może o tym myśleć, nie teraz. W ogóle najlepiej zapomnieć.

W łazience nadal lała się woda. Po kwadransie Anna zaczęła się niepokoić. Zostawiła w zlewie filiżankę i postanowiła wejść do środka.

Boże, kiedy to się skończy? Chciała otworzyć drzwi, ale były zamknięte. Poczowała nagły przypływ paniki.

– Zbyszku, otwórz, do cholery! Otwórz te pieprzone drzwi! – Głos kobiety był

nienaturalnie piskliwy, jak zawsze, gdy była zestresowana. Przecież muszą dziś pojechać na ten pierdolony pogrzeb!

Zza drzwi dochodził tylko szum wody. Anna nie wiedziała, jak długo stała, szarpiąc za drzwi. Poszła do kuchni po śrubokręt, żeby rozkręcić klamkę. Pewnie leży zalany na podłodze albo zasnął w brodziku, pomyślała.

Śrubokręt wypadł na gresową podłogę z głuchym łoskotem, gdy Anna odwróciła się i zobaczyła Zbyszka. Przytrzymała się blatu, żeby nie upaść. Szumiało jej w głowie, a przed oczami zrobiło się ciemno. Wyglądał przerażająco.

– Słyszałem, że pukałaś – powiedział niebezpiecznie cicho, świdrując ją wzrokiem.

W skupieniu poprawiał koszulę. Ręce mu nie drżały. Widać już zdążył się napić.

Anna opanowała się i spojrzała na męża z odrazą.

– Nie masz wstydu, żeby tak się pokazywać ludziom.

Niczym nie różnił się od ulicznego menela. Nawet najdroższe ubrania nie były w stanie zatuszować śladów bezustannego picia. Patrzył na nią mętным wzrokiem spod opuchniętych powiek. Widziała ślady otarcia na skórze.

Przez chwilę zastanowiła się, dlaczego nie kazał jej zadzwonić do kliniki, żeby ktoś przyjechał i podał mu kroplówkę. Zawsze, gdy przeholował, wiedział, gdzie prosić o pomoc. Czyżby już tak stracił poczucie rzeczywistości, że zaczęło mu być wszystko jedno? Od trzech tygodni pił codziennie. Anna dziękowała Bogu, że dzieci mogą mieszkać u jej mamy. Nie musiały na to patrzeć. No i Anna sama była u niej częstym gościem. Gdy matka zobaczyła, jak ją Zbyszek ostatnio urządził, załamała ręce, a przecież nie było najgorzej. Już się zdarzyło, że wstydziła się wychodzić z domu przez kilka dni.

Matka przeczuwała, że życie ze Zbyszkiem nie należało do najłatwiejszych, ale ponieważ Anna nigdy wcześniej się nie skarżyła, matka mówiła: „Może trzeba mu pomóc? Może z nim porozmawiaj? Wiesz przecież, tak dobrze wam się żyło? Taki standard życia nie zdarza się często”. Monolog matki zawsze budził w Annie wściekłość. Ojciec przytakiwał, jak zwykle nie miał własnego zdania.

– Czy ty w ogóle słyszysz, co ja do ciebie mówię? – spytała sucho, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest zdenerwowana.

– Słyszę. Ale chyba nie myślisz, kurwo, że robi to na mnie wrażenie? Między nami skończone, nie będziesz tu mieszkać. Idę z tobą, wywłoko, tylko dlatego, że mam tam coś do załatwienia.

– Ty bydlaku – szepnęła.

Zbyszek patrzył na nią, jakby słowa docierały do niego z wielkim opóźnieniem.

– Wezwij taksówkę.

– Pojedziemy moim samochodem.

– Wezwij, kurwa, taksówkę!

Anna wzięła telefon i posłusznie wykonała polecenie. Zaciskała zęby. Żeby jeszcze

przeżyć ten dzień. Jeszcze kilka dni, pomyślała.

SASKA KĘPA

Barbara zdejmowała ze stołu niewidoczne gołym okiem pyłki. Nadszedł wreszcie dzień, do którego przygotowywała dom z takim oddaniem i wysiłkiem. Musi być pięknie, czysto, nieskazitelnie. Pogrzeb na pewno będzie wyjątkowy. Luiza zasłużyła na to, pomyślała ze smutkiem.

W wazonach stały białe lilie i wypełniały pomieszczenia duszącym zapachem, mieszając się z wonią pasty do podłogi i środka do dezynfekcji. Na stolikach porozstawiano jedzenie. Ewa się postarała, trzeba przyznać, że zadbała o wszystko.

Kanapę usunięto, bo Adam powiedział, że absolutnie się nie zgadza, żeby ten mebel został w domu. Barbara twierdziła, że dopiero, że nie będzie śladu, ale podniósł na nią głos i krzyknął, że sobie nie życzy. Jacek zabrał zatem kanapę do siebie, bo stwierdził, że odda do tapicera, że szkoda. Ma rację. Mądry chłopak, zawsze umie sobie poradzić. I taki zdolny w majsterkowaniu, myślała. Może jednak będzie miała z niego pociechę na stare lata?

Uspokoił się ostatnio, pocieszała się, polerując kieliszki delikatną ściereczką. Nie było dobrze, kiedy tłumiał uczucia, ale w tej sytuacji cieszyła się, że tak było. Emocje nie wносиły niczego pozytywnego. Im mniej się w to, co się działo, angażował, tym lepiej. Bardzo chciała, żeby miał swoje odrębne życie.

Barbara spojrzała na zegarek i pomyślała, że już czas się przebrać. Pogrzeb miał być o trzynastej, zostało niewiele czasu. Chwilę się zastanawiała, może to nie najlepszy pomysł, ale chyba nikt nie zauważy, jak włoży jakąś suknię Ireny? Doskonale znała zawartość jej szafy. Luiza nie pozwalała tam nic ruszać, ale ona wiedziała, że Irena nigdy nie miałaby Barbarze tego za złe. Wyjęła czarną, prostą sukienkę. Powinna być na nią dobra. Po co ma wisieć i się marnować? Mole zjedzą, a tak to ona będzie wyglądać dostojnie, gdy na wierzch zarzuci fartuch. Na swoim miejscu, jak zawsze. W pośpiechu wyszła z pokoju, przed wyjściem otworzyła okno, żeby wpuścić trochę powietrza. Nikt tu od dawna nie wchodził. Tylko Luiza miała zwyczaj czasem się tu zamykać. Prosiła wtedy, żeby nikt jej nie przeszkadzał. Potrafiła tam siedzieć godzinami.

Barbara zajrzała do szufladki, która była tajnym schowkiem Ireny. Zauważyła brak medalionu, który tak uwielbiała. Co zrobić, musiał się gdzieś zapodziać.

Kobieta rozejrzała się jeszcze raz po pokoju. Był taki sam jak Irena, elegancki, ale chłodny. Jedwabna kapa straciła połysk, ale nadal wyglądała szlachetnie. Nie było żadnych bibelotów, żadnych dodatków. Na stoliku nocnym, przy którym Irena siadywała zwykle bardzo zmęczona, leżała Biblia. Widać biedaczka ratowała się jak mogła w chorobie. Nie traciła nadziei. Modliła się za wszystkich. Mawiała: „Basiu,

światło potrzebne jest każdemu, zwłaszcza nam. Błądzą nasze dusze, musimy się za nie modlić”. Czasem wyglądała jak obłąkana, ze spoconym czołem i rozgorączkowanym spojrzeniem. Barbara wiedziała, że leki pomagały w walce z chorobą, ale osłabiały umysł. Barbara otworzyła Biblię. Na pierwszej stronie rzuciła jej się w oczy dedykacja: „Z przyjaźnią, A.”.

Kto by pomyślał, że tak się to wszystko skończy. Barbara pokiwała głową ze smutkiem. Ciekawa była, czy po tylu latach pozna Alberta. Na pewno się zmienił.

Wyszła z pokoju, ale zawróciła i wzięła ze stolika Biblię Ireny.

W mieszkaniu było parno. Klimatyzacja odmówiła posłuszeństwa. Ewa spoglądała na Marka, który siedział na kanapie. Pocił się tak, że koszula przykleiła mu się do klatki piersiowej. Patrzył nieruchomo w jeden punkt na ścianie. Rozmowa ze Stefanem sprawiła, że poczuł, jak Lorenc wbija w niego spojrzenie metalicznych oczu niczym nóż.

– Schrzanieś sprawę? Uprzedzałem cię, że do tego trzeba mieć głowę na karku. Czemu mnie nie słuchałeś?

Z zamyślenia wyrwały go słowa Ewy:

– Jak wyglądam? – Ałasowa sukienka doskonale podkreślała jej zgrabne pośladki. Żona wyraźnie oczekiwała reakcji.

– Pięknie. Jak zawsze – odparł, ścierając pot z czoła wierzchem dłoni.

– Mógłbyś chociaż spojrzeć. – Ewa z rezygnacją rzuciła torebkę na kanapę. Była wściekła. Nienawidziła czerni, czuła się w niej staro. – Ja się zaharowuję, żeby twoja rodzinka miała co jeść na dzisiejszym wspaniałym przyjęciu, a ty nawet nie możesz mi poświęcić jednej cholernej minuty! Co się z tobą dzieje?! – Ewa była na granicy płaczu.

Marek spojrział zdumiony.

– Co ty opowiadasz?

– A co? Jak ty mnie traktujesz? Jak powietrze! – Ewa ze złością usiadła w fotelu.

– Nie przesadzasz przypadkiem? – Spojrział chmurnie. Nie lubił, gdy tak do niego mówiła.

Ewa nie odpowiedziała.

– Już lepiej? – Marek zbliżył się do niej. Nie miał ochoty jej przytulać, ale czuł, że powinien coś zrobić. Niezdarnie dotknął jej dłoni, której ona nie cofnęła. – Ewa, dziękuję, że robisz to przyjęcie. Jestem ci wdzięczny. Myślę, że Luiza by to doceniła.

Żona kiwnęła głową na znak, że przyjmuje podziękowania. Rzadko tak do niej mówił. Nie przywykła do pochwał ani wdzięczności. Zawsze traktował jej pracę jak niewiele znaczący kaprys. Sam kupił jej lokal, choć nie umiała gotować. Przywiózł jej nawet prawdziwego Taja, któremu słono zapłacił, by ten w latach dziewięćdziesiątych przeniósł się wraz z rodziną do Warszawy. I to był strzał w dziesiątkę. Oczywiście nie

popęłnił tego błędu, żeby lokal przepisać na Ewkę. Nie był głupi. Widział niejednego kolegę, który po takim hojnym goście zostawał w samych slipach. Całe ich wspólne życie Ewa była od niego zależna, a on był sprytny. A może tylko mu się wydawało? Interes szedł jej tak świetnie, że już sama otworzyła drugi lokal. I na to nie miał już wpływu. Ewa się zmieniła, nie wiedział tylko, co to dla niego mogło oznaczać.

– Mamy jeszcze godzinę. Myślę, że możemy już ruszać. Kupiłam kwiaty. Widziałeś? Są w przedpokoju.

Marek spojrział na żonę. Myślała o wszystkim.

– Zaraz zobaczę, na pewno piękne.

Ewa z uwagą przyjrzała się twarzy Marka.

– Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że zapomniałeś się ogolić.

– Tak? Rzeczywiście. – Marek przejechał dłonią po policzku. – Poczekaj, daj mi chwilę.

Powinien być bardziej uważny, co się z nim dzieje? Musi wytrzymać i nie pęknąć. Nie będzie łatwo w tym uczestniczyć. Stanął w łazience, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze. Mocnym ruchem chwycił golarkę. Żeby się jeszcze do tego wszystkiego nie zaciąć, pomyślał.

Czarny garnitur wisiał na Adamie jak na kiju. Nie nosił go od czasu pogrzebu swojego dziadka, czyli jakieś pięć lat. Czuł się fatalnie. Miał ochotę uciec, choć wszystko było przygotowane. Stypa odbędzie się u nich w domu. Początkowo mieli wątpliwości, czy to najlepsze miejsce, ale Adam uznał, że przecież Luiza spędziła tu całe swoje życie i pewnie by sobie tego życzyła. Barbara oraz kucharka Ewy miały zająć się obsługą. Z restauracji żony szwagra przywiozą jedzenie. Wszystko ma być idealnie. Tak jak idealna była Luiza. Chciał, żeby taką ją zapamiętali. Dokładnie taką.

Adam nerwowo wiązał krawat. Ręce mu drżały i zaczynał się irytować. Zawsze mi w tym pomagała, pomyślał. Łzy płynęły mu po twarzy. Po którejś z kolei uzyskał odpowiedni węzeł. Nie możesz wyglądać jak strach na wróble, przypominał sobie jej słowa. Strach na wróble.

Ludzie przyjdą i tego bał się najbardziej. Będą patrzeć i komentować. Cała rodzina i wielu znajomych.

Trzeba to wszystko przeżyć, powtarzał w myślach.

Zszedł na dół. Dzieci czekały. Gdy tylko się pojawił, natychmiast do niego podbiegły. Boże, żebyśmy tylko zdołał przez to przejść.

Matka stała w drzwiach. Miała nieodgadniony, jak zazwyczaj, wyraz twarzy. Ani radość, ani smutek. Potrafiła być taka obojętna? Na szczęście z góry zszedł również ojciec. Miał czerwone oczy. Widać było, że i jemu jest ciężko.

Chwycił syna za ramię i przytrzymał.

– Jedziemy?

Powoli zaczęli wychodzić do samochodu. Dzieci na szczęście już nie pytały o mamę. Gdy Adam zamykał drzwi auta, odwrócił się w kierunku domu. Telefon zawibrował w kieszeni. Spojrzał na wyświetlacz. Wiadomość od Marka: BĘDĄ NIEMCY. PILNUJ SIEBIE I OJCA. OGARNEŃ TO. Adama przeszedł dreszcz. Brakowało tylko, żeby ktoś zakłócił ostatnie pożegnanie jego żony.

BRÓDNO

Taksówkarz z niechęcią patrzył na pasażera, który pochylając się nad otwartym oknem, próbował przekonać go, żeby zawiózł go pod z trudem wymówiony adres. Dopiero gdy mężczyzna machnął kierowcy przed nosem plikiem banknotów, Józef Paprocki otworzył drzwi i pomógł mu wsiąść. Mężczyzna z jękiem osunął się na tylne siedzenie. Sapał, był bardzo blady, a czoło zalewał mu pot. Przerzedzone siwe włosy kleiły się do pomarszczonej skóry, a starcze plamy na skórze dodawały lat. Podkrążone, podpuchnięte oczy miały wyraz człowieka znajdującego się na skraju obłądu.

Józef Paprocki nie takich klientów już widział, ale za każdym razem zbierało mu się na wymioty, gdy patrzył na takie zachlane ryje. Bał się, że delikwent zaśnie i że będzie miał problem, by go wywlec na zewnątrz. No i zawsze w takich sytuacjach wątpliwy był sam adres. Czy rzeczywiście chce tam jechać, czy coś mu się po pijaku przywidziało? Kto go tam wie? Nie wyglądał na biedaka, taksówkarz przez moment miał nawet wrażenie, że to znajoma twarz, ale potem doszedł do wniosku, że jednak mu się zdawało.

Nieżyły kurs, pomyślał, da się nawet zarobić. Byleby facet nie puścił pawia, bo będzie dodatkowe sprzątnięcie i wtedy nie wyjdzie na swoje.

Mężczyzna w trakcie drogi nie spał. Taksówkarz co jakiś czas zerkał na niego podejrzliwie, ale pasażer oczy miał otwarte. Może śpi z otwartymi?, zastanawiał się Paprocki. Słyszał, że niektórym ludziom się to zdarza, zwłaszcza lunatykom. Ale chyba nie, bo wyglądał, jakby się naprawdę nad czymś zastanawiał.

– Wie pan, właśnie odbywa się pogrzeb mojej córki – powiedział niechciany pasażer. Mówił dość niewyraźnie, taksówkarz nie był pewien, czy dobrze usłyszał. – Słyszał pan? Mówiłem, że właśnie odbywa się pogrzeb mojej córki. Mojej córki! – krzyknął i spojrzał na taksówkarza. Grymas na jego twarzy mógł oznaczać zarówno wyraz złości, jak i zapowiedź płaczu.

Taksówkarz nie wiedział, co odpowiedzieć. Dziwny facet, może go tak życie zламаło, że się pogubił?

– Córki? Przykra sprawa. Znaczy po pogrzebie pan jest? – zaczął, chcąc wybadać, czy aby dobrze zrozumiał.

– Nie! A która godzina? – Facet z trudem próbował odchylić mankiet koszuli, żeby

odsłonić tarczę zegarka.

– Trzynasta.

– Nie, pogrzeb się właśnie zaczął.

– To czemu pan wraca z cmentarza? – dziwił się coraz bardziej taksówkarz.

Pijany zamknął oczy i przez chwilę kierowca miał wrażenie, że mężczyzna zasnął. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że mamrocze coś pod nosem do siebie.

– Nie chce pan wrócić na cmentarz? Tam jest pewnie pana rodzina, może pana szukają? – Józef Paprocki był coraz bardziej niespokojny. Miał nadzieję, że nie wdepnął w jakieś gówno.

– Wie pan, kim ja jestem? – Słowa pijanego mężczyzny przypominały charknięcia wypowiedane tonem groźby. – Ja jestem wielki! A oni nic nie rozumieją! Ja to wszystko zawsze robiłem dla nich! Wszystko dla nich! A oni nic nie rozumieją! Darmozjady! Myślą, że ja takim skurwysynem byłem! A ja dla nich!

Takich wielkich to Józef Paprocki widywał średnio pięć razy w tygodniu. Milczał, ale po chwili zdecydował się coś odpowiedzieć, żeby nie rozdrażniać pasażera.

– Tak, oczywiście, że pan jest wielki, ale czemu pan wraca z cmentarza? Córka chyba ważna była dla pana?

– Córka? Nigdy nie miałem córki. Moja córka umarła dawno temu. Żona też nie żyje...

Taksówkarz pogubił się już w tych informacjach i powoli nabierał pewności, że facet nie wie, co mówi.

– Wie pan... – Pasażer, jakby zachęcony zainteresowaniem, ciągnął: – Syna miałem, nie córkę. Córka to kurwa była. Żona to kurwa była. A ja syna miałem. Jakie to wszystko były kurwy! I szantażystki! – Ostatnie słowo wymówił z trudem. – Janek był jedyny taki! Marek mu nawet do pięt nie dorasta... Gdybym wtedy tylko wiedział, że... Ech.

Taksówkarz postanowił, że nie będzie już zadawał żadnych pytań, żeby nie rozjuszyć i tak zirytowanego klienta. Byle go dowieźć na miejsce i byle wysiadł, najlepiej o własnych siłach.

Nagle facet wyjął z portfela zdjęcie.

– Patrz!

Taksówkarz na światłach odwrócił głowę i spojrzał na starą fotografię. Spoglądał na niego przystojny chłopak, ale w jego oczach było coś takiego, że taksówkarz dostał gęsiej skórki.

– To on!

– Przystojny. To ten pana syn?

Pasażer nie odpowiedział. Uśmiechał się tylko do siebie, oparł się na siedzeniu i nic nie mówił. Nie zauważył, że zdjęcie spadło mu pod nogi.

Gdy dojechali na miejsce, zapłacił, zostawiając duży napiwek, życzył taksówkarzowi

miłego dnia i wysiadł, lekko się zataczając.

Dom, przed którym kazał się zatrzymać, wyglądał na pusty, jakby niezamieszany. Nie był zaniedbany, widać było, że sporo ktoś w niego zainwestował. Niezła chawira na starej Saskiej Kępie. Na biednego nie trafiło, pomyślał Paprocki, w dupach się już wszystkim przewracało.

Stojąc przed autem, pasażer odwrócił się jeszcze do kierowcy, machnął do niego ręką, chwając się na nogach. Otworzył bramę i zniknął w ogrodzie.

Taksówkarz postać jeszcze chwilę, zastanawiał się, czy może iść za facetem, bo trochę się o niego zaniepokoił, ale zrezygnował. Pijak da sobie radę.

BRÓDNO

Koniec czerwca przyniósł znaczne ochłodzenie. Ciemne, burzowe chmury wisały nisko nad drzewami jak złowroga pierzyna. Kościół, w którym o godzinie trzynastej miał się odbyć pogrzeb Luizy Orłowicz, był mały, a pomalowane na zielono stare drewno budziło skojarzenie z góralską chatą.

W tłumie ubranych na ciemno postaci rodzina próbowała ustalić, kto jest kim i czy nie czyha na nich żaden żądny sensacji dziennikarz. Wiadomo było, że o śmierci Luizy zrobiło się w mediach głośno i ich dotąd dobrze strzeżona prywatność stała się obiektem zainteresowania wielu ludzi.

Ewa zbliżyła się do Anny, siląc się na uśmiech. Marek szedł kilka kroków za nią. Nie spojrzał nawet na żonę ojca, gdy ta szukała jego wzroku. Pod nosem wymamrotał słowa powitania i stanął bokiem, udając, że nie zauważył Anny. Zapalił papierosa i poprawiał garnitur, spoglądając ponad tłumem.

– Są te hieny? – rzucił Marek do zgromadzonej rodziny.

Ewa spojrzała na niego uważnie, ale milczała.

– Na razie nikogo nie widziałam, Zbyszek miał zadbać, żeby ich nie było – odpowiedziała cicho Anna. Była blada i sprawiała wrażenie tak kruchej, jak najcieńsza porcelana, która na skutek jednego niewłaściwego ruchu rozsypie się na tysiące kawałków.

– No właśnie, a gdzie on się podziewa? – Ewa od razu zorientowała się, że go nie ma. Zawsze, gdziekolwiek się pojawiał, uwielbiał znajdować się w centrum uwagi.

– Jest w toalecie – odpowiedziała cicho Anna.

Szczęki Marka zacisnęły się mocniej. Ewa popatrzyła na męża znacząco, ale udał, że nie widzi jej spojrzenia.

– Zbyszek nie w formie? – spytała bez ogródek. Marek popatrzył na nią z wyrzutem. Miała to gdzieś. Czemu, do diabła, nie może być szczerą i mówić, co myśli?

– No, niespecjalnie. – Chwiejąca się na wietrze Anna, ze wzrokiem wbitym w ziemię, nie przypominała dawnej diwy salonowej.

– Co on się tak rozpił? – kontynuowała prowokacyjnie Ewa, nie zważając na narastające wokół skrzypienie. – Nie rozumiem. Musicie coś z nim zrobić. Ja naprawdę nie pojmuję, że wy się na to wszystko godzicie, zupełnie jakby wam z tym było wygodnie.

Marek chwycił ją mocno za ramię i odprowadził na bok.

– Co ty wyprawiasz? – syknął jej do ucha.

Ewa wzruszyła ramionami. Tchórz i kłamca, pomyślała, ale posłała mu tylko lekki uśmiech. Gdy zobaczyła nadjeżdżający mercedes na niemieckich numerach, uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Dostaniesz, gnoju, na co zasłużyłeś.

Samochód stanął dziesięć metrów od nich. Kierowca wyłączył silnik, a ze środka wysiadło czterech mężczyzn. Skinęli w ich kierunku głowami, wyjęli z bagażnika wieńce i przeszli do kościoła.

– A kim są ci ludzie? – spytała zaskoczona Zofia, która wyrosła przed nimi nagle jak spod ziemi.

Ewa zerknęła na Marka. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Nie mam pojęcia. – Ewa wiedziała, że kłamał.

– To chyba jacyś Niemcy. Ciekawe, co ich tu przyniosło. Marek, na pewno nie wiesz? Chyba cię znają – włączył się nagle do rozmowy stojący obok mężczyzna należący do dalszej rodziny.

– Długo już tam jest? – spytał nagle Marek Annę, zmieniając temat.

– Nie wiem, chyba z piętnaście minut. Poszedł od razu, jak tylko przyjechaliśmy.

– A gdzie ta toaleta?

– Na lewo od bramy, przy kostnicy. Ale poczekaj, nie idź – powiedziała, jakby czytając w jego myślach.

Zofia spoglądała na wszystkich ze zdziwieniem. Napięta atmosfera stawała się coraz bardziej nie do zniesienia.

– Nie no, Anka, oczywiście, że Marek zaraz po niego pójdzie, nie wygłupiaj się! – krzyknęła Ewa gorliwie. – Przecież to pogrzeb jego córki, nie przesiedzi go chyba w kiblu! Co on tam robi tak długo?

– Dajmy mu jeszcze chwilę – ucięła zdenerwowana Anna i z niepokojem spojrzała na Marka.

Ewa poczuła ukłucie w sercu. Do tej pory powtarzała sobie, że się myli. Teraz zyskała absolutną pewność. Wzięła głęboki wdech. Wyjęła z torebki gumę do żucia i włożyła do ust. Gdy jej spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Zofii, poczuła, że stara wie więcej, niż się komukolwiek wydaje, ale postanowiła to zignorować.

– Adam idzie. – Ewa spojrzała w kierunku bramy. Na jego widok poczuła niezrozumiałą ulgę, zupełnie jakby nie wierzyła, że się pojawi. Czyżby na niego czekała, bo wydawał jej się teraz tak samo osamotniony jak ona?

Wszyscy bez słowa odwrócili głowy w jego stronę. Szedł zgarbiony, nie patrząc na

nich. Szybkim krokiem przeszedł do drzwi kościoła i zniknął w jego wnętrzu.

Ewa uśmiechnęła się do siebie.

Zagrzmiało, gdy Zofia Frankowska usadowiła się w trzecim rzędzie na jednej z ławek przygotowanych specjalnie dla rodziny. Niewygodnie, ale czego tu się spodziewać, pomyślała. Czowała się fatalnie. Nie znosiła lilii, wiedziała, że rozboli ją głowa. Ich pudrowy, duszący zapach był sprzymierzeńcem migreny. Żałowała, że nie zabrała ze sobą wody.

Rozglądała się dookoła, nie dbając o zachowanie dyskrecji. Dużo było ludzi, których widziała pierwszy raz w życiu. Najwyraźniej Luiza miała wielu przyjaciół. Chociaż „przyjaciele” to może za duże słowo, raczej znajomych. Teraz młodzi mają znajomych, tabuny znajomych. A tak naprawdę nikt ich nie zna i pies z kulawą nogą się nimi nie przejmuje.

Korzystając z chwili oczekiwania, Zofia zatopiła się we wspomnieniach. Ech, kiepski los Luizie zafundowała matka. Zofia mogła się tylko domyślać, co tam się u nich wyprawiało, bo siostra nigdy się na nic nie skarżyła. Zawsze zadowolona, z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Kto by się zorientował, że cokolwiek może być nie tak? Tak, ale ona, Zofia, wiedziała swoje.

Kiedyś zastanawiała się, dlaczego ich matka Janina tak się uparła, żeby Irena wyszła za Zbyszka. Czy Zbyszek rzeczywiście chciał się z nią żenić? Czy przekonały go wyłącznie pieniądze Janiny, oferowane jako wkład do jego spółki?

Irena była piękna. Posągowa, wysoka, grube i lśniące włosy, regularne rysy twarzy – nie było człowieka, któremu by się nie podobała. Zofia jednak nie dowierzała uczuciom Zbyszka.

Po wyjściu za mąż Irena rzuciła studia. Pewnie jej kazał, a ona, uważając, że dziecko nie pozwoli jej na kontynuowanie nauki, niespecjalnie się opierała. Zresztą wiadomo było, że Zbyszek dobrze rokuje. Był gwiazdą na uczelni, wszyscy go wychwalali, że nieprzeciętnie inteligentny, że jak mało kto sobie radził, że zajdzie wysoko. Człowiek skazany na sukces. Szybko zaczął zarabiać tyle, że Irena nie musiała pracować. Miała rodzić dzieci, siedzieć w domu i wyglądać. Z dziećmi jednak nie wyszło tak, jak się spodziewali. Coś ewidentnie poszło nie tak.

Pogrążona w myślach Zofia wodziła bezwiednie wzrokiem po otaczających ją ludziach. Gdy zauważyła stojącego z boku eleganckiego mężczyznę koło pięćdziesiątki, zrobiło jej się gorąco. Rozpoznała go w sekundę. Niewiele się zmienił. Nie postarzał się bydlak ani trochę. Jakby się zakonserwował. Zofia skrzywiła się. Czyżby nadal przyjaźnił się z rodziną? Po tym wszystkim, w co ich wplątał? Za mało krzywd wyrządził? Ten głupi Marek musiał go zaprosić. Zawsze wpatrzony w Lorenca jak w obraz. Musiał mu dorównać, udowodnić, że jest równie dobry w interesach. Zofia doskonale wiedziała, że nigdy mu się to nie uda. Lorenc był wyjątkiem.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

Słowa księdza wyrwały Zofię z zamyślenia. Oniemiała, gdy usłyszała tak dobrze znany głos. To on żyje? Jak to możliwe, co on tutaj robi?! Albert Janik we własnej osobie. Posiwały, z plecami wygiętymi w łuk niczym stara wierzba.

Zofia nie mogła uwierzyć, że to się działo naprawdę. Zbyt dużo niespodzianek jak na jeden pogrzeb.

Wyprostowany jak struna Modest stał przed kościołem z rękami w kieszeniach. Włosy targał mu wiatr, ale nie zwracał na to uwagi. Czujnie omiatał wzrokiem tłum zmierzający do świątyni na początek mszy. Środkowe drzwi otwarto, widać było ustawiony pośrodku rząd drewnianych krzesel dla najbliższej rodziny.

Modest doskonale wyczuwał sztuczność tej chwili. Ludzie pełni strachu, poruszający się jak roboty, zdawkowe, nerwowe uśmiechy, ukradkowe spojrzenia. Luiza Orłowicz otworzyła drzwi, które powinny były pozostać zamknięte. Nikt z nich nie chciał wiedzieć, co się za nimi znajduje. Niewielu lubi drzwi śmierci, pomyślał Modest. Gdy młody człowiek umiera, jest za dużo pytań. A gdy umiera, bo ktoś sobie tego życzy, pytania są przytłaczające.

Modest przyszedł, bo głupio łudził się, że spotka tu Martę.

– O, kogo widzę, ekskomisarz? – Nieoczekiwanie wyrosła przed nim niska korpulentna dziewczyna z zawadiackim uśmiechem, który wydał się Modestowi wyjątkowo bezczelny. – Coś tu macie ciekawego? Czy może rodzina? – Kobieta szczerzyła się na widok Modesta, jakby brała udział w castingu do reklamy pasty do zębów. Prokurator się nie ucieszy, pomyślał Modest.

– A może to pani krewna? – odciął się, wyjmując ręce z kieszeni. Dłonie mimowolnie zacisnęły się w pięści.

– Jak zwykle dowcipny. – Magda Kowalska zaśmiała się nieszczerze. – Czym nas pan po tak długiej przerwie zaskoczy? Zakładam, że profesjonalnie? Czy poszukuje pan swojej córki? A może znudziły się panu detektywistyczne zagadki pod tytułem: ile kochanek ma pan Władek?

– Proszę dać mi spokój. – Czuł, że zaczyna drgać mu powieka, a ból dźgnął go w łędźwie pomimo dwóch apapów, które profilaktycznie zażył po śniadaniu.

– Czy pańska córka – kontynuowała bez najmniejszych oporów Kowalska – będzie miała tak dużo szczęścia jak pan i też ujdzie jej wszystko na sucho, jak pan myśli? Pan tylko strzelał do syna, a ona... No cóż, miała chyba jeszcze więcej inwencji.

– Zejdź mi z oczu, ty...! – krzyknął Modest i kilka osób odwróciło się do nich.

Nagle nie wiadomo skąd wyrósł przed nim Zawadzki.

– Opanuj się – syknął na tyle ostro, że Modest zatrzymał w sobie pragnienie uduszenia dziennikarki. – Nie mówiłem ci, że masz się nie afiszować? – Prokurator był wściekły.

Modest spojrział na niego zdziwiony. Ręce trzęsły mu się ze złości, był spocony i miał ochotę dać komuś w mordę. Może wtedy by mu ulżyło. Spojrział ze skruchą na Zawadzkiego. Rzeczywiście nie powinien tu przychodzić.

Bez słowa ruszył w kierunku nowego kościoła. Szedł wzdłuż ceglanego, kruszącego się w wielu miejscach muru. Mijał starsze panie zgięte pod ciężarem zniczy i kwiatów targanych na groby. Szły szybko. Każdy chciał zdążyć przed deszczem.

Modest minął kontenery ze śmieciami, w których dogorywały wieńce i kwiaty, leżały wypalone znicze. Z oddali dochodziła dziwna, świąteczna melodia, jakby z wnętrza jakiegoś grobu. Przez chwilę zdawało mu się, że ma omamy. Widząc uśmiechniętego Świętego Mikołaja, zdumiał się, jak wytrzymała musiał mieć baterię.

Kopiąc kamyki na nierównym chodniku, doszedł do alei z numerem H56.

Wokół panowała cisza, nie licząc szumu drzew poruszanych coraz mocniejszymi porywami wiatru. Wystające zza nagrobków tuje ugiwały się prawie do ziemi. Wokół nie było nikogo. Podniósł głowę. Już wiedział, gdzie doszedł. Gdzie musiał dojść, bo tylko ta droga wydawała się słuszna.

Spojrzał na tabliczkę: „Roksana Lorenc, lat dwadzieścia pięć”. Zmarła dziesiątego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku. Ktoś przyniósł świeże żółte tulipany.

Modest przypomniał sobie, co czuł, gdy odwracał się od obdrapanych drzwi mieszkania Lorenców i miał ochotę uciekać, ale stał jak wmurowany. Ciało opadające w ciszy na podłogę. Patrzył na to, stojąc zaledwie kilka metrów od wejścia. Czemu nikt nie dzwoni po pogotowie?

– Henryk, co jest, kurwa! Ona... Dzwon po lekarza!

Lorenc był opanowany. O zdenerwowaniu świadczył jedynie pot na czole i lekko drżące dłonie. Henryk Lorenc zamknął Roksanie oczy i pocałował ją w czoło.

– Ona odeszła – powiedział cicho, a Modesta przeszedł dreszcz.

– Chryste Panie, co ty pierdolisz?!

– Nie drzyj się, dzieci śpią. – Henryk rzucił mu wrogie spojrzenie.

– Ale co się stało?!

Henryk milczał. Maleńki chłopczyk otworzył oczy, poczerwieniał na buzi i zaczął niemiłosiernie krzyczeć. Dziewczynka spała. Lorenc wstał. Wrócił po chwili, trzymając w dłoni butelkę z mlekiem. Wziął malca i zaczął go karmić. Mleko spływało na boki, wygłodzone niemowlę krztusiło się, ale piło zachłannie.

Roksana leżała pomiędzy nimi, a Modest nie wiedział, co zrobić. Była piękna i czysta, jak ze snu. Bał się jej dotknąć, wydało mu się to do granic niestosowne. Miał wrażenie, że się za moment udusi. Bez słowa wypadł na ulicę, pokonał kilkaset metrów, w końcu poślizgnął się na zamarznętej kałuży i przewrócił. Gdy wpadł do swojego mieszkania, wypił pół litra wódki pozostawionej na czarnej godzinę. Potem nie pamiętał, czy mu się to wszystko śniło, czy wydarzyło się naprawdę.

– Widzę, że nadal ją uwielbiasz? – Głos dochodzący zza jego pleców nie zdziwił go, ale sprawił, że zrobiło mu się niedobrze. Poczł mrowienie w dłoniach.

Wziął głęboki wdech i odwrócił się bez pośpiechu. Wreszcie jest. Twarzą w twarz. Czekał na to długo. Stał przed nim dokładnie taki, jakim go zapamiętał. Elegancki, wysportowany, mocny.

– Czy może chciałbyś coś ode mnie usłyszeć? – Pytanie Lorenca zbiło go z tropu.

Po chwili wahania Modest spytał:

– Czego chcesz? – Tokaj czuł, że zbliżał się do źródła zła. Tak działało się zawsze, gdy w pobliżu był Lorenc. Magnetyczna siła, która zniewalała. Zupełnie jak wtedy, gdy kazał mu strzelić do syna. Wówczas również jego głos brzmiał jak mantra. Jesteś słaby, raz, dwa, trzy, strzel, bo ja to zrobię. Wiesz, że się nie cofnę. Jesteś mięczakiem. Głos wypływający z gołych ścian domu. Miał się bać i bał się. Miał strzelić, więc strzelił. Nie było miejsca na dyskusję. Musiał wykonać rozkaz, wybrać mniejsze zło. Lorenc się z nim bawił, czerpiąc z tego satysfakcję. Czy chciał się zemścić na Modescie za to, że widział, jak zmarła Roksana? Mógł istnieć tylko jeden powód.

– Ciszy, mój drogi. Potrzebuję ciszy. – Henryk patrzył na niego nieustępliwie. W jego niebieskich oczach lśniło bezkresne morze. Emanował z niego spokój, który miazdżył.

– Sam ją zakłócasz.

– Bo wiem, czego chcesz. – Lorenc spojrział na Modesta z wyrzutem. – Prawdy, jak zawsze, nie jest tak?

– A co chcesz ukryć? – Modest czuł, jak mocno biło mu serce.

Lorenc nie odezwał się, ale widać było, że zaczyna się irytować.

– To bardzo ogólne pytanie.

Modest zacisnął mocniej zęby.

– Mało ci?

Lorenc zaśmiał się.

– Jestem nienasycony.

– To ty ją zabiłeś?

– Luiżę? – Henryk udawał zamyślenie. – Nie. Chociaż żałuję.

– Domyślam się, że to nie ty, jesteś na to za cwany. Wrobiłeś w to Martę, żeby mi dokopać.

– Nie pochlebiaj sobie. – Henryk przysiadł na małej ławce postawionej tuż przy płycie grobu. – Męczysz mnie.

– Ja ciebie?!

Zapanowała cisza.

– Gdzie jest Marta? – zapytał wrogo Modest.

Henryk siedział na płycie, gładząc dłonią granit. Nie odpowiadał.

– Czy Marta żyje? – zapytał tamten ponownie.

Lorenc był już wyraźnie zniecierpliwiony.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek żyła. W takich warunkach? I ty szukasz winnych? Wstydz się, Modeście. Nie chciałbym, żeby się okazało, że nie tylko nie potrafiłeś wychować dzieci, ale...

Ciało Modesta przeniknął ból. Nie był w stanie wytrzymać tego ani chwili dłużej. Odwrócił się i pobiegł w kierunku starego kościoła. Woda chlapała spod butów, mocząc mu skarpetki. Gdy dotarł na miejsce, zdał sobie sprawę, że jest cały mokry. Strumienie wody spływały po garniturze. Nie wziął ani płaszcza, ani parasola. Zaklął w myślach.

– Nie wiemy, dlaczego Luiza Orłowicz odeszła w taki sposób, ale musimy wierzyć, że dla Boga wszystko ma sens. – Słowa księdza wypowiedziane na koniec kazania sprawiły, że zabrakło mu tchu.

Chmury wiszące nisko nad drzewami przypominały wielkie skrzydła nietoperza. Otwarte parasole ze szpikulcami skierowanymi prosto w niebo niczym oszczepy, twarze otulone szalami, oczy nienawiązujące ze sobą kontaktu, obcasy zanurzone w błocie. Ziemia cmentarna czepiająca się podeszew, przejmujący zapach otaczającej zgniłej wilgoci.

Deszcz zacinał, gdy zwarty tłum podążał za Adamem, który otwierał kondukt. W objęciach trzymał urnę, którą tulił do piersi niczym niemowlę. Widok był trudny do zniesienia nawet dla tych, którzy nie byli zbyt emocjonalnie związani z rodziną.

W powietrzu wisiało ledwie uchwytnie, ale z każdą chwilą ciężące coraz silniej pytanie. Może pośród nich jest ten, kto zabił?

Ceremonia powoli dobiegała końca. Adam nie życzył sobie kondolencji, więc ludzie rozchodzili się, poinformowani już wcześniej o miejscu przyjęcia. Pochylone, czarne postacie szły na przekór coraz mocniejszym powiewom wiatru.

Na cmentarzu zaczynało się ściemniać. Gdzieś tam pojawiali się jeszcze ludzie, którzy chcieli przed zmrokiem odwiedzić swoich zmarłych, zapalić znicze i szybko wrócić do domów z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Wieczorne powietrze zaczynało kłuć w nozdrzach, robiło się coraz chłodniej.

Gdy cmentarz opustoszał, a po ceremonii pozostały tylko rozmyte ślady odcisniętych w ziemi butów, nad świeżo wykopanym, zasypanym kwiatami grobem Luizy Orłowicz pojawił się młody mężczyzna. Uklęknął, z czułością dotknął płatków kwiatów położonych na grobie. Wiedział, że miłość odeszła. Byłaś dla mnie wszystkim, pomyślał, ukrywając twarz w dłoniach. Jacek Nałęcz podjął decyzję – załatwi tę sprawę raz na zawsze.

SASKA KĘPA

Dom przy ulicy Królowej Aldony na Saskiej Kępie oczekiwał gości.

Po raz ostatni jest tak gwarno, myślała ze smutkiem Barbara, otwierając co chwila drzwi i witając przybyłych. Pewnie sprzedadzą dom. Wszystko przeminie. Była zdruzgotana. Zaczynało do niej docierać, że życie się kończy niekoniecznie tak, jak sobie zaplanowała.

W salonie zgromadził się już spory tłum. Część z przybyłych usiadła przy dużym stole ustawionym w rogu pomieszczenia, inni rozsiedli się na rozstawionych krzesłach i w fotelach, a największa grupa stała. Stypa miała w zasadzie przybrać formę bufetu szwedzkiego, spodziewano się bowiem grubo ponad setki znajomych i rodziny. Zapach jedzenia mieszał się z intensywną wonią kwiatów.

Gdy Marek zobaczył w holu fałszywie zmartwioną twarz Gustawa, miał ochotę dać mu w mordę. Gdyby nie towarzyszący mu mecenas Budkowski, kto wie, czy nie doszłoby do rękoczynów. Pięćdziesięcioletni gruby prawnik nerwowo oblizywał usta i mrugał cwanyimi oczkami. Podrygiwał przy tym, jakby ktoś poruszał jego kończynami za pomocą niewidzialnych sznureczków. Marek nie miał ochoty się z nimi witać.

– Panie mecenasie, nie wiem, co pan tutaj robi, to znaczy niezwykle nam miło, ale to uroczystość rodzinna. – Złość w Marku kipiała, gdy patrzył na sztucznie zmartwioną twarz prawnika.

– Panie Marku, chcieliśmy tylko dać wyraz naszemu współczuciu. Panowie poznali Luiżę, była niezwykłą osobą, nie mogli się nie pojawić.

– Panie mecenasie, dziękuję. – Marek miał ochotę chwycić go za kołnierz, otworzyć drzwi i wykopać jego tłustą dupę za bramę.

Wezwany do holu przez Barbarę, Adam spojrzał chłodno na przybyłych. Marek miał nadzieję, że szwagier go wesprze. Coś się zmieniło w tym człowieku, któremu nie do końca ufał. I to coś sprawiło, że jeszcze bardziej tracił zaufanie.

– Co wy tu robicie? – Głos Adama przeciął panującą w pomieszczeniu ciszę.

– Panowie już wychodzą – stwierdził sucho Marek. Niemcy skinęli głowami i bez słowa wyszli. Pozostał jedynie Budkowski.

– Ale... – Adam nie zdołał dokończyć, bo mecenas powiedział:

– Panie Marku, proszę pamiętać o naszej umowie. Nie mamy czasu czekać. Jesteśmy ludźmi uczciwymi, współczujemy, ale chyba nie myśli pan, że nasza umowa nie obowiązuje? Radzimy nie zwlekać.

– Nie na wszystko mamy wpływ. – Marek był wściekły. Szczegóły transakcji miały pozostać między Niemcami a nim i Suchockim.

– To źle, bo szef się nie ucieszy.

– Proszę zostawić nas dzisiaj w spokoju. Załatwię to.

– Ani przez chwilę w pana nie zwątpiłem. – Mecenas Budkowski pokazał w szerokim uśmiechu lśniące, idealnie dopasowane zęby.

Gdy wyszli, Adam spojrzał na Marka pytająco. Czy Markowi się zdawało, czy w oczach mężczyzny dostrzegł kpinę?

– Zaczęli grozić? – Adam stał wyprostowany, wpatrując się w zamknięte drzwi.
– Uciekają im pieniądze, to zaczęli – zaśmiał się nerwowo Marek.
– Jak to załatwisz ze Zbyszkiem?
– O, to widzę, że już obrosłeś w piórka! Teraz to ja mam wszystko załatwić, a ty zainkasujesz forszę? Nie chcę psuć nastroju, ale pragnę ci przypomnieć, że Luiza miała to załatwić razem z tobą! I co? Jak zwykle ja po wszystkich sprzątam.
– Daj spokój, przecież ci pomogę. – W głosie Adama słychać było rezygnację.
– Do niczego się w tej chwili nie nadajesz – zachnął się Marek. – Dam sobie radę.
– Jak? – Nagły chłód w postawie Adama sprawił, że Marek zamarł.
– Po swojemu – odpowiedział po chwili. – Za kilka dni będzie po sprawie.
Stojąca na podjeździe Zofia bacznie obserwowała, jak czarny mercedes opuszcza posesję.

Wieczór, który żałobnie otulił dom Luizy Orłowicz, przygasał, przechodząc płynnie w noc. Część gości już wyszła, żegnając się i ciesząc w skrytości, że nie muszą zostać ani minuty dłużej. Zostali tyle, ile trzeba.

Anna była zamyślona.

– Nalać ci czegoś? – Marek po raz kolejny tego popołudnia podszedł do niej z pytaniem, czy czegoś jej nie brakuje.

– Nie, dziękuję. – Uśmiechnęła się słabo.

– Powinnaś coś zjeść, wyglądasz, jakbyś miała stracić przytomność. Jesteś taka blada. – Ostatnie zdanie Marek wypowiedział z czułością, niemal szeptem.

– Przestań. Dobrze, zjem coś, ale przestań. Nie chcę, żeby ktoś się zorientował. – Anna odwróciła głowę w kierunku pozostałych gości.

Ewa była już mocno wstawiona. Wybuchła co jakiś czas głośnym śmiechem. W pewnym momencie ryknęła:

– No to kto z państwa, drodzy kochani, mi powie. – Wstała nagle. Goście spojrzeli na nią z zaciekawieniem. – Kto mi powie, kto tu jest mordercą? Nikt? Czy może wszyscy?

– Ewa zaczęła się głośno śmiać, parszkając śliną.

Rozmowy ucichły. Zgromadzeni zaczęli obrzucać się nawzajem nerwowymi spojrzeniami. Kilka osób uśmiechnęło się pod nosem. Atmosfera wyraźnie się zageściła.

– Ewka! – Marek podszedł szybko do żony. Nie chciał dać po sobie poznać, że jest wściekły. – Co ty wygadujesz? – Szarpnął ją za ramię, ale się wyrwała.

Spłoszeni goście nie wiedzieli, jak się zachować. Tylko Zofia, lekko zarumieniona po szklance wódki z cytryną, czekała, co będzie dalej. Goście rzucali niespokojne komentarze, próbując obrócić incydent w żart.

– Nie powstrzymuj mnie! – Chwiejąc się na nogach, Ewa zbliżyła się do fotela. – Nie tym razem! Nie uda ci się zamknąć mi ust!

- Dziecko, powiedz, co cię gnębi? – Zofia usiadła przy niej.
- Może zabierz już Ewę do domu. – Anna patrzyła na Marka, nie kryjąc przerażenia.
- Jeszcze chwila. – Marek głośno oddychał. – Jak ci pomóc? Może cię odwieziemy? Jedziesz do matki, prawda?
- Wezwę taksówkę. Dam sobie radę. Powiedziałam ci, przestań.
- Nie wiesz, gdzie on może być? – próbował zmienić temat Marek. Ewa, zajęta rozmową z Zofią, chwilowo przycichła.
- Nie mam pojęcia. Podejrzewam, że wrócił do domu. Nie wiem, to dziwne. Wstyd mi za niego.
- Dobrze się stało, że nie zaszczycił nas swoją obecnością, doskonale wiesz, co by się tu działo. Ewa przy nim to pikuś.
- No tak... ale to była jego córka...
- Dla niej to nie ma znaczenia, wierz mi.
- Już się tak o nią nie martw, kto by pomyślał, że potrafisz być taki czuły! – krzyknęła nagle Ewa, choć wszyscy myśleli, że zasnęła w fotelu ukojona przez ciotkę Zofię. Patrzyła mętным wzrokiem na Annę i Marka. – Wszyscy cię tu, kurwa, nie doceniali! A teraz handlujesz firmą ojca po trupie siostry! I nikt tu w tej całej wielkiej, zaszraniej rodzinie Orłowiczów z tego powodu nie płacze! Nikt tu po niej, kurwa, nie płacze!
- Dość! – Marek szybko podszedł do żony.
- Adam stał tuż za nim. Był blady. Zaciśnięte pięści jakby przygotowały się do ciosu.
- Spokojnie, Mareczku, daj dokończyć swojej żonie tę niezwykle ciekawą opowieść.
- Zofia ruchem ręki wstrzymała Marka. Twarz jej stężała. We wzroku widać było determinację i stanowczość. – Co ty, dziecko, powiedziałeś? Że co robi twój nienaganny mąż?
- Sprzedaje firmę. Ci Niemcy to kupcy. – Ewa wyglądała, jakby uszło z niej całe powietrze. Oparła głowę na wezgielciu fotela i zamknęła oczy. Anna nie odrywała od niej wzroku.
- Czyżby? – Spojrzenie Zofii świdrowało Marka. – A co panowie macie w tej sprawie do powiedzenia? Chyba rodzina powinna coś na ten temat wiedzieć? Nie uważacie?
- Nie ma tematu – uciął szybko Marek, zanim Adam zdołał otworzyć usta.
- Jak to nie ma tematu? – nie zamierzała dać się zbyć Zofia.
- Zbyszek się nie zgadza.
- Zbyszka tu nie ma, jak widać, nie możemy więc tego potwierdzić. A nawet gdyby było inaczej, nie jestem pewna, czy w stanie umysłu, w jakim się znajduje, mogłabym mu zaufać. – Zofia sprawiała wrażenie coraz bardziej zdenerwowanej.
- Był taki pomysł, kondycja finansowa firmy jest dużo słabsza. Luiza chciała sprzedać udziały, czekaliśmy na to, co zrobi Zbyszek.
- A tu nagle wszystko się skomplikowało, co? – ucięła ironicznie Zofia. – A tak

miało być dobrze? Ale niech sobie tylko przypomnę, czyżby Adam dziedziczył udziały po Luizie? Czyli piłka nadal w grze?

Adam zbladł. Nie był w stanie odpowiedzieć. Wybiegł z salonu.

– Ciociu, to nie czas na takie rozmowy. – Marek czuł, że traci grunt pod nogami.

– Bzdura. Stypa to najlepszy czas na poważne rozmowy o życiu. Kto wie, kiedy będziemy mieli okazję spotkać się następnym razem? – zaśmiała się szyderczo ciotka.

Ewa, wyczerpana, zasnęła na dobre w fotelu, a reszta gości próbowała puścić w niepamięć niestosowną rozmowę.

– Ta rodzina nigdy dobrze nie wychodziła na tajemnicach – powiedziała z goryczą Zofia ze wzrokiem wbitym w kwiecisty dywan. – Ty, Marku, powinieneś wiedzieć o tym szczególnie dobrze. Otaczaj się też lepszymi doradcami. Henryk Lorenc do nich nie należy, pamiętaj o tym.

Marek udał, że nie usłyszał, a Anna miała ochotę roztrzaskać porcelanową wazę stojącą w przedpokoju. Wszystko popsuli.

Marek w skupieniu patrzył na osoby, które jeszcze nie wyszły. Pragnął, żeby ten dzień już się skończył. Głosy milkły, niewiele się działo, ludzie nie wiedzieli, jakie poruszać tematy. Brakowało Adama. Wszedł po kłótni z Ewą i już nie wrócił. Marek postanowił go odnaleźć i uspokoić. Poszedł do kuchni, przeszedł cały dół, nigdzie go nie znalazł. Wszedł na górę, doskonale znał każdy kąt domu, przecież mieszkał w nim przez tyle lat.

W holu na górze paliły się słabe światła. Panowała cisza, nie licząc cichych odgłosów rozmów dobiegających z salonu na dole. Najpierw wszedł do łazienki. Trochę zaniepokojony ruszył dalej. Gdy sprawdził wszystkie pokoje, został mu jedynie ten, w którym mieściła się kiedyś sypialnia Ireny. Wiedział, że Luiza nie pozwoliła w niej nic zmienić i bardzo nie lubiła, gdy ktokolwiek tam wchodził. Klucz do pokoju znajdował się w małej szafce przy schodach, za obrazem, o czym wiedzieli tylko nieliczni. Powiedziała mu o tym, gdy potrzebowała jego pomocy w przeniesieniu jakiegoś mebla. Pamiętał ten dzień, bo rzadko spędzali czas tylko we dwoje w miłej, przyjaznej atmosferze. Dobrze się z nią wtedy czuł i pomyślał nawet, że za dużo czasu zmarnowali. Przypomniał sobie rozmowę, którą wtedy odbyli.

– Myślisz o nim czasem? – Pszczoły latały nad krzakami malin, gdy Luiza zadała mu pytanie, którego się nie spodziewał.

– O kim? – Udawał, że nie wie, o kogo chodzi. Domyślił się jednak. Skąd jej to właśnie teraz przyszło do głowy?

– O Janku.

– Nie myślę.

– Czemu?

– Bo nie ma po co. A ty czemu myślisz?

Nie odpowiedziała, wstała i podeszła do malin. Zerwała kilka owoców i wróciła na fotel.

– Nie wiem. Chciałabym poznać prawdę. – Rozgniotła jedną malinę w dłoni.

Zdumiał się.

– Znamy przecież prawdę.

– Prawdę podyktowaną nam przez ojca.

– Niech będzie. Jest to prawda ojca. Nie będę jej zmieniał. Nie obchodzi mnie to. Dla mnie Janek może nie żyć.

Marek odgonił wspomnienie dnia, które zupełnie mu uleciało, i pogrzebał w skrytce. Ze zdziwieniem stwierdził, że nie ma w niej klucza. Przycisnął klamkę, drzwi były zamknięte. Zaniepokojony zszedł na dół. Barbara stała w kuchni, szykując dla dzieci kolację. Adama nadal nigdzie nie było.

– Basiu, czy nie widziałaś gdzieś klucza do pokoju Ireny?

– Klucza? Przecież musi być w skrzynce, tej przy schodach, jak zwykle. – Barbara popatrzyła na Marka z niepokojem.

– Wiem, gdzie normalnie jest, ale teraz go nie ma. Chciałem sprawdzić, czy nie poszedł tam czasem Adam, szukam go. Pokój jest zamknięty, ale klucza nie ma.

– To niemożliwe, musi być.

Było tak, jak mówił Marek, nigdzie nie znaleźli klucza.

– Gdzie jest Adam, nie widziałaś go, Basiu?

Zaprzeczyła, więc wszedł do salonu na dół. Gdy zorientował się, że Ewa się ocknęła, podszedł do niej, chwycił ją za łokieć i do ucha wyszeptał:

– Masz się natychmiast uspokoić, bo jak nie, to popamiętasz dzisiejszy wieczór do końca życia. Już i tak za dużo powiedziałaś! – Po czym puścił ją i wyszedł na dwór.

Żwir trzeszczał pod butami. Przeklął w duchu, że nigdy nikomu nie chciało się zamontować wokół domu dobrego oświetlenia. Co to za zamiłowanie do mroku? Obszedł dom dookoła, niewiele widząc, i dopiero po chwili zauważył, że w altance w rogu ogrodu ktoś siedzi. Powoli ruszył tam. Szedł wolno, słyszał własny przyspieszony oddech. Od siedzącej w ciemności postaci dzieliło go jakieś piętnaście metrów.

– Widzę, że mnie znalazłeś.

– Szukałem cię. – Marek poznał Adama i nie wiedzieć czemu, odetchnął z ulgą.

– Bo co, bo się przestraszyłeś, że ci na koniec spierdolę? – Adam był wściekły i roztrzęsiony.

– Przestań.

– Po co, kurwa, powiedziałaś Ewie?

– To moja żona.

– I co, bardzo ją kochasz i się o nią martwisz? Błagam cię.

Marek nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Będzie dobrze.
- Gówno prawda.
- Nie możesz teraz odpuścić.
- Bo nie zarobisz?
- Bo my nie zarobimy.
- Pierdolę.

Głos mu się łamał. Marek spostrzegł, że Adam cały się trzęsie. Usiadł obok niego. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Chodź do środka, zimno tu.
- Zaraz przyjdę. Niech oni wszyscy już wyjdą. Nie mam ochoty patrzeć na te gęby.
- Chodź, co tu będziesz sterczał.

Adam poddał się i obaj ruszyli z powrotem do domu.

– Nie znalazłam tego klucza, Marku, nigdzie go nie ma. – Barbara wyglądała na poruszoną, gdy obaj mężczyźni stanęli w wejściu.

- Jakiego klucza? – Adam nie rozumiał.
- Do pokoju Ireny. Chciałem tam wejść, sprawdzić, czy cię przypadkiem tam nie zaniósł – wytłumaczył szybko Marek. – I okazało się, że ktoś zabrał klucz z szafki.
- Dziwne, nikt tam chyba nie wchodził.
- Nie ma zapasowego?
- Nie wiem, może coś się znajdzie. Chodź ze mną na górę.

Obaj weszli do sypialni. Była bardzo duża, pachniało w niej kwiatami.

– Oszalała z tym zielskiem. – Adam nie wyglądał na zachwyconego, że jego sypialnia przypomina zakład pogrzebowy. – Kurwicy można dostać.

Z szuflady komody nerwowo wyjmował różne przedmioty, aż wreszcie trafił na duży pęk kluczy.

- Któryś powinien pasować, to wszystkie, jakie mam.

Podeszli razem pod zamknięty pokój. Gdy zaczęli już tracić nadzieję, że znajdą odpowiedni klucz, nagle zaskoczył i drzwi ustąpiły.

Od uchylonych drzwi nieprzyjemnie buchnęło smrodem meliny. W powietrzu unosiło się coś złowrogiego. Adam czuł, że z każdą sekundą narasta w nim przerażenie. Po plecach spływał pot, a ręce drżały. Marek nie wyglądał na przejętego. Jak zwykle opanowany, pozbawiony emocji. Zawsze nienagannie ubrany, nonszalancko obojętny i kulturalny. Nawet teraz, po tej całej awanturze, był taki, jak wypadało.

- Wchodzimy? – spytał rzeczowo, przyglądając się szwagrowi.

Adam kiwnął głową i powoli popchnął drzwi. Weszli do środka. Było ciemno, po omacku wymacali kontakt i zapalili światło. Obaj zeszywnieli. Marek oparł się o ścianę, jakby chciał się w nią wbić.

Adam musiał natychmiast usiąść. Osunął się na stojące tuż przy drzwiach krzesło.

Obaj patrzyli nieruchomo i bez słowa w tym samym kierunku, nie mogąc oderwać wzroku.

Marek nie sądził, że dożyje tej chwili. Nie cieszył się. Nie odczuwał satysfakcji, że to, co tu się stało, wreszcie się wydarzyło. Ale patrzył i odczuwał spokój. Adam nie bardzo mógł zebrać myśli. Widok go nie przerażał.

Zbyszek leżał naprzeciwko, rozpostarty na łóżku. W martwych oczach nie widać było złości, pozostawały bez wyrazu. Z boku leżał odrzucony rewolwer, który wskazywał, że dziura w skroni z zaschniętą już krwią powstała na skutek postrzału. Grymas na twarzy nie był szkaradny. Ojciec nie wyglądał tak, jak wielokrotnie wyobrażał go sobie Marek, gdy czuł, że go tak nienawidzi, że najchętniej zobaczyłby go martwego. Wtedy wyobraźnia podpowiadała mu, że twarz ojca będzie wykrzywiona, zła, niczym obraz zastygłego w walce demona. Teraz leżący przed nim ojciec nie wyglądał łagodnie, ale też nie odrażająco. Marek odniósł nawet wrażenie, że Zbyszek się do niego uśmiecha. Nie szydzi, tylko się uśmiecha. Poczł się nieswojo.

– Musimy zadzwonić po policję – powiedział cicho.

Adam objął dłońmi twarz. Pochylił głowę. Markowi nawet przez moment zdało się, że płacze. On sam nic nie czuł. Cała sytuacja była groteskowa. Czyżby ojciec na stypie własnej córki postanowił popełnić samobójstwo? Nie było to do niego podobne. Nagle przyszło mu do głowy, że nie może tego zobaczyć Anna. Nie powinna tu wchodzić, nie powinna patrzeć.

Marek powoli odsunął się od ściany. Na dole poprosił wszystkich, by opuścili dom. Nie zauważył, że przez drzwi, które zostawili na w pół otwarte, ktoś przyglądał się scenie, która rozpościerała się przed ich oczami. Nie zauważył też, że zniknął, zanim zdążyli zamknąć pokój i zeszli na dół.

Zofia nie mogła się powstrzymać, żeby go nie zobaczyć. Okłamała wszystkich, że musi pójść do toalety, i w pośpiechu wdrapała się po schodach. Pewnym krokiem udała się do pokoju Ireny. Wiedziała, że musi uważać i niczego nie dotykać. Nacisnęła kłamkę przez mankiet sukienki, co i tak nie miało sensu, przecież tyle osób jej dotykało.

Weszła do środka. W pokoju zostawiono zapalone światło, a energooszczędna żarówka w lampie sufitowej rozgrzała się na tyle, że było jasno.

Zofia zachłannie przyglądała się Zbyszkowi. Zestarzał się, pomyślała, wygląda jak łach cmentarny. Jak niewiele zostało z tej jego żurnalowej urody i szyku. Z oczami wpatrzonymi w nicość, z lekkim grymasem świadczącym raczej o przestachu niż zadowoleniu nic już nikomu nie mógł zrobić. Gra skończona. Machina zła została zatrzymana. Teraz przysła kara. Bo jak mówią: jest wina, jest kara.

Zofia nie uważała, że to, co go właśnie spotkało, było wystarczającą karą. Kara powinna przyjść dopiero teraz. Taka, na jaką zasługiwał. Sprawiedliwa.

Nagle drgnęła. Odwróciła się i zobaczyła stojącą za nią Annę.

– O, jesteś. – Przyłapaną na kłamstwie ciotka zmieszała się.
– Chyba słyszałaś, że nikt tu nie może wchodzić? – Głos Anny brzmiał lodowato.
– Tak, ale...
– Wyjdź stąd i więcej się tu nie pokazuj, zrozumiałaś? – Anna chwyciła Zofię za ramię i szarpnęła w kierunku drzwi.
Zofia wyrwała rękę.
– Zostaw mnie, wyjdę, kiedy będę chciała – powiedziała nie tak stanowczo, jak by sobie tego życzyła.
– Nie prowokuj mnie. – Słysząc było, że Anna nie żartuje.
Zofia czuła, że nie ma sensu się opierać. Zresztą zobaczyła to, co chciała zobaczyć. Ociągając się, wyszła z pokoju. Anna została w drzwiach. Usiadła na krześle stojącym w korytarzu. Spuściła głowę i zaczęła szlochać. Po kilku minutach jeden z policjantów poprosił ją, aby zeszła na dół. Technicy mieli zacząć pracę.

MOKOTÓW

Zawadzki wyszedł z prokuratury, w której do późna przesłuchiwał rodzinę Orłowiczów. Śmierć kolejnego członka tej rodziny wyprowadziła go z równowagi. Błądzili po omacku i gdy zdawało się, że są już blisko rozwiązania, wydarzało się coś, co zmieniało postać rzeczy.

Poprawił skórzaną kurtkę i naciągnął na głowę kaptur bluzy. Spojrzał na telefon. Pierwsza piętnaście. Liczył, że Lorenc się odezwie, że coś zasugeruje. Obiecał mu przecież lojalność! Rozejrzał się wokół. Wilgotna ulica przytłaczała mrokiem. Odezwał się telefon. Modest kilkanaście razy próbował się z nim skontaktować, ale Zawadzki odrzucał połączenie.

– Chyba samobójstwo – powiedział prokurator bez wstępów. Jego słowa w otaczającej ciszy zabrzmiały dziwnie głucho. – Choć jest to dziwne. Ten typ faceta nie popełnia ot tak samobójstwa. Chyba że zwariował. Tego oczywiście nie możemy wykluczyć – ciągnął.

Zawadzki przypomniał sobie przesłuchanie Zbigniewa. Rzeczywiście nie sprawiał wrażenia człowieka, który kiedykolwiek mógłby zrobić coś takiego. Męski, zimny, wyrachowany.

- Ale poczekajmy na to, co ustali Wiśniewska – skwitował.
- Nic nie wiecie o Marcie? – dopytywał się Modest.
- Nie.
- Ten Jacek też nic nie wie?
- Wie, ale się nie przyznaje.
- Nic mi nie mówiłeś. – Modest był urażony.
- Nie mam czasu na pogawędki.

– Tak mi się zdawało, że niewiele gadasz.
– Jak zwykle – uciął Zawadzki.
– Może.
– Ty też nie jesteś wyjątkowo rozmowny – odciął się prokurator.
– Nie tak to miało wyglądać. – W głosie Modesta słychać było pretensję.
– A jak? – wycedził Zawadzki. Nie miał w tej chwili czasu na słuchanie filozoficznych wynurzeń starego przyjaciela. Nie prowadziły do niczego. Mleko już się wylało.

– Nie współpracujemy.
– Zgadza się, już od dawna.
– Przestań, nie o to chodzi. Wydawało mi się...
– No właśnie, co ci się wydawało? – rzucił cierpko Zawadzki. – Dużo czasu minęło. Zmieniliśmy się. Każdy ma swoje życie i je chroni.

– Okej, może masz rację – stwierdził Modest. – Wydaje mi się jednak, że zachowujesz się wobec mnie nie do końca fair. Ile razy będziesz mnie karał za to, co się stało? Mam wrażenie, że ty nie wiesz, co to znaczy kogoś stracić, Olek, ale ci tego nie życzę.

Modest się rozłączył, a Zawadzki pozostał z niewypowiedzianym zdaniem przed drzwiami wejściowymi do swojego bloku.

Szedł ciężko po schodach. Jego idealne życie rozpadało się kawałek po kawałku, a on stał bezradnie, czując, że nie ma na to najmniejszego wpływu. Otworzył drzwi, starając się jak najdelikatniej obracać kluczem, żeby nie obudzić dziewczyn. Wszedł do przedpokoju, w którym ku jego zdziwieniu nie było ciemno. Światło dochodziło z pokoju dziecięcego. Usłyszał płacz Basi i tknięty nagłym przeczuciem wbiegł do jej pokoju. Dziewczynka siedziała na podłodze, trzymając leżącą obok niej Igę.

– Mamusia bęc... – powiedziała, cicho chlipiąc. Była przerażona.

Zawadzkiemu pociemniało w oczach. Szybkim ruchem chwycił żonę za rękę i stwierdził, że jej puls był ledwie wyczuwalny.

LUIZA ORŁOWICZ

Środa, 20 sierpnia 2014 roku

Gdy szłam ulicą na kolejne spotkanie z Małgorzatą, narastał we mnie bunt. Gdy stałam pod blokiem i przyciskałam guzik domofonu, poczułam złość. Gdy dotarłam do drzwi gabinetu Małgorzaty, nie miałam już wątpliwości, że się boję.

– Nie było cię w zeszłym tygodniu – zaczęła łagodnie, a ja pomyślałam, że udaje spokój. Małgorzata przyglądała mi się z uwagą, a ja czułam się jak przestępca. Zakładałam, że jest wściekła i obrażona jak moja matka, gdy jej nie słuchałam i odważałam się jej sprzeciwić.

No nie było, pomyślałam. Czułam się dziwnie zawstydzona. Czy to był zarzut?

– Byłam chora – skłamałam. Tłumaczyłam się jak nastolatka.

– Już w porządku? – Małgorzata uczestniczyła w mojej grze. Nie było po niej widać, że dostrzegła moje kłamstwo.

Kiwnęłam głową. Atmosfera gęstniała. Skubałam mankiet koszuli, nerwowo popijając wodę. Czułam, że zaraz coś się stanie, ale zupełnie nie byłam na to przygotowana. Milczenie trwało długo, aż w końcu krzyknęłam.

– To nie Albert nas zostawił! – Mój wybuch zaskoczył chyba najbardziej mnie samą.

Małgorzata nie odrywała ode mnie wzroku.

– Chcesz o tym opowiedzieć? Mam wrażenie, że jednak coś się stało w ciągu zeszłego tygodnia.

Stało się. Po raz pierwszy obwiniłam o coś swoją matkę. Jej słowa: „Córeńko, nic się nie stało...”, wywoływały w mojej głowie huragan. Porwał mnie i leciałam bezwolna, na oślep. Nie można już było tego zatrzymać.

– To moja matka go odrzuciła – mówiłam cicho, choć pragnęłam krzyczeć i gryźć. – Wolą być bita i wykorzystywana, wolą umierać, niż żyć! Wolą, żebym ja...

Urwałam. Nagle zachciało mi się strasznie płakać. Rozryczałam się jak dziecko. Gdy wreszcie się uspokoiłam, opowiedziałam o spotkaniu z Albertem. Niechętnie przyznawałam się, że okłamałam Małgorzatę.

– Co czujesz teraz do niego?

- Zawód.
- Jesteś zła?
- Przytaknęłam.
- Coś jeszcze?

Na myśl przyszła mi scena, którą odpychałam od siebie jak niedobry sen. Miałam jeszcze pół godziny. Zaczęłam opowiadać.

Obudziłam się tego dnia odrętwiała. Moje ciało było zimne, obce i zupełnie sztywne. Pamiętałam, że to, co mi się śniło, było oczywistą kontynuacją wieczoru, który spędziłam z bratem. Było jak zwykle.

Włożył czarne dzinsy i czarny podkoszulek. Kazał mi się rozebrać i położyć na łóżku okrytym czarnym aksamitem. Nie mam pojęcia, skąd go miał. Było mi zimno, ale wiedziałam, że nie warto dyskutować. Raz się sprzeciwiłam i dostałam wtedy porządnie cienką jak igła metalową linką. Miałam ślady. Mówiłam później, że przewróciłam się na metalowe pręty w garażu. Nikt o nic więcej nie pytał.

Zaczął się obrzęd. Brat najpierw szeptał, tak że ledwo go słyszałam. Potem mówił coraz głośniej, ale nadal nie rozumiałam wypowiedzianych przez niego słów. Jeszcze później zaczął śpiewać. Zawodził głośno, a jego jęki przeistaczały się w gardłowy charkot.

Wiedziałam, że nikt nie słyszy, że nikt nie ma prawa przyjść niespodziewanie, bo brat wszystko sprawdził i przygotował.

Byłam sama, zdana na łaskę lub niełaskę jego smutnych demonów.

– Co ci jest? – Matka weszła nieoczekiwanie do mojego pokoju, gdy analizowałam ból w każdym fragmencie swojego ciała. Było wcześniej rano.

– Nic.

– To czemu leżysz? Musimy dziś jechać do lekarza.

Była chora, a ja miałam jej towarzyszyć.

– Już wstaję.

– Jesteś blada, coś się stało?

Spojrzała na mój skaleczony przegub ręki.

– Co to?

– Kot – skłamałam.

Nie odpowiedziała. Podeszła do okna. Wyjrzała przez nie. Widok zasłaniały liście drzew.

– Gdzie ojciec? – Nie interesowało mnie to, ale chciałam zmienić temat.

– Chyba w pracy. Nie wiem. – Nawet się do mnie nie odwróciła.

– Nie wiesz? Może jest u jakiejś dziwki – zawołałam ze śmiechem.

Wtedy zdarzyło się coś, co mnie zszokowało. Matka podeszła i wymierzyła mi z całej siły policzek.

Powiedziałam prawdę i spotkała mnie za to kara. Już wtedy czułam, że warto tylko kłamać lub nie mówić nic.

Gdy opowiedziałam tę historię, poczułam to wyraźnie. O to również zaczęłam winić moją matkę – że pozwoliła, żeby to robili, a potem umarła.

SOBOTA, 13 czerwca 2015 roku

PRAGA-PÓŁNOC

Zawadzki przyjechał do prokuratury bezpośrednio ze szpitala, w którym spędził noc przy Idze. Miał ochotę walić głową w ścianę. Jego żona była poważnie chora, a on to lekceważył. Nie chciał o tym myśleć, udawał, że nic się nie dzieje. Liczyła się praca, kariera i iluzja, że jego życie jest perfekcyjne i poukładane. Basię odwiózł do babci, która miała się teraz nią opiekować.

- Jak się czuje Iga? – Halina była zaniepokojona.
- Stabilnie – odpowiedział cicho, nie patrząc jej w oczy. – Mogło się źle skończyć.
- Olek, musicie zająć się sobą.
- Zamknę tę sprawę i zajmę się sobą – uciał, wszedł do swojego gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Próbował się skupić na ustaleniach poprzedniego wieczoru. Zeznania zgadzały się co do faktów. Kolejność wydarzeń nie budziła wątpliwości. Zbyszek wszedł do otwartego domu. Kucharka nic nie słyszała, bo znajdowała się w innym skrzydle domu. Nie wiadomo było, co się stało z kluczem do pokoju, ale odpowiedź chyba była prosta. Musiał go mieć przy sobie Zbyszek. Poza tym wszystko się potwierdziło. Nikt nie słyszał ani nie widział nic podejrzanego. Żadnego strzału, żadnej szamotaniny. Cisza. Nikt nie słyszał kroków na górze, żadnego hałasu. Zresztą wszystko wskazywało na to, że denat lub ten, kto go zabił, musiał uczynić to wcześniej. Większość osób będzie miała niepodważalne alibi, jeśli moment zgonu przypadał na czas pogrzebu. Wyglądało na to, że Orłowicz przyjechał na cmentarz i zaraz z niego odjechał. Próbowano ustalić tożsamość wiozącego go taksówkarza.

Zawadzki przypomniał sobie, że do przesłuchania pozostała mu Zofia, która zniknęła przed przybyciem policji do domu Orłowiczów. Miała przyjść rano i zjawiała się o wyznaczonej godzinie, zanim zdążył dopić kawę.

Jej woskowa twarz przypominała mu porcelanową lalkę. Zastanawiał się, co czuje ta dziwna kobieta, zachowująca się jak dziewiętnastowieczna arystokratka, a jednocześnie sprawiająca wrażenie kobiety bez skrupułów. To, jak się do niego zwracała, jak poprawiała jego pytania, było irytujące.

- Czy pani podejrzewa, kto mógł to zrobić?
- Oczywiście, on sam. Przecież widać było, że to samobójstwo, prawda?

– Jeszcze nie wiemy. Czyli nie ma pani żadnych podejrzeń?

Zofia popatrzyła na niego uważnie.

– Dobrze się pan czuje?

Czuł się fatalnie, ale czy było to aż tak widoczne? Poczł się zawstydzony.

– Chyba nie odpowiedziała pani na moje pytanie?

– Bo się przez moment zmartwiłam, że zaraz pan zemdleje. Wygląda pan na chorego.

– Czuję się świetnie. Wróćmy do pytania.

– Nie mam żadnych podejrzeń.

– A myśli pani, że ktoś mógłby go jednak zamordować?

– Co najmniej tuzin osób, na czele ze mną. – Teatralnie uniosła wzrok.

– Z jakiego powodu byłaby pani w stanie zamordować szwagra?

– Wpędził do grobu moją siostrę i siostrzenicę. Zawsze je terroryzował.

– Nikt z państwa nie protestował?

Zofia zamknęła usta, zmarszczyła brwi i już szykowała się do ataku, ale coś ją powstrzymało.

– Za dużo mieliśmy do stracenia – odpowiedziała powoli. Zapadła się głębiej w fotel. Wyglądała jak stary gołąb.

– Co na przykład? – Przez myśl mu przeszło, że nie powinien być natarczywy, ale nie mógł się powstrzymać. Zofia wykonała nieokreślony ruch ręką wokół głowy, jakby odganiała muchę.

– Mogliśmy stracić do siebie zaufanie.

Tak jakbyście sobie dotąd bardzo ufali, pomyślał, ale głośno spytał:

– Czy pani zdaniem Zbigniew mógł zabić swoją córkę?

– Nie. – Odpowiedź padła tak szybko, jak samo pytanie.

– Dlaczego? – Pomimo niewyspania starał się zachować przytomność umysłu.

Kobieta wiedziała zdecydowanie więcej, niż dawała po sobie poznać.

– Miał ku temu tyle okazji, że nie sądzę, by postanowił tego dokonać właśnie teraz. Chyba że stracił zmysły do reszty, czego wykluczyć też raczej nie można.

Wypowiedzi Zofii były zaskakująco logiczne.

– To kto pani zdaniem zabił Luizę?

Przyjrzała mu się uważnie, jakby rozważała, czy warto z nim dalej rozmawiać. Po chwili milczenia powiedziała:

– Radziłabym przesłuchać Henryka Lorenca.

– Kto to taki? – Zawadzki poczuł, że serce zaczyna mu bić mocniej.

– Przyjaciel Zbigniewa. Kiedyś był jego współnikiem.

– Kiedy to było?

– Miał jakieś dwadzieścia osiem lat, kiedy został jego współnikiem. Teraz ma ze czterdzieści osiem. Jego ojciec zmarł, a matka nie była w stanie prowadzić firmy z Orłowiczem, bo była słaba i głupia. Jednak na tyle cwana, że szybko przygotowała

syna do zarządzania firmą. On sam zresztą tego chciał.

– Czemu mi pani o nim mówi?

– Widziałam go wczoraj na pogrzebie, przypomniał mi się. On znał Zbigniewa, może coś wie.

Zawadzki zamyślił się. Jak mógł być tak naiwny, by sądzić, że uniknie kolejnego bezpośredniego spotkania z Henrykiem Lorencem?

PRAGA-PÓŁNOC

Gdy Zofia opuściła pokój, Zawadzki wstał i podszedł do okna. Po wczorajszym deszczu pozostały gdzieś kałuże. Robiło się coraz cieplej. Cały czas miał przed oczami obraz żony, który potęgował wyrzuty sumienia. Nie usłyszał, jak Halinka zapukała i bez słowa wyjaśnienia położyła na jego biurku gazetę. Tytuł na pierwszej stronie nie pozostawiał wątpliwości: *Kłątwa w rodzinie Orłowiczów*.

– Co to za gówno? – Czuł, że zaraz trafi go szlag.

– Poczytaj.

Wczoraj w nocy w trakcie stypy zorganizowanej po śmierci Luizy Orłowicz, tragicznie zmarłej aktorki Teatru Larum, odnaleziono zwłoki jej ojca, potentata farmaceutycznego, właściciela koncernu Farmaceutiks. Spekuluje się, że ojciec nie wytrzymał żałoby po zmarłej córce i odebrał sobie życie. Jak donosi nasz informator, Zbigniew Orłowicz nie mógł się pogodzić ze stratą dziecka, zresztą nie pierwszą. Podobnie stało się z jego synem, który zaginął w niewyjaśnionych dotąd okolicznościach wiele lat temu. Więcej informacji na str. 15.

Zawadzki usiadł, oparł głowę na fotelu i zapatrzył się tępo w sufit. Był blady z wściekłości. Jak mogli tego nie sprawdzić? Jak to możliwe, że prasa wie lepiej, kto w tej rodzinie zaginął? Po chwili Halinka pojawiła się ponownie.

– Wygląda na to – powiedziała cicho – że to taksówkarz wczoraj uzyskał te informacje i poszedł z nimi do „Informacji Dnia”.

Zawadzki skrzywił się.

– A my nic o tym synu nie wiemy? Dlaczego nikt się na jego temat nawet nie zająknął?

Dopiero teraz poczuł, że dłonie ma zeszywniałe od zaciskania w pięści. Krążył po pokoju jak tygrys w klatce. Zza drzwi dobiegał go szmer rozmów. Powinien zwołać konferencję prasową. Tego oczekiwał szef. Tylko co ma powiedzieć dziennikarzom?

– Przewertowałam jeszcze raz akta. Mam wrażenie, że w aktach stanu cywilnego rzeczywiście brak danych dotyczących jednej osoby. Właśnie tego faceta, o którym piszą. Nie ma śladu. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło.

– I chodzi o syna?

– Nie wiem, trudno wywnioskować. Nie ma wszystkich stron. Ale zamierzam to ustalić. Jeszcze jedno. Biadoń kazał ci przekazać te teczki.

Zawadzki zaczął kartkować dokumenty.

– Nie wynika z nich wiele, pada kilka nazwisk lekarzy, którzy mogli mieć związek z wprowadzeniem nielegalnych substancji na rynek, żadnych jednak dowodów nie znaleziono. Szczególnie podejrzany był Suchocki. Wkraczamy niestety na dość grząski grunt, bo jest dobrze znany w środowisku i z tego, co wstępnie udało się ustalić, cieszy się dużym zaufaniem jako lekarz.

– Przesłuchaliśmy go i nic się nie dowiedzieliśmy – stwierdził sucho Zawadzki. Był zły, że Halina zawraca mu teraz głowę. Suchocki to słaby trop. Nikt z rodziny nie wiedział, że Luiza kontaktowała się z nim kilkakrotnie albo próbowała się z nim skontaktować. Jeśli był jej lekarzem, nikogo nie powinno to dziwić. Dziwne było jedynie, że tego nie pamiętał. Nic na niego nie znaleźli.

Żeby dowiedzieć się czegoś więcej na jego temat, Halinka wskazała Biadoniowi kontakt do swojej przyjaciółki z Milanówka, która kiedyś pracowała w Szpitalu Wszystkich Świętych. Przyjaciółka Halinki miała koleżankę, której sąsiadką była Jolanta Giedrojc.

To dzięki tej przyjaciółce Biadoń zebrał sporo informacji. Giedrojc była niemłoda i miała opinię dość dziwnej. Od lat pracowała w rzeczonym szpitalu i od lat, jak niosła plotka, kochała się w doktorze Suchockim miłością wręcz bezwarunkową. Przyjaciółka Halinki obiecała zasięgnąć języka i dowiedzieć się wszystkich, nawet najbardziej bzdurnych, plotek na temat Suchockiego.

– Mimo wszystko spójrz na to. Myślę, że jest tu trochę nowych faktów dotyczących tego bydlaka.

Zawadzki uniósł brwi.

– Jest coś o sprzedaży firmy?

– Tak, to ta druga teczka. Ustaliłam, kto może być kupcem. Jakaś niemiecka firma. Właściwie koncern. Suchocki też może być w to wmieszany.

– To może być ciekawy wątek. Wezmę te akta do domu. I wezwij do mnie tego taksówkarza.

PRAGA-PÓŁNOC

Artykuł w gazecie i perspektywa konieczności przesłuchania Lorenca sprawiły, że Zawadzkiemu zrobiło się niedobrze. Takiego obrotu spraw się nie spodziewał. Czuł się jak zbity pies. Co ta stara mogła wiedzieć? Dlaczego rzucała podejrzenia na Lorenca? Z formalnego punktu widzenia Lorenc nie miał związku z zabójstwem i nie wykryli żadnego powiązania z jego osobą. Musiał na ten temat po raz kolejny

porozmawiać z przełożonym.

Zawadzki nie sądził, że mordercą jest Henryk. Na pewno był nieuczciwym człowiekiem. Ale czy prokurator sam siebie nie oszukiwał? Może zrobił zbyt wygodne dla siebie założenia. Kogo właściwie chciał usprawiedliwić?

Gdy Halinka powiedziała, że szef go oczekuje, zrobiło mu się gorąco. Jak się wali, pomyślał, to się wali na całego. Domyślał się, że tym razem nie pójdzie łatwo, jednak nawet przez chwilę nie przypuszczał, że Kwaśnik jest aż tak wściekły.

– Kurwa, czyś ty zwariował?! – powitał go prokurator rejonowy Tadeusz Kwaśnik. Jego jasnoróżowa twarz płonęła. – Jak można było do tego dopuścić?! – Głośno wypowiedane słowa odbijały się od ścian największego w całym zapyziałym budynku prokuratury gabinetu.

W powietrzu unosił się gorzki dym papierosowy, który drażnił gardło i płuca. Zawadzki patrzył ponad głową szefa, co tamtego jeszcze bardziej wyprowadzało z równowagi. Kwaśnik był duszą prokuratury. Dawał pracownikom wolną rękę, ale nie lubił, gdy nadużywano jego zaufania.

– To ja się z gazety i internetu mam dowiadywać o tym, co się dzieje?! Taksówkarze wiedzą więcej niż my?! Czy ty pamiętasz, że pracuję tu prawie trzydzieści lat?! Może odrobinę szacunku? Kiedy zamierzałeś mnie poinformować?!

Zawadzki przekonał się już wcześniej, że larwa z prasy była niezwykle skuteczna. Pomimo młodego wieku dziewczyna miała dobrego nosa. Jedyne, co mogło ją zgubić, to pewność siebie i przekonanie o własnej nieomyślności. Tym razem wyprzedziła ich co najmniej o głowę.

Kwaśnik pienił się:

– Nie dość, że wywąchali, że Orłowicz ma jeszcze jakiegoś nieznanego syna, który kto wie, może skasował Luizkę, to jeszcze do tego wszystkiego chcecie przesłuchać Lorenca? Czy żeście kompletnie powariowali?! Kogo i co tam jeszcze wyciągniecie? Jakąś sprawę sprzed trzydziestu lat?! A jaki to ma związek? Chcecie nas skompromitować?! Spada z nieba Modest, a ja mam znowu świecić oczami?! Zrobiłem grzeczność, powtarzam, grzeczność, że informujemy go o przebiegu śledztwa ze względu na Martę. Ale naduzywacie tej grzeczności!

Zawadzki zamarł. Tego się nie spodziewał. Podniósł gazetę i wydruki leżące przed Kwaśnikiem. Przebiegł wzrokiem tekst. Zrobiło mu się gorąco. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Co tak patrzysz, jakbyś nic o tym nie wiedział? – Kwaśnik wpatrywał się w niego nieustępliwie. Stary niedźwiedź nie dał się oszukać.

Zabiję Modesta, jak go spotkam, pomyślał Zawadzki. Zabiję go, jak tylko stąd wyjdę.

– Wiedziałem.

– No to nie gap się tak! Mówże coś!

– A co mam powiedzieć? Badamy wszystkie wątki, chwytny się wszystkiego.

– To może przestańcie chwytać się wszystkiego. Skupcie się na czymś konkretnym! Co ma wspólnego z tym wszystkim Lorenc? Nie mieliście już kogo wybrać? Telefon się urywa.

– Święty nie jest – skwitował Zawadzki. Wstał i zaczął chodzić po pokoju.

Kwaśnik już się uspokajał. Oddychał powoli, wydymając policzki. Po chwili milczenia powiedział:

– Prawdopodobnie tak. Ale pomyślą, że zwariowaliśmy. Pieniądze, jakie ładuje w działalność charytatywną, są tak ogromne, że wszystkim zamykają usta. Te wszystkie matki z dziećmi nas zlinczują! Lorenc wydaje miliony, żeby nikt się nim nie interesował.

– Dasz mi nakaz rewizji?

Kwaśnik zamyślił się.

– Musisz mi najpierw dać coś, co to uzasadni. Tymczasem choćbym nie wiem jak główkował, nie widzę związku ze sprawą. Lorenc jest cwany. Nie sądzę, żebyś cokolwiek na niego znalazł. Do tej pory nikomu się to nie udało.

– O co w tym wszystkim chodzi? – westchnął Zawadzki.

– Mnie się pytasz? – Kwaśnik roześmiał się gorzko. – Słuchaj, masz trzy dni, żeby zakończyć dochodzenie, jasne? Zaginięcie podejrzanej, trzy morderstwa. Dużo tego, nie uważasz?

– Orłowicz popełnił samobójstwo.

– To pewne?

– Dzwoniła Wiśniewska. Nie widziałem raportu, ale wszystko na to wskazuje. Jedyne, co mogłoby wchodzić w grę, to jakiś przymus, groźba, ale tego nie jesteśmy w stanie udowodnić. Brak śladów wskazujących na to, że ktoś tam z nim był.

– Tak czy siak, niewesoło to wygląda. Żadnej wiadomości o dziewczynie?

– Żadnej.

– Czy mi się tylko zdaje, czy próbujecie ją w to wrobić?

Zawadzki nie wiedział, co odpowiedzieć. Może rzeczywiście chciał, żeby tak się stało?

– Może trochę. Złożyła fałszywe zeznania i wyparowała.

– Co na to Modest?

– Twierdzi, że nie byłaby zdolna do takiego czynu. Sam wiesz.

– Cóż, musimy mieć coś więcej prócz twierdzenia.

– Przesłuchaliśmy chłopaka, który zadawał się z Martą. Ale niewiele powiedział.

– Kto to?

– Syn Barbary Nałęcz. Tej, która znalazła martwą Luizę.

– A co on może mieć z tym wspólnego? Romans?

Zawadzki popatrzył na niego, jakby nie zrozumiał pytania. Nagle to, co powiedział szef, wydało mu się tak straszne, że aż nieprawdopodobne.

– Kto wie.

– Może to jest wątek, który odsuwa nas od Lorenca? – spytał z nadzieją w głosie Kwaśnik.

– To jest na pewno wątek, który nas do niego nie przysuwa, a to już dużo.

Zawadzki skierował się do drzwi.

– Poczekaj. Nie skończyłem jeszcze. Dokąd idziesz? Coś się tak zerwał? – Kwaśnik wyprostował się na krześle. Patrzył na swego podwładnego podejrzliwie. – Czemu nie trzymasz strony Modesta?

Zawadzki wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się w ostatniej chwili.

– Trzymam się faktów.

– Boisz się, że coś znów odpali?

– Nie wiem.

– Opowiedział ci, co się wtedy stało?

– Nie.

Rejonowy pokiwał głową.

– Ja nie chcę powtórki z rozrywki, rozumiano? Masz go pilnować. Przynajmniej ty zachowuj się odpowiedzialnie! Mogę na ciebie liczyć?

Zawadzki przypomniał sobie tamten wieczór, gdy siedzieli nad dokumentami, telefon dzwonił na biurku, a stary wyglądał, jakby miał dostać zawału. Uwielbiał Modesta, dlatego pomagał zatuszować sprawę. Pewnie nadal liczył, że Modest mu za to podziękuje.

Zawadzki z ponurą miną opuścił pokój szefa i niechętny trzasnął drzwiami. Wiedział, co musi teraz sprawdzić.

ŚRÓDMIEŚCIE

Mężczyźni siedzieli w restauracji przy okrągłym stoliku na czarnych, skórzanych kanapach. Adam rozejrzał się po ciemnofioletowym wnętrzu, na tyle ciemnym, że widać było jedynie zarys mebli i postaci. Ekskluzywny lokal przyciągał przedstawicieli biznesu, którzy w kameralnych warunkach chcieli się spotkać ze swoimi kontrahentami. Vario słynęło z dyskrecji i cieszyło się dobrą renomą.

Pojawiło się też kilka osób, których Adam się nie spodziewał. Co było oczywiste, na spotkanie dotarł Marek, który nie wyglądał ostatnio najlepiej, prawnik, Budkowski, którego już znał, i kilku facetów, pewnie doradców, których widział pierwszy raz w życiu. Usadzono ich z tyłu sali, tak aby nikt nie przeszkadzał im w rozmowie. Oczekiwali jeszcze na kontrahentów, którzy wkrótce mieli się pojawić.

Adam czuł, że z każdą minutą denerwuje się coraz bardziej. Czy śmierć teścia zmieniła ich sytuację? Czego mógł się spodziewać po tym spotkaniu? Chciał zamknąć

wszystkie sprawy i jak najszybciej zacząć nowe życie.

– Jak się masz? – Pytanie mecenasa, rzucone w próżnię, zostało poparte klepieniem po ramieniu. Adam skulił się jak zaszczute zwierzę. Miał ochotę ugryźć dłoń, która trzymała nad nim bat.

– W porządku, jakoś leci – wycedził przez zęby.

Marek zamówił drinki. Adam zauważył, że szwagier wygląda fatalnie. Chyba nigdy nie widział go w takim stanie. Zawsze wymuskany, elegancko zdystansowany, sprawiający wrażenie, że jest ponad wszystkim. Teraz zapadł się w sobie.

– Fajny lokal – ciągnął Budkowski, niezrażony ciężką atmosferą panującą w lokalu. Nikt nie zareagował. – Można tu zjeść i potańczyć. Niezłe babki przychodzą.

Przy marmurowym stoliku z ciężkimi, powykręcanyymi jak bawole rogi nogami nadal panowała cisza. Może muzyka była za głośna, a może każdy z obecnych za bardzo zajęty był swoimi myślami.

– Czyli na kogo jeszcze czekamy? – Adam źle znosił oczekiwanie. Marek wydawał mu się nad wyraz tajemniczy i nieobecny. Coś tu nie grało.

– Na Niemców i doktora – odpowiedział szwagier, nie patrząc na niego.

– Wszystko z doktorkiem ustalone? – Mecenas uśmiechnął się nerwowo.

– Mam nadzieję – odparł sucho Marek. – Do tej pory nigdy nie nawalił. Zresztą łasy jest na pieniądze jak mało kto.

– Ile wziął? – podchwycił natychmiast Budkowski, obrzucając ich szybkim jak migawka spojrzeniem. Marek wiedział, że Budkowski należy do tego samego gatunku ludzi co Suchocki, więc nie zaskoczyło go to pytanie.

– Dużo – odpowiedział wymijająco.

– Ale o co chodzi? – Adam czuł się pominięty i narastała w nim złość. Wczorajsza uroczystość, zamiast uspokoić, do reszty wyprowadziła go z równowagi.

– Nic ważnego, nie przejmuj się. Wszystko już załatwione. – Marek nadal na niego nie patrzył. Sprawiał wrażenie, że całą jego uwagę skupiła ponętna brunetka stojąca nieopodal wejścia. Kierowała gości do wyznaczonych sal, jednocześnie obserwując ich stół.

Adam spojrzał na szwagra ze złością. Nie tak się umawiali. Marek przybrał obojętną minę. Niech oni już wszyscy, do cholery, przyjdą!

– Czemu chcą się tak nagle spotkać? – spytał Adam głośno.

– Finalizujemy deal – zaśmiał się Marek.

– Są jakieś przeszkody? Po tym jak Zbigniew... – Szwagier nie sprawiał wrażenia przekonanego.

– Zwariowałeś?! – warknął Marek. Opanował się jednak i po chwili powiedział: – Przecież wszystko sprawdziliśmy. Jesteście jedynymi spadkobiercami, jedynymi udziałowcami, nic nie stoi na przeszkodzie. Możesz nie robić problemów? Od miesiący czekasz na gotowe. Myślisz, że nie widzę? Przeczytałeś się i masz

nadzieję, że wszyscy się sami pozarzynają. Muszę cię rozczarować. Czy ci się to podoba, czy nie – ja przeżyję.

Adam wpatrywał się w Marka bez słowa.

– Panowie, spokojnie. Napijmy się – próbował rozładować sytuację Budkowski, który z zaciekawieniem przysłuchiwał się ich wymianie zdań.

Po piętnastu minutach i dwóch dodatkowych drinkach w drzwiach stanęli czterej mężczyźni, których Adam widział dotąd tylko raz – wczoraj w domu. Zbliżyli się, podali im dłonie. Dwóch Niemców, z których starszy doskonale mówił po polsku. To on szybko i bez zbędnych wstępów zapytał:

– Witam, *gentlemen*. A gdzie nasz ekspert?

– Powinien już tu być. Zadzwoń do niego. Przepraszam na chwilę. – Marek wyszedł, a przy stole nastąpiła chwila konsternacji. Gdy wrócił, powiedział: – Niestety, nie mogę go złapać. Podejrzewam, że musiał zostać w szpitalu. Ale proszę się nie martwić, wszystko już ustaliliśmy. Doktor wszystkim się zajął.

– Czekamy na konkrety. – Gustaw mówił stanowczym tonem. – Póki nie mamy po swojej stronie urzędów, nie mamy o czym gadać. Wydawało mi się, że się zrozumieliśmy? – Niemiec był wyraźnie poirytowany.

– Dopniemy to w przyszłym tygodniu.

– Jest jeszcze *another thing* – wtrącił się młodszy. Ton Niemca sprawił, że Adam zeszytniał. Marek zacisnął zęby. Stefan spojrział na ojca i kontynuował: – Zrobiliśmy *due diligence* całej inwestycji i rzeczywiście wszystko wygląda tak, jak to nam przedstawiliście. – Adam poczuł ulgę. Przecież musi być w porządku, przekonywał sam siebie. Mężczyzna mówił dalej: – Jest tylko jedno „ale”. Mamy wątpliwości, czy jesteście jedyni, *you know* – zawiesił głos – *descendants*.

– Spadkobiercami. – Budkowski szybko wszedł w słowo przedmówcy i zaprotestował: – Nie ma innej możliwości. Wszystko zostało sprawdzone i zweryfikowane przez notariusza. Mamy przecież dokumenty, dostaliście je. – Przez twarz przemknął mu jednak cień, czyżby czegoś nie dopatrzył?

– Cóż, proszę. – Gustaw rzucił na stół gazetę.

– Zaginiony czy nie żyje? – spytał Stefan.

– Kto? – Budkowski popatrzył na niego wielkimi oczami. Adam dałby sobie rękę uciąć, że cały się spocił.

– Jan, syn Zbigniewa Orłowicza.

Marek powolnym ruchem, jakby od niechcienia, podniósł się z kanapy i sięgnął po artykuł.

– No i w czym ma pan problem? Zaginął, a po latach uznano go za zmarłego. W czym rzecz? – Marek patrzył na zgromadzonych z udawanym rozbawieniem.

– Ale dlaczego w urzędzie stanu cywilnego nie było o nim informacji? Dlaczego nie został zgłoszony jako spadkobierca?

– To jakaś bzdura! Wyssane z palca. – Budkowski nie krył wściekłości. – Co oni myślą? Są dokumenty!

– Proszę o spokój. My tylko pytamy. – Stefan poruszył rękami, jakby chciał ich wszystkich uciszyć. – Nie mówimy „nie”, chcemy firmę od was kupić, ale... To zmieniałoby postać rzeczy... Czyż nie, mecenasie?

Budkowski poczerwieniał.

– Jestem pewien, że to jakieś nieporozumienie, wszystko zostanie wyjaśnione.

– Oczywiście – uśmiechnął się Niemiec szyderczo.

Marek posłał mu wrogie spojrzenie. Adam przyglądał się szwagrowi i przemknęła mu przez głowę zatrważająca myśl.

SASKA KĘPA

Po spotkaniu Marek z zastygłym na twarzy uśmiechem pożegnał się z Adamem. Domyślił się, że szwagier chciał jeszcze porozmawiać, ale nie miał siły na uspokajanie mięczaka. Rzucił tylko, że się zdzwonią. Chciał zamienić kilka słów sam na sam z Suchockim, który pojawił się na spotkaniu w ostatniej chwili. Zaproponował mu podwiezienie do domu. Lekarz zgodził się, ale dość niechętnie.

– Marek, nie myślisz, żeby wycofać się ze sprzedaży? – spytał Suchocki, gdy wsiedli do samochodu i usiadł na miejscu pasażera. Po czole spływał mu pot, który ocierał jednorazową chusteczką.

– Wycofać się? – Marek był zirytowany. – To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

– Nie, ja tylko... – Suchocki zaczął się jękać.

Marek przyspieszył.

– Chciałbym ci przypomnieć, że zostałem już tylko ja. Tylko ja wiem, co się wtedy stało.

Suchocki spojrzał na niego z przerażeniem, ale milczał. Marek mówił:

– Myślisz, że jestem głupi? Że nie wiem, co zrobiliście wtedy Luizie?

– My nic...

– Tak, wy nic. Więc, załóżmy, że to „nic” przekażę do prokuratury. Może nie będzie to wyglądało już tak różowo?

Suchocki milczał.

– Więc będzie tak. Ty załatwisz zgody, tak jak oni chcą, z Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, potem w urzędzie rejestracji produktów leczniczych. Pomożesz mi zgromadzić całą dokumentację. Sprawę Janka zatuszujemy, bo nie może mieć tutaj znaczenia. Sąd biorę na siebie. Odpalę ci za to uzgodnioną sumkę i nasze drogi już nigdy się nie spotkają. Przyznaj, że nie możesz już na mnie patrzeć, tak samo jak ja na ciebie.

– A jeśli się nie uda?

Marek zahamował na światłach i spojrzał na lśniącą od potu twarz Suchockiego.

– Zrobię wszystko, żeby ten plan się udał – wycedził przez zęby. – Wszystko, zrozumiałeś?

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Ciszę zakłócał jedynie ciężki oddech doktora. Suchocki wysiadł bez słowa na Francuskiej, niezbyt daleko od swojego domu. Cofnął się jednak kilkaset metrów, żeby kupić na wieczór ulubione wino.

Marek patrzył za nim w milczeniu. Nie zamierzał się poddać. Nie po tylu latach upokorzeń. Niech stary gryzie ziemię za to wszystko, co mu zrobił.

PRAGA-PÓŁNOC

Zawadzki wszedł do pustego holu Teatru Larum. Nie był umówiony z dyrektorem Szymańskim, ale miał nadzieję zastać Weronikę. Podeszedł do staruszka stojącego w szatni. Przypominał mu gremlina.

– Chciałbym zamienić kilka słów z Weroniką Latoszek. Jest może w teatrze?

– Widziałem ją rano – odpowiedział mężczyzna, patrząc na niego podejrzliwie. – A pan z policji?

Zawadzki uśmiechnął się.

– Z prokuratury.

– To w sprawie Luizki? – Wścibskie oczka wpatrywały się w Zawadzkiego przebiegle. – Fajna babka z niej była.

Zawadzki westchnął.

– To jest Weronika?

– Pan przejdzie na salę na dół – mają próbę.

Prokurator podziękował i przeszedł na poziom minus jeden, czując na sobie spojrzenie gremlina. Gdy przemierzał ciemny korytarz, docierały do niego odgłosy próby. Tubalny głos Szymańskiego przerywał co rusz kwestie wypowiedane przez aktorów. Wybuchwały okrzyki oburzenia. Zawadzki przystanął w wejściu, niewidoczny dla nikogo, i nasłuchiwał.

– Weronika, więcej pasji! – Szymański krzyczał z widowni. – Jesteś jak drewniana kukła. Gdzie się podziała twoja ekspresja?!

Weronika nie odpowiedziała. Stała na scenie w ciemnoczerwonej sukni. Jej ruda peruka lśniła w świetle rampy.

– Ja tu nie widzę motyla! Nie ma lekkości! Ty lecisz do światła! Masz być jak ćma, która spłonie! – perorował reżyser. – A ja widzę oślicę!

Weronika nie spojrzała nawet na Szymańskiego, zamaszystym krokiem zesza ze sceny i ruszyła w kierunku Zawadzkiego. Prokurator w ostatniej chwili cofnął się, by uniknąć zderzenia.

– Pani Weroniko, możemy porozmawiać? – spytał łagodnie, wychodząc z cienia.

Weronika drgnęła przestraszona. Po policzkach spływały jej łzy, rozmazując sceniczny makijaż. Wyglądała groteskowo.

– Długo tu pan stoi? – Głos miała zachrypnięty jak po krzyku lub zbyt dużej liczbie wypalonych papierosów.

– Nie, czekałem, aż pani skończy.

– To właśnie skończyłam. Proszę za mną.

Przeszli do garderoby, w której już wcześniej rozmawiali. Weronika zapaliła papierosa i usiadła na fotelu, podciągając kolana pod brodę, co było nie lada wyczynem z uwagi na obcisłą, długą suknię. Zawadzki z zaciekawieniem obserwował napięty na udach materiał.

– Ciężki dzień?

– Jak zwykle. Nikt nie mówił, że będzie łatwo.

– On tak zawsze?

– Zawsze. Teraz jest jeszcze gorzej, bo jego ulubienica odpadła w przedbiegach. – Zaśmiała się ironicznie. – Więc zbieramy cięgi, póki następnej nie znajdzie. I na pewno, jak widać, nie będę to ja – odparła kobieta z żalem w głosie.

– Liczyła pani na specjalne traktowanie? – zainteresował się Zawadzki.

Weronika wzruszyła ramionami.

– Nie. Ale to jest dalekie od specjalnego traktowania, nie uważa pan?

Zawadzki nie mógł nie przyznać jej racji.

– Ale o co pan chciał spytać? – spojrzała na niego z lekkim zaciekawieniem.

– Czy rozpoznałaby pani mężczyznę, który odwiedzał Luizę, gdybym pokazał pani jego zdjęcie?

– Myślę, że tak.

Zawadzki podszedł z telefonem, na którym pokazał policyjne zdjęcie Jacka Nałęczca.

– Tu jest młodszy – doprecyzował.

– Tak, widzę. To on. – W głosie Weroniki brzmiała pewność.

– Czy według pani mogli mieć romans?

Weronika spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Nie mam pojęcia. Przynosił jej kwiaty. Każda kobieta może mieć takiego wielbiciela.

Zawadzki uważał, że nie każda, ale głośno powiedział:

– Życzę pani sukcesu. Jak nie tu, to gdzie indziej.

Weronika wybuchnęła śmiechem.

– Chyba po mojej śmierci. Ale dziękuję.

Prokurator opuścił budynek teatru z dziwnym przecuciem, że wszystko zaczyna mu się układać w jedną całość.

ANIN

Henryk Lorenc uśmiechnął się przyjaźnie na widok Marka, który wyszedł mu na powitanie w recepcji Farmaceutiksu.

– Dawno żeśmy się nie widzieli. – Henryk był w doskonałym nastroju. Opalony, nienagannie ubrany. Sprawiał wrażenie człowieka znającego swoją wartość i z powodzeniem odcinającego kupony od tego, co sobie wypracował – teraz pracowali na niego inni.

– Faktycznie. Nie było widać okazji. – Marek zaprosił go do swojego biura.

Henryk szedł wyprostowany, rozglądał się po salach z miną wyrażającą aprobatę.

– No sporo tutaj zmieniłeś, jestem pod wrażeniem.

– Owszem. Ale nie wszyscy to dostrzegli – stwierdził z nieukrywaniem żalem Marek.

– Masz na myśli Zbyszka?

– Między innymi.

– Nie powinieneś sobie tym zaprzętać głowy. To już koniec. – Henryk uśmiechnął się szeroko i po chwili dorzucił: – Ten rozdział mamy szczęśliwie za sobą, nieprawdaż?

Marek wyciągnął papierosa i usiadł za biurkiem.

– Co cię sprowadza? – Marek wiedział, że Lorenc niechętnie załatwiał sprawy osobiście, więc musiało to być coś ważnego.

Henryk uśmiechnął się.

– Uznałem, że czas się włączyć.

Marek spojrział na niego zaskoczony.

– Ale umawialiśmy się, że ja to prowadzę.

– Pamiętaj, że klient jest mój. – Lorenc nagle spowaźniał.

– Oczywiście, że pamiętam, ale...

Lorenc przerwał mu:

– Słuchaj, Bernard mi mówił, że rozmawialiście... – urwał, obserwując reakcję Marka.

– Tak, luźna rozmowa. A co? – Marek udawał, że nie rozumie.

– No właśnie. Nie wracajmy do przeszłości, dobrze? Nie chciałbym, żeby to się dla nas wszystkich źle skończyło.

Marek poczuł mrowienie w całym ciele.

– Wystarczy, że Janek zmartwychwstał – ciągnął Henryk. – Ale to może i dla nas dobrze. Myślę, że mogą uznać go za podejrzanego, jak to dobrze rozegramy.

Marek przełknął ślinę i posłał Lorencowi nerwowy uśmiech. Jak mógł być tak głupi i uwierzyć, że cokolwiek zależy od niego samego? Karty rozdawał Henryk. Wrócił, żeby dokonać zemsty na wszystkich swoich wrogach.

PRAGA-PÓŁNOC

To wczoraj Józef Paprocki postanowił wykorzystać swoją życiową szansę i zaistnieć w mediach.

– Który samochód? – Gruba blondynka spojrzała spode łba na stojącego przed nią starszego, drobnego mężczyznę.

– Honda accord, dwójka.

– Sto pięćdziesiąt złotych. Faktura czy paragon? – spytała niechętnie.

– Faktura.

Józef Paprocki podał swoje dane. Nie zwracał uwagi na ekspedientkę. Był pogrążony w myślach. Co za złodzieje, już nie wiedzą, ile brać za benzynę. Mówią, żeby przerobić taksówkę na gaz. Zabierał się do tego, ale jakoś ciągle brakowało mu czasu.

Kasjerka wystawiła fakturę. Józef patrzył na stoisko z gazetami. Może by kupić sobie jaką gazetkę? Dawno nic nie oglądał, a przecież lubił od czasu do czasu popatrzeć na kobitki. A co? Raz się żyje, wszak jest prawdziwym mężczyzną. Z żoną to już coraz rzadziej, zawsze zmęczona, a zresztą, co tu gadać, nigdy nie wyglądała jak te wszystkie modelki.

Gdy Józef Paprocki przyglądał się stosikowi z gazetami, wzrok zatrzymał się na nagłówku jednego z brukowców: *Luiza Orłowicz – kto wyjaśni zagadkę jej śmierci?*

– Ja pierdołę! – wymsknęło się zbyt głośno Józefowi. Stojąca za nim nobliwa pani z niesmakiem odwróciła się, mamrocząc coś o braku kultury i dzisiejszych mężczyznach.

Józef Paprocki zaniemówił. Chwycił ze stojaka gazetę i położył na blacie, a postawna blondyna przewróciła oczami.

– Za późno, już wystawiłam fakturę.

– Dopłacę gotówką. – Józef wygrzebał z kieszeni drobne i położył przed kasjerką. Zabrał pismo i szybko poszedł do samochodu. – Ja cię kręcę, ale afera – powtarzał do siebie podekscytowany.

Podjechał na postój taksówek, szybko wyjął owiniętą folią aluminiową kanapkę, którą zrobiła mu rano żona, i zagłębił się w lekturze. Rozemocjonowany poczuł, że to chyba właśnie jego pięć minut. Czekał na nie blisko sześćdziesiąt lat! Tego samego wieczoru był już w redakcji „Informacji Dnia”, a nazajutrz poranny telefon pozbawił go złudzeń.

Dzisiaj Paprocki stał przed budynkiem prokuratury na Pradze-Północ i nie wiedział, gdzie ma iść. Wezwali go. Nie mogło być inaczej, to był jego pomysł, żeby pójść do gazety ze zdjęciem znalezionym na tylnym siedzeniu taksówki. Przecież nic nie zrobił. Chciał się tylko podzielić informacją. Czy to grzech? Dobrze, że stara się jeszcze nie dowiedziała, bo pewnie by go zabiła. Że dureń, patałach i że wstydu nie ma. Karmić innych sensacją dla marnych kilku groszy. O czym myślał? Biedna rodzina opłakuje nieboszczyka, a on sławy szuka? Wstyd. Tak by powiedziała i miałaby trochę racji. Paprocki westchnął i ruszył po schodach. Otworzył obdrapane drzwi i wszedł do

środku. Skierował się na lewo, do sekretariatu, gdzie siedziała przysadzista pani w średnim wieku unikająca kontaktu wzrokowego z przechodzącymi ludźmi.

– Gdzie znajdę prokuratora Zawadzkiego? Ja...

– Zawadzkiego? A jest pan umówiony na konkretną godzinę? – Nadal na niego nie patrzyła, wzrok skupiła na ekranie monitora.

– Nie...

– To po co pan przyszedł? Nie wie pan, że się umówić trzeba? Tu się pracuje! – Mówiąc to, posłała mu druzgocące spojrzenie.

– To co ja mam zrobić? Wezwali mnie telefonicznie. – Paprocki stracił pewność siebie. Czuł się jak uczeń.

– Pan poczeka. – Westchnęła ostentacyjnie i podniosła telefon. Po cichu zamieniła z kimś kilka zdań. Po chwili, patrząc z niechęcią na Paprockiego, zebrała od niego dane personalne i kazała czekać.

Po godzinie został wezwany do małego pokoju na drugim piętrze. Tym razem przeurocza blondynka pokierowała go dalej. Usiadł przed drzwiami pokoju przesłuchań i czekał. Po chwili ktoś otworzył drzwi i wyrżał nieogolony facet w średnim wieku, w koszulce z napisem „Jestem z Warszawy”. Podniósł się niechętnie, żeby się przywitać.

– Dzień dobry. Jestem prokurator Zawadzki, proszę spocząć. – Mówiąc to, wskazał na stojące na wprost niego krzesło.

Paprocki usiadł niepewnie, wiedział, że nie czeka go tu nic dobrego. Po co się wychylał? Siedzi w prokuraturze i czuje się jak przestępca. Może jak ich weźmie na litość, to pójdzie łatwiej?

– Co pan taki nieśmiały, kolego? – W głosie Zawadzkiego słychać było szyderstwo. – Jak pan leciał do „Informacji Dnia”, to jakoś się pan nie bał, a co tutaj taki spłoszony pan siedzi? – Teraz wyraźnie do Paprockiego dotarło, że prokurator z niego żartuje.

– Nie jestem nieśmiały, tylko nie jestem żadnym kryminalistą, żeby mnie po prokuraturze ciągaliby – burknął.

– Proszę pana, gdyby pan od razu przyszedł do nas, na pewno nie czułby się pan gorzej niż teraz. Nie wie pan, że należy informować, jeśli wie się coś, co może być ważne dla śledztwa? A tak tylko je pan utrudnił.

Może i tak. Co ma teraz zrobić? Czasu nie cofnie.

– No dobrze, ale do rzeczy. Pan wie, że badamy sprawę śmierci Zbigniewa Orłowicza i jego córki, jest o tym głośno, prawda?

– Tak, co nieco słyszałem. – Był tak skrupowany, że nie wiedział, na co patrzeć.

– Wspaniale. Dowiedzieliśmy się z „Informacji Dnia”, że miał pan przyjemność wieść pana Orłowicza do domu jego córki, czy tak? Tuż przed jego śmiercią?

– Tak.

– Proszę nam o tym opowiedzieć.

– E... No cóż... stałem na Bródnie przed cmentarzem, kończyłem kurs. Wiozłem jakichś ludzi na pogrzeb. Już miałem zawracać, gdy jak spod ziemi wyrósł mi przed maską gość. Od razu zobaczyłem, że jest pijany, i chciałem go ominąć. Ale nie dał za wygraną, prawie mi wpadł do samochodu. Nie lubię wozić takich, no wie pan, problemowych. No, ale już nie miałem wyboru. Wlazł i się wywalić nie dał. Pokazał, że wypłacalny, to machnąłem ręką. – Paprocki nie wiedział, czy ma mówić dalej, czy czekać na pytania.

Zawadzki ponaglił go ruchem głowy.

– Jechaliśmy jakieś pół godziny. On cały czas coś gadał, że jest wielki, że rodzina nie wie, jaki jest wielki. Pytałem go, czemu nie idzie na pogrzeb córki, a on odpowiedział, że to nie była córka, coś takiego powiedział, że tylko syna miał. I zdjęcie mi pokazał. No i to zdjęcie mu upadło i zostało w samochodzie. Wygrzebałem je spod siedzenia, gdy później sprzątałem samochód.

– Nic pana nie zdziwiło?

– Zdziwiło? Chyba tylko, że najpierw mówił, że córka nie żyje, a potem, że nie ma córki. Że żona nie żyje i córka nie żyje. Coś takiego powiedział, że córka kurwa była, że syna tylko miał. I się chwalił, że taki przystojny.

– Ma pan to zdjęcie?

– Tak. – Paprocki pośpiesznie wyjął owiniętą w foliową torebkę starą paszportową fotografię.

Zawadzki rzucił okiem na twarz młodego mężczyzny. Zdjęcie było stare i zniszczone. Ale z jakiegoś powodu miało dla Zbyszka wartość. Tylko – z jakiego?

– Mówił może, że ktoś mu groził albo że chce sobie coś zrobić?

– Nie. Tylko...

– Tylko co?

– Tylko jak wysiadł, to tak nawet pomyślałem, że może powinienem za nim pójść. Tak jakoś wyglądał... Taki był, jakby na granicy. Coś się w nim szarpało. Nie wiem sam. Wszedł do domu, to pojechałem.

– Rozumiem. Cóż, dziękuję. Gdyby pan sobie coś przypomniał, oto mój telefon. To wszystko.

– Dziękuję, do widzenia.

– Jeszcze jedno. Źle pan zrobił, że pan poszedł z tym zdjęciem do „Informacji”.

Paprocki spuścił głowę i wyszedł. Prokurator nie musiał mu tego powtarzać i tak czuł się jak zbity pies.

LUIZA ORŁOWICZ

Poniedziałek, 1 września 2014 roku

Dzień był pochmurny i surowy jak zakonnica, która uczyła mnie w szkole religii. Czułam się gorzej niż kilka miesięcy temu, kiedy postanowiłam zacząć terapię. Moje życie z Adamem było coraz trudniejsze. Czułam, że go kocham, ale nie jesteśmy w stanie przełamać barier i się zbliżyć. Nawet dzieci mnie nie mobilizowały. Powoli traciłam nadzieję, że życie ma jakikolwiek sens. Czy zdołam sobie przypomnieć, co się ze mną stało tamtej zimowej nocy? Czy w końcu się dowiem, co się właściwie wydarzyło?

– Luizo, opowiedz mi, proszę, o śmierci swojej mamy Ireny. – Małgorzata uśmiechała się zachęcająco. Miałam ochotę ją uderzyć. Odkrycie, że moja mama nie była osobą świętą, nie należało do aż tak gorzkich. Zdecydowanie trudniej było zaakceptować, że popełniła kardynalny błąd. Poświęciła córkę niczym czarownicę na stosie swoich iluzji.

– Nie mam ochoty o tym rozmawiać. – Zaciśnęłam usta i patrzyłam w bok, na drzewa za oknem. W ciszy słyszałam tykanie zegara. Szlag by to trafił.

– Może jednak – nalegała, a delikatny uśmiech nie schodził jej z twarzy.

Zaprzeczyłam. Zdecydowanie nie czułam takiej potrzeby.

– To o czym chcesz mi opowiedzieć? – Czy mi się wydawało, czy moja terapeutka była bezradna? W poczuciu triumfu rzuciłam jej koło ratunkowe.

– O basenie. O tym, jak się prawie utopiłam.

Pływałam od dziecka. Wystarczyło zanurzyć głowę w wodzie i pojawiał się bezkresny, nowy, lepszy świat. Mój świat. Basen za basenem. Niezliczona liczba powtórzeń, żeby nie myśleć, żeby się uspokoić, żeby nie pamiętać.

To się stało, kiedy jeszcze nie umiałam pływać. Siedziałam na krześle i czytałam książkę. Byliśmy na wakacjach nad morzem u bogatego znajomego rodziców. Miałam jakieś siedem lat. Byłam tak zaczytana, że nie usłyszałam ojca, który pojawił się w ciągu dnia zupełnie niespodziewanie. Nie poszedł z resztą towarzystwa na plażę

i ku mojemu zdziwieniu znalazł mnie przy basenie. Był opalony. Stał w koszuli z rękawami wywiniętymi do łokci, dopasowane stalowe spodnie podkreślały jego wysportowaną sylwetkę. Oczy patrzyły bez mrugnięcia w połyskującą tafłę wody. Jego obecność sprawiła, że przestałam oddychać, jakby w obawie, że dla nas dwojga nie wystarczy tlenu. Stał blisko. Czułam zapach jego perfum na spoczonej skórze. Pachniał obco.

– Co tam czytasz? – Był miły, co od razu wzbudziło moje podejrzenia. Ze zdziwieniem spostrzegłam, że rzeczywiście czeka na odpowiedź. Opuściłam głowę i zamknęłam książkę, żeby pokazać mu okładkę. Zanim się zorientowałam, moje krzesło wylądowało w wodzie razem ze mną. Ojciec krzyknął: „Radź sobie, smarkaczu!”. Rzuciłam się w basenie, próbując złapać oddech, a on stał i patrzył na brzegu, zanosząc się śmiechem. Gdyby nie matka, nie wiem, czybym przeżyła. Tknięta przecuciem pojawiła się wcześniej i gdy się zorientowała, co się dzieje, przybiegła, w ubraniu wskoczyła do wody i wyciągnęła mnie na powierzchnię. Ojciec trząsł się cały z rozbawienia, krzyczał: „Ofiara losu, do niczego się nie nadajesz!”. Przyłgnęłam do matki mokrym ciałem, drżąc pewnie bardziej z emocji niż z zimna, i słuchałam, jak głośno waliło mi serce.

Małgorzata patrzyła na mnie, a w jej oczach malowało się przerażenie. Milczała. Wtedy po raz pierwszy podczas naszych spotkań przyszło mi do głowy, że wszystko, co mi się w życiu przydarzyło, było przerażające. Jak wiele jeszcze miałam takich rzeczy do odkrycia – nie wiedziałam. Pomyślałam o rodzinie.

Zaczęłam płakać. Zaskakujące było odkrycie, że zawsze byłam wśród nich bardzo samotna.

Niedziela, 14 czerwca 2015 roku

REKOWNICA

Przez ostatnie kilka dni Marta zdążyła oswoić się z ciszą i samotnością. Dom, do którego ją przywiózł, był mały, mokry i zimny. Drewno do palenia w kominku było tak przesiąknięte wilgocią, że nie dała rady go podpalić. Powietrze było zatęchłe, gdzieś na ściany wychodził grzyb. Ubrana w dresy i polar siedziała i patrzyła w okno. Kubek z herbatą parzył palce. Na tym mijały jej kolejne godziny.

Dostała się do środka bez trudu. Znała to miejsce. Po ogłoszeniu separacji pewnie przestali tu bywać. Dom Kraśków, najbliższych sąsiadów, znajdował się jakieś pół kilometra dalej. Na dobrą sprawę mogli się w ogóle nie spotkać. Wiedziała, że musi unikać ludzi.

Wszystko się zmieniło. Nic nie przypominało dawnego uroczego domku, w którym spędzała jedyny szczęśliwy czas w życiu. Przegniła dachówka przepuszczała wodę, na suficie zrobiły się czarne plamy. Ściany były wyłożone pomalowaną na brunatny kolor boazerią. Na podłodze skrzypiały stare deski. Kuchnia, dwie sypialnie i niezagospodarowany strych okazały się mniejsze, niż je zapamiętała. W niewielkich oknach rozklekotane żaluzje chroniły wnętrze przed światłem. Stare kubki pamiętała z dzieciństwa, z wyszczerbionymi brzegami, talerze nie do kompletu, zdjęcie zrobione na łodzi, która z perspektywy czasu nie wydawała się już tak wielka.

Marta rozłożyła swoje rzeczy w pokoju, w którym spała, gdy przyjeżdżała tu jako mała dziewczynka. Beztroski czas zabawy. Udawanie, że ma dom. Kochający ją ludzie. Szybko zniknęli z jej życia. A może sama tego chciała? Niewdzięczna dziewczyna, niewdzięczna. Marta wzdrygnęła się na widok pająka sunącego po podłodze w kierunku kuchni. Obrzydlistwo. Nienawidzę ich, pomyślała.

Próbowała w ciszy usłyszeć własne myśli, ale w uszach dudnił jego szept. Czują oddech na szyi, charczące do ucha: „Roksi, kochanie, Roksi, dojdź”. Doszła. Kilka razy, choć zachowywał się dziwnie. Macał jej podbrzusze, jakby czegoś szukał. Nie opierała się. Wchodził w nią głęboko i gwałtownie. Gdy miała go w ustach, dociskał jej głowę tak, że miała wrażenie, że się dusi. Wpadł w trans.

Rozmowa z Henrykiem Lorencem cały czas brzmiała jej w głowie. Słowa objęły się o siebie jak muchy w słoiku z zaschniętą, pokrytą pleśnią zupą.

– Jak się czujesz? – Henryk cofnął rękę z jej brzucha.

– W porządku. – Czują napięcie w całym ciele. Nie rozumiała tego mężczyzny, wydawał jej się nieprzewidywalny.

– Dam ci pieniądze. – Poczwała się jak dziwka. Ale czy nie jestem dziwką?, pomyślała.

– Nie potrzebuję.

– Przestań. Wiem, że nie masz.

– Czemu pan to robi?

Przyglądała się jego twarzy, na której odbijały się światła deski rozdzielczej. Nie odpowiadał.

– Czemu pan to robi? – spytała ponownie.

– Nie lubię matek.

Miała wrażenie, że źle usłyszała.

– Jakich matek?

Zaczął się śmiać. Śmiech był pusty i głuchy. Nigdy nie słyszała, żeby ktoś się śmiał w podobny sposób.

– Żartuję. Bo rodzice mnie bili, dlatego to robię.

Marta poczuła nagły strach. Ten człowiek nie był tym, za kogo się podawał. Tego była pewna.

– Rozumiem, nie chce pan mówić – powiedziała niepewnie.

– Rzeczywiście, nie chcę. – Spoważniał. – Chcę ci pomóc. Musisz się ukryć. Wrócisz, jak wszystko przycichnie. Oboje wiemy, że nie zamordowałaś Luizy. Ale oni nie.

– A skąd pan wie, że ja tego nie zrobiłam? – Z braku snu i ze stresu zaczynało się jej mieszać w głowie. Kto jest kim, kto kogo zabił i po co? Czy to ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie? Nikt nie powinien płakać za wywłoką Luizą Orłowicz.

Ponownie się roześmiał.

– Znam się trochę na ludziach. – Po chwili dorzucił: – Zawiozę cię do miejsca, które dobrze znasz i powinnaś się czuć tam bezpiecznie. Pamiętasz Rekownicę?

Rekownica. Spędzała tam jedyne wakacje w swoim życiu i tylko tam była w stanie trafić.

– Leśniczówka za Wielbarkiem – powiedziała szybko.

– Nie kręć się tam za bardzo. Pamiętaj, że okoliczni mieszkańcy mogą chcieć zarobić. Na pewno zaczną cię szukać przez media. W końcu tu trafią.

– Będę w baraku. – Roześmiała się, choć nie było jej do śmiechu.

– Jest tam jakiś barak? – spytał zdziwiony.

– Stary dom letniskowy. Tak go nazywaliśmy.

– Doskonale – skwitował. – Dobra dziewczynka. Będiesz tam mieszkać. Z dala od ludzi, rozumiano?

Marta zrozumiała. Nie ma się czego bać. Zapaliła papierosa. Zaciągnęła się

łapczywie, a dym drażnił mocno płuca. Czuła narastające zmęczenie. W myślach klęknęła przy sofie stojącej pośrodku salonu. Pochyliła się nad martwym ciałem Luizy Orłowicz. Włożyła gumowe rękawiczki i otworzyła walizkę. Dobrała kolor lakieru do barwy sukienki – tak by zrobiła Luiza, nie miała co do tego wątpliwości. Chwyliła drobną, zimną dłoń Luizy. Obracała chwilę jej długie palce w swojej dłoni. Wycięła skórki wokół paznokci. Pomalowała je z namaszczeniem. Jeden po drugim, starając się niczego nie zabrudzić. Czuła zapach krwi, który ją uspokajał. Gdy skończyła, poczuła, że jest dobrze. Zamknęła oczy. Poruszyła się i przewróciła zmywacz do paznokci, który wylał się, zmieszał z kroplami krwi. Wyjęła waciki i zaczęła wycierać podłogę. Kawałek po kawałku.

PRAGA-PÓŁNOC

Zawadzki patrzył uważnie w oczy młodego mężczyzny, który siedział przed nim przygarbiony i przestraszony. Prokurator nabierał coraz większej pewności, że wersja zdarzeń, którą układał w głowie, miała sens.

– To może zaczniemy jeszcze raz – powiedział powoli. – Znałeś Luizę Orłowicz bardzo dobrze, prawda?

Milczenie Jacka Nałęcza przedłużało się. Zawadzkiego ogarnęło zwątpienie. Dlatego słowa, które nagle padły z ust mężczyzny, podziały na prokuratora piorunująco.

– Kochałem Luizę.

Aleksander Zawadzki nie spodziewał się, że usłyszy taką odpowiedź. Jacek zaczął swoją opowieść. Jego romans z Luizą Orłowicz nie wzbudził w prokuratorze pogardy. Słuchał i próbował zrozumieć zarówno ją, jak i tego młodego człowieka. Żadna kobieta w życiu chłopaka nie mogła zająć miejsca Luizy, to było dla Zawadzkiego jasne. Ta magiczna, niezwykła kobieta złamała pewnie niejedno serce. Ich burzliwa i długa znajomość była jednak skazana na niepowodzenie – prędzej czy później.

– Czy Henryk Lorenc wiedział o waszym romansie?

– Tak. – Po twarzy młodego mężczyzny przebiegł cień.

– Czy szantażował cię?

– Tak jakby.

– Myślisz, że Marta była o Luizę zazdrosna?

– Była – odpowiedział Jacek bez wahania. – Dlatego postanowiłem ją zostawić.

– Luiza nadal się z tobą spotykała?

– Nie. Jednak wiedziałem, że to sytuacja przejściowa. Ona czekała, aż będę już dojrzały.

Zawadzki nie spuszczał oczu z twarzy Jacka. Dumnie wypięta pierś odważnego, ale pogubionego młodego człowieka. Prokurator pomyślał, że będzie się musiał skonsultować z psychologiem.

– Ale się nie udało – powiedział najdelikatniej jak umiał Zawadzki.

Jacek w milczeniu spuścił głowę.

Zawadzki zdał sobie sprawę, że tylko odnalezienie Marty może pomóc rozwikłać tę zagadkę. Spojrzał na zegarek. Podziękował mężczyźnie i wybiegł odebrać od teściowej Basię. Zaprzagnął natychmiast przytulić do siebie swoją małą dziewczynkę. Miał zamiar zabrać ją na lody. Chciał uciec od historii Luizy, która coraz bardziej przypominała mu coś, o czym chciał zapomnieć.

ŻOLIBORZ

W mieszkaniu przy Mickiewicza, na Starym Żoliborzu, Lena Oksentiuk, zatrudniona u Zofii Frankowskiej od dwóch lat, sprzątała jak co dzień cztery duże pokoje zavalone bibelotami. Czteropasmowa ulica za oknem sprawiała, że kurz dosłownie oblepiał liczne porcelanowe figurki, talerzyki i fotografie w ramkach. Trzepania kwiecistych poduszek i kilimów nienawidziła najbardziej.

– To po prostu niewyobrażalne, Leno. – Zofia z impetem podniosła ze stołu porcelanową filiżankę z kawą. Usta ściągnięte w dzióbek upiły łyk kawy z ledwo słyszalnym siorbnięciem. – Kto by pomyślał, Leno. A zresztą, wszystko się może zdarzyć. Zawsze mówiłam, że moja rodzina to ludzie nienormalni. Kiedy moja biedna siostra poślubiła tego drania Zbigniewa, było pewne, że to źle się skończy.

– Lepiej być starą panną, co? – stwierdziła Lena, zaciągając.

Zofia odwróciła się do niej z furią. To, że mówiła do Leny, nie oznaczało, że oczekuje od niej uczestniczenia w rozmowie. Nie była przekonana, że istnieje w ogóle na świecie ktokolwiek, z kim byłaby w stanie prowadzić rozmowę na odpowiednim, godnym jej poziomie. Ale z pewnością nie spodziewała się tego po swojej służącej.

– Co ty wygadujesz? Zupełnie ci się w głowie pomieszało! – Spojrzała na Lenę ze złością.

Dziewczyna wyczuła, że niepotrzebnie wtrąciła swoje zdanie, ale hardo spojrzała na starszą panią i powiedziała:

– A co, może nie mam racji?

Zofia nie spodziewała się, że ta rozmowa przybierze taki obrót, i ze złością fuknęła:

– Może, nie może! Żarty sobie stroisz! Kiedy moje nerwy są w strzępach, a serce ledwo bije z udręki?

– Przecież sama pani mówiła...

– Nic nie mówiłam! Gdybym chciała cię prosić o radę w zakresie dręczących mnie spraw, na pewno bym to zrobiła i na pewno wiem, że nie zrobiłam tego teraz. Więc z łaski swojej zajmij się obowiązkami i nie angażuj się, proszę, w tematy, które cię nie dotyczą! A wręcz przerastają intelektualnie!

– Oczywiście. – Lena odwróciła się na pięcie i poszła do kuchni. Po chwili zaczęły

dobiegać stamtąd ostentacyjnie głośne dźwięki przygotowań do obiadu.

Zofia westchnęła. Ponownie upiła łyżeczek kawy, która wystygła, i z niechęcią odstawiła filiżankę na spodek. W dzisiejszych czasach tak trudno o dobrą służbę, nie to, co kiedyś, w ich rodzinnym domu. To było życie.

Zofia z niechęcią rzuciła okiem na artykuł w gazecie. Kto mógł zabić jej chrześnicę Luizę Orłowicz? Czyżby Janek?

Na myśl o nim przeszedł ją znowu dreszcz. Czyżby się odnalazł? Ukochany syn Zbigniewa? Czyżby po tylu latach powrócił, kierując się żądzą zemsty na całą rodzinie? Może postanowił wszystkich wymordować? Za te lata wygnania i milczenia?

Jedynie, co jej przyszło do głowy, to rozmowa z Albertem. Skoro żył, może powinni wreszcie porozmawiać. Od pogrzebu Luizy nie mogła przestać o nim myśleć. Jego osoba przywołała stare wspomnienia, które niczym nietoperze wisiały nad jej głową. On ostatni widział Janka, rozmawiał z nim. Powinien wiedzieć, co się wtedy stało.

Dotarło do niej nagle, że może na to wszystko jest już o wiele za późno, i poczuła strach.

OCHOTA

Alina Wiśniewska zadzwoniła do Zawadzkiego późnym wieczorem i zaproponowała, żeby do niej przyjechał. Zazwyczaj komunikowali się mejlami lub telefonicznie, nie licząc sekcji, na które stawiał się we własnej osobie. Nie lubiła tracić czasu, dlatego zdziwiło go to niespodziewane zaproszenie. Zgodził się, bo nie miał ochoty siedzieć sam w domu i gapić się w sufit. Iga w szpitalu, małą odstawił po kinie do babci. Ostatnie dni przynębiły go bardziej, niż mógł sobie to wyobrazić.

Zawadzki nienawidził, gdy Wiśniewska patrzyła na niego tak, jak właśnie w tej chwili. Trzepotała sztucznymi rzęsami, świdrowała oczami podkreślonymi ciemną kredką. Blond włosy obcięte na boba lśniły w świetle lampy dyndającej nad ich głowami jak przekrzywiony księżyc. Gabinet był już pogrążony w półmroku. Wskazówka budzika stojącego na biurku stała na dwudziestej pierwszej. Wiśniewska jako szefowa wychodziła ostatnia.

Nie była ładna, ale wyrazistości mogła jej pozazdrościć niejedna kobieta. Gestykułowała, potrząsając przy tym głową. Nie słyszał już jednak, co mówiła. Wyłączył się.

– Oluś, kurwa! – krzyknęła.

To usłyszał.

– Przecież ty mnie nie słuchasz!

– Owszem. – Patrzył wzrokiem człowieka, któremu jest wszystko jedno. Długim jak u pianisty palcem poprawił okulary.

– To po co ja się produkuję?! Wiesz, co mam na myśli?

– Nie muszę cię słuchać, żeby wiedzieć, co masz na myśli. – Uśmiechnął się.

– Otóż, rzadko to robię, ale ponieważ planowany zastępca Kwaśnika to jełop z zabitej wsi, przepraszam, że to mówię, ale nie mogę patrzeć na tę tępą gębę, to chciałabym, żebyś się wysilił. Więc rozmawiam z tobą. Rusz dupę, bo ci sprzątną stanowisko. A ja z tym kretyńcem nie będę pracować.

Zawadzki słyszał już o nowym pomysle zajęcia stołka po Kwaśniku. Było mu to jednak coraz bardziej obojętne.

– Nie mam siły. To nie dla mnie. Nie teraz.

Sprawiał wrażenie, że uszło z niego powietrze.

– Jeśli zabłyśniesz w sprawie Orłowiczów, może cię awansują i chłop wróci tam, gdzie jego miejsce. A jak jeszcze Lorenca pogrążysz, w czym chętnie pomogę, to może cię ozłocą. – Zachichotała i wydeła usta w oczekiwaniu, co powie, ale w głowie Zawadzkiego była jedynie pustka. Tak jak puste było jego mieszkanie, gdy Iga leżała w szpitalu, a Basia nocowała u dziadków.

– Kłopoty? – Wiśniewska zmieniła temat, spoglądając na niego uważnie. Zapaliła papierosa. Gdy podała mu opakowanie, nie odmówił, choć nie palił całej wieki i wiedział, że mu zaszkodzi.

– Tak jakby – mruknął, zaciągając się. Dym w płucach gryzł tak, że mało się nie udławił.

– Na kochankę nie wyglądasz, więc o co chodzi?

– Iga ma nadal wirusa żółtaczkę. Poddała się kolejnej kuracji.

Wiśniewska patrzyła na niego ze zrozumieniem lekarza.

– Tego świństwa niełatwo się pozbyć. Macie dobrą opiekę?

– Wiesz, że tak. Dzięki. Nie mogę narzekać. Jesteśmy w lepszej sytuacji od większości osób. Ale mam dość.

– Jest trudna? Te leki mogą wzmacniać wahania nastroju.

– Tak. Ale ja też nie jestem łatwy, więc mamy komplet. Zazwyczaj to ja grałem rolę choleryka i frustrata, a teraz jest nas dwoje. Oddaliśmy się. Gdyby nie Baśka, nie wiem, czy dałbym radę.

– Przestań. Wszystko się ułoży. Nie jestem ekspertem w sprawach małżeństw – zaśmiała się – ale słyszałam, że takie problemy się zdarzają.

Popatrzył na nią i zrobiło mu się wstyd.

– Ale ja jestem głupi. Przepraszam.

– Nie ma za co. – Zmieszała się, nie patrząc na niego. – Chcesz drinka?

Zawahał się, ale po chwili odpowiedział:

– Nie jesteś samochodem?

– Jestem, ale stać mnie na taksówkę. Ostatnio całkiem nieźle przędę – dostarczacie mi pracy co niemiara!

– W sumie mnie też stać.

– Tak, tak, póki jeszcze jełop cię nie wygryzł. – Uśmiechnęła się.

Cola z wódką miło krążyła w żyłach. Ściągnął bluzę, bo zrobiło mu się nagle za gorąco. Wiśniewska zdjęła szpilki, cisnęła je pod biurko. Stopą muskała co chwila jego nogę.

– Nie masz czasem tego dość? – spytał.

– Czego? – Patrzyła na niego wzrokiem zmaconym drugim drinkiem.

– Tej roboty, trupów?

– Nie będę odkrywca, jeśli powiem, że trupów boję się najmniej.

– Nie męczą cię?

– Skoro żywi mi się nie trafiają, to biorę martwych. – Roześmiała się, a włosy spłynęły zalotnie na policzek. Zmarszczki wokół oczu pojawiły się, drepcząc sobie po piętach. Najwyraźniej nie robiła sobie z nich wiele i nie unikała słońca.

– Ile lat się znamy? – spytał nagle.

– No jakieś dwadzieścia parę? – powiedziała, napełniając szklanki.

– Tak, poznaliśmy się na praktykach.

Zawadzki przypomniał sobie filigranową blondyneczkę w wielkich okularach, która z poważnym wyrazem twarzy słuchała wszystkiego, co mówił do nich profesor Czajka.

– Byłaś strasznie skoncentrowana.

– Tak, żeby się nie wyrzygać. – Wiśniewska ryknęła śmiechem.

– Żartujesz? – Słyszając jej śmiech, rozluźniał się coraz bardziej. Wreszcie puszczał stres.

– Powiem ci w tajemnicy. – Pochyliła się do niego tak, że czuł zapach jej perfum zmieszanych zmysłowo z potem. Mignął mu fragment stanika. – Zapach trupa zawsze mnie mdli i przez tyle lat się nie przyzwyczaiałam.

– Ciebie? – spytał z autentycznym zdumieniem. Wiśniewska uchodziła za niezniszczalną maszynę.

– Właśnie mnie. Mnie też coś rusza. – Po chwili dodała: – Czasem.

Wstała nagle i zaczęła krążyć po gabinecie. Podeszła do okna, uchyliła je. W pomieszczeniu było już biało od dymu. Usiadła na parapecie. Sięgająca do kolan spódnica podsunęła się do połowy ud. Zawadzki śledził każdy ruch Aliny z rosnącym zainteresowaniem. Nagle jej niewielka postać wydała mu się wyjątkowo pociągająca. Chwycił szklankę i opróżnił ją jednym łykiem.

Wstał z krzesła, pokój zawirował. Ruszył powoli w kierunku Wiśniewskiej, która wpatrywała się w okno.

– Powinniśmy już iść do domu, rano mamy dużo pracy. – Dotknął jej ramienia. W jego dużej dłoni zniknęło jak piskłę. Była nadspodziewanie drobna.

Wiśniewska spojrzała na niego z nieodgadnioną miną.

– Ja i tak prawie nie śpię, bez różnicy gdzie.

Wyciągnęła dłoń i opuszkami palców musnęła jego koszulę na piersi. Poczł, że jakaś

magnetyczna siła ciągnie go ku niej.

– To chciałabyś, żebym był twoim szefem?

Odchyliła w tył głowę i roześmiała się.

– Od zawsze.

– Myślałem, że wolisz Modesta.

– Zależy w czym.

Wiedział, że będzie tego żałował. Żałował już pięć sekund po tym, jak poczuł ulgę. Ale jej ciało wydało mu się w tamtej chwili jedynym ratunkiem, zapomnieniem w smutku.

Gdy rano otworzył oczy, wspomnienie wieczoru sprawiło, że zrobiło mu się niedobrze. Nie bardzo pamiętał, w jaki sposób znalazł się z powrotem w swoim mieszkaniu, kompletnie ubrany. Sztywny od papierosów język, gardło jakby uwięzione w żelaznym uścisku.

Na telefonie oprócz nieodebranego połączenia od Igi wyświetlała się nieodczytana wiadomość: PRZEPRASZAM ZA WCZORAJ. ZACHOWAJ TO DLA SIEBIE. JESTEM TWOJĄ DŁUŻNICZKĄ. WYGRYŹ JEŁOPA.

Miał szczęście, że Alina nie była durną siksą.

LUIZA ORŁOWICZ

Poniedziałek, 8 września 2014 roku

W nocy poprzedzającej spotkanie z Małgorzatą miałam sen. Stała przede mną dziwna, starsza kobieta bez twarzy. A może była to twarz niepodobna do żadnej innej, jaką w życiu widziałam? A może była tak niewyobrażalnie brzydka albo też tak nieziemsko piękna, że nie byłam jej w stanie zapamiętać – zbyt byłam zaskoczona? A może też była po prostu szara, ziemiska i zwyczajna jak tłum w metrze? Bez wyrazu, zlewająca się w jedno masa.

Nie wiem. Towarzyszyło mi jednak poczucie, że kobieta bez twarzy, dająca mi szklanego węża, jest kimś niepokojącym.

Wąż ożywa, wymyka się z kościstej dłoni i zaczyna pełzać po pomieszczeniu. Łasi się do mnie, głaszcę go jak kota lub psa po oślizgłym łebku. Sama nie mogę się nadziwić, że jest taki miły i wdzięczny.

Nagle przypominam sobie o rzeczy niby oczywistej, ale przerażającej.

– Czym ja mam go karmić? – pytam.

– On nie je mięsa. – Kobieta bez twarzy ubiega moje wątpliwości, ale mnie nie uspokaja. Nadal patrzę na węża, niewiele rozumiejąc. Takie bydlę. Byłam pewna, że muszę szykować szczyry i pająki.

– Rośliny je. Ma problemy gastryczne. To wegetarianin.

Obudziłam się z uczuciem, że chcę opowiedzieć o tym śnie Małgorzacie. W drodze zmieniłam jednak zdanie. Znów zaczniemy to analizować i okaże się, że to ja jestem wężem, albo też wpadnie na coś jeszcze innego. Nadal byłam zła, tego byłam najbardziej pewna.

Od progu przywitał mnie jej ciepły uśmiech i straciłam do reszty rezon. Potulnie usiadłam z kubkiem kawy w dłoni. Najchętniej zniknęłabym w fotelu – rozpląnąłabym się w jego aksamitnej strukturze. Było zimno, a za oknem padał deszcz. Jesień tego roku była beznadziejna jak źle doprawiona potrawa.

Po wstępnej wymianie niewiele znaczących zdań, do których już powoli przywykłam, padło pytanie, którego jednak się nie spodziewałam. Przynajmniej po tym nocnym

wężu.

– Czy szpital był twoim drugim domem?

Patrzyłam osłupiała.

– Luizo, chcę, żebyś mi powiedziała, jak się czułaś, gdy towarzyszyłaś swojej mamie w szpitalu. Ile to trwało?

Przełknęłam ślinę. Nigdy tak o tym nie myślałam.

– Długo.

– To znaczy ile, czy jesteś w stanie powiedzieć dokładnie?

– Z przerwami prawie sześć lat.

– To dużo.

Pamiętałam miarowe kapanie płynu w kroplówce. Kap, kap, kap. Nie było tego słyhać, należało się bardzo zbliżyć, żeby sobie uświadomić, że nie ma rzeczy, która nie wydaje dźwięku. W szpitalnej sali wszystko nabiera ostrości i innego wymiaru. Biel nie jest tylko bielą, brud nie jest tylko i wyłącznie brudem, chory nie jest tylko chorym. Nic nie jest oczywiste ani ostateczne. W kątach sal czai się strach, który przybiera czasem dobrą, a czasem potworną twarz.

Często widywałam doktora Suchockiego. Był przystojny i ujmujący. Mamie bardzo się podobał. Nawet ledwo żywa uśmiechała się i chętnie z nim rozmawiała.

Zwykle podchodził do niej, komplementował ją, siadał na moment i słucał. Mnie prawie nie zauważał. Niekiedy spytał, co słyhać, ale nie czekał na moją odpowiedź. Dopiero gdy również ja stałam się jego pacjentką, zaczął traktować mnie bardziej serio. Mimo to nadal miałam opory przed pokazywaniem mu swoich miejsc intymnych. Ale lekarzem był ponoć znakomitym.

Czy mama była świadoma, że jest bardzo chora? Nie wiem czemu, ale śmieszy mnie twoje pytanie. Ona była jak lalka. Siedziała w pościeli, wydawała rozkazy, wyprasowana, wykrochmalona, ale na pewno nieświadoma. Za to zawsze głodna. Kalmary, śledzie, węgorze, ryba maślana? Proszę bardzo. Chociaż może jestem okrutna i niesprawiedliwa. Widywałam ból w jej oczach. Czasem, gdy myślała, że nie patrzę.

Nigdy nie zastanawiałam się, czy umrze. Świat może byłby prostszy, gdybyśmy nazywali rzeczy po imieniu. Dla nas wtedy to był teatr. Tragifarsa. Udajemy, że jesteśmy normalną rodziną, udajemy, że jesteśmy zdrowi, udajemy, że się nie nienawidzimy.

Wychodziła ze szpitala, wracała do domu i było różnie. Zdarzały się miesiące, że czuła się lepiej, potem nastawał czas, gdy szpital stawał się codziennością.

– Czy ktoś ci tam towarzyszył? Czy odwiedzał mamę w szpitalu?

Pytanie Małgorzaty przywołało obraz mnie samej siedzącej pod drzwiami sali, w której mamie robiono transfuzję. Uczę się matmy. Następnego dnia mam sprawdzian, a ja muszę wypaść wspaniale. Inaczej mama będzie się martwić – a po co nam

dodatkowe kłopoty? Kartki wypadają mi na podłogę, sięgam po nie, żeby nikt z personelu ich nie nadepnął. Podnoszę wzrok.

– Dziecko, ty nie masz domu? – Pytanie wypowiada siedząca naprzeciwko kobieta. Jest młoda, o wiele młodsza od mojej mamy.

Nie odpowiadam. Nie rozumiem jej pytania. Spędziłam tam dużo czasu. Ojciec był tam ze mną tylko raz.

Poniedziałek, 15 czerwca 2015 roku

PRAGA-PÓŁNOC

Przełożona Giedrojć weszła do gabinetu, ale nie spodziewała się w nim zastać doktora Suchockiego. Miał być na planowym cesarskim, tymczasem siedział przy biurku ze wzrokiem wbitym w ścianę i tajemniczym uśmiechem na twarzy. Włosy miał niechlujnie rozwiane, wzrok nieprzytomny, uśmiech nadawał jego twarzy psychodeliczny wyraz.

Przełożona chyba po raz pierwszy w życiu spostrzegła, że doktor Suchocki wyglądał jak szaleniec. Szybko odpedziła to skojarzenie. Nigdy o nim źle nie myślała, nie odważyłaby się na to nawet w największej złości. Czemu raptem teraz?

– O, dzień dobry, Jolu. – Ton jego głosu był miły. Dziwne, jeszcze kilka dni temu jego przymilność spowodowałaby u niej dreszcz zachwytu i mimowolnego podniecenia. Dziś poczuła, że przeszkadza jej, że doktor tak bezrefleksyjnie się z nią spoufala. Może to przez tę niepotrzebną rozmowę z sąsiadką? Co mnie napadło? Była niezadowolona z siebie, że tak się rozgadała. Nigdy wcześniej się to nie zdarzało. Tamta ją sprowokowała. Jak mogła mówić o doktorze takie rzeczy? Może to spotkanie z sąsiadką otworzyło jej oczy?

– Dzień dobry, doktorze. – Odpowiedź zabrzmiała chłodniej, niżby kobieta chciała. Dlatego też łapiąc jego pytające spojrzenie, łagodnie się uśmiechnęła i dodała: – Jak dzień?

Suchocki się roześmiał. Głośnym, rubasznym śmiechem, jakby właśnie usłyszał niezwykle udany dowcip. Zdaniem przełożonej rechotał za długo. Gdy w końcu przestał, popatrzył na nią z rozbawieniem i rzekł:

– Jolu, jeśli się czymkolwiek martwisz, to daruj sobie, moja droga. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. – To mówiąc, wstał i zbliżył się do przełożonej, tak że jego twarz znalazła się dosłownie przy jej twarzy. Wyciągnął dłoń i pogładził ją po policzku. Czuła, jak spocone, lepkie i ciepłe palce wędrują po jej skórze. Napięte mięśnie twarzy przełożonej spięły się jeszcze bardziej, a oddech zamarł na chwilę w piersi. Wytrzymać. Wytrzymać tę chwilę, a potem da jej spokój. – Chyba się już nie martwisz, co? – Kropelki śliny wylądowały na jej twarzy, ale powstrzymała odruch, żeby z obrzydzeniem natychmiast zetrzeć je ręką.

– Nie – powiedziała cicho.

– To dobrze. Nie chciałbym, żebyś się czymkolwiek trapiła, wiesz o tym, prawda?

Kiwnęła głową niczym posłuszna uczennica. Odgarnął kosmyk jej włosów, który wysunął się spod czepka. Boże, zaraz sobie pójdzie. Wytrzymaj, powtarzała w myślach.

– Słuchaj, mam propozycję. Może zechciałabyś przyjść do mnie na kolację? – Ton głosu Suchockiego był przymilny, ale stanowczy.

Gdyby potrafiła, przekłęłaby w duchu.

– Tak... – zaczęła, ale głos uwiązł jej w gardle.

– Wieczorem? Będę czekał o dwudziestej. – Uśmiechnął się ponownie, a przełożonej zrobiło się niedobrze. Nagle wpadła na pomysł, który wydał jej się absolutnie genialny.

– Doktorze, to ja zapraszam do siebie. Zrobię coś wyjątkowego. Rzadko mam okazję dla kogoś gotować, to będzie dla mnie prawdziwa przyjemność. – Jak ma się z nim spotkać, to na jej warunkach. Tym razem to ona szeroko się uśmiechnęła, patrząc, jak Suchocki nie wie, co ma zrobić z zaproszeniem.

– E... – zaczął, a w głosie słychać było wyraźne wahanie.

– Zna pan adres, doktorze, prawda?

– Tak. No dobrze, skoro się tak upierasz. Będę. – Widać było, że nie za bardzo podobał mu się taki obrót rzeczy. Na nie swoim gruncie nie będzie się czuł komfortowo, znał siebie. Ale nie mógł przewidzieć, że ona wie to lepiej niż ktokolwiek inny.

Nagle zawibrował jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz i odebrał.

– Halo? – W jego spojrzeniu widoczny był popłoch. – Tak? Jak to się stało? Dziękuję za informację. Tak. Przygotuję.

Przełożona poczuła, że coś się wydarzyło.

– Dzwonił Marek Orłowicz. – Suchocki patrzył w okno. Poczzerwieniał na twarzy. – Chciałbym odzyskać kilka dokumentów. Możesz to załatwić?

Przełożona Giedrojć uniosła brwi.

– Oczywiście – odpowiedziała sucho.

– Posłuchaj, a czy dokumentacja jest w komplecie? – spytał z wahaniem.

– Myślę, że tak.

– Będę musiał ją przejrzeć.

– Rozumiem. Kiedy?

– Dam ci znać, jak się spotkamy. Muszę coś przemyśleć.

Tego dnia Jolanta Giedrojć wyszła z pracy po raz pierwszy w swojej karierze wcześniej niż zwykle i nikogo nie informując. Szła zdecydowanym krokiem. Wyprostowana. Marynarkę miała rozpiętą, ale chłodniejsze powietrze zupełnie jej nie przeszkadzało. Wiedziała, co musi zrobić.

ŚRÓDMIEŚCIE

Modest Tokaj wkroczył do redakcji „Informacji Dnia” jak stały bywalec. Spore, przeszklone pomieszczenie znajdujące się na piątym piętrze wyglądało schludnie. Był tu już nieraz. Często przed remontem komendy tu organizowali konferencje prasowe. Miał plan. Nie mógł dłużej czekać. A skoro na Zawadzkiego nie mógł liczyć, musiał posłużyć się prowokacją. Trzeba było dźgnąć przeciwnika w czuły punkt i poczekać, aż popełni błąd.

Spytał w recepcji o Magdę Kowalską, a ona po chwili stanęła w drzwiach, jakby na niego czekała. W wąskiej czarnej spódnicy za kolano i białej bluzce wyglądała jak uczennica.

– O, kogo my tu mamy? – Uśmiechnęła się ironicznie. Bystre oczy patrzyły na niego z wyższością.

– Możemy napić się kawy? – spytał, siląc się na spokojny ton. Nie czuł się dobrze przed tym, co postanowił zrobić.

– No nie wiem, ostatnio był pan dla mnie bardzo nieuprzejmy.

– To się już nie powtórzy. Pani też nie była zbyt miła. To co, kawa?

– Pod warunkiem, że pan stawia. – Roześmiała się.

Kowalska posłała recepcjonistce porozumiewawcze spojrzenie i poszła za Modestem do windy. Milczeli do momentu, aż usiedli przy stoliku w rogu kawiarni. Po wymianie badawczych spojrzeń Kowalska położyła na blacie dyktafon i zaczęła:

– Zamieniam się w słuch.

– Proszę wyłączyć. To nieoficjalne spotkanie. Chciałbym pani o czymś opowiedzieć. Sprawa jest delikatna.

Kowalska z wahaniem wyłączyła dyktafon. Zerknął na jej pomalowane na różowo paznokcie. Miała ładne dłonie.

– Od początku proponowałam współpracę w tej sprawie – przypomniała.

Modest zignorował zaczepkę, bez zbędnych wstępów przedstawił historię Lorenca i zaznaczył, co powinna opisać teraz, a co później.

– Trzeba dawkować informacje. Zacznijmy od sprawy Roksany Lorenc, która została bezpodstawnie umorzona. Proszę przytoczyć zeznania Marii Lipkowskiej. – Modest położył na stole nagranie rozmowy z matką Roksany. – Tu coś pani znajdzie. Ważne, żeby padło nazwisko Lorenca.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że takiej prowokacji Henryk mu nie daruje.

– Czy pan zdaje sobie sprawę, z kim mamy do czynienia? – Kowalska wyglądała na spłoszoną.

– Lepiej niż inni, jak podejrzewam.

Kowalska pokiwała głową.

– Mam nadzieję, że pan wie, co robi. To człowiek o wielkich wpływach. Są ludzie,

którzy wystawiliby go na ołtarzach zamiast Jezusa. Aż trudno mi uwierzyć w to, co pan opowiada.

– I proszę nie zapomnieć poruszyć wątku dzieci, których się pozbył. Teraz udaje wielkiego filantropa. A jego dzieci wychowywane były przez jakieś rodziny zastępcze w Niemczech.

– Ma pan jakiś zamiar? Można by zrobić wywiad...

– Nie wszystko naraz.

– Okej, co jeszcze?

– Proszę napisać o śmierci Orłowiczów.

– Ale jak ja mam to połączyć? – Kowalska patrzyła na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– Pani nie musi tego łączyć.

Kowalska nadal nie rozumiała.

– Czyli mam coś zasugerować czy nie? Ma pan coś na niego? Nie jest pan specjalnie rozrzutny w podawaniu mi faktów.

– Wystarczy, jak pani napisze krótką notkę, że Lorenc był bliskim współpracownikiem zmarłego Zbigniewa Orłowicza.

Kowalska kiwnęła głową i zanotowała.

– Na jakie źródło mam się powołać? Nie chcę wylecieć.

Zawahał się.

– Na kierującego śledztwem.

– Na Aleksandra Zawadzkiego?! – Kowalska złapała się za głowę. – On już mnie nienawidzi! Ostrzegam pana, będzie dym.

– Spodziewam się tego. – Wróciła mu pewność siebie.

– Dlaczego pan to robi? – spytała, przyglądając mu się z zainteresowaniem.

Spojrzał na nią zmęczony.

– Kiedyś zachowałem się jak tchórz. Więcej się to nie powtórzy.

– Czy mi się zdaje, że przyjaźń z Olkiem Zawadzkim dobiegła końca? – zakpiła.

– Nie wiem, co się pani zdaje, i zupełnie mnie to nie interesuje.

– Ale już nie działacie razem?

– Siedzę tu z panią, przekazuję pani informacje, których pewnie nie powinienem przekazywać. Czy muszę coś jeszcze dodawać?

– Mogę przynajmniej wiedzieć, o co poszło?

Gdyby sam wiedział.

– To nie jest spór personalny. Chcę znaleźć swoją córkę i ukarać kogoś, kto na to zasługuje. Nie mam czasu na analizy.

– No dobrze, powiedzmy, że to zrobię. A co będę z tego miała? – Splotła dłonie i spojrzała na niego hardo.

– Satysfakcję. Gwarantuję, że będzie pani pierwsza z takimi rewelacjami.

Rozmawiali jeszcze kilka minut. Kowalska wydała mu się kobietą mądrą i niezwykle opanowaną. Zabawne, że jeszcze kilka dni temu gotów był wdeptać ją w ziemię. Przed pożegnaniem zapytał:

– A pani dlaczego dla nich pracuje?

Kowalska roześmiała się.

– Bo płacą. Mam dom i rachunki. Każdy ma swoje powody.

Podali sobie ręce. Kowalska obiecała, że materiał ukaże się w internecie w ciągu kilku godzin.

MOKOTÓW

Zawadzki przespał nad ranem kilka godzin, ignorując telefony. Gdy otworzył oczy i ocenił sytuację, było gorzej, niż mógł się spodziewać. Przywalały go wyrzuty sumienia, które próbował zdusić w sobie myślami: „raz się żyje”, „w końcu nic takiego się nie stało”, „nie poszedłem przecież na dziwki”, „zdarza się”, „gdybym się nie upił, do niczego by nie doszło”. Ostatecznie zaczął przekonywać sam siebie, że to nie tylko jego wina, lecz właściwie Wiśniewskiej, a nawet Igi. Czuł się zaniedbany, porzucony i było kwestią czasu, że jakaś kobieta wyczuje to i wykorzysta.

Wiśniewska nie dawała znaku życia. Podejrzewał, że było jej głupio. Ona, twardzielka, pokazała, że ma też inną, słabszą stronę. Choć w istocie, jak ocenił Zawadzki, nie była to taka znowu słabsza strona. Wiśniewska była całkiem niezła w te klocki, czego się nie spodziewał.

Nie chciał tego jednak rozpamiętywać, powinien zapomnieć o tym jak najszybciej. Stało się, każdemu się może zdarzyć, było miło i tyle. Tak naprawdę nie miało to zupełnie znaczenia, przekonywał sam siebie.

Gdy w drodze do pracy zobaczył na wyświetlaczu numer Wiśniewskiej, podskoczył jak oparzony. Nabrał powietrza w płuca i odczekał kilka sekund.

– Już myślałam, że nie będziesz ze mną rozmawiał po tym, jak się dowiedziałeś, jaki jest mój ulubiony kolor stanika.

Zbaraniał.

– Może i tak – wydukał.

Wiśniewska zaśmiała się szczerze.

– Co tam?

Idiotyczne pytanie, które jasno pokazywało, że sytuacja jest niezręczna i każdy chce coś powiedzieć, żeby naprawić sytuację, a jest to niemożliwe.

– Bez zmian. – Właściwie ją podziwiał. W jaki sposób tak szybko doszła do siebie?

– Widziałeś gazetę? Dzwonię właściwie w tej sprawie. Możesz też wejść w internet.

– Poczekaj, rozłączę się.

Spojrzał na wyświetlacz komórki i oniemiał. Przerzucił kilka stron na telefonie,

których nagłówki nie przypadły mu do gustu, po czym wybrał numer Aliny.

– Co to ma znaczyć?

– Myślę, że twój przyjaciel zamierza wywołać wilka z lasu.

– Albo raczej mnie wykończyć? – Zawadzkiemu podskoczyło ciśnienie.

– Nie przesadzaj.

– Od kiedy się tak tym interesujesz? – Zawadzki przeniósł złość na Wiśniewską.

– Zbieram informacje. Jak zostaną sama z tym chłopem z zabitej wsi, będzie mi ciężko. Nie chcę stracić reputacji. – Wiśniewska zaczęła się śmiać. Zawadzki zagryzł wargi.

– Jesteś niemożliwa – wycedził.

– Może masz ochotę na powtórkę z tego, jak bardzo jestem niemożliwa? Bo jakbyś miał, zapraszam – powiedziała radośnie, a jemu zrobiło się gorąco. Czytała w jego myślach czy co? O niczym innym nie myślał podczas tej rozmowy.

– Nie będzie żadnej powtórki – powiedział cicho.

– Wszyscy tak mówią. Jeszcze odszczekasz. A – dodała – zadzwoń do Modesta. I pogratuluj braku pokory.

Rozłączyła się, a on pozostał z rozdziawionymi ustami niczym wigilijny, ogłuszony młotkiem karp. Nie odebrał telefonu od Igi. Bał się, że wyczuje, co się z nim dzieje, i nigdy więcej nie będzie mógł jej spojrzeć prosto w oczy. Nie ulegnie Wiśniewskiej, tego będzie się trzymał. Przecież nigdy mu się nawet nie podobała. Czy oni wszyscy się na niego uwzięli?

REKOWNICA

Marta siedziała w ciemności. Zza otwartego okna dochodziły odgłosy nocy. Szczebiot wieczornego ptaka. Chłupot wody w jeziorze. Skrzypiące pod naciskiem wiatru drzewa. Wyjący pies. Rzenie konia. Kakofonia dźwięków w jej głowie budziła niepokój, puls przyspieszył tak, jakby właśnie przebiegła maraton, choć nie ruszała się praktycznie wcale. Siedziała otulona kocem z kubkiem wystygłej herbaty. Czekwała.

Czy słyszy już kroki przed furtką? Czy ktoś otwiera drzwi? Czy zaraz obejmie ją w pasie, pocałuje w szyję i powie, że jest jej jedynym skarbem na świecie? Wierzyła mu i ufała. Ten jedyny. Zrobi jej obiad, przytuli i powie, że nikt nie jest lepszy od niej.

Marta zamyka oczy i szybko je otwiera. Jest nadal sama, a wokół panuje coraz bardziej gęstniejący mrok. W kącie pokoju porusza się coś i coraz wyraźniej zarysowuje się postać kobiety.

Dziewczyna nie może uwierzyć, wstaje i wycofuje się do kuchni. Postać podąża za nią. Słysząc, jak jej suknia szeleści z każdym ruchem. Ałtas zaciąga się o drzazgi w podłodze. Obcasy uderzają w podłogę z głośnym stuk, puk, stuk, puk.

Marta opiera się o zlew i próbuje wyrównać oddech. Kobieta staje blisko i opiera

się łysą głową o framugę drzwi.

– Idź precz – mówi Marta cicho.

– Sama mnie tu przywiozłaś. – Luiza uśmiecha się słodko.

– Nienawidzę cię.

– Byłam dla ciebie taka dobra. – Usta Luizy wyginają się w podkówkę jak u dziecka.

– Byłam ci potrzebna.

– Jesteś niewdzięczna, Marto.

Niewdzięczna dziewczyna, niewdzięczna dziewczyna. Marta chwyta się za głowę. Kobieta podchodzi bliżej. Dziewczyna nie ma gdzie uciekać. Chwyta nóż, który leży w zlewie. Luiza stoi dumnie wyprostowana, gdy nóż wchodzi lekko w jej brzuch. I raz, i dwa, i trzy. Marta krzyczy, gdy zimne dłonie chwytają jej twarz. Upada na ziemię. Głośny płacz przeobraża się w ciche łkanie, aż Marta zasypia, czując zimne deski pod swoim ciałem.

GROCHÓW

Suchocki nacisnął domofon. Stary, obdrapany blok przy Szklanych Domów. Czym ona się chce pochwalić? Zaśmiał się pod nosem. Miał nadzieję, że nikt go tu nie rozpozna. Nie chcąc rzucać się w oczy, wysiadł z taksówki o dwie przecznice dalej. Nie ma co ryzykować, ludzie i tak ostatnio za dużo o nim gadają.

Nie będzie czekał. Na zegarku punkt dwudziesta. W głośniku usłyszał standardowe: kto tam? Pchnął drzwi, ustąpiły z cichym skrzypnięciem. Stał wyprostowany przed windą. Nienawidził starych wind, a ta wyglądała wyjątkowo obskurnie. Pamiętał, jak mieszkali w kamienicy na Grochowie. Rozpadająca się rudera z koszmarną windą, w której kiedyś utknął. Dzień im zajęło, zanim go wyciągnęli. Podobno nikt nie słyszał, jak się wydziera i płacze.

Nigdy wcześniej tu nie był. Nie miał w zwyczaju odwiedzać swoich, jak to w przenośni i ze śmiechem mawiał, koleżaneczek, ale tym razem zrobił wyjątek. Sam się dziwił, czemu się zgodził. Przecież nie było to dla niego wygodne. Przestrzegał innego rytuału i od wielu lat nie odstępował od swoich zasad. Można właściwie powiedzieć, że nigdy od nich nie odstępował. Po co, skoro się sprawdzały? I to przez tyle lat brania życia pełnymi garściami.

Szczęk drzwi od windy sprawił, że postanowił wejść po schodach. To przecież tylko czwarte piętro, a nie Mount Everest. Nie będzie ryzykował.

Z trudem dotarł na górę, zatrzymując się na każdym piętrze, by odpocząć. Co się stało, że aż tak stracił kondycję? Powinien chyba bardziej o siebie dbać. Wydawało mu się, że nie jest tragicznie, ale chyba dobrze byłoby zrzucić kilka kilogramów? Tak dla samego siebie, nie żeby wyglądał źle, ale może lepiej by się poczuł?

Wziął kilka głębokich wdechów, bawełnianą chustką otarł pot z czoła, poprawił

włosy, odchrząknął i zapukał do drzwi. Te, dla odmiany, wyglądały czysto i schludnie. Musiała je chyba niedawno wymienić. Otworzyły się po kilku sekundach.

Powitanie było chłodne.

– Przepraszam za niewielkie spóźnienie, ale postanowiłem rozejrzeć się po okolicy, rzadko tu bywam. – Miał nadzieję, że nie zauważy kłamstwa.

Jola spojrzała na niego wzrokiem obojętnym, jakby w ogóle nie usłyszała, co powiedział. Przysunął się bliżej, żeby ją objąć, ale zrobiła unik.

– Proszę wejść, doktorze, zapraszam do salonu. – Wskazała ręką kierunek.

Mieszkanie było małe, ładne, wypełnione przyjemnym zapachem przygotowywanego posiłku. Trudno mu było to przyznać, ale wyglądało lepiej niż jego własne. No i panował w nim niezwykły porządek. W jego domu był syf, zwłaszcza kiedy intensywniej grał – czyli prawie zawsze. Może jednak lepiej, że spotkali się u niej? Musi tylko zorientować się, gdzie ma sypialnię. Chyba bardziej na prawo. Ale skoro woli w salonie, czemu nie. Ma chyba jakąś kanapę?

Suchocki tak się rozmarzył, że nie usłyszał, co powiedziała Jola.

– Słucham, coś mówiłaś? – spytał, siląc się na beznamiętny ton.

– Powiedziałam, żeby pan usiadł. Gdzie panu wygodnie? – Ona nadal trzymała dystans. Ciekawe, kiedy wreszcie zrezygnuje z tego oficjalnego tonu?

– Cóż, obojętne. A ty gdzie siedzisz?

Wskazała krzesło stojące tuż przy kuchni.

– Dobrze, zatem usiądę naprzeciwko. Czy tak będzie dobrze? – Uśmiechnął się, oblizując wargi.

Jola odwróciła wzrok.

Gdy usiadł, zaczęła nalewać zupę. Patrzył, mówił niewiele, przecież nie spotkali się po to, żeby jeść – to było dla niego zupełnie jasne. Mlaskał głośno, Jola odwracała wzrok, żeby nie patrzeć, jak macza usta w zupie, dopijając resztkę bezpośrednio z talerza, a część płynu spływa mu tłustą strużką po brodzie. Kropla zwisa, po czym z drzeniem spada na obrus.

Jedno danie mieli za sobą. Przyszła pora na drugie. Jola spoglądała nerwowo na zegar w kuchni. Gdzie też ona się spieszy?

– A co będzie na drugie? – Spojrzenie Suchockiego było coraz bardziej rozmazane. Być może za dużo wina, którym raczył się dość hojnie, a ponieważ Jola nie opróżniła swojego kieliszka, więc w zasadzie pił sam.

– Indyk na słodko z pieczonymi ziemniakami – wygłosiła tonem niezachęcającym do jedzenia.

– Cóż, brzmi świetnie. Widzę, że się postarałaś, moja ty indyczko. – Zaśmiał się głośno ze swojego dowcipu. Przeniósł się do kuchni, gdzie przygotowywała posiłek. Gdy odwróciła się do niego tyłem, klepnął ją w pośladek.

Przełożona wyprostowała się. Spojrzała na Suchockiego. Jej twarz była mocno

zaróżowiona.

– No co, moja indyczko, widzę, że wino dobrze ci zrobiło, nabrałaś kolorków – ciągnął niczym niezrażony.

– Może mnie pan nie klepać? – spytała chłodno.

Suchocki spojrział na nią i w myślach próbował odgadnąć, czy to tylko gra wstępna, czy może brak doświadczenia. Zaczynał myśleć, że chodzi o to drugie. Przecież od zawsze wiedział, że na niego leci. Powoli zaczynało mu się mącić w głowie. Przysunął się jeszcze bliżej, tak że gorącym oddechem dmuchał przełożonej w kark, gdy nakładała na talerze ziemniaki i mięso. Był zbyt zajęty pojawiającą się erekcją, by zauważyć, że dłonie kobiety drżą, usta zaciskają się mocniej, a na skroniach pojawiają się żyły.

– Proszę usiąść, podaję do stołu. – Wymuszony uśmiech wypadł pewnie krzywo, ale Suchocki wydał się wyraźnie zachęcony.

– Oczywiście, moja ty śliczna świnko. Już siadam. – Potarł z uciechą dłonie, widać było, że zapowiedź tylko go rozochociła. – Ale najpierw chyba zasłużyłem na całusa. – Mięliste, zaślinione wargi zaczęły przysuwać się do ust przełożonej. Wiedziała, że tego nie uniknie.

– No to może, doktorze, na początek mały buziaczek. – Przysunęła się do spoczonej twarzy Suchockiego i cmoknęła go w policzek. Zastygł, nie wiedząc, jak zareagować. – Potem będzie więcej.

Suchocki nie zauważył, że uśmiech Joli zniknął szybciej, niż się pojawił. Twarda sztuka, chyba jej jednak nie doceniał. Zapowiadała się ostra jazda. Znał takie skromne, cnotliwe, co to pod łóżkiem trzymają pejcze.

– Nie mogę się już doczekać, jak mnie dosiędziesz. – Razem ze słowami wypadł mu z ust kawałek pogryzionego mięsa. Podniósł go i oblizał palec. – Cóż, niejedno jadłem, ale to jest wyśmienite. Właśnie za to kocham kobiety najbardziej. – Po chwili z szelmowskim uśmiechem dodał: – No, może nie tylko za to. – Uśmiechał się dalej, jakby opowiadał najlepszy dowcip świata.

Przełożona nie wiedziała, co powiedzieć. Na co właściwie liczyła? Na romantyczny wieczór przy świecach? Z człowiekiem, który miał zszarganą opinię, a ona sama jeszcze do niedawna dałaby się za niego pokroić? Z człowiekiem, dla którego kłamała tyle lat, poświęcała swój czas, któremu poświęciła życie?

Prawda była bolesna. Gdyby nie to, że dziewczynę, którą dobrze pamiętała, tak bestialsko zamordowano, nie zobaczyłaby go w innym świetle. Dopiero wspomnienie młodej, bezbronnej Luizy Orłowicz, przywołane wieścią o jej śmierci, otworzyło Jolancie oczy. Nikt nie wiedział, jakie były losy dziewczyny. Nikt nie wiedział, co się wtedy naprawdę stało. Nikt poza nią i nimi. Przełożona Giedrojć po prostu czuła się winna.

Słyszała od koleżanek, że doktor jest obleśny, ale nie spodziewała się, że do tego

stopnia. Sąsiadka, która kiedyś pracowała na internie, swoją opowieścią mocno wyprowadziła ją z równowagi, ale Jolanta wtedy nie do końca wierzyła w to, co od niej usłyszała. Boże, czy byłam aż tak ślepa?, pytała samą siebie. Czyżby takie było jego drugie oblicze? Jakże odmienne od tego, które tak bardzo ujmowało ją w szpitalu. Czyżby się myliła, gdy inne na niego narzekały? Gdy broniła go zaciekle, że to nie może być prawda, że to uczciwy człowiek, który nie zasłużył sobie na takie traktowanie? Myślała o wszystkich, że to dziwki, że same wchodzą mu do łóżka, ale cóż. Nie wierzyła. Żadna kobieta nie może znaleźć się w łóżku z mężczyzną przez przypadek, przecież to jasne.

Suchocki zjadł drugie danie, nie czekając na Jolanę. Pochłonięty jedzeniem i pićm nie zauważył, że nawet nie tknęła posiłku i stawała się z minuty na minutę coraz bledsza. Była dziwnie zamyślona i nieobecna. Nie tego się spodziewał. Chyba musiała wiedzieć, jakie były jego oczekiwania! Wszystkie wiedziały! To, że do tej pory nie tknął jej palcem, wynikało z tego, że nie była w jego typie i łączyło ich ciche porozumienie. Taki układ. Czemu zmienił zdanie i co właściwie go tu przywiodło? Ciekawość? Może chciał ją od siebie uzależnić, może uciszyć? A może się przestraszył, że w nieuchwytny sposób zaczęła mu się wymykać? Może poczuł się zagrożony, że go zdradzi?

Z brzęknięciem odsunął talerz, a z ust wydobyło mu się niepowstrzymane beknięcie. Przeszedł na kanapę, nie patrząc w stronę kobiety. Jolanta miała wrażenie, że o niej zapomniał. Jak naiwna była ta myśl, okazało się po chwili.

Suchocki położył się na kanapie, rozchylił szeroko nogi, poluzował pasek. Czekał.

– Chyba przyszedł czas na deser... – odezwał się chrapliwie.

Przełożona wstała z krzesła. Była jak sparaliżowana.

– Muszę iść do łazienki, zaraz podam ciasto.

Gdy wróciła z łazienki i stanęła przed nim, twarz miała prawie białą.

– Co się stało, koteczku? Myślałem już, że się rozmyśliłaś. Trochę się zmartwiłem. Chodź tu.

Jolanta ani drgnęła.

– Myślę, że powinniśmy się jeszcze trochę napić.

– No, jeśli potrzebujesz zachęty, to proszę, ale muszę powiedzieć, mnie to niepotrzebne. Lubię te, co się tak krygują.

Przełożona nalała wina i usiadła przy stole.

– Proszę podejść, doktorze. Podałam ciasto.

Niechętnie zerknął na stół. Nie podobało mu się, że ta zabawa w obiad niebezpiecznie się przedłuża.

– No, skoro nalegasz – powiedział bez zachwyty.

Usiadł przy stole tak blisko, że kolanem dotykał kolana przełożonej.

– Dobre?

– Co takiego?

– Ciasto.

– Tak, pyszne. Nie jesz? – Suchocki upił sporo wina i coraz natarczywiej patrzył na Jolę.

– Nie. – Wzięła głęboki oddech.

Jego dłoń na jej kolanie zaczęła wędrować coraz wyżej, ale przełożona cofnęła ją i odsunęła krzesło na tyle, że już nie dotykała kolanem jego nogi.

– Chodź tu. Siadaj. – Nie spodziewała się rozkazu. Wielkie łapska otoczyły jej ciało i przyciągnęły ją na kolana. Uwięziona przylegała do jego ciała. Czuła zapach potu zmieszany z drogimi perfumami. Jego ręce błędziły pod jej bluzką, mocując się bezskutecznie ze stanikiem.

– Klękaj. – Z niespodziewaną siłą zrzucił ją z kolan. Straciła równowagę i żeby nie upaść do tyłu, w ostatniej chwili podparła się ręką. Spódnica podciągnęła się powyżej uda, ukazując jej wychudzone nogi. Suchocki odwrócił głowę i chwycił za kieliszek. Wypił do dna. Nie, nie zamierzała tego zrobić. Za żadne skarby świata tego nie robi. Choćby miała uciąć mu jaja. – Najpierw bluzka – mówił, powoli rozpinając spodnie.

Nie wykonując żadnego ruchu, obserwowała jego oczy, które z każdą minutą robiły się coraz bardziej mętne.

– Chyba muszę się na chwilę położyć. – Suchocki wstał niezdarnie i zataczając się, ruszył w kierunku kanapy.

Przełożona Giedrojc podniosła się z podłogi i poszła do łazienki. Płakała i doprowadzała ubranie do porządku. Tak to bywa, gdy żegna się iluzje.

Trzy godziny później doktor Suchocki obudził się zupełnie zdrętwiały. Miał wrażenie, że krew nie dopływała mu do wszystkich kończyn, a w głowie huczało jak na płycie startowej podczas lądowania odrzutowca. Otworzył oczy i poczuł ból, jakby ktoś nasypał w nie piachu i soli.

– Wystarczająco wygodnie? – Przełożona Giedrojc siedziała naprzeciwko niego, patrząc, jak lekarz z przerażeniem obserwuje pasy, którymi przykuła go do łóżka. – Oj, przepraszam, przecież nie może mi pan odpowiedzieć, doktorze. – Przełożona zaśmiała się, wskazując jego zaślinione, zakneblowane usta. – Jaka szkoda. W jego oczach ujrzała przerażenie. Czyli jednak czasem się czegoś boisz, skurczybyku, pomyślała. Podeszła, szybkim ruchem zdjęła taśmę, a następnie kontynuowała: – Wiesz doskonale, że znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. Udajesz, że nic mi nie zawdzięczasz, że nic się nie stało. A wiele lat temu stało się dużo. – To, co miała powiedzieć, przychodziło jej z trudem.

– Nie wracajmy do tego... – przerwał zachrypniętym głosem.

– Właśnie czas, żebyśmy do tego wrócili – mówiła coraz głośniej i pewniej. – Myślisz, że potraktujesz mnie po tym wszystkim jak pierwszą lepszą kurewkę? Za to

dostałam pieniądze? Dlatego pracuję dla ciebie i chronię cię przez tyle lat? Myślisz, że jestem głupia?

– Dostałaś pieniądze za milczenie.

– Nie miałam wyboru!

– Miałaś.

Jolanta zacisnęła pięści.

– Tak? Mogłam się zgodzić, że je pozabija, ale się nie zgodziłam. Czy to był właśnie ten wybór?!

– Zajęłaś się nią i taki był układ. Dostajemy pieniądze i bierzemy pod opiekę Irenę. Do końca życia.

– Do końca życia unicestwiamy!

– Nie przesadzaj. I tak była chora. Nie pozwoliliby jej żyć. Wiesz, jaki był Zbyszek.

– Nie dam się zastraszyć.

– Nie możesz nas wydać. – Spojrzał na nią błagalnie.

– Jeśli jeszcze raz będziesz próbował mnie tknąć, cała dokumentacja dostanie się w ręce policji. Znajduje się teraz w bezpiecznym miejscu. Doskonale wiesz, o czym mówię. Jeśli będziesz próbował tknąć mnie lub jakąkolwiek kobietę z personelu, pójdę z tym wszystkim prosto na policję, jasne? To, że przez lata nas szantażowałeś, że potracimy pracę i nigdy żadnej nie znajdziemy, że się o to postarasz, już na mnie nie działa. Przestałam ci wierzyć. Byłam w ciebie wpatrzona jak w obraz i nie widziałam, jaki jesteś, nie docierało do mnie, co mówili inni. Teraz, kiedy wiem, jak wiele zła wyrządziłeś, a ja ci w tym pomogłam, nie mam pojęcia, jak będę w stanie z tym żyć.

Suchocki patrzył na nią i milczał. Był spokojny. Spodziewał się, że ten dzień nastąpi. Podejrzewał, że zbierała dokumenty. Kłamała, że wszystkie niszczy, a tak naprawdę wynosiła, żeby je ukryć i w każdej chwili móc ich użyć przeciwko niemu, Lorencowi, wszystkim pozostałym. Dlaczego jej zaufał? Czy nie dość miał dowodów, że nie należy ufać żadnej kobiecie? Gdy Małgorzata Łowicka zadzwoniła do niego w gorący lipcowy wieczór, z pytaniem, czy zna Luizę Orłowicz, wiedział, że nadciągają kłopoty i że musi zacząć działać.

– Jeszcze jedno. Wiem, że kombinujesz jakiś nowy lek dla tego młodego głupca. Wycofasz się z tego. Mam to w dupie, że na twoje miejsce przyjdzie inny. Ty już nikomu nie wyrządzisz krzywdy.

Patrzył na nią osłupiały. Jak, do cholery, się o tym dowiedziała?

– Wyjdiesz stąd, jak przyszedłeś. Nigdy więcej nikogo nie tkniesz, nie zaszantażujesz. Zrozumiano? – Głos jej się załamał. Nie chciała jednak, żeby widział, jak bardzo jest roztrzęsiona. – Ja rezygnuję z pracy. Będziesz płacił – na mnie i na Irenę. Do końca życia.

Suchocki kiwnął głową. Pot spływał mu z czoła i doktor wyglądał, jakby za chwilę miał dostać zawału.

GROCHÓW

Lorenc wszedł na klatkę zaniedbanej i na wpół opuszczonej kamienicy przy Nasielskiej z jasnym planem. Popatrzył na zegarek, wskazówka wskazywała pierwszą w nocy. Wokół panowała cisza, nie licząc odgłosów grającego telewizora zza drzwi na pierwszym piętrze. To nawet dobrze. Szedł po skrzypiących schodach krokiem pewnym i szybkim. Mieli coraz mniej czasu. Suchocki pękał, Marek zaczął się wahać. Znał ich obu tyle lat i nie miał wątpliwości, że stchórzą w najmniej spodziewanym momencie. Lorenc był w kamienicy drugi raz w życiu. Wydała mu się jeszcze bardziej zapyziała niż tamtej zimowej nocy. Wtedy miał ochotę zabić Irenę, ale się powstrzymał. Jak teraz myślał – zupełnie niepotrzebnie. Byłoby po problemie. Posłuchał wtedy Zbigniewa, a mógł zrobić swoje i poczuć się bezpiecznie. Gdy doszedł do drzwi, nagły głos za jego głową sprawił, że zadrżał. Tego się nie spodziewał.

– Nie jesteś stąd. – Łysy wyrostek wytatuowany od stóp do głów patrzył na Lorenca wzrokiem niezdradzającym żadnej myśli. W jego ustach zaświecił złoty ząb.

– Jestem. – Lorenc uśmiechnął się nieszczerze i sięgnął dłonią do kieszeni.

– Pierdolisz. – Silna dłoń młodego chwyciła go za przegub tak, że Lorenc nie miał możliwości ruchu.

– Mamusia mnie przysłała – wyjaśnił, szepcząc Henrykowi do ucha. – Spierdalaj stąd.

Chłopak wziął rozmach, obrócił Lorenca i bez wysiłku zrzucił ze schodów.

– Się do swoich nie wtrąca. Obcych złodziei tu nam nie potrzeba. Pewnie z jakiej gorszej strony miasta, won, wycieruchu.

Józek Bachmacki słyszał, jak drzwi na dole się zatraskują. Postanowił posiedzieć pod drzwiami pani Ireny do rana. O swoich trzeba dbać.

LUIZA ORŁOWICZ

Wtorek, 16 września 2014 roku

Często w ciągu tego roku zastanawiałam się, czy nie tracę czasu. Czy zdołam znaleźć odpowiedź na pytanie, które nie było łatwe? Co się stało ze mną w zimie tamtego roku? Czy było to zdarzenie, które mogło bezpowrotnie zmienić całe moje życie? Dlaczego straciłam pamięć? I dlaczego nikt mi nie pomógł jej odzyskać? Dlaczego w snach wracały obrazy, których nie pamiętałam, jakby nie z mojego życia?

Gdy siedziałam prawie co tydzień, a niekiedy częściej, u mojej terapeutki, przekonywałam sama siebie, że to jest właśnie osoba, która tę pamięć pomoże mi odzyskać.

Na kolejnej sesji Małgorzata zapytała:

– Kiedy mama zmarła?

Czułam, że zbliżamy się do sedna sprawy, do rdzenia wydarzeń. Nie mogłam teraz się wycofać, choć nie miałam najmniejszej ochoty na rozmowy o mamie i jej śmierci.

– W zimie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. – Zacisnęłam pięści jak do walki i odpowiedziałam natychmiast, bez wahania. – Nie znam dokładnej daty. Miałam wtedy szesnaście lat.

– Nie rozumiem? – Małgorzata zmarszczyła czoło i podparła ręką podbródek. Zawsze tak robiła, gdy coś szczególnie zwracało jej uwagę.

– Po prostu nie wiem. Znam datę pogrzebu, bo to była oficjalna informacja, którą przekazała mi później rodzina. Ale na pogrzebie też nie byłam.

– Dlaczego?

– Byłam w szpitalu.

Małgorzata dała znak, żebym mówiła dalej.

– Przed śmiercią mamy miałam wypadek. To było właśnie tamtej zimy. Nie wiedziałam, czy straciłam przytomność, ale ocknęłam się z koszmarnym bólem głowy, nic nie pamiętając. Nie miałam pojęcia, która może być godzina, jaki jest dzień. Gdy otworzyłam oczy, dopiero po chwili poznałam, że to mój pokój. W głowie miałam całkowitą pustkę.

Zdziwiło mnie, że wszystko, co miałam na sobie, było brudne, umazane czymś brunatnym. Krew... Po kilku minutach przypomniałam sobie o chorej matce. Chryste, mama... Przecież miałam ją zawieźć do szpitala. Czemu jestem tutaj?

Spróbowałam wstać z łóżka, lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa, jakby były z waty. Bezwładnie upadłam na podłogę, uderzając się mocno w ramię. Nie miałam siły przytrzymać się łóżka.

Matko święta, dopomóż, co się ze mną dzieje?!, byłam przerażona.

Ktoś najwyraźniej usłyszał moją szamotaninę, gdyż niewiele później rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

– Proszę – wyszeptałam, bo gardło miałam obolałe, jak w anginie. Nie mogłam zostać usłyszana. Mimo to drzwi otworzyły się, a w nich ukazała się Barbara.

– Pomóc? – Głos miała spokojny i stanowczy jak zawsze. Tak, w sumie może mogłaby mi pomóc, pomyślałam.

– Nie wiesz... Nie wiesz, gdzie jest mama? – spytałam ostrożnie.

– Rano zabrała ją karetka. – Odpowiedź była krótka i konkretna. Cała Barbara. Wiedziałam, że więcej z niej nie wyciągnę.

– A gdzie jest teraz?

– Tam gdzie zwykle. – No tak. Pewnie źle się poczuła, ostatnio było z nią znacznie gorzej.

– A ojciec?

– Pojechał, nie mówił gdzie.

Głowa mi pękała, nie byłam w stanie skupić się na żadnym jej słowie. Nie mogłam skojarzyć faktów. Wszystko wirowało.

– Co mi jest? Co jest z moimi nogami? – pytałam jak dziecko, wskazując na kończyny. Leżałam na dywanie, częściowo opierając się plecami o łóżko.

– Pomogę. – Barbara podeszła i troskliwym ruchem podciągnęła mnie, kładąc z powrotem na łóżku. – Trzeba wypocząć. To stres.

– Czy coś mi się stało? Czemu jestem cała pokrwawiona?

– Miałaś wczoraj wypadek.

– Wypadek? – Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

– Wpadłaś samochodem na drzewo przy bramie.

Byłam zaskoczona. Jak to możliwe? Jak mogę tego nie pamiętać?

– Pewnie poślizg. – Barbara była szczerze zasmucona. Próbowwała mi wyjaśnić: – Tyle w końcu śniegu napadało.

– Nikomu nic się nie stało?

– Nie, tylko tobie. Ale lekarz już cię badał. Masz brać te leki. – Ruchem głowy Barbara wskazała stojące na stoliku nocnym fiołki.

– Nie zamierzam – odparłam gniewnie. Matka całe życie brała tony leków. Nienawidziłam tego.

– Lekarz dziś znowu przyjdzie opatrzyć ci rany. Porozmawiaj z nim o tym, proszę. Może być tak, że pojedziesz do szpitala.

Przyszło mi do głowy, żeby zapytać o brata. Może to on mnie znalazł? Ale nie mogłam się przemóc. Przez chwilę wydało mi się, że pamiętam zimny śnieg na twarzy. Ból skroni. Jego sylwetka w mroku. Jakaś ręka ciągnie mnie po zaspach. Moje ciało opada. Wspomnienie zniknęło jeszcze szybciej, niż się pojawiło. Jeśli go nie było, tym lepiej. Był jak robak, którego zniszczyłabym, gdybym tylko potrafiła. Nie było słowa na określenie mojej nienawiści do niego. Takie słowo po prostu nie istniało.

Oparłam głowę o poduszkę i straciłam przytomność. Nie słyszałam, jak przyszedł lekarz, ani nie czułam, jak przewożą mnie do kliniki. Nie wiem, ile spędziłam tam czasu, ale gdy wróciłam, było już po pogrzebie. Nie było ani mojej matki, ani mojego brata. Zostałam z ojcem zupełnie sama i wpadłam w depresję. Wkrótce znów pojawił się temat szpitala, ale... Spojrzałam na zegarek, to może następnym razem.

Gdy wychodziłam od Małgorzaty, mocno biło mi serce. Miałam ochotę nałykać się środków nasennych, zapaść w sen i nigdy więcej się nie obudzić.

Wtorek, 16 czerwca 2015 roku

ŻOLIBORZ, SASKA KĘPA

Zofia spakowała torebkę, próbując zatrzymać goniące w jej głowie myśli. Czy dobrze robi? Czy rzeczywiście powinna wracać do przeszłości? Zbliżała się dziesiąta, musiała wyjść, jeśli miała zdążyć do zakrystii. Tak bardzo chciała z nim porozmawiać! Dużo ją kosztowała ta decyzja, ale chyba nie było innego wyjścia. Nie da jej to spokoju, a chce umrzeć z czystym sumieniem. Chciała zrobić wszystko, co w jej mocy, nawet jeśli się okaże, że jest za późno.

Twarz miała ściągniętą, czuła, że przez ostatnie dni przybyło jej lat. Właściwie czego się spodziewała? Że pójdzie jak z płotka? Że da radę zmierzyć się z duchami przeszłości i wyjdzie z tego absolutnie bez szwanku? Nie, Zofia nie była naiwna. Doskonale zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Zbyszek nie żyje, a to mogło oznaczać na przykład, że przez tyle lat myliła się co do oceny sytuacji i być może nie była do końca sprawiedliwa? Tylko Albert mógł coś wyjaśnić. Jeśli jednak coś wiedział, czemu nie zgłosił się na policję już wiele lat temu? Cóż, szkoda tracić więcej czasu na domysły.

Reumatyzm dokuczał jej na zmianę pogody. Z niechęcią myślała o nadchodzącym pogrzebie Zbyszka, na który zresztą pewnie nie przybędą tłumy. Szybko zeszła po schodach. Taksówka już na nią czekała.

– Poproszę na Saską Kępę. Na Nobla – oświadczyła stanowczym tonem bez przywitania.

– Ale wie pani, że sobie poczekamy? O tej godzinie palca nie wciśniesz. – Taksówkarz z ociąganiem zapuścił silnik.

– Z jakiego powodu?

– Są straszne korki. Trudno się teraz przedostać na drugą stronę Wisły. Poza tym jakaś ważna osobistość kościelna tam prawie zeszła, więc karetka, policja.

– Jak to? – Zofia była odrobinę zaniepokojona.

– No w trakcie jakiejś ważnej mszy ksiądz zasłabł. Zaraz karetka przyjechała i go zabrali. Jakiś starowina pewnie. Korek jak jasna cholera się zrobił.

Zofia zamarła.

– Jak to zasłabł?

– No normalnie. Może serce. Mówię pani, że on jakiś stary. Ale ważny albo znany,

cholera go wie. Przez lata w seminarium uczył. Chyba się zasłużył czy jak? Jakiś profesor. W radiu mówili, ale kto by chciał zaprzętać sobie głowę czarnymi, wie pani.

– Proszę jechać – ponagliła go.

– To może wcześniej panią wysadzę, paniusia sobie dojdzie kawałek, da radę? – marudził dalej taksówkarz.

– Proszę mnie zawieźć, gdzie pan może. Tylko szybko. – Zofia ugryzła się w język, żeby nie skomentować jego słów z obawy, że gotów zrezygnować ze świadczenia usługi.

Po chwili milczenia, z którą widać taksówkarz nie czuł się dobrze, rozkręcił radio. Zofia nie była w stanie usłyszeć swoich myśli. Boże, co za prostak, pomyślała. Po półgodzinie wysiadła z taksówki. Nie zamierzała dać mu napiwku, cierpliwie czekała, aż taksówkarz wyskubie z kieszeni resztę, co spotkało się z pomrukiem niezadowolenia z jego strony. Trzasnęła drzwiami i szybkim krokiem ruszyła w kierunku kościoła. Już z oddali zobaczyła spory tłum, ambulans i radiowozy.

Gdy zbliżyła się do gapiów, próbowała się między nimi precyzyjnie przecisnąć, ale nie było to łatwe.

– Co się pani tak pcha, tam nie można wchodzić! Kościół zamknięty! – Kobieta w czerwonym swetrze darła się na całe gardło.

– A co się stało? – spytał chudy pan stojący przy murku kościelnym.

– Ksiądz zmarł! – Pani w czerwonym sama wyglądała, jakby miała wydać z siebie ostatnie tchnienie.

– Jak to się stało?

– Jakże tam zmarł, zasłabł tylko, co pani za głupoty opowiada! – odezwał się inny głos.

– Sama pani głupia, na własne oczy widziałam, jaki był siny! – odwrzasnęła kobieta w czerwonym.

– Siny, ale żywy! Wciąż żywy! Nie można człowieka żywcem pogrzebać, co pani sobie wyobraża?!

– Pani, co się pani pcha?! – Z drugiej strony odepchnął Zofię rosły mężczyzna, tak że nie usłyszała już odpowiedzi na swoje pytanie wypowiedziane najwyraźniej zbyt cicho.

Nagle z budynku plebanii wyszedł młody wikariusz i uprzejmie poprosił wszystkich, żeby łaskawie rozeszli się do domów. Mówił, że dziękuje bardzo za zainteresowanie, ale będzie lepiej, jeśli wszyscy sobie już pójdą. Poinformują o stanie zdrowia księdza, jak już coś będzie wiadomo. Ludzie jakby go wcale nie usłyszeli, przepychali się nadal.

Zofia nie znosiła tłoku. Dała za wygraną i wycofała się w kierunku małego skweru, gdzie przystanąła. Zdała sobie sprawę, że serce wali jej jak u podnieconej nastolatki. Spoconą dłonią dotknęła skroni, w których pod delikatną skórą pulsowała krew.

Usiadła na ławce obok starszej pani, która z oddali przyglądała się zgromadzeniu.

– Bóg, jak na to patrzy, to płacze – odezwała się staruszka.

– Słucham? – Zofia nie wiedzieć czemu poczuła się nieswojo.

Wpatrywała się w nieruchome, błękitne oczy starej kobiety. Kobieta ubrana była na czarno niczym Greczynka, żylaste dłonie wsparła na lasce. Przetłuszczone siwe włosy miała upięte w prosty kok spięty plastikową, białą spinką. W jakiś dziwny sposób przypomniła Zofii matkę. Przywołane wspomnienie mocno zakłuło ją w piersi.

– No, że też księdza naszego kochanego coś takiego spotyka. Boga się ludzie nie boją.

– A co się stało?

– Proszę pani, ja tu od rana siedzę i widziałam, co się święci. Nic dziwnego, że się nasz ksiądz profesor tak zdenerwował.

– A z jakiego powodu?

Staruszka zacisnęła usta, aż utworzyły prostą, prawie niewidoczną linię. Było jasne, że nic więcej nie powie.

– Powinna pani poinformować o tym, co pani widziała, policję! – krzyknęła wprowadzona z równowagi Zofia.

– Co powinnam, co powinnam? A czy ja coś widziałam? Czego pani ode mnie właściwie chce? Proszę mi nie przeszkadzać, ja tu koty karmię.

Zofia zamilkła. Postanowiła, że jeśli nie odnajdzie Alberta żywego, będzie musiała porozmawiać z prokuratorem Zawadzkiem. Ktoś inny może być w niebezpieczeństwie. Tylko kto? Zofia była już pewna, że trochę za późno zdecydowała się działać.

REKOWNICA

Marta wpatrywała się w wyświetlacz komórki, który świecił w porannym mroku. Patrzyła z podejrzliwością, jakby na stoliku pod oknem leżał odbezpieczony granat. Podniosła się z fotela, w którym sypiała na siedząco. Miał wytarty materiał i wgłębione siedzisko. Zapadała w nie jak w miękką gąbkę.

Podeszła i chwyciła w dłoń telefon. Odczytała nieodebrane połączenie – Jacek. Poczuła nagłe uderzenie gorąca. Drżącą dłonią wybrała numer. Po sygnale odezwał się głos, za którym tak bardzo tęskniła.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłem. – Jacek brzmiał miło i serdecznie. Marta usiadła z powrotem w fotelu i zapaliła papierosa. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, bo na myśl przychodziły jej tylko błagania.

– Nie, już nie śpię.

– Kochanie, wszystko w porządku?

Marta poczuła, że serce zaczyna jej szybciej bić.

– Czemu milczysz? Chyba się na mnie nie gniewasz?

– Nie, myślałam, że mnie zniechęciłeś, po tym co powiedziałam ostatnio –

wyszeptała. Wstyd palił ją coraz mocniej.

– Nie wygłupiaj się. Już zapomniałem.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też, najdroższa. Mogę do ciebie przyjechać?

Marta zawahała się. O niczym bardziej nie marzyła jak o jego ciepłych dłoniach.

– Czekam na ciebie.

Jacek dopytał ją o szczegóły, po czym się rozłączył.

Nie mogła uwierzyć swojemu szczęściu. To się chyba nie działo naprawdę! Muszę się doprowadzić do porządku, pomyślała nerwowo. Rozebrała się i usiadła na brzegu wanny. Poczowała niemiły zapach, dotarło do niej, że jest brudna. Woda w wannie przykrywała stopy. Marta wlała mydło, którego woń wyrwała ją ze szpetoty tego miejsca. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w rosnącą pianę. Przed oczami pojawiła się scena, której tak bardzo nie chciała widzieć.

– Jacek, wynoś się stąd – mówiła Luiza podniesionym głosem.

– Ale ja cię kocham – błagał Jacek.

– Koniec, zrozumiałeś? Nigdy więcej się nie spotkamy. Musisz wreszcie zrozumieć, że ja nie jestem już tym samym człowiekiem! – Luiza była nieugięta.

Jacek wypadł z domu. Marta obserwowała jego kroki. Nawet jej nie zauważył.

Dziewczyna wzdrygnęła się z niesmakiem na to wspomnienie. Poczowała zimny dotyk na plecach.

– To mnie kochał. Nigdy cię nie pokocha. – Szept kobiety pobrzmiwał w jej uszach niczym świst wiatru. Nie była pewna, czy usłyszała dokładnie to, co jej się wydawało. Nie była w stanie się odwrócić. Widok łysej kobiety przerażał ją bardziej niż wizja własnej śmierci. Zanurzyła się w wodzie i zamknęła oczy.

PRAGA-POŁUDNIE

Marek spoglądał na siedzących przed nim w restauracji Adama i Suchockiego wzrokiem pełnym przerażenia. Czy czeka ich porażka?

Suchocki odezwał się pierwszy.

– Rozmawiał ze mną.

– Ze mną też – przyznał z niechęcią Marek.

Adam patrzył na nich bez słowa.

– Chce, żebyśmy jak najszybciej sfinalizowali transakcję i poszli każdy w swoją stronę. – Marek sam nie wierzył w to, co mówił. Jego determinacja ustępowała powoli rezygnacji i zniechęceniu.

– Możesz wszystko stracić, wiesz o tym? – Suchocki sprawiał wrażenie pozbawionego nadziei na cokolwiek.

Marek nie odpowiedział.

Adam nagle wybuchł.

– Co wam się stało?! – Jego twarz wykrzywiła się w krzyku. – Nie możemy się teraz poddać.

– To Lorenc pociąga za wszystkie sznurki. – Marek opuścił głowę.

– To niemożliwe! Co on ma z tym wspólnego? – Szwagier albo niczego nie rozumiał, albo był tak głupi.

Suchocki stuknął palcami w pustą szklanę.

– Lorenc nienawidził Zbyszka od zawsze. Nie cofnie się przed niczym, żeby zagarnąć po nim biznes. Jeśli choć przez chwilę wydawało wam się, że będzie inaczej, byliście durniami.

Adam poderwał się z krzesła, które z hukiem upadło na ziemię. Klienci hotelowej kawiarni spojrzeli na nich z przestraszeniem.

– Ja to pierdołę! Jesteście tchórze! – sapał. – W dupie mam, co myślicie! W dupie mam jakiegoś jebanego braciszka, nie odbierze mi tego, na co zasłużyłem i co mi się należy!

Obaj mężczyźni spojrzeli na niego wrogo.

– Przestań skakać, okej? Cyrku nam tu nie trzeba – syknął Marek. – I nie zapominaj, kto tu rządzi. Swoje ambicje możesz sobie schować do kieszeni. To ja tu jestem od myślenia, rozumiano?

Adam opadł z powrotem na krzesło i ze złością powiedział:

– Właśnie widzę. Prowadzisz nas jak owce na rzeź. Gratuluję.

Marek pochylił się do niego raptownie i wyszeptał:

– Ani słowa więcej, bo pójdziesz do piachu za swoją piękną żonką, zrozumiałeś?

Adam zastygł z na wpół otwartymi ustami. Podkrążone oczy spoglądały na szwagra z nienawiścią. Suchocki wyszedł szybko, nie płacąc za swój rachunek.

MOKOTÓW

Zofia czuła się przygnębiona, gdy wchodziła do szpitala, do którego przywieziono Alberta. O tym, gdzie go zabrano, dowiedziała się od bardzo opornego młodego wikarego, który najwyraźniej nie dowierzał, że może być starą znajomą księdza profesora. Jednak uległ, gdy podała kilka faktów uprawdopodobniających ich znajomość.

Nie znosiła szpitali, a los był dla niej tak nieprzychylny, że niestety w ciągu całego swojego życia musiała spędzić w nich sporo czasu, warując przy ciotce, która umierała w swoim życiu kilkanaście razy. Starość na pewno nie udała się Panu Bogu, co do tego Zofia nie miała absolutnie żadnych wątpliwości.

Podeszła pod salę, w której leżał Albert. Westchnęła i cicho zapukała. Nie usłyszała zaproszenia, ale postanowiła nacisnąć klamkę. Drzwi lekko ustąpiły i Zofia

bezszelestnie weszła do środka.

Była to pojedyncza, dobrze wyposażona jak na warunki szpitalne sala, pośrodku której stało jedno nowoczesne łóżko. Leżący na nim człowiek wyglądał jak stara, zmurszała huba. Powieki miał zamknięte. Spał, podłączony do przedziwnej plątaniny kabelków i urządzeń. Nie wiedziała, czy ma go obudzić, czy poczekać, aż sam otworzy oczy. Bała się, że się przestraszy na jej widok.

Usiadła na krześle stojącym nieopodal łóżka. Postawiła na szafce torebkę, starając się uczynić to bezgłośnie. Przymknęła oczy. Może przy okazji odpocznie? Własne myśli zmęczyły ją bardziej, niż zmęczyłyby ją maraton. Zaśmiała się w duchu. Nie wiedziała, jak długo to trwało i czy sama przysnęła. Przecież starym ludziom łatwo przychodzi zasnąć na siedząco, co kiedyś nie mieściło jej się w głowie. Gdy oprzytomniała, ujrzała wpatrzona w siebie oczy Alberta. Patrzył nieruchomo i nie była w stanie ocenić, czy ją poznaje.

– Witaj – rzekł powoli. Widać mówienie sprawiało mu trudność. – Zastanawiałem się, kiedy mnie odwiedzisz. Czekałem na ciebie. – I po chwili dodał: – Czekałem na ciebie tyle lat, Zosiu, ale ty nie chciałaś ze mną rozmawiać.

Zofia spłonęła rumieńcem. Nie spodziewała się takiego początku rozmowy.

– Jak to czekałeś? – spytała niepewnie.

– Przecież mieliśmy do pogadania. A ty uciekałaś. I udawałaś, że nic cię to wszystko nie obchodzi, że jesteś poza tym, że ciebie to nie dotyczy. Bez względu na to, co nas wszystkich kiedyś łączyło.

– Ale co nie dotyczy? Co łączyło? Albert, ja nie wiem, o czym ty mówisz! – Podniosła głos, a zaglądnąca do pokoju pielęgniarka zwróciła jej uwagę, że tu nie można krzyczeć, że to intensywna terapia. Kiwnęła głową, żeby jak najszybciej sobie poszła, i patrzyła wyczekująco na Alberta.

– Ta historia z Jankiem Orłowiczem... długo nie dawała mi spokoju – westchnął i przymknął powieki.

– Chciałam właśnie o to zapytać.

– Dopiero teraz? – Otworzył oczy i spojrzał na nią z ironią.

Zmieszała się. Może rzeczywiście nie chciała do tej pory znać prawdy? Może łatwiej było się oszukiwać i udawać, że nie ma problemu? Poczowała ukłucie w sercu.

– Cóż, lepiej późno niż wcale – mówił powoli i cicho.

– Co się z nim stało? Gdzie on jest? Gdzie się przez tyle lat podziewa? – Próbowała ukryć zniecierpliwienie, ale chciała jak najszybciej dowiedzieć się wszystkiego i wyjść.

Albert wahał się z odpowiedzią. Patrzył przed siebie i w myślach ważył słowa.

– To nie był dobry chłopiec, choć nie mnie to oceniać. Nie żyje.

Zofia przeczuwała to, ale nie chciała się sama przed sobą do tego przyznać.

– Nie żyje od dwudziestu dwóch lat – dodał.

– Jak to możliwe? – Zofia była zszokowana. Przez tyle lat nikt ich o tym nie poinformował? Poczła nagle zimny dreszcz. Przeczucie, które ją ogarnęło, napełniło ją niepokojem.

– Jesteś zdziwiona? Zupełnie słusznie... – zaczął Albert. – Ta tajemnica była...

Nagle drzwi do sali otworzyły się i do środka wszedł doktor z dwiema pielęgniarkami.

– Niestety, czas pani odwiedzin dobiegł końca. Pacjent miał rozległy zawał i musi odpoczywać. I tak uczyniliśmy dla pani wyjątek.

– Ale... – Zofia nie dawała za wygraną.

– Nie ma żadnego „ale”. Jeśli pacjent wyrazi taką wolę, będzie go mogła pani jeszcze odwiedzić, w innym terminie. Teraz muszę niestety panią pożegnać.

Albert kiwnął głową i podniósł prawą rękę, jakby chciał ją zatrzymać.

– Zawiodłem ją... – wyszeptał. – Ale i ty, Zofio, jesteś winna... nie rzucaj kamieniem...

Nagle jakby uszło z niego powietrze i wyczerpany rozmową zamknął oczy. Zofia podeszła do jego łóżka i nie zważając na zniecierpliwienie personelu, położyła na jego dłoni swoją dłoń. Dwie stare, zmęczone życiem dłonie. Władcze, żyłaste, bezkompromisowe. Spotkały się po tylu latach, żeby wymienić uścisk. Na zgodę. Na zapomnienie win i krzywd. Na pożegnanie. Po chwili wyszła z sali, powstrzymując szloch.

SASKA KĘPA

Przyznanie się do młodzieńczego wybryku nie przyniosło Modestowi ulgi. Czuł, że w oczach Moniki jest doszczętnie spalony. Gdy zaproponowała mu spotkanie na Saskiej Kępie, był zaskoczony. Przywitali się niezdarnie, jakby byli na pierwszej randce. Monika przyglądała mu się z zaciekawieniem. Uśmiechnął się.

– Czemu tak mi się przyglądasz? Dobrze czy źle? – spytał.

– Nie gorzej niż ostatnio, ale i nie lepiej – stwierdziła. Z przydługą grzywką przypominała niesforną dziewczynkę. Ubrana kobieco, ale nie nachalnie. Wyraźnie służył jej pobyt na wsi, cerę miała świeżą, wypoczętą. Wyglądała młodziej.

– I jak? – spytała.

– Co jak? – Wypił łyk kawy, pod jej czujnym wzrokiem nie mógł się skupić.

– Co zrobiłeś? Nie siedzisz chyba z założonymi rękami. Odnalazłeś te dzieci?

Modest poczuł w żołądku wielki kamień.

– Niestety, nie. Żyją pod zmienionymi nazwiskami. Lorenc dobrze zadbał o to, żeby nikt ich nie znalazł.

– Lorenc, Lorenc. Tylko to ciągle słyszę! Kiedy sam zaczniesz myśleć?

– Nie gadajmy w ten sposób. Chciałbym, żebyśmy wreszcie porozmawiali bez...

– Czego?

Zauważył, że się przestraszyła.

– Bez uszczypliwości.

– No nie poznaję cię. Uszczypliwości były kiedyś twoją specjalnością.

Czuł, że zaraz się wścieknie. Czy ona nie mogła wreszcie traktować go normalnie?

– Okej, przepraszam. – Monika wyprostowała nogi i podniosła ręce. – Poddaję się. Rozmawiajmy.

Modest wziął głęboki oddech.

– Powiedz najpierw, jak Piotr? Jak się dogadujecie?

– W porządku – odparła z wahaniem. – Było trudno, ale wydaje mi się, że znaleźliśmy wspólny język. Nadal jestem na cenzurowanym – rozeźmiała się – ale jest dla mnie już bardziej łaskawy. Może nawet zaczął mnie rozumieć.

– Rozmawialiście o tym...

– Niewiele. Zresztą, co ja mogę mu powiedzieć? Czy ja coś wiem? – Spojrzała na niego wymownie. – Zresztą myślałam, że mam na razie nie wspominać, że spędzi u mnie całe wakacje. Nie jest głupi, już się domyśla, że coś jest nie tak.

Modest milczał.

– Wszystko ci opowiem. Musisz być cierpliwa.

Monika otworzyła szeroko oczy. Mina, która bardzo go zawsze bawiła, teraz w dziwny sposób przypomniwała stare dzieje.

– Opowiem ci, jak to wszystko się skończy – powiedział, a w głosie brzmiało zdecydowanie.

Nie odzywała się. Oczy zaszyły jej łzami. Niepewnie kręciła się na krześle.

– Kurwa, czy życie nie może być prostsze? Modest, czy ty musisz zawsze w ten sposób?

– Jak widać. – Poczł, że ma ochotę ją przytulić. Dotknął jej dłoni. Nie cofnęła ręki.

– Czy mam coś robić? Na coś uważać? – spytała, tłumiąc łzy.

– Nie, ja nad wszystkim czuwam. Jesteście bezpieczni.

Twarz Moniki nagle spurpurowiała.

– Czy chcesz mi powiedzieć – zaczęła wolno – że jesteśmy pod szczególną ochroną?

– No chyba nie myślałaś, że was tak zostawię? W tej sytuacji? – Patrzył na nią uważnie. Widać było wyraźnie, że zastanawia się przez moment, czy urządzić mu awanturę, czy ugryźć się w język. Znał ją zbyt dobrze.

– Okej. Czuję się wspaniale, że twoi kumple mają ubaw, oglądając mnie w samych gaciach. Mogłeś mnie chociaż uprzedzić!

– Nie byłem pewien, jak zareagujesz.

– A teraz jesteś? Bo nie wyglądasz?

Oboje zamilkli. Modest wiedział, że nie uda im się rozmawiać bez skakania sobie do gardeł.

Jakby czytając w jego myślach, Monika odchrząknęła i zaczęła mówić. Modest obserwował jej napięte ciało i nagle dotarło do niego, że jego żona się boi. Przez tyle lat się bała i o niego, i o syna.

– Tak, to ja się chciałam spotkać. Myślałam trochę o Marcie. – Jej ton stawał się z każdą chwilą łagodniejszy. – Bardzo mnie dziwi, w co wdepnęła, to przecież taka uczciwa, rozsądna dziewczyna. Nie wiem, co mogłoby się stać, żeby się wplątała w coś niedobrego. Mało prawdopodobne. Przez tyle lat unikała tego, dlaczego nagle teraz, gdy chyba zaczynało jej się wieść lepiej? – W jej głosie słychać było wahanie. Wiedział, że ma wyrzuty sumienia. Popełnili błąd, że zostawili Martę bez opieki, myśląc, że jest już dorosła.

– Wierz mi, że mnie również nie mieści się to w głowie. – Zapalił papierosa, ręce mu drżały. – Nie proponuję?

– Nie, ja już swoje w życiu wypaliłam, dziękuję – stwierdziła chłodno. – Myślałam, że ty też rzuciłeś?

– Rzucam od czasu do czasu, przy szczególnej okazji. – Uśmiechnął się.

Monika ciągnęła:

– Nie mam pojęcia, gdzie mogłaby się ukrywać. Zastanawiałam się, ale nie mogę absolutnie nic wymyślić. Może być wszędzie. Nawet za granicę mogła wyjechać.

– Nie, nie zna żadnego języka. – Modest nie brał pod uwagę takiej ewentualności. – Ale mógł ją ktoś wywieźć.

– Domyślasz się kto?

– Nie wiem. Nawet nie mam podejrzeń, kto może być mordercą.

– A Zawadzki? – Gdy przekrzywiła głowę, patrząc na niego z uwagą, dokładnie jak kiedyś, gdy opowiadał jej, jakie zrobił postępy w śledztwie, poczuł ukłucie w sercu.

– Zawadzki milczy.

– Nie układa się wam?

– Już nie. Mam wrażenie, że przestał być sobą. – Po chwili dodał: – Ktoś, kto zamordował Luizę, musiał mieć niezwykłą motywację. Ale nie popełnił błędów. To mnie najbardziej zastanawia.

– Daj spokój, przecież każdy popełnia błędy. – Gdy to powiedziała, uśmiechnął się. Przecież to były jego słowa!

– Nie wiem. Może tylko ci, którzy tak naprawdę chcą być ukarani? Nie wiem.

– Czyli nie zakładasz porwania?

– Ale po co? To już za długo trwa. Porywa się zazwyczaj po coś.

Zapadła niezręczna cisza. Monika przerwała ją niepewnym głosem.

– Ale ona żyje?

Nie odpowiedział, skąd mógł wiedzieć? Ta myśl dręczyła go już od wielu dni. Uprawdza się też czasem po to, by zabić.

– Przecież ona nigdzie sama nie wyjeżdżała. Jeździła na wakacje tylko z nami. Gdzie

się mogła ruszyć sama? To niemożliwe. Była zbyt nieśmiała – westchnęła z rezygnacją.

Modest wyglądał, jakby nagle zobaczył ducha.

– Co się stało? Powiedziałaś coś nie tak? – spytała zdziwiona.

– Nie – zapewnił, gasząc szybko papierosa. – Nie, i nawet bardzo tak. Lecę, dzięki. Do zobaczenia. Odezwę się.

Monika została z półotwartymi ustami i śladem pocałunku na policzku. Jednego była pewna – nie zmienił się. Na zawsze pozostanie wariatem.

MOKOTÓW

Aleksander Zawadzki ubrał się w najlepsze ubranie, jakie zostało mu w szafie. Pod nieobecność Igi odczuwał dotkliwe braki w czystej garderobie. Brakowało mu czasu, by prać i prasować. Ale miał czas znaleźć sobie kochankę. Zawadzki miał o sobie jak najgorsze zdanie. Marzył o tym, żeby żona wróciła i ich życie potoczyło się jak dawniej. Będzie tak, jak dawniej. Ułoży się. Znajdą czas dla siebie. Będą się sobą opiekować. Pojadą na urlop. Jak normalna rodzina. Zawadzki postanowił kupić po drodze kwiaty. Iga miała dzisiaj zostać wypisana do domu. Nie mógł przecież zachować się jak ostatnia szmata.

Do szpitala wpadł z mocnym postanowieniem poprawy i zmiany życia. Skończy z ciągłą pracą, nie będzie się ubiegał o awans, po co mu dodatkowa odpowiedzialność? Bycie na świeczniku nie jest niczym przyjemnym.

Iga leżała na oddziale VIP-ów. Było tu ciszej i spokojniej. Zawadzki ruszył korytarzem na piętrze, na którym przebywała jego żona. Już miał wejść do środka, gdy jego wzrok zatrzymał się na starszej kobiecie wychodzącej z oddalonej o kilka metrów sali. Przystanął i ze zdumieniem spytał:

– Co pani tutaj robi?

Zofia wyglądała na zmieszaną.

– Odwiedziłam znajomego. Jest w ciężkim stanie. Przepraszam, spieszę się.

Zauważył, że była bardzo poruszona. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, pożegnała się i szybkim krokiem odeszła. Gdy zniknęła za zamykającymi się automatycznie drzwiami, Zawadzki podszedł do stojącej nieopodal pielęgniarki i spytał:

– Kto leży na sali obok?

Pielęgniarka rozpoznała prokuratora.

– Albert Janik, ksiądz profesor. Ciężki stan, a mógłby jeszcze trochę pożyć. Dusza człowiek.

Zawadzki zamyślił się.

– Pana żona kwitnąca dzisiaj – zmieniła temat kobieta. – Od rana nie możemy się nadziwić, jak się zmieniła przez te kilka dni. Musi więcej wypoczywać.

Prokurator poczuł naganę w jej głosie. Skulił się i odpowiedział:

– Zapewniam, że będzie jej ze mną najlepiej na świecie.

Kiedy prokurator wchodził na salę do swojej żony, przypomniał sobie stary medalik, odnaleziony na miejscu zbrodni przy Luizie Orłowicz. Pomysł, na który właśnie wpadł, był absurdalnie niedorzeczny. Jednak towarzyszył mu przez cały dzień aż do wieczora, gdy jego żona spała spokojnie, oddychając u jego boku, a on analizował wszystkie powiązania jeszcze raz od początku.

LUIZA ORŁOWICZ

Sobota, 20 września 2014 roku

Tydzień po sesji, w trakcie której zaczęłyśmy mówić o moim wypadku, okazał się koszmarem. Balansowałam między jawą a snem, nie do końca wiedząc, co się ze mną dzieje. W nocy widziałam twarze, których nie zapamiętywałam, tak były mi obce, martwe, przerażające. Chodziłam po mrocznych korytarzach, szukając nie wiadomo czego i nie znajdując, zanosząc się płaczem. Czułam, że cienie prześladowały mnie, podążając za mną. Bałam się odwrócić, żeby żaden mnie nie wchłonął. Jeden niewłaściwy ruch i mogło być po mnie. Rano, gdy wybudzałam się, chciałam o wszystkim jak najszybciej zapomnieć. Jednak było to niemożliwe. Sen przeradzał się w rzeczywistość, zrastał z nią. Zaczynałam wariować.

Adam nie mógł się odnaleźć w tej sytuacji. Nie miałam wątpliwości, że wymiękał. Nie znał prawdy. Nie chciał znać, tak czuł się bezpieczniej i wygodniej. Ja również. Mój program odbudowy naszego zaufania był ambitny. Do głowy by mi nie przyszło, żeby najpierw ustalić, czym dla niego jest zaufanie. Od tego pewnie należało zacząć. Ale nie dbałam o to. Za wszelką cenę chciałam poznać prawdę i w niej nie utonąć. Byłam egoistką trzymającą się kurczowo planu, który miałam zrealizować – za wszelką cenę.

Zajęta sobą, przejęta i zmęczona, pojawiłam się na kolejnej sesji.

– Jak minął tydzień? – Małgorzata patrzyła na mnie z troską. Sama też nie wyglądała najlepiej. Wiedziałam, że rozstaje się z mężem. Było mi przykro, że jej się nie udało. Bałam się pytać, bo ukrywała swoją prywatność i rzadko rozmawiałyśmy o jej życiu osobistym.

– A jak myślisz? – spytałam. – Jakby przywaliła mnie tona gruzu, spod której nie mogłam się wydostać.

– Jesteś już blisko wyjścia – mówiła pocieszająco. Nie do końca jej wierzyłam.

– Jeśli nie zabraknie mi tlenu – westchnęłam.

– Masz mocne płuca – stwierdziła, a ja się roześmiałam. To akurat była prawda. – Opowiadaj.

Nie potrzebowałam zachęty, żeby kontynuować swoją opowieść.

– Wtedy, po śmierci mamy, nie rozumiałam, co zamierzają ze mną zrobić. Żyłam jakby poza swoim ciałem i kompletnie nie docierała do mnie prawda o tym, co się wydarzyło. Byłam w szpitalu kilka razy. W końcu zatrzymali mnie na dłużej, czułam się coraz gorzej. Ojciec zdecydował, że nie można zwlekać, i umieścił mnie tam, gdzie, mówił, będzie mi dobrze. Samotność miała mi pomóc – tak mówił. Zawieźli mnie tam w środku nocy, zabrali telefon, miła pani wstrzyknęła mi coś tak szybkim ruchem, że nie zdołałam jej ugryźć, jak to zwykle czyniłam.

Kiedy czekałam, aż lek zacznie działać, usłyszałam znajome głosy. Pomimo zawrotów głowy podniosłam się z łóżka i podeszłam do drzwi. Usłyszałam urywek rozmowy:

– Jest za późno. Nie mogę. – Doktor Suchocki jękał się. Nigdy nie słyszałam, żeby tak się denerwował. Nigdy nie odmawiał mojemu ojcu.

– To, kurwa, przecież niemożliwe, zrób coś! – Ojciec był wściekły, coś wymknęło mu się spod kontroli.

– Nic na to nie poradzę. Musimy czekać.

– Jak to się stało?! – Głos ojca był pełen wściekłości, ale też i żalu.

– Może tu zostać, nie martw się. – Lekarz próbował go pocieszyć. Przez dziurkę od klucza jego twarz zdawała się mniejsza, jak u dziecka. W końcu zupełnie mi się rozmazała i ostatkiem sił dotarłam z powrotem do łóżka, w którym natychmiast zasnęłam.

W nocy przyśnił mi się Lorenc – dla Marka wzór do naśladowania. Niedościgniony ideał. Z uśmiechem wyciągał do mnie dłoń. Bałam się go, ale nie mogłam przestać na niego patrzeć. Krzyczał coś do mnie, ale nie usłyszałam. Jego głos uciekał, rozmywał się w morskich falach. Płynęłam jachtem prosto w słońce.

Pamiętałam białe, szpitalne ściany i specyficzny zapach płynów, którymi dezynfekowane były pomieszczenia. Nie widziałam innych chorych, czasem słyszałam tylko dobiegające z oddali głosy, jak sądziłam, z przeciwnego krańca budynku.

Od śmierci matki było mi wszystko jedno. Po tym, jak nie pozwolili mi pójść na jej pogrzeb, wiedziałam, że nie mam na nic wpływu. Twierdzili, że w takim stanie nie nadaję się, że jestem za słaba. Tak naprawdę mogli ze mną zrobić, co chcieli.

Nauczycielki przychodziły do mnie, nadrabiały ze mną zaległości, żebym nie zaważyła nauki i szkoły. Niewiele jednak do mnie docierało.

Gdyby nie Barbara, pewnie też nic bym nie jadła. Przyjeżdżała do mnie codziennie, przynosiła najróżniejsze potrawy i karmiła jak pisklę.

– Musisz jeść, żeby zdrowieć. Musisz mieć teraz dużo siły – powtarzała niezmiennie, opowiadając mi przy okazji najróżniejsze historie, żeby mnie czymś zająć i rozbawić. Słuchałam, ale nie czułam się rozbawiona. Doceniałam jednak jej starania – zawsze była moim aniołem stróżem.

Dużo spałam i dużo śniłam. W snach prześladowały mnie obrazy, których nie chciałam pamiętać.

– A teraz wstań i pocałuj mnie w dupę!

Słyszałam głos ojca, widziałam łysą głowę matki opadającą bezwładnie na poduszkę. Sceny przewijały się jakby poza mną, w zwolnionym tempie. Łóżko, na które matka nie była w stanie sama wejść. Na wpół sparalizowana, zbyt chuda i zbyt słaba nie mogła dźwignąć się do góry. Jej ciało kruche jak pergamin, widziane pod lupą. Tkanki chore, rozłazące się pod palcami jak wata cukrowa. Patrzyłam, jak chwycił za perukę i ciskał nią o ścianę. Modliłam się, żeby już nikt nie chciał mnie stamtąd zabrać. Jak żyć z nim i udawać, że nic się nie stało?

– Popamiętasz – sapał nade mną, gdy myślał, że spałam w swoim szpitalnym łóżku. – Popamiętasz. Zmarnowałaś sobie życie. Jesteś nic niewarta. Twoja sprawa. Wybrałaś.

Woń wódki sprawiła, że zachciało mi się rzygać. Nie otwierając oczu, poderwałam głowę i zwymiotowałam przy łóżku na podłogę. Zdążył odskoczyć, ale był przerażony. W pomieszczeniu śmierdziało tak, że nie mogłam powstrzymać rzygania. Krztusiłam się.

– Co ty robisz?! – Miotał się jak opętany, a ja wywalałam z siebie litry wpompowanej we mnie odurzającej chemii. Nawet wydało mi się to zabawne. Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam, jaki jest śmiesznie mały. Sama nie wiem, kiedy przestałam się go bać. Może to był właśnie ten moment?

Zabrał mi wszystko, cóż mógł mi jeszcze zrobić? Czego mogłam się jeszcze bać?

Włączyłam alarm. Pielęgniarka weszła do sali i widząc, co się dzieje, wyprosiła mojego dyszącego ze złości ojca. Nawet nie wiedziałam, czemu złości się właśnie na mnie. Przecież nic mu nie zrobiłam. To on skazał mnie na pożarcie przez mężczyzn, z którymi nie chciałam mieć nic wspólnego. Sprzedał moją niewinność dla zabawy, która niestety wymknęła się spod kontroli.

Małgorzata płakała. Zorientowałam się, dopiero gdy przestałam mówić do zachodzącego słońca, jak miałam w zwyczaju. Nieme łzy spływały jej po policzkach i było w tym coś tak rozpaczliwego, że zaniemówiłam. Patrzyłam na nią jak na zjawisko.

Zmieszana czekałam, czy coś powie. Byłam ciekawa, która część mojej opowieści poruszyła w niej tę cieką strunę, na której zagrał smutek. Dowiedziałam się tego dopiero kilka sesji później. Wtedy zrozumiałam, że czasem w życiu umiera się kilka razy.

Środa, 17 czerwca 2015 roku

REKOWNICA

Samotne przebywanie w zamkniętej przestrzeni stawało się dla Marty coraz bardziej nie do zniesienia. Każdy szelest sprawiał, że lęk się potęgował. Pająki doprowadzały ją do hysterii, były wszędzie – obłaziły jej ciało. Czuła, że skóra zaczyna ją piec. Drapała się aż do krwi.

Postanowiła wyjść – wbrew zakazowi, przecież nikt jej nie zauważy. Z lubością włożyła na bose stopy kalosze – po lesie tak chodziło się zawsze najlepiej. Szła powoli. Odgłos stawianych kroków w jej uszach ulegał zwielokrotnieniu. Odwracała się, by sprawdzić, czy nikt za nią nie idzie. Uśmiechnęła się. Kobieta za jej plecami wyglądała na szczęśliwą. W głowie usłyszała dobrze znaną piosenkę.

Wciągała powietrze głęboko w płuca, ciesząc się wilgocią unoszącą się w powietrzu. Zawsze lubiła to jezioro. Tafla wody zlewała się z kolorem nieba – trudne do odróżnienia. Nigdzie żywego ducha. Dawniej, jeśli dobrze pamiętała, nad tym jeziorem całe dnie spędzali rybacy. Prześcigali się w łowieniu jesiotrów. Jezioro Rekowe. Z jednej strony rozciągał się niewielki kemping, stało kilka barów. Teraz były zamknięte, czekały na nowy sezon.

Przed nią znajdowało się jedyne dostępne dojście do jeziora i niewielki pomost. Linia brzegowa była zarośnięta szuwarami. Dno muliste. Po ciemnym piachu przy brzegu grasowały wygłodzone pijawki. Nie znosiła ich. Przez to kąpiele w jeziorze nigdy nie należały do przyjemności, choć widok gładkiej tafli wody uspokajał i kusił orzeźwieniem.

Ciszę przerywał od czasu do czasu krzyk nawołującego się ptactwa, plusk. Mgła unosiła się nad wodą jak para nad gotującą się zupą.

Usiadła na mokrym piachu. Krople z drzew spadały jej na czoło. Marszczyła wtedy nos. Kobieta usiadła tuż za nią. Marta nie musiała się odwracać, czuła na plecach jej oddech. Cichy śpiew, który sprawiał, że w dziwny sposób czuła się mniej samotna.

Oddychała głęboko. Powietrze wdzierające się przez nozdrza drażniło wilgocią, chłodem i świeżością, ale to nie przeszkadzało. Wreszcie swobodny oddech, jeden za drugim, taki niewymuszony. Zamknęła oczy. Mogłaby tak siedzieć cały dzień, nie ruszać się, nie patrzeć na zegarek, orientować się, że czas mija, jedynie po zachodzącym słońcu i szarzejącym coraz bardziej niebie. Tu nic nie ma znaczenia. Nie

ma znaczenia, kto zabił Luizę. Nie ma znaczenia, czy rzeczywiście coś jej zagraża. Nie ma znaczenia, czy potrafi się obronić, czy ktoś ją ściga.

Pochyliła głowę. Jeśli ma ją znaleźć, znajdzie. A może już znalazł. Liczyła się z tym, naiwne byłoby sądzić, że tak się nie stanie. Powoli podniosła się i odwróciła. Siedząca za nią kobieta zniknęła.

Stał na leśnej drodze prowadzącej nad jezioro. Jego sylwetka rysowała się dość wyraźnie, był postawnym mężczyzną. Ubrany na ciemno. Podniosła się. Tak długo czekała. Lorenc miał rację, że przyjedzie. Przecież jej to obiecał. Niepewnie ruszyła w jego kierunku. Zamknęła oczy i uśmiechnęła się. Zza drzew wyszło słońce.

PRAGA-PÓŁNOC

Zawadzki pstrykał palcami. Był zdenerwowany. Bał się, że się skompromituje. Czy myśl, jaka przyszła mu do głowy wczoraj, nie jest zbyt szalona? Patrzył na Zofię, która wydała mu się starsza niż podczas ostatniej wizyty, ale też dużo mniej wyniosła.

Weszła krokiem osoby niezbyt pewnej siebie. Zawadzki powitał ją uśmiechem i słowami:

– Przepraszam, że wzywam tu panią, ale chciałbym wyjaśnić jedną rzecz.

– Zamieniam się w słuch.

– Czy poznaje pani ten medalik? – Położył medalik na stole na wprost jej oczu.

Zofia przyjrzała się mu uważnie, a jej twarz drgnęła.

– Czy mogę?

– Oczywiście. – Zawadzki przyglądał się kobiecie wzrokiem drapieżcy wietrzącego zdobycz.

Kobieta obracała w długich żyłastych palcach medalik, po czym odłożyła go na blat.

– Należał do mojej siostry. Rok wskazuje datę święceń Alberta Janika. To zakonnik, z którym się bardzo przyjaźniła w młodości. Poszedł do zakonu jako dojrzały mężczyzna.

– Czy to u niego była pani w odwiedzinach? – spytał prokurator, choć nie miał wątpliwości, że to był właśnie on.

– Tak. Miałam nadzieję, że uda mi się z nim porozmawiać.

– Dlaczego pani nie przyszła z tym do mnie?

Zofia przez chwilę milczała. W końcu odezwała się, choć widać było, że mówienie sprawiało jej trudność.

– Ze wstydu milczałam. Tyle lat milczałam, to teraz... Czy to może coś zmienić? Czy ją wskrzesi? – Spojrzała na niego ze łzami w oczach.

– Pomoże nam być może odnaleźć mordercę. To chyba ważne, nie uważa pani?

Zofia odchrząknęła i zaczęła mówić.

– Cóż, Luiza miała dziecko.

Zawadzki zamarł.

– Nawet dwoje – odpowiedział niepewnie. Bał się, że to, co usłyszy, nie będzie mu się podobało.

– Nie, nie o te dzieci mi chodzi. Miała swoje własne. Urodziła dziecko, którego w ostatnim czasie intensywnie poszukiwała.

– Proszę mi o tym opowiedzieć. – Zawadzki powoli akcentował każde słowo.

– Cóż, byłam u niej jakieś dwa miesiące temu.

– Wspominała pani o tej rozmowie, ale nie przypominam sobie, żeby wtedy padły z pani strony takie oświadczenia.

– Bo chyba nikt mnie o to nie pytał? Nie wiedziałam, że to istotne.

Zawadzki wyglądał na zirytowanego. Od początku czuł, że ta kobieta ukrywała stanowczo za dużo.

– Proszę mi opowiedzieć o tej wizycie raz jeszcze – tym razem wszystko.

– Zaprosiła mnie. Rzadko mnie zapraszała, więc uznałam, że nie wypada odmówić. Zresztą czułam, że muszę uregulować należności za dom opieki, w którym znajdowała się wtedy moja matka. Ona za to płaciła. Dlatego skorzystałam z tej sposobności i przyjechałam.

– Co było dalej?

– Gdy przyjechałam, spotkanie zaczęło się normalnie. – Zofia wzięła głęboki oddech.

– Zaprosiła mnie na obiad. Adama nie było, byliśmy same. Przynajmniej do pewnego momentu, ale o tym za chwilę. Dzieci w przedszkolu. – Zawiesiła głos. – I nagle zupełnie niespodziewanie Luiza spytała mnie, czy wiem, co się stało z jej dzieckiem. Zaniemówiłam, bo nie wiedziałam, co mam jej powiedzieć. Nie wiedziałam, że mogła być w ciąży. Powiedziała, że była wiele lat temu i nie wie, co się z nim stało.

– Niezupełnie rozumiem – powiedział prokurator, choć zaczynał rozumieć coraz bardziej.

– Ja też nie rozumiałam. Powiedziałam, że nie wiem, niestety, o czym mówi. Była bardzo zmartwiona. Potem zapytała o swojego brata Janka.

– A o co konkretnie? – Zawadzkiemu zrobiło się niedobrze na myśl o niedawnych artykułach w prasie.

– Cóż, ta historia jest jeszcze bardziej tajemnicza. Zdaję sobie sprawę, że nikt do tej pory nic na ten temat nie mówił, ale proszę się nie dziwić. Mało kto by się odważył za życia mojego szanownego szwagra.

– Dobrze, zaraz pani opowie o tym bracie, ale proszę dokończyć temat dziecka. Nic pani o nim nie wiadomo?

– Nic.

– Na pewno?

– Przecież mówię. Nic nie wiem i nie mam pojęcia, kto mógłby wiedzieć. Może Adam? Ale nie sądzę. To była jakaś stara historia, o której chyba nikomu nie chciała

mówić. Może Zbyszek, on z pewnością mógł wiedzieć. Może jeszcze ta gospośia.

Zawadzki patrzył na Zofię. Pomyślał, że Modest od początku miał rację. Lorenc maczał w tym palce. Bał się, że coś odkryją i że to coś naprowadzi ich na niego. A może chciał, żeby naprowadziło? Może to była jego kolejna gra?

– Wiem, że ta historia jest pogmatwana. – Zofia uśmiechnęła się przeproszająco i przez moment wydała się Zawadzkiemu szczerą i ciepłą. – Janek, syn Zbyszka i Ireny, zaginął. To znaczy nie był to rodzony syn Ireny, tylko Zbyszka. Jego matka zmarła przy porodzie, a z Ireną wychowywał się od trzeciego roku życia, gdy związała się ze Zbyskiem. Kochała go jednak, jakby był jej całą miłością...

– Jak zaginął?

– Do końca nie wiadomo nawet, czy zaginął. Tak nam powiedziano i szczerze mówiąc, nikt się tym nie przejął. Wiem, że w gazecie znalazło się jego zdjęcie.

– Ma pani na myśli ten nieszczęsny artykuł w „Informacjach Dnia”?

– Tak, dokładnie ten. Śledziłam to. To zdjęcie przedstawiało właśnie Janka. Ślicznego Janka. Może zacznę od początku? – Zofia wyglądała na bardzo zmęczoną, ale zdeterminowaną.

Zawadzki wyjął papierosa i bezceremonialnie zapalił. Po nocy z Wiśniewską znów go ciągnęło do dawnego nałogu.

– Janek był ukochanym dzieckiem Zbyszka. Bóg jeden wie, czemu aż tak go kochał. Zagwarantował mu najlepsze szkoły, najlepszą opiekę. Wszyscy go uwielbiali i rozpieszczali. Nie wiem, jak to naprawdę wyglądało, spotykałam się z nimi przecież sporadycznie, ale z zewnątrz – idylla. Do czasu, gdy na świecie pojawiła się Luiza.

– Ile lat miał Janek, gdy urodziła mu się siostra?

– Luiza była dość późnym dzieckiem mojej siostry, Janek miał już prawie dziesięć lat, gdy się urodziła. Pamiętam, że mieli z nim wtedy okropne problemy, bo był bardzo o nią zazdrosny. Podobno bali się nawet, że robi jej krzywdę. Wie pan, oczywiście z głupoty, jak to dziecko. Zawsze jej dokuczał, zawsze się nad nią znęcał, ale póki moja siostra była zdrowa, nic szczególnego się nie działo. Przynajmniej ja o tym nie wiem. Stało się jednak, jak się stało, moja siostra zachorowała, Zbyszek, umówmy się, nigdy nie był aniołem, a Janek zaczął robić, co chciał.

– Ile miał wtedy lat?

– Jakieś dwadzieścia.

– Co było dalej?

– Zdaje mi się, ale jest to tylko moja hipoteza, że wstąpił do jakiejś organizacji, nie wiem, może to była sekta czy coś takiego. Wydaje mi się też, że stało się to za namową Henryka Lorenc. On się obracał w takich dziwnych kręgach. Janek rzadko bywał w domu, nocował Bóg wie gdzie, tak przynajmniej mówiła mi siostra, która nigdy nie była specjalnie wylewna. U niej zawsze przecież wszystko było idealnie. Wiem, że pewnej nocy napadł na Luizę z nożem, ale nie wiem, co się stało. Nikt nie chciał na ten

temat mówić. Gdy Luiza wspomniała o tym w kuchni, byliśmy wtedy same z Ireną, moja siostra kazała jej być cicho i przestać wymyślać głupoty. Wiem jednak na pewno, że Irena straciła nad nim kontrolę i w coś się wplątała.

– A co na to Zbyszek?

– Udawał, że nic nie wie. Nikt nie miał odwagi poruszyć z nim tego tematu. Ale pewnie gdzieś tam w głębi serca wiedział, że traci syna.

– Co się stało potem?

– Zimą, kiedy zmarła Irena, zaginął również Janek. Tak przynajmniej powiedzieli. To musiał być styczeń dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Moja siostra zmarła pod koniec stycznia, bardzo szybko po jego zaginięciu. Było jeszcze nieprawdopodobnie zimno, wie pan, wtedy zimy były ostrzejsze. Zorganizowali spotkanie w ich rodzinnym domu, czyli później domu Luizy, na które zaprosili wszystkich członków rodziny. Zbyszek był trzeźwy, jak rzadko, i bardzo poważnym tonem ogłosił, że Janek zaginął i że nie zamierzają go szukać, bo sądzą, że wyjechał za granicę. Oświadczył, a właściwie zagroził, że nie życzy sobie, aby ktokolwiek w jakichkolwiek okolicznościach wspomniał jego imię. Także na zewnątrz. Powiedział, że wyrzeka się syna i nie chce go znać. Tak naprawdę wszyscy wiedzieliśmy, że nas ostrzega, by nigdy na temat Janka nie rozmawiać. I nie rozmawialiśmy. Myślę, że tak się do tego przyzwyczailiśmy, że sami zaczęliśmy wierzyć, że tego chłopca nigdy nie było. Nigdy nikt go specjalnie nie lubił. Miał w sobie coś takiego, że każdy się go bał. Niby zawsze kulturalny, zawsze miły, ale w oczach miał taki lód... Biedne dziecko... – Zofia się zamyśliła.

– Gdzie według pani może teraz być?

– Słyszałam, że zmarł. – Zofia spłoszyła się, a po chwili dodała: – Ale sama nie wiem. Myślę, że za granicą. Myślę, że mógł pokłócić się ze Zbyszkciem, tamten dał mu pieniądze, żeby zniknął z jego życia. Ale wie pan, przypuszczam, że przez niego Zbyszek miał złamane serce. To była jego duma, kochał go nad życie, ale w jakiś dziwny sposób bardzo się na nim zawiódł. Nie wiem, ale wydaje mi się, że pozostałych swoich dzieci nie kochał tak jak jego. – I jakby po zastanowieniu dorzuciła: – I w ogóle jeśli kogokolwiek w życiu kochał, to właśnie jego.

– A co to za organizacja, do której należał? Ma pani jakieś podejrzenia?

Wydało mu się, że Zofia się zastanawia, ale trwało to zaledwie kilka sekund, więc nie był tego pewny.

– Cóż, nie wiem. I nawet nie wiem, kto może coś wiedzieć. – Po chwili dodała z wahaniem: – To znaczy wiem, może spróbować pan porozmawiać z księdzem Albertem Janikiem. Może on coś wie. Był kiedyś blisko związany z rodziną.

– O czym właściwie chciała pani z nim porozmawiać?

– Właśnie o Janku. Wydaje mi się, że Albert był ostatnią osobą, którą rodzina poprosiła o porozmawianie z Jankiem. Mieli nadzieję, że go nakłoni do dobrego.

Zawadzki spojrzął w okno.

– Czy domyśla się pani, kto jest mordercą?

Zofia przeszła go wzrokiem.

– Gdyby Janek żył, sądziłabym, że to on.

– A jeśli nie żyje?

Zofia zawahała się.

– Może Bernard Suchocki?

– Cóż on miałby z tym wspólnego?

– To już pan musi ustalić.

Zanim wyszła, zadał jej jeszcze pytanie:

– Czemu Luiza pytała panią o Janka podczas waszej rozmowy? Dlaczego zaczęła o nim mówić?

– Wydaje mi się, że jej przerwałam. Nie pamiętam do końca. Byłam przejęta wiadomością o dziecku. Janek pojawił się w tej rozmowie niespodziewanie. – Zofia wyraźnie się zastanawiała. – Nie wiem. Chyba spytała mnie, czy nie wiem, gdzie jest.

– Sprawiała wrażenie, że się czegoś boi?

– Może trochę? Na pewno była smutna.

Zawadzki podziękował, a Zofia wstała z torebką w dłoniach. Przed wyjściem odwróciła się jeszcze.

– Nędzni jesteśmy wszyscy.

Zawadzki pomyślał, że trafiła w sedno.

Ponownie wybrał numer Modesta. Odezwała się automatyczna sekretarka, ale Modest oddzwonił za parę sekund.

– Nie interesuje mnie, czy jesteś u kochanki, czy masz coś pilnego, nawet mam w dupie, jeśli właśnie ktoś wbija ci nóż w plecy... – zaczął bez wstępu Zawadzki.

– Myślę, że wiem, gdzie jest Marta – przerwał mu Modest.

– A ja myślę, że wiem, kto jest mordercą.

Zawadzki opowiedział o przesłuchaniu Zofii Frankowskiej.

– To by się zgadzało – zauważył Modest. – Niechciany syn morduje z zemsty.

– Najwyraźniej.

– Co robimy?

– Ty jedź do Rekownicy. Ja przesłucham księdza i jeszcze raz Suchockiego. Może to jest punkt zaczepienia.

– A Lorenc?

– Uparłeś się, ale rozumiem – powiedział z rezygnacją Zawadzki. – Jestem ci coś winien, ale porozmawiamy o tym w cztery oczy, okej?

– Jak uważasz. Czyli go nie wyklucasz? – W głosie kolegi pobrzmiwała satysfakcja.

– Nie możemy go namierzyć. Zniknął. Nie odbiera telefonów. Nie podoba mi się to, ale nic nie mogę zrobić.

- Czyli klasyka. Mam sobie z nim radzić sam.
 - Zachowujesz się nie fair.
 - Ty też.
 - Uważaj na siebie. Lorenc nie zabił Luizy Orłowicz, tego jestem akurat pewny. Nie uważam jednak, że nie jest mordercą i że nie przyłożył ręki do jej nieszczęścia.
- Modest się rozłączył. Zawadzki wiedział, że musi natychmiast porozmawiać z Albertem Janikiem.

MOKOTÓW

Zawadzki czuł, że mają coraz mniej czasu. Kowalska deptała im po piętach. Dostała informację, która nie była sprawdzona, ale na pewno nie zamierzała jej tak zostawić. Sprawdzi ją, a w najgorszym razie po prostu narobi im dymu. Jeśli mordercą był Janek Orłowicz, rewelacje przekazane przez Modesta mogły im bardzo zaszkodzić. Zawadzki wybrał numer szpitala na Wołoskiej, w którym na oddziale dla VIP-ów przebywał ksiądz Albert. Dowiedział się, że duchowny jest już w lepszej formie i oczekuje go w każdej chwili. O spotkaniu z nim myślał z niechęcią.

Od świtu padało i było paskudnie jak na połowę czerwca. Niezgrabnie omijał kałuże, czuł się jak niedźwiedź przeskakujący przez przeszkody. Nie przeszedł nawet jednego przystanku, a już miał niezdrową zadyszkę. Co roku powtarzał sobie, że musi zacząć o siebie dbać, a z każdym kolejnym rokiem było coraz gorzej. Do szpitala miał od siebie z Wiktorskiej niedaleko. Postanowił przejść ten kawałek na piechotę, choć już w połowie drogi pożałował, bo deszcz zacinał wyjątkowo nieprzyjemnie.

Dotarł na miejsce i zostawił płaszcz w szatni. Wiedział, gdzie ma iść. Wsiadł do windy i pojechał na trzecie piętro. Foliowe ochraniacze wkurzały go jak mało co. Tak jakby to gównu cokolwiek dawało.

– Ja do księdza Alberta Janika – powiedział stojącej za niewielkim kontuarem pielęgniarki.

– A kim pan jest? – Gruba kobieta spojrzała na niego spode łba. Nie spotkali się wcześniej na oddziale. – Ksiądz przyjmuje tylko planowe wizyty.

– Ja z planowej. Prokurator Aleksander Zawadzki, DSI Praga-Południe.

Pielęgniarka przestała traktować go jak narzucającego się petenta i bez słowa wskazała drzwi znajdujące się naprzeciwko pokoju pielęgniarek.

Zawadzki zapukał i wszedł do środka.

Leżący na łóżku starszy mężczyzna otworzył oczy.

– Dzień dobry. Pan prokurator, prawda?

– Tak, dzień dobry. Moje nazwisko Zawadzki.

– Witam, miło mi. Proszę spocząć. – Gdy Zawadzki usiadł na krześle dla gości, ksiądz zapytał: – Co pana do mnie sprowadza? Choć szczerze mówiąc, spodziewałem

się, że i do mnie w końcu traficie...

Bynajmniej nie chęć spowiedzi, pomyślał prokurator, ale zaraz zganił się w myślach. Musi z księdzem ustalić pewne fakty, to wszystko.

– Cóż, w zasadzie skierowała mnie tutaj do pana Zofia Frankowska, która została przesłuchana w sprawie kilku morderstw związanych z rodziną Orłowiczów. Wskazała mi pana, to znaczy, przepraszam, księdza, żebym z księdzem koniecznie porozmawiał, więc jestem.

– A o czym? – Spojrzenie zakonnika było przenikliwe. Nie sprawiał wrażenia, jakby wisił nad grobem.

– Raczej o kim. – Uśmiechnął się uprzejmie Zawadzki. – O Janku. Najstarszym synu Zbigniewa Orłowicza. Wiadomo coś panu na jego temat? Gdzie może teraz być?

– Przecież on nie żyje – odpowiedział zdecydowanym tonem ksiądz. Jasne było, że to dla niego oczywiste.

– Jak to nie żyje? Jest poszukiwany przez policję – blefował Zawadzki.

– Został uznany za zmarłego, czyż nie? – Oczy zakonnika były nad wyraz przenikliwe.

– Ale nigdy nie znaleziono ciała.

Ksiądz prychnął. Żyłastą dłonią nerwowo poruszał po wykrochmalonej kołdrze.

– Nie znaleziono, nie znaleziono. Jacy wy wszyscy jesteście naiwni! A czy tak naprawdę szukano?

Zawadzki rozpiął bluzę, bo zrobiło mu się nagle gorąco.

– Przepraszam, chyba nie rozumiem, o czym ksiądz mówi.

– To, że nie znaleziono ciała, nie znaczy, że go nie było. – Starzec wypowiedział swoją kwestię tonem, którym nauczyciel mógłby pouczać swojego ucznia, co nie spodobało się Zawadzkiemu.

– Proszę mówić dalej. Chce ksiądz powiedzieć, że widział ksiądz ciało?

– Oczywiście, przecież je pochowałem. Na pogrzebie Ireny Orłowicz.

Prokuratora zamurowało. Nie był pewien, czy chce dalej słuchać tej historii.

– Dlaczego nikt o tym nie wie?

– Bo była to tajemnica spowiedzi.

– Jaka tajemnica? – Zawadzkiemu zrobiło się słabo.

Ksiądz westchnął.

– Chyba musimy zacząć od początku.

– Najwyższa pora – skwitował Zawadzki i pochylił się do niego.

REKOWNICA

Trzymał Martę mocno. Bez słowa pociągnął ją do stojącego nieopodal samochodu. Gałęzie drapały jej twarz, ale nie czuła bólu. Cisnął ją na tylne siedzenie, wcześniej zakneblował jej usta, związał nogi i ręce. Potem przyłożył mokrą szmatę do twarzy.

W ciągu kilku sekund zapadła się w ciemność.

Gdy się ocknęła, siedziała w zupełnym mroku na mokrym materacu. Musiał ją gdzieś przenieść. Do małego, ciemnego, betonowego pomieszczenia. Było tam przeraźliwie zimno i mokro. Czuła, że twarz ma spuchniętą i obolałą. Oczy jak posypane solą, piekły przy każdym mrugnięciu. Próbowwała rozprostować nogi, ale ucisk wężła był zbyt mocny.

Dłuższą chwilę kiwała się, odzyskując powoli przytomność. Mrok nie przeszkadzał. Powoli zaczęła uświadamiać sobie, co się stało. Nie rozumiała, czemu właściwie to zrobił. Liczyła, że z nią porozmawia. Przecież Henryk mówił, że ją kocha, że jak przyjedzie, wszystko się wyjaśni i ułoży. Nie wierzyła już, że to prawda. Młody mężczyzna jej nienawidził. Teraz w jego oczach widziała jak bardzo. Może bał się, że wiedziała, co zrobił?

Musi z nim porozmawiać. Musi go przekonać, to jej jedyna szansa. Myśli krążyły jak w gorączce.

Dookoła panowała absolutna cisza. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, nie wiedziała, jak długo była nieprzytomna. Jeśli się stąd nie wydostanie, nikt jej tu nie odnajdzie. Wpadła w pułapkę. Musiała znaleźć jakieś wyjście. Czuła potworne pieczenie w przełyku i chciało jej się pić. Po podłodze sunął w jej kierunku pająk. Słyszała szelest jego odnóży, choć nie mogła go dojrzeć w ciemności. Była pewna, że tam jest. Łysa kobieta w kącie spojrzała na nią z politowaniem. Niewdzięczna dziewczyna. Nie czuła strachu. Zawiniła i poniesie zasłużoną karę.

Marta opuściła głowę. Nie powinna spać, przecież może się już nie obudzić. Prześladowały ją obrazy jak ze snu; łączyły się, tworząc niespójną i niezrozumiałą całość.

Pamiętała to uczucie, gdy pewnego dnia przyszła do Luizy za wcześnie. Dwa razy przyszła za wcześnie i właśnie tych dwóch razy nigdy nie zapomni. Rozmowa, którą usłyszała, powracała do niej każdego dnia.

– Kocham cię i nigdy cię nie zostawię – powiedział mężczyzna.

– Nie możesz tu być. Przestań mnie nachodzić. Potrzebujesz pomocy lekarza... – W głosie Luizy słychać było przerażenie.

– Potrzebuję tylko ciebie. – Mężczyzna był zdeterminowany.

Marta wyszła szybko, serce biło jej jak oszalałe. To niemożliwe, to nieprawda. Jacek? A ty głupia myślałaś, że on co? Czeka na taką nędzę jak ty? Ogarnij się, kretyńko, i spójrz w lustro, myślała. Minął ją, nawet jej nie zauważając. Cała jego postać zdradzała, że jest wściekły. Jej drobnym ciałem targał stłumiony szloch.

Ten obraz wracał, ale za każdym razem mocniejszy, bardziej wyrazisty, nie do zapomnienia.

Powieki Marty opadły.

Nagły i piekący ból przeciął jej policzek. Otworzyła oczy z przerażeniem. Gdzie ja jestem? Czyżby to matka? Ojciec? Po twarzy pociekły łzy, ale ich nie poczuła.

Jacek siedział naprzeciwko na krześle oddalonym od niej jakieś dwa metry. Nie poruszał się. Ogarnęło ją przerażenie. To już koniec. Nie ma wyjścia. Nie ma szans, żeby cokolwiek wytłumaczyć. Klamka zapadła. Wzrok miał zimny, twarz zupełnie bez wyrazu. Nie czuła jego zapachu. Czy pachnie, jak wszystko tutaj, wilgocią i pleśnią? Czy może tylko ona przeszła zgnilizną, a może już się nią stała?

Nie miała pojęcia, która była godzina. Zabrał jej zegarek. Mieszkając w domku, nauczyła się rozróżniać pory dnia po smużce światła pod drzwiami i między szparami. Tu jednak było zdecydowanie ciemniej. Może tak się rozpoznaje godzinę egzekucji? Zaśmiała się w duchu. Jak to brzmi. Była głodna i spragniona. Zdawała sobie sprawę, że niedługo straci przytomność. Czego się spodziewałaś? To cud, że jeszcze nie leżysz na dnie jeziora. Marta chwyciła galopujące myśli, próbując skupić całą uwagę na tym przystojnym, wysokim, dziwnym mężczyźnie. Niebezpiecznym i tajemniczym, dla którego straciła głowę. Czuła, że ta wredna suka zupełnie go omotała. O co tak naprawdę chodzi? Przecież nic nie zrobiłam? Musiałaś coś zrobić, skoro tu jesteś. Żyjesz, samo to przemawia przeciwko tobie. Jesteś nikim, jesteś śmieciem, nędznym robakiem, wiesz to od zawsze – dlaczego nie miałabyś zakończyć życia właśnie tutaj? Skoro ktoś ma taki kaprys? Musisz wiedzieć „dlaczego”? Myśli płynęły jak w gorączce.

Mężczyzna niespodziewanie wstał i zbliżył się do niej. Podszedł i jednym silnym ruchem ręki odwiązał zawiązaną wokół jej głowy szmatę. Przez moment pomyślała, że tak jest gorzej. Dopiero teraz odczuła, jak bardzo zdrętwiała jej twarz i jak bardzo przestała już to czuć. Bała się poruszać zuchwą. Jacek cofnął się i z powrotem usiadł na krześle.

Oparł łokcie na kolanach, a wielkimi dłońmi podtrzymał brodę. Było w tej pozycji coś chłopięcego i delikatnego. Po chwili ciszę przecięło wypowiedziane niskim głosem pytanie. Jakby nie było w nim życia.

– Mógłbym cię zabić od razu, ale najpierw chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiłaś. Zabiłaś kogoś, kogo kochałem najbardziej na świecie. Musi spotkać cię za to kara. Co ona ci zrobiła? – Patrzył na nią, nie odrywając wzroku, ale czy naprawdę chciał poznać prawdę?

Huczało jej w głowie. Kobieta w kącie zaczęła śpiewać. Marta próbowała usłyszeć własne myśli. Powoli dobierając słowa, zaczęła:

– Myślę, że wiesz, że to nie ja – zaczęła skrzekliwie. – Nie mam z tym nic wspólnego.

Nie przerywał jej, choć odniosła wrażenie, że słucha jej z niechęcią. Z trudem opowiedziała mu o tym, dlaczego uciekła, i o rozmowie, którą przypadkiem usłyszała.

– To niemożliwe – powiedział, gdy skończyła.

– Czemu miałabym kłamać? Jaką miałabym z tego korzyść? Przecież cię kocham! – Cała się trzęsła. Jej zapadnięta klatka piersiowa bezgłośnie łkała.

– Jeśli to, co powiedziałaś, jest prawdą, uwolnię cię. Jeśli nie, zgnijesz jak robak. Jak nędzny, niewart życia robak.

Zakneblował ją i chwycił pod pachę jak worek kości. Nikt jej nie kocha i nigdy nie pokocha. Zawsze będzie już sama. Po policzkach spływały łzy. Kobieta przyglądała jej się z uwagą, ale milczała.

Gdyby nie tamten dzień, może wszystko wyglądałoby inaczej. Znow przed oczami stanęła jej scena z domu Luizy.

Odwróciła się dopiero wtedy, gdy znalazła się prawie przy bramie. To, co usłyszała w domu Luizy, docierało do niej powoli. Słowo po słowie. Groźba. Zapowiedź śmierci.

Niespodziewanie drogę zatarasował jej młody, postawny człowiek. Nie wiedziała, czy obserwował ją przez cały czas, czy też pojawił się właśnie w momencie jej panicznej ucieczki.

Jego głos, który już wcześniej kilka razy słyszała, był taki, jak go zapamiętała, aksamitny. Czuła, że czaiły się w nim emocje, których nikt nawet nie przeczuwał.

– Nie wchodzi pani? – Od Jacka bił chłód i opanowanie. To poza, pomyślała. Widać boi się tak bardzo, jak ja.

Zmieszała się, jakby została przyłapana na czymś złym. Po tym, co do niego napisała, musiał uznać ją za wariatkę. Dziwnie jej się przyglądał.

– A więc? – zapytał nadal chłodno.

– Czegoś zapomniałam... – Była tak spięta, że z trudem mówiła. – W ogóle jestem za wcześnie... Wrócę za godzinę. Zresztą nie wiem, ale chyba nikogo nie ma – dorzuciła jeszcze na odchodnym, unikając jego wzroku.

Odwróciła się na pięcie i nie czekając na odpowiedź, oddaliła się spieszenie w stronę ulicy Francuskiej. Czuła, że jej nie uwierzył. Gdy skręcała w boczną uliczkę, usłyszała za sobą szybkie kroki. Dogonił ją bez trudu.

– Nigdy więcej do mnie nie pisz. – W jego głosie usłyszała groźbę. – I przestań mnie śledzić.

Zamarła, widząc jego pociemniałą twarz. Oczy miał wielkie i mroczne. Nie dotknął jej, choć miała wrażenie, że powstrzymał się w ostatniej chwili. Czuła, że mógł ją zmiażdżyć jednym ruchem. Kocha ją. Tę wredną, śliską, próżną sukę. Poczwała, że serce w niej zamiera.

Pragnęła tego całym sercem – by był tylko jej! Może chciała, żeby Luiza Orłowicz została zamordowana? Może nie chciała temu zapobiec? Marta opuściła głowę. Powieki opadły i pogrzyżyła się w letargu, gdy drzwi bagażnika zatrzaskiwały się nad jej głową.

W DRODZE

Modest jechał trasą, którą znał tak dobrze, że mógł kierować z zamkniętymi oczami. Samochód prowadził lekko, ale ból w plecach nie ustępował. Z dnia na dzień czuł się gorzej i ratowała go jedynie determinacja, że musi zakończyć tę sprawę: odnaleźć Martę – żywą lub martwą. Uchylił okno, żeby wpuścić do wnętrza pojazdu powietrze. Wypalony papieros zgasł wyrzucony na pobocze. Muzyka grała cicho, aby mógł skupić myśli, był niespokojny. Przypomnił mu się czas, gdy dał się zwieść Lorencowi, wpadł w jego pułapkę jak naiwna mysz skuszona kawałkiem sera.

Pamiętał, że telefon Lorenca sprzed czterech lat ściał mu krew w żyłach.

„Aż tak jesteś zainteresowany starym Orłowiczem? Chyba nie postanowiłeś zagłębić się w przeszłość? Przyjedź natychmiast. Mieszkanie na Wiejskiej, drugie piętro, zorientujesz się gdzie. Czekaamy tu na ciebie z Piotrem. Fajnego masz dzieciaka”. Połączenie zostało przerwane. Kiedy dotarł do mieszkania, słyszał szum. Drzwi były na wpół otwarte. Stare mieszkanie Lorenca, w którym jedynymi lokatorami były karaluchy, odziedziczone po matce, było zdewastowane tak jak niszczona była pamięć o niej – metodycznie, każdego dnia. Szedł powoli, czując na sobie wzrok Henryka. Przez ściany słyszał głos, który mówił mu, co musi robić. Krok po kroku, wykonując polecenia, Modest dotarł przez labirynt korytarzy do salonu, gdzie zastał na wpół przytomnego Piotrka. Przywiązany sznurem, z opuszczoną głową, odwrócony do niego plecami, siedział na krześle. Lorenc wyszeptał kolejne polecenie. „Weź broń z podłogi. Pamiętasz, mój drogi, moją żonę? Była piękną kobietą, czyż nie? Sprawa jest prosta, masz do wykonania trzy strzały. Nie spudłuj”. Modest czuł, że cały drętwieje. Szczęki zaciśnięte do granicy bólu, pot spływający po skroniach. Nie zrobię tego. Kolejne polecenie: „Jeśli sam tego nie zrobisz, zrobię to za ciebie”. Modest z determinacją chwycił leżącą na podłodze broń i strzelił.

Modest zajechał na stację benzynową. Niechciane myśli krążyły, nie potrafił ich zatrzymać. Czyżby znów przyszykował na niego pułapkę, zacierając z uciechy ręce? Wtedy nie osiągnął tego, co chciał. Czy po to wrócił? Henryk Lorenc przeżarty nienawiścią był w stanie posunąć się do wszystkiego – ta prawda docierała do Modesta coraz mocniej.

Zdjął z półki dwa opakowania najmocniejszych środków przeciwbólowych, butelkę coli i wodę. To powinno starczyć, żeby przetrwał dalszą drogę. Kasjerka przyglądała mu się z uwagą, gdy wstukiwał PIN do karty. Pot spływał mu z czoła strumieniem.

Modest Tokaj wsiadł z powrotem do samochodu. Miał jeszcze do pokonania sto kilometrów. Połknął trzy tabletki, odczekał piętnaście minut, aż ból zelżeje, i ruszył. Obawa, że czeka go trudna rozgrywka, przeobraziła się w pewność.

SASKA KĘPA

Bernard Suchocki nie spodziewał się niezapowiedzianej wizyty prokuratora, zwłaszcza o tej porze, gdy miał w zwyczaju po powrocie do domu robić sobie drzemkę po dyżurze. Nie wrócił jeszcze do formy po tête-à-tête z przełożoną Giedrojc. Nie miał jednak wyjścia i wpuścił do domu Zawadzkiego, który wyglądał na wyraźnie poirytowanego. Bez zbędnych wstępów prokurator zaczął od progu:

– Chyba się jednak wszystkiego nie dowiedzieliśmy od pana, doktorze?

– Oczywiście nie przeszkadza pan, proszę wejść, zapraszam – odpowiedział Suchocki, jakby nie usłyszał pytania prokuratora.

– Chyba nie opowiedział nam pan wszystkiego? – powtórzył pytanie Zawadzki.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi!

– Czyżby?

Prokurator w kilku zdaniach przedstawił Suchockiemu relację z rozmowy z księdzem Albertem i wywiadu sporządzonego przez Biadonia, w którym nie brakowało szczegółów dotyczących doktora, choć nie były poparte twardymi dowodami.

– Czy nadal pan podtrzymuje, że nie znał pan Luizy Orłowicz i że nie widzieliście się w ostatnim czasie?

– Kurwa, po co mi to było... – Suchocki drżącą ręką starł pot z czoła.

– No widocznie po coś było – powiedział cierpko Zawadzki.

– Znałem Luizę – zaczął tamten zrezygowany. Urok podstarzałego amanta ulotnił się. Na kanapie siedział łysawy mężczyzna, pozbawiony charyzmy i woli walki. Skurczony i pewny tego, że przyjdzie mu odpowiedzieć za wszystkie grzechy kłamstwa i zaniechania. – Od małego. Ze Zbyszkim zaczęliśmy prowadzić interesy w latach osiemdziesiątych. To trwało jakieś siedem, może dziesięć lat. Dokładnie nie pamiętam. Kończyliśmy to samo liceum. Teraz już od wielu lat nie mam z tym nic wspólnego, znaczy z tą jego firmą. Ostatnio mnie znów poprosili, to znaczy Marek Orłowicz, ale odmówiłem. Nie mam już siły się w to bawić. – Suchocki gmatwał opowieść, ale najważniejsze było to, że wreszcie rozwiązał mu się język. – Jako lekarz nie mogłem oficjalnie prowadzić takiej firmy jak on, ale współpracę ułożyliśmy w inny sposób – westchnął Suchocki. – Ponieważ wpadałem dość często w kłopoty finansowe, odpowiadało mi to. Dostawałem do ręki okrągłe sumy. Nie mogłem narzekać.

– Co pan, że tak powiem, wnosił do firmy?

– Wiedzę. – Suchocki uśmiechnął się ironicznie i powtórzył: – Wiedzę i talent.

– Czyli dokładnie?

– Wspierałem go w procesie wprowadzania na rynek nowych leków, uzyskiwałem zgody odpowiednich urzędów. Znałem ludzi i wiedziałem, do kogo się zwrócić. Przede wszystkim uczestniczyłem w procesie legalizacji środków poronnych. Chyba nie muszę opowiadać szczegółów?

– W tej chwili nie – odpowiedział sucho Zawadzki. – Proszę wrócić do sprawy Luizy.

– Znałem ją od dziecka. Zawsze była spokojną i grzeczną dziewczynką, a potem wyrosła na piękną kobietę.

– Proszę kontynuować.

– Zdaje się, że miała trudne dorastanie. Któregoś roku, była to wczesna wiosna, nie pamiętam dokładnie... Zbyszek zadzwonił do mnie i powiedział, że Luiza jest w ciąży i że muszą się tego pozbyć.

– Tak dokładnie powiedział? – Zawadzkiemu zrobiło się niedobrze.

– Tak. Myślę, że było to coś takiego. Powiedział, że muszę mu pomóc, że chodzi o reputację.

– Naprawdę nie pamięta pan roku? Nie był dla pana znamienity?

– Nie rozumiem?

– Nie dostał pan wtedy okrągłej sumki za ukrywanie prawdy o śmierci Janka Orłowicza zamordowanego przez Irenę Orłowicz? Czy może za ukrywanie prawdy o tym, że Irena Orłowicz nadal żyje i znajduje się wciąż pod pańską – nazwijmy to – opieką?

Suchocki zbladł.

– Skąd pan wie?

Zawadzki udał, że nie usłyszał pytania.

– Co pan zrobił dalej?

Po krótkiej chwili lekarz kontynuował swoją opowieść zrezygnowanym tonem:

– Przywieźli Luizę do mnie i zostawili ją na moim oddziale. Była zamknięta na patologii ciąży, w oddzielnej sali, nikt oprócz mnie i jednej osoby nie miał do niej dostępu.

– Kim była ta druga osoba? Pamięta pan?

Suchocki westchnął, zdał sobie sprawę, że dalsze kłamstwa nie mają sensu. Przegrał.

– Przełożona pielęgniarek Jolanta Giedrojc.

– Ach, tak. – Zawadzki udał zaskoczenie. – Proszę dalej.

– Doczekała u nas do końca ciąży. Nie było szans, żeby dokonać aborcji, było na to za późno. Dziecko miało zostać oddane do adopcji. Pamiętam, że jak się urodził, nie mogliśmy się nadziwić, że jest taki piękny i zdrowy. Ironia losu. – Suchocki wyglądał na przejętego.

– To był chłopiec?

– Tak, chłopiec.

– Kim był ojciec?

– Ojciec miał pozostać nieznany – zmieszał się Suchocki.

– Kim był ojciec? – spytał ponownie Zawadzki, akcentując wyraźnie każde słowo.

– Zbyszek był taki, że jak nie mówił, to nie było sensu pytać. Nie miał żadnych skrupułów. Miał swoje sposoby, żeby radzić sobie z tymi, którzy go nie słuchali. Ale myślę, że ojcem dziecka Luizy Orłowicz był jej brat. Tamtej nocy, gdy zostałem

wezwany do Orłowicza, dla wszystkich było jasne, że Janek zgwałcił siostrę i próbował ją zabić.

Zawadzki domyślał się, że matka ratowała córkę. Może nawet nie chciała zabić pasierba, ale stanęła w obronie Luizy.

– Rozumiem. Co się stało z dzieckiem?

– Wylądował u sióstr, w domu opieki.

Zawadzki wzdrygnął się.

– I?

– Nie wiem, wydaje mi się, że szybko został adoptowany.

– Przez kogo?

Suchocki sprawiał wrażenie, że boi się odpowiedzieć na to pytanie.

– Ma pan jakieś sugestie? Ktoś się tym zajmował? – Zawadzki chciał usłyszeć dobrze znane nazwisko. Teraz był pewien, że związek jest oczywisty.

– Nie wiem, nie interesowałem się. Mnie to nie dotyczyło.

– Chyba pan żartuje!

– Nie wiem. Proszę zapytać siostrę Giedrojc. Wiem, że była emocjonalnie zaangażowana w tę sprawę.

– Jeszcze do pana wrócę. Proszę nie opuszczać kraju i kontaktować się z nami, gdyby cokolwiek się panu przypomniało. Będzie pan teraz pod szczególnym nadzorem policji. Żarty się skończyły.

W drzwiach prokurator odwrócił się jeszcze i spytał:

– Czy z tą adopcją miał coś wspólnego Henryk Lorenc?

Suchocki był zbyt zdenerwowany, by kłamać.

– Być może. Ale o to proszę mnie nie pytać. Błagam.

Zawadzki wyszedł. Nie on jeden bał się Henryka Lorenca.

REKOWNICA

Najpierw otwiera kopniakiem drzwi. W domku poza kapiącą wodą w zlewie nie słyhać żadnego dźwięku. Kropla za kroplą. Jest tłusta, spada w zwolnionym tempie. Modest czuje, że ból promieniuje od barków po koniuszki palców. Nie może się na tym skupiać, musi o nim zapomnieć.

W głowie dudnią myśli. A co, jeśli się spóźnił? Co, jeśli jej tutaj nie znajdzie?

Potem rozlega się huk wystrzału. Przerażliwy, świdrujący. Modest ma nogi jak z waty. Zamyka na moment oczy. Historia powtarza się albo to jego chora wyobraźnia płata mu figle. Otwiera ponownie oczy. Sięga po rewolwer. Idzie w kierunku kuchni. Przestaje oddychać. Zamyka oczy, wchodzi do środka, celując przed siebie.

Otwiera oczy. Wokół panuje cisza. W pomieszczeniu nikogo nie ma.

Mężczyzna czuje, że brakuje mu tchu. Opuszcza zdrtwiałą rękę.

– Ale była tu – mówi do siebie.

Rozgląda się po pokojach. Przedmioty, które przypominają o minionej epoce, zapomniane, pozostawione po ich życiu jakby przerwany nagłą śmiercią. Czyżby był za głupi, żeby je docenić? Popatrzył przez urwaną firankę na skraj lasu, którym wiodła ścieżka do jeziora. Widok, który fascynował go kiedyś bardziej niż najlepszy film. Przysiadł na fotelu, z siedziskiem wyżłobionym jak lej po bombie. Pozostawiona na podłodze szklanka z niedopitą herbatą. Jego uwagę zwrócił zeszyt wepchnięty pod fotel. Wydłubał go palcami, łamiąc paznokieć. Gdy otworzył pierwszą stronę, pociemniało mu przed oczami.

Z bijącym sercem wypadł na zewnątrz. Ślady po oponach rozmazał deszcz. Modest Tokaj widział przed sobą twarz Luizy Orłowicz.

GROCHÓW

Było wczesne popołudnie, gdy Zawadzki stanął pod mieszkaniem przełożonej Giedrojc. Był prawie pewien, że klucz do rozwiązania wszystkich zagadek tkwił w znalezieniu odpowiedzi na pytanie, gdzie znajduje się dziecko, które obecnie jest dorosłym mężczyzną. I, jak sądził, mordercą.

Po usłyszeniu dzwonka Jolanta Giedrojc dość szybko otworzyła drzwi. Nie wyglądała na zaskoczoną tą wizytą. Może Suchocki ją uprzedził?

– Dzień dobry. Prokurator Zawadzki, można?

– Oczywiście, zapraszam. – Gestem wskazała salon. – Coś do picia?

– Nie, dziękuję. Spieszę się, mam do pani tylko kilka pytań.

– Dobrze, proszę usiąść. Słucham. – Sprawiała wrażenie osoby, która nie może się doczekać, aby powiedzieć wszystko, co wie. Tyle lat czekała, żeby ujawnić to, co ciążyło jej jak kamień.

– Pozwolę sobie założyć, że pewne fakty są pani znane.

Kobieta uśmiechnęła się delikatnie, ale uśmiech nie dosięgnął oczu.

– Pewnie nie wszystkie, ale proszę mówić dalej.

– Wiem od doktora Suchockiego, że byliście państwo zamieszani w sprawę oddania do adopcji syna Luizy Orłowicz, czy tak? Pomijam na razie pozostałe aspekty tej sprawy.

– Potwierdzam. – Widać było, że kobieta nie zamierza utrudniać sprawy. – Pana informacje są prawdziwe.

– Czy wie pani, gdzie może znajdować się obecnie jej syn?

Na twarzy przełożonej pojawiło się skupienie. Przez chwilę toczyła ze sobą wewnętrzną walkę.

– I tak, i nie – odparła enigmatycznie.

Zawadzki nie miał czasu na zgadywanki, skrzywił się więc i zirytowany zapytał:

– Może pani mówić jaśniej?

– Cóż, wiem, że tuż po urodzeniu przekazano go do okna sióstr Bożego Miłosierdzia w Pruszkowie, ale dziecko szybko stamtąd zostało zabrane. Pewien mężczyzna skontaktował nas z samotną kobietą niecałe dwa miesiące później i to ona go adoptowała.

Zawadzki słuchał w napięciu.

– Kim była ta kobieta?

– Przyszła ze Zbigniewem Orłowiczem po porodzie Luizy. Była też raz u niej w szpitalu, ale nie sądzę, żeby Luiza mogła zdawać sobie z tego sprawę, bo była w kiepskim stanie. Poza tym podawano jej niezwykle silne leki, które mogły powodować pewne odrealnienie.

Zawadzki zmarszczył brwi, bo słowo „odrealnienie” nie zrobiło na nim dobrego wrażenia.

– Proszę mówić dalej.

– Ta kobieta była trochę dziwna. Dało się zauważyć, że jest niezwykle związana ze Zbigniewem. Bardzo interesowało ją, co stanie się z tym małym chłopcem. Myślę, że mogłaby to być ta sama osoba, która podjęła się adopcji.

– Nie pamięta pani, jak zwracał się do niej Zbigniew?

Kobiety pamiętają najróżniejsze drobiazgi, Zawadzki przekonał się o tym niejednemu raz. Czasami są to rzeczy wręcz absurdalne, których żaden przeciętny mężczyzna nawet nie jest w stanie skojarzyć. Dlatego prokurator, patrząc w skupione oczy przełożonej, wierzył, że i tym razem kobieca natura nie zawiedzie.

– Cóż, w normalnej sytuacji nie pamiętałabym takiego drobiazgu. Ale że bardzo smuciła mnie ta sytuacja, oceniałam ją w głębi duszy jako coś potwornie niezrozumiałego, bardzo obszedł mnie los tego dziecka. – Jolanta Giedrojc bardzo uważnie wypowiadała każde słowo. – Ta kobieta na pewno miała na imię Barbara. Nazwiska niestety nie pamiętam. Ale tak z pewnością zwracał się do niej Zbigniew.

Zawadzki patrzył na nią z niemym zachwytem.

– Dziękuję. Jeszcze się spotkamy. Z pewnością będziecie państwo musieli ponieść konsekwencje.

Przełożona kiwnęła głową.

– Jestem na wszystko gotowa, proszę pana.

Zawadzki spojrzał na nią badawczo.

– Kojarzy pani Henryka Lorenca?

Przez twarz przełożonej przebiegł cień strachu. Kiwnęła głową i zaczęła:

– To był ten...

Zawadzki przerwał jej.

– Nieważne. Wiem.

Wziął kurtkę i wyszedł z mieszkania. Musi zadzwonić do Modesta – i to szybko.

PRAGA-PÓŁNOC

Aleksander Zawadzki wszedł do budynku prokuratury ze ściągniętymi brwiami i zamyślonym wzrokiem. W myślach przekonywał się, że należy przeciąć to pasmo kłamstw. Już nie miał złudzeń, że Lorenc realizował swój misterny plan. Zemsta na rodzinie Orłowiczów. Zemsta na wszystkich, którzy mieli rodziny. Zemsta na Modeście. Opętany człowiek, któremu on sam zawdzięczał dziecko. Zawadzkiego rozsadała wściekłość.

– Boże ty mój, jak mnie przestraszyłeś! – Halinka podskoczyła na krześle. Od dawna nie widziała szefa w takim stanie.

– To o czym ty myślałaś? – spytał gniewnie. – Czy Modest telefonował?

– Nie.

– Nie mogę się do niego dodzwonić.

Zawadzki w kilku słowach zrelacjonował Halince rezultaty przesłuchań.

Halinka słuchała z coraz większymi wypiekami na twarzy.

– Czyli myślisz, że... – urwała.

– Nie wiem, ale nie możemy tego wykluczyć.

– Ale co, z zemsty? – W głosie kobiety słychać było powątpiewanie.

– Prędeż ze strachu. Zadzwoń, Barbara ma tu się stawić natychmiast. Razem z synem.

Po chwili zajrzała do jego pokoju.

– Słuchaj, nie ma go. Ale ona jest.

– Dobrze. Pojadę do niej.

Zawadzki patrzył przed siebie i próbował ułożyć sobie w głowie wersję zdarzeń. Oparł się o biurko. Dopiero po chwili dotarło do niego to, co powiedziała Halinka.

– Jak to nie może?

– Co nie może?

– Ten jej syn, gdzie jest?

– Tego matka nie wie. Była zaskoczona. Pytała, czy coś się stało. Od jakiegoś czasu nie ma z nim kontaktu i sama sprawiała wrażenie przestraszonej.

Zawadzki spojrzął na zegarek – dochodziła osiemnasta. Zadzwoił ponownie do Modesta i nagrał się, skrótowo przedstawiając fakty. Miał nadzieję, że odsłucha.

SASKA KĘPA

W sypialni panował półmrok. Barbara odebrała telefon, który dzwonił już któryś raz. Położyła się po południu, była bardzo zmęczona. Obudziła się z lekkim bólem głowy, gdy pierwszy dzwonek zupełnie niespodziewanie zakłócił jej sen. Potem leżała, łudząc się, że już więcej nie zadzwoni. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać.

Zachciało jej się wody, ale nie miała siły wstać, by pójść do kuchni. Chyba

przesadziła wczoraj z nalewką. Jeśli nie przestaniesz tyle pić, staniesz się starą alkoholiczką, skarciła sama siebie, ale zaraz się uśmiechnęła. Myśli znów wróciły do Jacka.

Barbara owinęła swoje wychudzone ciało szlafrokiem. Ostatnie zajęcia ją wykończyły. Musi zacząć bardziej o siebie dbać, nie ma już tyle wigoru co kiedyś. Praca na pełny etat powoli zaczyna przerastać jej siły, choć jeszcze nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Przecież nie może latać do setki jak nastolatka! Ma już sześćdziesiąt lat i zmęczenie dopada ją coraz częściej i szybciej niż kiedyś. Trzeba się wreszcie z tym pogodzić.

W kuchni nasypała sobie do kubka dwie łyżeczki kawy rozpuszczalnej. Czekwała, aż zagotuje się woda. Gdy czajnik zagwizdał, zalała granulki i dodała mleka. Kawa bez mleka przyprawiała ją o mdłości. To pewnie przez wrzody nie mogła pić czarnej. Usiadła przy stole z kubkiem i zapatrzyła się w okno. Nie było przez nie wiele widać poza tym, że zaczynało się zmierzchać.

Telefon zadzwonił ponownie. Odebrała. Gdy skończyła rozmowę, usiadła znów przy kuchennym stole.

No więc mają tu być za pół godziny. I po co? Przecież powiedziała wszystko jak księdzu na spowiedzi. Ba, pewnie nawet księdzu nie powiedziała by tak dużo. Nie lubiła kleru. Miała swoje zasady. Twarde i może dla niektórych niezrozumiałe, ale trzymała się ich zawzięcie. Bo zasady są w życiu bardzo ważne, bez nich nie ma na świecie ładu ani porządku, a ludzie zaczynają się po prostu gubić. Człowiek potrzebuje ram, w których może się poruszać bez strachu, że zrobi sobie lub komuś innemu krzywdę. Nie rozumiała tych, którzy bez przerwy prawili o wolności i niezależności. Wolność to niewola. Z wolności mało kto potrafi korzystać. Wolność wielu zabiła, podobnie jak władza. Zresztą czy wolność nie jest w istocie formą władzy?

Ona zawsze była od kogoś zależna i czuła się z tym znakomicie. Uważała, że dzięki temu jej życie upływa skromnie i bezpiecznie. Jest przewidywalne.

A teraz zakłócają jej spokój. Czy to jej wina, że Zbyszek postanowił ze sobą skończyć? Taka widać była jego decyzja, a oni muszą ją uszanować. Jego śmierć to strata, ale zdołała sobie już przez te ostatnie dni jakoś to wytłumaczyć. Staczał się przecież od dawna. Chyba nikt nie mógł przemówić mu do rozumu, bo on przecież zawsze wiedział, jak ma żyć, i nikomu nie wolno było tego kwestionować.

To pewnie związek z Anną pogorszył sprawę. Że też mu się zachciało takiego mariażu. Mógł mieć kochanki, jakie tylko chciał, a wybrał właśnie tę: niezbyt urodziwą, niewykształconą młodkę. Barbara wiedziała, że miał słabość do młodych i wysokich brunetek, ale żeby od razu się żenić? Nie pochwałała jego wyboru, ale pogodziła się z nim. Przez rok nawet pracowała u niego i Anny, ale nie mogła się z młodą kobietą dogadać. Może mierzilo ją to, co wyprawia, tak bezczelnie i bez klasy, ze Zbyszkiem, może zazdrościła jej młodości, może denerwowała ją jej postawa

w pierwszej ciąży, i gdy urodził się ich syn, po prostu odeszła. Wróciła do Luizy, bo wiedziała, że jest jej bardziej potrzebna, bo jest słaba i potrzebuje jej wsparcia. Po tym wszystkim, co się wydarzyło.

Barbara zamyśliła się. Ech, stare dzieje, choć w sercu wciąż żywe i świeże. Teraz Anna to już zupełnie inna kobieta. Zniszczona życiem ze starym, zgorzkniałym alkoholikiem i damskim bokserem. Widziała, jak patrzył na nią Marek. Ona już tam swoje wie. Tylko im się wydaje, że nikt nic nie widzi i nikt nic nie wie. Śmieszne, że w takich chwilach ludzie zachowują się po prostu jak małolaty. Jakby po raz pierwszy w życiu się zauroczyli i pierwszy raz w życiu mieli zamiar z kimś pójść do łóżka. Seks to bzdura. Barbara miała w tej kwestii jasny pogląd. Seks to obowiązek prokreacyjny i zero przyjemności, przynajmniej dla kobiety. Mężczyzna czerpie z tego siłę i satysfakcję, a kobieta, o ile nie jest kurwą, nie ma z tego nic. Może oprócz cienia pewności, że mężczyzna nie pójdzie jeszcze tego samego wieczoru szukać wrażeń do innej. Ona kochała się w życiu z jednym mężczyzną, który zdradził ją okrutnie, i więcej mężczyzn po prostu mieć w życiu nie zamierzała. Wystarczyło.

Ciekawe, czego chcą, pomyślała. Barbara patrzyła na zielone korony drzew. Powoli wstała z krzesła i w ciszy przeszła do pokoju, gdzie się ubrała. Patrzyła na podjeżdżający samochód bez emocji. Szybko wytłumaczyła sobie, że nie ma się czego obawiać. Nic mu nie mogą zrobić, cokolwiek by się okazało.

Nie odbierał jej telefonu, skąd mogła wiedzieć, gdzie się znajduje? Nie zwierzał jej się z niczego. Zresztą, co tu mówić, nie wiedziała o nim teraz prawie nic. Przez ostatnie lata zrobił się skryty, jakby nie chciał, żeby ktokolwiek mieszał się w jego życie. Bała się bardzo, że narobi sobie kłopotów, że zmarnuje życie, ale czuła, że ma na to coraz mniejszy wpływ. Nie mogła go ochronić. Chciała, żeby miał tylko ją, ale to nie mogło się udać. Szedł w świat, tak jak chciał i tak jak potrafił. Nic sobie nie robił z jej rad i nauk.

Z radiowozu wysiadł mężczyzna, z którym już wcześniej rozmawiała. Barbara poczuła się nagle bardzo staro.

– Tak, już zabieram rzeczy – powiedziała, otwierając drzwi prokuratorowi. – Proszę chwileczkę poczekać.

Weszła na górę po schodach, po czym ze stolika przy łóżku wzięła Biblię, którą zabrała z pokoju Ireny.

Prokurator Zawadzki nerwowo patrzył na zegarek. Niechętnie wszedł do środka niewielkiego i zniszczonego segmentu.

– Czy coś się stało? – spytała Barbara, zamykając drzwi od łazienki.

– Musimy porozmawiać.

Prokurator Zawadzki przepuścił Barbarę, która stanęła jak wryta. Jej syn wyrósł tuż przed nią jak spod ziemi. Przemoknięta kurtka, zacięty wyraz twarzy niewróżący nic dobrego. Gdy spostrzegł stojącego za matką Zawadzkiego, skulił się, przygotowując do

ucieczki. Powstrzymał go komisarz Biadoń, który zatarasował mu drogę.

– Skoro jesteśmy już wszyscy, zapraszam na rozmowę. – Zawadzki czuł w spojrzaniach matki i syna demony, które targają ludźmi od początku świata. Westchnął i ciężkim krokiem ruszył do radiowożu.

Marta usłyszała dochodzące gdzieś nad głową chrobotanie i poczuła, że jej ciało paraliżuje strach. Wrócił. Tak szybko? Jeśli to on, może daruje jej życie? Wpatrzyła się w ciemności. Podkurczone, zdrętwiałe nogi. Ból w związanych mocno nadgarstkach.

Miała wrażenie, że oblaży ją robaki, że wwiercają się w jej mózg, wnikają w żyły, płyną z krwią. Słyszała, że kobieta siedząca w ciemności śpiewa jej piosenkę śmierci.

– Ta zła dziewczyna, niewdzięczna dziewczyna...

Powiedział, że wróci za kilka godzin, że porozmawia i sprawdzi. Że jak się okaże, że kłamała, to pożaluje. Przecież ona go kocha, a tamta nie była warta żadnych uczuć! Kobieta przestała zawodzić, zbliżyła się do Marty. Ich ciała zetknęły się i splotły jak korzenie jednego drzewa. Pająk usiadł jej na oku. Widziała tylko jego długie odnóża.

Chrobotanie stało się głośniejsze. Była jak sparaliżowana. Związane ciało nie odczuwało nic prócz dotkliwego zimna, choć stopniowo nawet zimno przestawało doskwierać. Czy to jej wrodzona wytrzymałość, czy powolna śmierć? Może tak właśnie uchodzi z człowieka życie? Nie mogła ruszyć głową, nie mówiąc o wydaniu z siebie jakiegokolwiek dźwięku. Zresztą gdziekolwiek by była, na pewno istniała mała szansa, by ktoś ją usłyszał.

Wyteżyła słuch w nadziei, że rozpozna głos lub kroki, ale na zewnątrz zapadła cisza. Ma urojenia. Mimowolnie zamknęła oczy. Nie powinna spać, powinna czuwać.

Czy jej się zdawało, czy ktoś otworzył drzwi? Nastała jasność, gdy prokurator Zawadzki otworzył kłapę bagażnika.

PRAGA-PÓŁNOC

Barbara nigdy w życiu nie widziała, żeby syn patrzył na nią w taki sposób. Był na wyciągnięcie ręki, ale czuła, że jest dalej niż kiedykolwiek dotąd. Wiedziała, że go traci, choć łudziła się, że może nie jest jeszcze za późno.

– Cześć, Jacuś – powiedziała cicho, choć nie mógł jej usłyszeć. Odwrócił się w drugą stronę, żeby na nią nie patrzeć. Domyślała się, że jak zwykle pachnie wiatrem i wilgocią. Miała ochotę się do niego przytulić. Niech mały chłopiec zatopi się w jej ramionach, niech powie, że zawsze będzie przy niej. Kochanie, spójrz na mnie, prosiła w myślach. – Gdzie byłeś? Nie wiem, czemu nas tu przywieźli. Podobno szukają syna Zbigniewa, który zaginął, Janka. Stare dzieje, nie wiem, po co w tym grzebią. Ale podobno Marek z Adamem chcą sprzedać firmę i ktoś to kwestionuje – mówiła, nie przerywając i nie zważając na to, że on nie słyszy. Mówienie przynosiło jej ulgę. Może

nie jest taki wściekły, jak jej się wydawało?

Nie spojrzął na nią. Siedzieli na korytarzu, czekając na przesłuchanie, dzieliło ich zaledwie kilka metrów.

Z korytarza dobiegał spokojny głos Zawadzkiego. Tylko ktoś bardzo dobrze znający tego mężczyznę byłby w stanie ocenić, jak bardzo jest zdenerwowany i przejęty.

Prokurator rozłączył się po kolejnej rozmowie z Modestem. Marta już była pod opieką psychologów.

Gdy Zawadzki wszedł do pokoju przesłuchań, Barbara już na niego czekała. Patrzył uważnie na siedzącą naprzeciwko kobietę. Nie spuszczała z niego wzroku, gdy ją obserwował, ale zauważył, że nie ma w niej ani pewności siebie, ani złości. Nie była potworem, a przecież uczyniła zło w czystej postaci.

– Czy mój syn nadal tu jest? – zaczęła. Dłonie zaciskała mocno, aż kłykcie pobieleły.

– Tak – odpowiedział. Teraz powinno pójść łatwiej, pomyślał.

– Czego od niego chcecie? – Jej głos był cichy, ale wyczuwał w nim determinację.

– Jest podejrzany o dokonanie morderstwa. – Zawadzki nie miał wątpliwości, że trafił celnie. Kobieta zakryła dłonią usta, wyglądała, jakby zaraz miała rozpaść się na kawałki. Dygocząc, z trudem łapiąc oddech, powoli artykułowała słowa.

– Przecież... on... Przecież... ja... Przecież on nie ma... z tym nic... wspólnego... – Końcówka wypowiedzianych przez nią słów wypadła żałośnie.

Zawadzki popatrzył na nią, aż za dobrze rozumiejąc, co chce powiedzieć.

– Mamy dowody. – Nie lubił takich zagrywek. Miał wrażenie, że się nad nią znęca, i wiedział, że musi to jak najszybciej przerwać.

– Przecież to ja je zabiłam! Chcieli mi go odebrać! – Krzyk kobiety i histeria, które nastąpiły po tym, zaskoczyły Zawadzkiego. Kobieta, być może, postradała rozum. Cały czas, gdy ją uspokajał, miał nadzieję, że nikt nie usłyszał tego na zewnątrz, że nie usłyszał tego jej syn, zagubiony i przerażony.

Młody człowiek siedzący przed psychologiem sądowym nie reagował na zadawane mu pytania. Zamknięty w swojej skorupie, sprawiał wrażenie, że nie dociera do niego żaden bodziec.

– Czy wie pan, że to, co pan zrobił, podlega karze?

Oczywiście, że zdawał sobie sprawę, ale to się w tej chwili nie liczyło.

Jej nie ma, już nigdy nie będzie, zamordowała ją. Jak mogła? Nienawidził jej od momentu, w którym zabroniła mu się kontaktować z Luizą. Wszystko mu chciała odebrać. Nic się już teraz nie liczy.

– Wiem, że to może być dla pana szok. Czy zdaje sobie pan sprawę, że pana matka zamordowała Luizę Orłowicz i Małgorzatę Łowicką? Czy pan wie coś o tym?

Patrzył na nią nieruchomo. Pani psycholog poczuła się nieswojo, czuła ciarki na plecach i choć niejedno już widziała, na jej oczach działo się coś nieuniknionego. Metamorfoza, w której umierał chłopiec z wielkimi, szarymi jak burzowe niebo oczami, a rodziło się zło. I nikt już nie mógł tego powstrzymać.

LUIZA ORŁOWICZ

Poniedziałek, 13 października 2014 roku

Byłam bliska śmierci. Czulałam to każdego dnia, szykując się do nowej roli. Być może śmierć miała być również ujawnieniem prawdy? Musiałam umrzeć, żeby narodzić się na nowo, bez tego całego balastu.

Przyszłam do Małgorzaty dziwnie spokojna. A może bardziej wygłuszona?

Patrzyła na mnie z zaciekawieniem. Marnie wyglądała. Może obie umierałyśmy jednocześnie?

– Opowiedz mi dzisiaj, proszę, co się działo, gdy wróciłaś do domu ze szpitala. Jak długo tam byłaś?

– Nie mam pojęcia. Trafiłam tam zimą, a wróciłam chyba jesienią. Tak mi się wydaje. – Te pytania mnie męczyły. Nie byłam w stanie odpowiedzieć na nie precyzyjnie, przez co nie opuszczało mnie poczucie, że notorycznie kłamię. Skąd mogłam wiedzieć, co się ze mną wtedy działo?

– Denerwujesz się? Co czujesz? – Małgorzata oczekiwała odpowiedzi jak zwykle z łagodnym wyrazem twarzy.

– Tak, jestem zdenerwowana – odparłam. Byłam wściekła.

– Co się działo po powrocie?

Zamyśliłam się. Wzięłam głęboki wdech. Poczułam chłód podłogi pod bosymi stopami. Zobaczyłam biel ścian przenikającą moją skórę, zlewającą się z nią. Mokry ślad na posadzce, otwarte drzwi, plusk wody.

– Tak – potwierdziłam z wahaniem. – Mogę ci coś opowiedzieć. Przedstawię ci kogoś ważnego. Nie mówiłam o nim. To głupie. Wstydzę się tego. Poznałam go już po powrocie z Włoch, dokąd uciekłam na kilka lat.

– Opowiadaj. Nie musisz się niczego wstydzić. – Uśmiechnęła się zachęcająco.

Wspomnienia wypłynęły ze mnie strumieniem ciepłym, rwącym i błyszczącym.

Cisza dzwoniąca w uszach. Pusty, wielki, odpychający dom. Wytapetowane ściany i obrazy, które tak dobrze znałam. Znienawidzony i złowrogi dźwięk drapiących

o elewację gałęzi. Wszystko tak zarosło, jakby minęło ze dwadzieścia lat. Niesłychane, przecież nie było mnie tylko chwilę, pomyślałam. Dałam wolne Barbarze, bo nie potrzebowałam jej towarzystwa. Nie było natrętne, ale nie pozwalało poczuć, że mogę oddychać samodzielnie i bez niczyjej pomocy. Nie chciałam, żeby ktokolwiek cokolwiek do mnie w tej chwili mówił.

Powoli poruszałam się po pokojach, badając, czy wszystko jest takie, jak zapamiętałam. Ku mojemu zaskoczeniu nie było takie samo. Przedmioty wydawały się bardziej obce, pomieszczenia straszyły chłodem. Byłam pewna, że słyszę, jak mówią do mnie „uciekaj”, „odejź”, „nie zbliżaj się”.

Uderzył mnie chłód kamiennej podłogi. Przez szpary pod drzwiami przedostawał się nieprzyjemny powiew zimnego powietrza. Starość mebli, ciężar drzwi, brudne ściany.

Niewiele ze sobą zabrałam z Włoch, nie było na to czasu. Nie zależało mi, kolejny zamknięty rozdział, nie miałam potrzeby zabierania ze sobą pamiątek z przeszłości. Miałam ich już i tak wystarczająco dużo. Dlatego tuż przy drzwiach postawiłam tylko małą, kupioną w pośpiechu walizkę. Marco, mój ówczesny narzeczony, nie mógł się zorientować, że uciekałam.

Chciałam zostać sama, żeby nikt nie patrzył na mnie, jak od nowa wkraczam w stare życie. Czułam się znów przegrana. Może nie kochałam Marca, może nawet wiedziałam, że mnie oszukiwał, może tak naprawdę nie wierzyłam, że coś mi się od życia należy, ale i tak powrót do tego, co zostawiłam, był bolesny.

Barbara dbała o wszystko, więc właściwie było tak, jakbym wyszła i wróciła tu po zaledwie krótkiej chwili.

Nikt mnie nie witał. Tylko skrzypiące podłogi dające znać, że nie jestem tu pewnie sama. Może jest tu ze mną, stoi obok? Może ma mi za złe, że ją zostawiłam i wyjechałam szukać lepszego życia? Cień duszy mojej matki wisiał w powietrzu, był niemal namacalny.

Ja, dwudziestopięcioletnia kobieta, zmęczona życiem jak dobiegający kresu swych dni starzec, usiadłam w fotelu w salonie i zapaliłam papierosa. Pamiątka po Marcu, to przy nim nauczyłam się palić. Serce waliło mi jak oszalałe, gdy rozglądałam się po pomieszczeniu. Czułam, że zbliża się napad lęku, i próbowałam się uspokoić. Oddychaj! Raz i dwa, oddychaj głęboko, powtarzałam sobie w myślach.

Gdy usłyszałam stłumiony plusk wody, zadrżałam. Pomyślałam, że musiało to być złudzenie, ale dźwięk się powtórzył. Wstałam ostrożnie i powoli, z coraz mocniej bijącym sercem skierowałam kroki do łazienki. Kolejny papieros prawie przypalił mi palce. Im bliżej byłam drzwi, tym odczuwałam większy niepokój. Nie wyobrażałam sobie, że ktokolwiek mógłby korzystać z mojego domu podczas mojej nieobecności.

Gdy na moment zapadła cisza, pomyślałam, że po prostu się przesłyszałam. Że to wszystko wybryki mojej chorej i nadwrażliwej wyobraźni. Już miałam zrezygnować, gdy ponownie usłyszałam plusk wody.

Nacisnęłam klamkę i weszłam do środka. Na moment przymknęłam oczy, bo oślepił mnie blask wody.

Ujrzałam chłopca. Zwinnie wskakiwał do wanny i wyskakiwał z niej, świetnie się bawił. Był tak zajęty, że nie zauważył mojej obecności. Usiadłam na krześle stojącym z boku przy wejściu, na tyle blisko, by móc obserwować chłopca, i na tyle daleko, żeby mnie nie zauważył. Niespodziewany widok wywołał ulgę, ale i zaskoczenie. Patrzyłam na niego w skupieniu. Widać było, że chłopiec czuł się w wodzie bardzo szczęśliwy.

Małgorzata przerwała mi. Policzki miała pąsowe. Pocierała nerwowo dłońmi kolana. Nigdy jej takiej nie widziałam.

– Kim był ten chłopiec?

– Zaraz powiem – ociągałam się przed udzieleniem odpowiedzi.

Gwałtownie pochyliła się w moim kierunku. Oczy jej pociemniały.

– Powiesz mi teraz. – Pierwszy raz mi rozkazała. Zawzięcie milczałam przez dobre kilka minut.

– Synem Barbary. Jacek. Mój kochanek, przyjaciel. Miłość – mówiłam jak w gorączce.

Miałam wrażenie, że Małgorzata chce zakończyć sesję, ale się powstrzymała. Nie miałam pojęcia, jaką walkę ze sobą prowadzi. Skąd mogłam wiedzieć, że znała Jacka, że jej matka prowadziła go w terapii dziecięcej. Nie sądziłam, że Małgorzata może wiedzieć więcej, niż chce powiedzieć.

– To był pacjent mojej matki, powinnaś o tym wiedzieć – mówiła chłodno. – Musisz teraz zdecydować, czy chcesz o tym ze mną rozmawiać.

Zbaraniałam. Mój Jacek?

– A co wiesz na jego temat? – wydusiłam w końcu.

– Niewiele poza tym, że to biedny chłopiec. Mama mi trochę o nim opowiadała.

Poczułam się, jakby ktoś uderzył mnie w twarz.

– Ten młody człowiek to trudny przypadek... Nic z tym nie możemy zrobić. A teraz, jeśli chcesz, opowiadaj.

Ja też nie wierzyłam. Jacek był moim największym skarbem, ale i zgubą. Budził też moje największe obawy. Byłam od niego starsza o szesnaście lat. Poznawaliśmy się przez lata. Najpierw ja chroniałam jego, potem on mnie. A potem... Wszystko się skomplikowało.

Tak, wiedziałam doskonale, że z Jackiem nie będzie dobrze. Nigdy. Tylko nie byłam już pewna, czy chcę o tym opowiadać. Potrzebowałam czasu, żeby to przemyśleć.

Po rozmowie o Jacku postanowiłam przerwać terapię. Bałam się jednak, że sobie

zaszkodzę, więc mimo wszystko stawiałam się na kolejne spotkanie po tygodniu. Bardzo niechętnie. Długo czekałam na nią pod drzwiami, co było nietypowe. W końcu otworzyła zdyszana. Miała podkrążone oczy i wyglądała, jakby z kimś walczyła. Czułam, że coś dziwnego się dzieje.

– Przepraszam, że czekałaś. Jestem trochę chora.

Nie uwierzyłam, ale weszłam do środka.

– Zrobić ci herbatę?

– Tak, poproszę.

Rzadko prowadziłyśmy takie wstępne rozmowy. Zazwyczaj nie traciła czasu, ale teraz wyraźnie zwlekała.

Gdy usiadłyśmy, spojrzała na mnie smutnymi, zmęczonymi oczami. Może rzeczywiście była chora.

– Jak się czujesz?

– W miarę, a ty?

– Chciałam cię przeprosić. Mogłaś się poczuć odrzucona.

– Rozumiem. Martwiłaś się o Jacka.

– A ty nie? Już się o niego nie martwisz?

– Ja już nie patrzę tak na niego. To mężczyzna. Musi dorosnąć.

Małgorzata przytaknęła i siedziałyśmy chwilę w milczeniu.

– Kiedy widzieliście się po raz ostatni? Opowiesz mi coś więcej? – Zachęciła mnie do dalszej opowieści. Choć nie miałam ochoty, wróciłam jednak do tego tematu, a moja terapeutka patrzyła na mnie przenikliwie.

Po raz ostatni widziałam Jacka równo dwa miesiące temu w teatrze. Nie miałam pojęcia, co się teraz u niego działo. To była przeszłość, która uwierała jak niewygodny but.

– Nie powinieneś tu przychodzić! – Nie byłam zadowolona, że go widzę. Był późny wieczór. Siedziałam w garderobie, przygotowując się do wyjścia.

– Przestań, jestem już dorosły i mogę robić, co chcę.

Tyle razy mu powtarzałam, że to nie jest dobry pomysł, żeby się koło mnie kręcił. Musiał zacząć żyć własnym życiem, ja miałam swoje. Minał już czas, gdy byłam mu potrzebna. Powinien zacząć budować swoje życie. Beze mnie.

Wiedziałam, że jego kontakty z matką nie były łatwe. Jego traktowała inaczej niż mnie. Zaborcza, zachłanna, kontrolująca każde zachowanie. Cóż, widać bała się o niego i pewnie wynikało to z troski. Długo chorował, musiała być nadopiekuńcza. Bycie samotną matką chyba jest trudne i bolesne. Nie wiedziałam tego albo nie chciałam wiedzieć. Łatwiej czasem udawać, że się niczego nie dostrzega. Może gdybym sama była prawdziwą matką, też bym się tak martwiła o swoje dzieci?

– Pięknie grałaś – powiedział. Oczy mu błyszczały. Skrócił włosy i wyglądał bardzo

męsko. Regularne i mocne rysy twarzy. Schudł. Wyglądał poważnie jak na swoje zaledwie dwadzieścia dwa lata.

– Dziękuję. – Na chwilę rozpromieniłam się, ale mój uśmiech szybko zgasł. – Proszę, idź już sobie. Nie chcę, żeby cię tutaj ktoś zobaczył. Zwłaszcza twoja matka. Chcesz mieć kłopoty? Już nie będę cię bronić.

– Już idę, nie przejmuj się tak.

I znów to przenikliwe spojrzenie szarych oczu. Patrzył, jakby chciał przeniknąć wewnątrz mojej duszy.

– Mam jeszcze coś dla ciebie.

Na stole postawił figurkę małego motyla.

– Co to? – Pytanie było głupie, ale samo wymknęło mi się z ust.

– Motyl, sam zrobiłem.

– Piękny – powiedziałam szczerze. Był zdolny. I wrażliwy. – Dziękuję. Ale nie chcę już od ciebie prezentów.

Nieśmiało zbliżył się, jakby chciał mnie objąć. Odsunęłam się i wyciągnęłam rękę. Spojrzał pytająco, nie tego się spodziewał. Czy nie byliśmy sobie bliscy?

Krótki uścisk dłoni. To samo zachłanne spojrzenie oczu kradnących każdy szczegół.

– Do zobaczenia – powiedział, a w jego głosie nadal była nadzieja.

– Już więcej się nie spotkamy, Jacku.

Spojrzałam mu prosto w oczy tak zimno, jak tylko potrafiłam. Nie chciałam, żeby więcej mnie odwiedzał. Nie byłam w stanie dłużej być tym, kim chciał, żebym dla niego była. Zresztą nigdy nie mogłam być dla niego kimkolwiek.

Małgorzata uznała temat za zamknięty. Ja też czułam, że nie ma do czego wracać. Musiałam to zostawić, a przede wszystkim – chciałam. Nie było już innej drogi.

Czwartek, 18 czerwca 2015 roku

MOKOTÓW

Modest patrzył ze smutkiem na córkę leżącą na szpitalnym łóżku. To szczęście, że odnaleźli ją żywą. Piotr wszedł po cichu i przystanął tuż za nim. Położył mu na ramieniu dłoń. Modest drgnął i spojrzał na niego ze zdziwieniem. W jaki sposób tak szybko przyjechał?

Lekarz, który pojawił się po sekundzie, kazał im opuścić salę. Na korytarzu przystanął i zaczął mówić:

– Nie mam dla pana dobrych informacji. Moim zdaniem to psychoza. Przykro mi... Obawiam się, że Marta nie uniknie leczenia zamkniętego...

Modest nie chciał słuchać. Drżącą dłonią przeczesał włosy, hamując się, żeby nie rzucić się z pięściami na lekarza.

– Czy mogę posiedzieć przy córce?

Lekarz spojrzał na niego z rezygnacją.

– Oczywiście.

Modest wszedł z powrotem do sali. Usiadł na łóżku obok Marty i gładził jej wychudzone plecy. Łzy spływały mu po policzkach.

– Martuś, teraz już wszystko będzie dobrze. Obiecuję, że cię już więcej nie zostawię, słyszysz? Nie dam cię już skrzywdzić, przepraszam, słyszysz mnie, dziecko?

Modest nie wiedział, czy mu się zdawało, czy rzeczywiście dobiegł go cichy szept:

– Ta zła dziewczyna, niewdzięczna dziewczyna...

SASKA KĘPA

Marek wyszedł ze spotkania zniesmaczony. Tak to jest, gdy ufa się prawnikom. Wszystko niby załatwione, dokumenty przygotowane. Idiota. Miał czas, żeby opanować sytuację, uciąć spekulacje, ale oczywiście nic nie zrobił. A teraz kontrahenci się przestraszyli i uciekną. Bo Janek z zaświatów zacznie dochodzić swoich udziałów! Albo, i nie wiadomo, co lepsze, znowu zaniżą cenę. Tragifarsa. Wiedział, że prasa rozdmuchuje temat, ale co ma do tego trup jego brata?

Myśli Marka przeskoczyły nagle na Adama. Czyżby szwagier miał jakieś własne plany? Ale co go to obchodzi, niech sobie ma. Jego sprawa. Jak podpiszą kontrakt, nic

już nie będzie ich łączyć i każdy pójdzie bez żalu w swoją stronę.

Marek zaklął w myślach. A taki miał dobry plan! Zapłacili trzy miliony, żeby być w dealu. Dali łapówkę, żeby nie stracić kontraktu, który miał zwiększyć wartość firmy w momencie sprzedaży. I zwiększył. A Suchockiemu to nogi z dupy powyrywa, jak go spotka! Gnoj jeden, powinien tu z nimi warować. To by Niemców na pewno uspokoiło! Całe życie żerował na starym, a teraz zachowuje się jak jakaś pieprzona primabalerina!

Szedł zamaszystym krokiem, samochód zaparkował w alei Róż i musiał przejść prawie całe Aleje Ujazdowskie. Dobrze mu robi świeże powietrze. Alkohol wyparował i czuł tylko fizyczne zmęczenie. Ostatnio słabo spał. Pomyślał o Ewie. Może jednak warto spróbować? Sam nie wiedział, dlaczego nagle stało się to tak kuszącą perspektywą. Czyżby za nią tęsknił? Pierwszy raz w życiu? Za czym? Nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie. Może powinien jej to powiedzieć? Może chciał się poradzić? Zawsze jej ufał. Cokolwiek mówiła. Może to jego wina? Może nie powinien jej tak źle traktować? Może wtedy mieliby dzieci i życie wyglądałoby inaczej? Powiedziała by jej o Janku, może to by coś zmieniło? Może by zrozumiała?

Już dawno nie myślał o bracie. Jak to możliwe, że teraz akurat muszą o nim rozmawiać? Zaginął, nie zaginął, nigdy za sobą nie przepadali. Od dziecka bezlitosny, sadystyczny, był jego zupełnym przeciwieństwem. Nie interesowały go imprezy, dziewczyny, alkohol, tylko te tajemne czary-mary. Miał obsesję krwi. Nikomu się to nie podobało, Irena była wręcz przerażona. Na szczęście on już w tym wszystkim nie uczestniczył. Coś tam słyszał, ale się nie interesował. Może to źle? Może teraz spotka go za to kara?

Nie wiedział, kiedy dotarł do samochodu. Był tak zajęty myślami, że minął swoje auto, a potem musiał zawrócić kilkadziesiąt metrów. Czuł lęk, zupełnie nie wiedzieć czemu. Miał wrażenie, że ktoś go śledzi. Przycisnął pilota, gdy zbliżał się do samochodu. Ulica była ciemna. Poczul się nieswojo. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Serce biło mu mocno. Czuł pot na czole i robiło mu się słabo. Pomyślał o Annie. Wszystko skończone. Nikt z nas nie ma prawa być szczęśliwy. Włączył silnik.

A jeśli za to wszystko odpowiedzialny był Lorenc? Jeśli bym go zabił, tak jak chciał Lorenc, czy rzeczywiście byłoby łatwiej?

Marek stał przed drzwiami kilka minut, zanim usłyszał kroki dobiegające z wnętrza mieszkania. Wstała. Ciekawe, w jakim jest humorze. Pomyślał o tym z niechęcią, ale również z nadzieją. Drzwi powoli się uchyliły. Gdy ją zobaczył, nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Ewa? – Sam miał świadomość, że pytanie musiało zabrzmieć idiotycznie.

– A niby kto? Matka Boska? – Spojrzała na niego z politowaniem i wróciła do salonu. Szedł za nią ze wzrokiem utkwionym w jej tyłek.

Wyglądała świetnie. Zadziwiająco dobrze jak na to, co się ostatnio działo. Zadziwiająco dobrze jak na tę porę dnia. Zadziwiająco dobrze jak na zdradzoną i oszukaną kobietę. Nie pamiętał już nawet, kiedy wyglądała tak korzystnie. Jak to możliwe? Może coś się z nim dzieje, że mieszają mu się zmysły?

Odwrócił głowę, gdy zdał sobie sprawę, że musi wyglądać jak kretyn. Zauważył stojącą obok sofy walizkę. Przez głowę przebiegła mu myśl, która go zmroziła.

– Co to jest? – spytał powoli.

– Jak to co? – spytała rzeczowo. – Wyprowadzam się. To koniec.

W jego oczach zdumienie zaczęło mieszać się z wściekłością. Co, do kurwy nędzy, to wszystko ma znaczyć?!

– Jak to? – Głos niebezpiecznie zdradzał, że zaczyna tracić nad sobą panowanie. Jego ciało zareagowało napięciem, wzmożoną czujnością. Czuł się jak zwierzyzna, która staje się łupem silniejszego przeciwnika.

Ewa milczała. Wzrok miała zupełnie nieobecny, jakby myślami już jej tu nie było. Stała wyprostowana, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z obojętnym wyrazem twarzy. Jeśli grała, była to oscarowa rola.

– Może byś coś powiedziała? – zaczął zaczepnie. – Chyba należy mi się jakieś wyjaśnienie?

– Śmierdzisz. – Głos miała chropowaty. – Śmierdzisz trupem. I jesteś brudny.

– Słucham?! – Tylko tyle zdołał krzyknąć.

– Może tak byś się wykąpał. Poczekam. Ale nie zniosę dłużej tego smrodu. – Po chwili dodała: – Jeśli oczywiście nie jest to dla ciebie problem. – Nie bardzo rozumiał, co miał znaczyć tajemniczy uśmiech, który nagle pojawił się na jej twarzy.

Zmieszał się. Złość powoli ustępowała uczuciu, którego nie był w stanie nazwać, ale je znał.

– Może rzeczywiście – powiedział już spokojniej. – Może rzeczywiście masz rację. Poczekasz?

Kiwnęła głową i odwróciła się. Podeszła do kuchni, z blatu wzięła kubek i upiła łyk kawy.

Wycofał się do łazienki. Musi z siebie zmyć to wszystko. Śmierdzi trupem? Sam czuł się jak trup. Czyżby to miała na myśli? Jakby całe życie z niego uszło. Wszedł pod prysznic. Spuścił głowę. Gorąca woda spływała po karku i dalej, wzdłuż pleców. Stał tak może przez pięć minut, może przez pół godziny. Nie miało to jednak znaczenia dla tego, by zrozumiał, że tego zapachu z siebie nie zmyje. Choćby nie wiem jak się starał. Wszystko skończone.

Wyszedł z łazienki. Czuł się lżej, ale był zrezygnowany, wściekłość minęła. Patrzył bezradnie na krzątającą się w kuchni Ewę, walizkę, którą przeniosła do przedpokoju, i nie wiedział, co powiedzieć. Jak zacząć rozmowę, która z góry skazana jest na niepowodzenie? Przecież jej nie zwiąże, nie przełoży przez kolano i nie zmusi, żeby

została. Nie wyglądało to na psychiczny szantaż. Ewa go nie straszyla. Pierwszy raz w zyciu byla tak zdeterminowana. Nigdy nie probowala odejsc, a teraz stoi i przyglada mu sie. Podjela decyzje.

– I o czym chciales rozmawiac? – Czy mu sie zdawalo, czy w jej glোসie pobrzmiwala ironia?

– Powiedz, co sie stalo? Skad taka nagla decyzja? – silił sie na łagodniejszy ton.

– Co sie stalo? Czy ty słyszysz, co mówisz?

– Ewa, wiem, że ostatnio nie było między nami najlepiej, ale przecież sama wiesz. Tyle się dzieje...

– Tak? A cóż się takiego dzieje? – spytała, siadając, po czym założyła nogę na nogę i spojrzała na niego wyzywająco. – Powiedz lepiej, od jak dawna masz z nią romans. Sprzątnąłeś ojca i już myślałeś, że będziecie sobie gruchać jak dwa gołębki? – To nie zabrzmiało jak pytanie. Było jak stwierdzenie niezaprzeczalnych faktów. Jak wyrok w sprawie, w której nie miał najmniejszych szans na wygraną.

– Czyś ty oszalała?! – Niepotrzebnie podniósł głos. Nie umie zapanować nad emocjami, co się z nim dzieje? Przecież jeszcze niedawno tak trudno było wyprowadzić go z równowagi.

Ewa patrzyła na niego jak na głupca. I tak się właśnie czuł.

– Mógłbyś się przynajmniej nie kompromitować. Chociażby z uwagi na to, ile lat znoszę te twoje prostackie kłamstwa. Jeśli nie masz nic do dodania, to uważam, że tracimy czas. – Ewa okazywała coraz większe zniecierpliwienie. Zapaliła papierosa i nerwowo się zaciągnęła.

– Nie mam z nią romansu. – Wiedział, że mu nie uwierzy.

Spojrzała na niego z niechęcią. Może wołała usłyszeć, że ma romans, który trwa od dawna, i że chciałby odejść?

– Kocham ją. – Sam nie poznawał swego głosu. Sam nie wierzył, że to powiedział. Czyżby rzeczywiście tak wiele dla niego znaczyła?

Ewa patrzyła na niego wzrokiem, z którego nie był w stanie nic wyczytać. Jakby go wcale nie widziała i nie usłyszała tego, co mówił. Tak jakby siedziała za szybą pociągu i nie widziała nikogo, szczegóły nie miały znaczenia, a obrazy mijały jeden za drugim, zlewając się ze sobą. O nic nie zapytała. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku, nie licząc zbyt długiego westchnienia.

Zgasila papierosa. Nie spojrzala na niego, przeszła do przedpokoju. Wložyla płaszcz, chwycila rączkę walizki i otworzyła drzwi. W drzwiach odwróciła się.

– Jeśli będziesz mi cokolwiek utrudniał, pójdę z tym na policję. Uważaj.

Stał jak skamieniały. Podeszedł do stołu. Z roztargnieniem popatrzył na leżącą na stole kartkę. To koniec. Chyba rzeczywiście nie pozostało nic więcej do dodania.

GROCHÓW

Gdy Zawadzki wchodził z Modestem do mieszkania na drugim piętrze kamienicy na Nasielskiej, sąsiedzi wyszli przed drzwi. Bachmacka, sąsiadka z parteru, z rękami opartymi na szerokich biodrach stała i kręciła głową.

– Starej kobiecie nie spokoju nie dadzą.

– Słyszała pani jakieś dźwięki? Ktoś się tam ruszał?

Stara spojrzała na niego podejrzliwie.

– A co ja tam mogę słyszeć? Jakież szuje się tu z Warszawy bez przerwy pałętają! Zakłócają nam tu spokój na Pradze. Tam jest dzicz, proszę pana. A kim pan właściwie jest?

– Jestem prokuratorem. – Zawadzki zatrzymał się. Nie spieszyło mu się do oględzin.

– A pani?

– Bachmacka Jadwiga – odpowiedziała kobieta. – Jeszcze mój syn Józek tu mieszka. Ale w pracy jest.

– Czy ostatnio widziała pani sąsiadkę mieszkającą na górze?

– Ona się nie rusza. Tylko opieka do niej przychodzi. Córka. Już od tylu lat, panie. Niestety. Ona jest trochę dziwna, ale miła. W szpitalu ponoć pracuje.

Zawadzki kiwnął głową. Potwierdzała się wersja Jolanty Giedrojc: opiekowała się Ireną Orłowicz z polecenia jej męża i Suchockiego przez blisko dwadzieścia lat. Nie mieściło mu się to w głowie.

– Wrócę jeszcze do pani.

Po otwarciu drzwi spojrzeli na siebie z Modestem porozumiewawczo. Obaj znali doskonale zapach śmierci.

SASKA KĘPA

Cztery godziny później siedzieli w kawiarni przy Francuskiej pochyleni nad kubkami z kawą. Za oknem padał deszcz, a przechodnie chowali się pod parasolami. Nikt nie przypuszczał, że po upalnym początku lata przyjdzie takie ochłodzenie.

Modest zdawał się jednak na to nie zważać, wzrok miał wbity w jeden punkt i niewiele do niego docierało. Zawadzki niepokoił się o niego. Aresztowali mordercę, Marta znajdowała się w szpitalu na Wołoskiej pod opieką psychiatrów, a z nim było gorzej, niż można było przypuszczać.

– I co dalej?

– Z czym? – Zawadzki nie zrozumiał.

– Z Barbarą, Jackiem?

– Ty się raczej martw o Martę – powiedział kąśliwie, a po chwili dodał: – A może właściwie o siebie się martw. – Miało wypaść życzliwie, ale chyba się nie udało.

– Spadaj. Dam sobie radę. Z Moniką się nią zajmiemy.

– Zeszłście się? – Zawadzki nie był zdziwiony.

– Zaczęliśmy rozmawiać.

– A co z tobą?

– W porządku.

– Na pewno?

– Odwal się.

Zawadzki kiwnął głową.

– To co, wracasz do policji? – zażartował.

– Chyba śnisz! – Modest uśmiechnął się, jakby ta wizja naprawdę go rozbawiła. – Dobrze mi z moimi małymi, drogimi sprawami.

– Tak. Ganiecie za kochankami musi być pasjonujące – mruknął Zawadzki.

– Tak jak twoje napady i rozboje meliniarskie – zripostował szybko.

Zawadzki roześmiał się. Było w tym wiele prawdy. Rzadko trafiała mu się taka sprawa jak ta.

– Ale nieźle sobie dałeś radę. – Modest spojrział na kolegę z nieudawanym szacunkiem.

– Chciałeś powiedzieć, że wyjątkowo jak na mnie? – Zawadzki ponownie się uśmiechnął.

– Nie no bez przesady.

– Prawda jest taka, że bardzo pomogłeś, przeszkadzając. Dziękuję.

– Polecam się. Słyszałem, że Kwaśnik odchodzi?

– Tak, Wiśniewska coś wspominała. – Zawadzki spłoszył się tym pytaniem.

– I? – Modest spojrział na kolegę wymownie.

– I nic.

– Przestań zgrywać dziewicę! – Modest roześmiał się.

– Nie nastawiam się. Chcemy z Igą odpocząć, to wszystko.

Modest spytał jeszcze:

– Gdzie Lorenc?

– Zapadł się pod ziemię.

– Tym razem się nie wywinie?

– Mam nadzieję, ale nie będzie łatwo. To szczwany lis.

Modest pokiwał głową.

Obaj uznali, że wystarczy tych gadek, za długo się znali, żeby przedłużyć niepotrzebnie to spotkanie. Zawadzki wstał od stolika, zostawiając na nim dokładnie odliczone dziewięć złotych. Modest jeszcze przypomniał:

– Miałeś mi coś powiedzieć.

– Może innym razem – zrobił unik Zawadzki. – Cieszymy się tym, co jest.

– To piwo w piątek? U ciebie?

– Może spotkajmy się na neutralnym gruncie. – Prokurator roześmiał się. – Każdy ma tu coś do ukrycia. – Przerwał, spojrzał na przyjaciela i dodał: – Kryłem Lorenca. Nie mam czystego sumienia.

– Nie ty jeden.

LUIZA ORŁOWICZ

Poniedziałek, 1 czerwca 2015 roku

Zrobiłam kilkumiesięczną przerwę. Nie byłam w stanie wyrobić w terapii. To, co odkrywałyśmy, było za trudne, niewygodne, zbyt bolesne. Nie miałam na to siły.

Do dnia, w którym miałam sen. Leżałam na mokrej i zimnej podłodze. Koc miałam wepchnięty pod głowę, ale mimo to było mi bardzo niewygodnie. Śmierdzący dywan sprawiał, że zbierało mi się na wymioty. Ból w czaszce powodował, że nie mogłam zebrać myśli i w pełni rozpoznać, gdzie się znajduję. Otaczali mnie ludzie, tego byłam pewna, ale było ciemno. Z trudem podnosiłam głowę. Nie mogłam rozpoznać twarzy. Nie wiedziałam, co się dzieje.

Zbudziłam się złana potem. Odtwarzałam wizje, które ukazały się podczas hipnozy kilka miesięcy temu. To wszystko domagało się, żebym uwolniła tajemnicę.

Gdy opowiedziałam o tym Małgorzacie, spytała:

– Wiesz, czemu wtedy nie drążyłyśmy tego tematu?

Potrząsnęłam głową. Czułam, że paraliżuje mnie strach. Nie mam siły ruszyć się w fotelu. Czułam mrowienie w dłoniach. Krew pulsowała w skroniach. Szybko, o wiele za szybko. Nie chciałam znać odpowiedzi. Czułam się dziwnie ograbiona. Pozbawił mnie życia.

– Wrócimy do tego teraz, jesteś gotowa?

Nadal nie byłam. Jednak zamknięcie tematu Jacka, nazwanie tego głośno, jak było to dla mnie trudne i jak wielkie czułam z jego powodu wyrzuty sumienia, dało mi siłę. Ten czas dał mi siłę. Musiałam do tego wrócić.

– Tak, zacznijmy jeszcze raz – powiedziałam z wahaniem.

– Skończyłyśmy na tym, że jesteś w ciemnym pomieszczeniu. – Małgorzata miała niezwykłą pamięć, chyba już o tym wspominałam. – Pojawiają się jakieś postacie. Zamknij, proszę, oczy. Spróbujemy jeszcze raz.

Natychmiast poczułam ból w podbrzuszu. Gwałt, to był gwałt. Otaczali mnie ludzie bez twarzy. Jakbym oglądała film, ale zapomniała zupełnie, kto w nim grał i jakie było zakończenie.

Głuchy cios. Zamierające serce. Ciało osuwające się na podłogę twarzą do posadzki. Matka. Jej twarz nade mną. Czemu pojawiła się matka? Jak to możliwe? Obrazy przewijały się jakby w zwolnionym tempie. Światło dookoła stłumione i zaczerwienione. Jakbym utknęła w czarnym tunelu. Głosy dobiegające wokół mnie jak spod wody.

– Nie przypomnę sobie. Nie dam rady. Nic już więcej nie pamiętam – powiedział ktoś jakby za mnie.

Małgorzata wpatrywała się we mnie nieodgadnionym wzrokiem.

– Poczekaj. Wygląda na to, że twoja matka przyszła tam, gdzie się znajdowałaś i gdzie...

Spojrzałam pytająco na Małgorzatę, która dokończyła za mnie:

– Ktoś cię zgwałcił.

– Nie wiem tego na pewno. – Byłam wstrząśnięta. Powoli, bardzo powoli wracała mi świadomość. Tamta chwila, dzień, w którym umarło moje życie.

– A jak myślisz, co się tam innego mogło stać?

Patrzyłam na nią z przerażeniem i niedowierzaniem.

– Nie wiem.

– A jak to czujesz?

– Nie czuję – skłamałam. Kogo właściwie chciałam chronić? W tym świecie, w którym nikt nigdy nie chronił mnie?

– Poczekaj, wcześniej mówiłaś, że czułaś, że ktoś dotykał twoich miejsc intymnych, ktoś się o ciebie ocierał, ale traciłaś i odzyskiwałaś przytomność, tak?

– Chyba tak.

– Mówiłaś też, że krwawiłaś i że byłaś cała obolała. Gdzie?

– Wszędzie. Bolały mnie plecy. Jakby ktoś wbijał w nie setki, tysiące igieł. Nie czułam nic poza tym.

– Zupełnie?

– Wiem, do czego zmierzasz.

– Więc?

– Nie pamiętam. – Znowu wahanie i bezgraniczny strach. Uciekam przed sobą samą, jestem w pułapce, z której nie ma odwrotu. Znajdzie mnie, dopadnie, jeśli nie ucieknę. Jestem w mroku, ale słyszę jego oddech, czuję, jak się zbliża. Jest śliski, przesuwa się błyskawicznie.

– Pomyśl. Czy był tam jeszcze ktoś?

– Chyba lekarz – zawahałam się.

– Jaki lekarz?

– Nasz, doktor Suchocki.

Miałam wrażenie, że zamarła.

– Myślisz, że ten ktoś, kto tam był, cię zgwałcił? Luiza, słyszysz, co do ciebie

mówię? Co tam się wydarzyło? Czy to był doktor Suchocki?

– Był tam jeszcze Henryk Lorenc.

– To był on?

Zaprzeczyłam.

– To był Janek.

– Słucham? – Małgorzata spojrzała uważnie na mnie i wstrzymała oddech.

– To był mój brat Janek. On mnie zgwałcił. A matka, która przybiegła mi na pomoc, zabiła go.

Trzęsałam się na całym ciele. Było mi bezgranicznie źle. Odkryłam prawdę. Byłam matką Jacka. Nie mogłam żyć. Małgorzata zaczęła płakać, a ja nie wiedziałam, co się ze mną dzieje.

BARBARA NAŁĘCZ

Piątek, 19 czerwca 2015 roku

Barbara wiedziała, że jej życie się skończyło. To, co miało nastąpić teraz, było bez znaczenia. Mała cela, do której wpakowali ją po aresztowaniu, była zimna. Usiadła na pryczy. Ciało starej kobiety, a umysł wciąż jeszcze świeży i mocny. Serce piekło ją jak kawałek rozgrzanego żelaza.

Pamiętała dokładnie chwilę, gdy zbliżyła się po raz pierwszy do chłopca i spojrzała na jego piękną, rumianą twarzyczkę. Jacuś. Wiedziała, że musi być jej. Na zawsze jej – syn ukochanego Janka. Jej. Nikogo innego. Gdy Zbyszek dowiedział się, co zamierza zrobić, wpadł w szal. Wyzwał ją od najgorszych. Jak ona może chcieć go wychowywać? Była jednak nieugięta i zaszantażowała go, że jeśli jej na to nie pozwoli, wszyscy dowiedzą się o tym, co się wydarzyło tego wieczoru, poznają całą historię, i nie oszczędzi nikomu szczegółów. Widziała, co zrobiła Irena, i wiedziała też dlaczego. Barbara nie miała nic do stracenia. Była tylko jego wierną kochanką i biernym świadkiem minionych zdarzeń.

Gdy powiedziała to zdeterminowana, popatrzył na nią z nienawiścią. Bardzo się starał, żeby nie podnieść na nią ręki, ale uprzedziła go, że jest ktoś, kto o wszystkim wie, i gdy tylko jej się coś stanie, dowiedzą się o tym wszyscy. Nie wiedział, że blefowała.

– Dobrze. – Zrozumiał, że zbyt wiele ma do stracenia. – Zgadzam się na twoje warunki. Ale nigdy nic na ten temat nie piśniesz, nigdy nie wolno ci go tu przyprowadzić, jasne? Weź chłopca, ale nie chcę go widzieć!

Po kilku tygodniach był jej. Wielkie oczy patrzyły na nią jakby w zachwycie, a tłuste rączki dotykały jej twarzy. Pokochała go taką miłością, jaką kochała jego ojca i dziadka. Wielką i bezwarunkową. Ponieważ ani jednego, ani drugiego mieć nie mogła, zdobyła jego. Na zawsze i tylko dla siebie. To była jej cicha zemsta. Nikomu go nie odda. Będzie tylko z nią. Jej Jacuś. Nigdy go nie zawiedzie.

Lorenc mówił, że jej pomoże. Kłamał, chociaż znali się od lat. Wiedziała, że nienawidził Orłowicza tak mocno, jak teraz ona. Zabrał mu ojca, w pewnym sensie też

matkę. Od zawsze pragnął zemsty. Obiecał, że nie pozwoli, żeby Luiza dowiedziała się o Jacku. Bawił się tą sytuacją. Tak naprawdę zemścił się na nich wszystkich.

Nie tak miało być. Zabiła z bezsilności – taka była prawda. Henryk powiedział, że nic więcej nie zrobi. Nie przyszedł na spotkanie. Pozwolił, żeby Suchocki rozmawiał z Orłowiczem.

To był impuls, nagła decyzja. Jacka nikt jej nie odbierze. Nie zadecyduje za nią. Nie odbierze, jak Janka... Nikt jej tego nie zabroni. Nie da sobie odebrać tego, o co walczyła całe życie. A problemu się pozbędzie – raz na zawsze.

Łowickiej pozbyła się łatwiej, niż sądziła. Krótka rozmowa, zwabiła ją niczym naiwną dziewczynkę.

Z Luizą też nie było kłopotu. Weszła do salonu, wiedząc, że Luiza śpi. Łykała przez ostatnie dni tabletkę za tabletką. Teraz albo nigdy.

Nóż wszedł w ciało tak miękko. Materiał nie stanowił żadnej bariery. Luiza zgięła się wpół, ale nie obudziła. Nie widziała jej oczu. Nie usłyszała żadnego dźwięku. Nóż wbiła ponownie. Nie wiedziała nawet, ile razy.

Ciało po chwili zamarło.

Miała niewiele czasu. Posprzątać, umyć, odkazić. Myślała o tym przecież milion razy.

Trzy miesiące później

URSYNÓW

Budynek Instytutu Onkologii na Ursynowie nie napawał optymizmem. Decydowała o tym pewnie świadomość, że w tym dużym przybytku po prostu ludzie umierają. Czasem w bólu, czasem bez bólu i świadomości. Często za wcześnie i za młodo, a niekiedy w wieku sędziwym, ale nigdy w odpowiednim. Ludzie z kartkami przypiętymi do nocnych koszul – dziś lub jutro, ale na pewno umrę, ty też?

Specyficzny, podbity upałem zapach uderzył Modesta już od wejścia. Nie był w stanie ustalić jego źródła. Metaliczny i trochę obiadowy, bo na dole po lewej stronie mieściła się restauracja szpitalna, a trochę kiblowy, bo po prawej była toaleta. I coś jeszcze. Mieszanka palonego ciała, wyżeranego od środka przez radioterapię, wymiocin i końca świata.

Modest przygarbił się. Ból dokuczał mu w całym kręgosłupie, promieniując do nóg i rąk. Z każdym dniem było gorzej.

Nie miał nic do pozostawienia w szatni, dlatego poszedł dalej, próbując odnaleźć w labiryncie korytarzy właściwy gabinet. Przechodząc koło okien, widział wysokich i niskich łysych mężczyzn stojących z kroplówkami umocowanymi do metalowych stojaków i palących papierosy. Mniej lub bardziej bezzębne dziąsła wykrzywiały się w uśmiechu. Klatki piersiowe ukazujące się spod rozpiętych koszul opadały ciężko i podnosiły się z wysiłkiem. Dym – wdech, dym – wydech.

Wzdrygnął się. Czy to wszystko ma jakiś sens? Jaki sens ma jego życie? Kiedyś uważał, że aby odnaleźć sens życia, trzeba się natrudzić. Że trzeba doznać jakiejś iluminacji, a może też zasłużyć. Teraz, być może na półmetku życia, jeśli oczywiście będzie mu dane żyć tak długo, uważał, że jedyny sens życia to życie. Takie, jakie jest.

Profesor przyjmował w środy. Kolejka pacjentów była potwornie długa. Modest unikał kontaktu wzrokowego z ludźmi. Wolał udawać, że znalazł się tutaj przypadkiem. Stanął koło niego wysoki, szczupły chłopak. Palce miał sine od zaciskania na butelce z wodą mineralną. Modest nie miał odwagi spojrzeć mu w oczy. Gdy zostało wywołane jego nazwisko, wszedł szybko do gabinetu.

– Jak moje wyniki, profesorze? – spytał od razu po wymianie grzecznościowych formułek powitalnych.

Profesor nie podnosił wzroku. Grube palce miętosily białe kartki. Lekarz patrzył

w nie uważnie.

– Nadal coś pana boli?

– Bardzo. Z każdym dniem jest gorzej.

Profesor zamyślił się. Wstał od stołu, podszedł do stojącego obok regału, wyjął teczkę, a z niej jakiś dokument.

– Proszę popatrzeć, to zdjęcie kręgosłupa młodej kobiety. Widzi pan te dziury? To są zmiany nowotworowe.

Modest czuł, jak strużka potu spływa mu po plecach.

– A tu proszę – kontynuował doktor – dalsze zmiany. Mózg. Stan bardzo ciężki.

Mężczyzna bał się odezwać. Czyżby lekarz przygotowywał go na najgorsze?

– Ci pacjenci nie mają zbyt dużych szans na wyzdrowienie. W zasadzie są bez szans. Medycyna nie ma już dla nich żadnej metody leczenia. A jednak się nie poddają. Ludzie najczęściej walczą do końca. Tak już jesteśmy skonstruowani. Nie wiem, czy to atawizm, czy niepokodzenie się ze śmiercią, ale tak jest. Wie pan, może zabrzmiało to brutalnie, ale często oglądam żywe trupy.

Twarz Modesta była biała ze znużenia i strachu.

– Chce pan powiedzieć, że jestem bez szans? – Spoglądał na okrągłą twarz doktora. Krzaczaste brwi dodawały mu surowości, choć spojrzenie niebieskich oczu było młode i świeże.

– Wie pan, szanse są zawsze. – Lekarz na moment zawiesił głos. Cofnął brodę. Wyprostował się na krześle, które skrzypnęło.

– Proszę mi szczerze powiedzieć, doktorze. – Modest czuł palącą suchość w ustach i gardle.

– Pan nie może nie mieć szans. Pan jest zupełnie zdrowy, szanowny panie. – Profesor po raz pierwszy w trakcie rozmowy się uśmiechnął.

– Ale... – Modest urwał. Szumiało mu w uszach, pociemniało w oczach. Czuł, że zaraz zemdleje. Co się ze mną dzieje?, myślał jak w gorączce.

– Nie ma ale. Proszę mi się tu więcej nie pokazywać. Widział pan tę kolejkę na zewnątrz? Ci ludzie mają o wiele większy problem niż pan. Pan ma tylko z głową.

– Co pan, doktorze, sugeruje? – Nagle poczuł się nieswojo i niewygodnie. Rozmowa przybierała dziwny obrót.

– Sugeruję, i to nie są żarty, wizytę u psychiatry. Z medycznego punktu widzenia pana bóle nie mają uzasadnienia. Musi pan szukać gdzie indziej.

– Ale mnie boli! – Po początkowej uldze czuł coraz większą irytację.

– Proszę pana, każdego coś boli. I wcale nie twierdzę, że nie dopadła pana jakaś psychosomatyka. Najczęściej życie boli. Z pana jest kawał chłopca, wyprostuj się pan i zrób coś ze sobą. Ma pan dla kogo żyć?

Modest kiwnął głową. Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

– I bardzo dobrze. – Profesor spojrział na niego, rozluźnił się, zupełnie jakby siedzieli

na rybach. – Co pan robi w życiu?

– Jestem policjantem. To znaczy byłem, przez dwadzieścia lat.

Doktor zagwizdał.

– Czyli twardziel. Nie takich sieknęło. I tak się dziwię, że nie jest pan alkoholikiem i degeneratem. To prawdziwe szczęście. – Zaśmiał się. – Wie pan, my, lekarze, widzimy wszystkich: od przedstawicieli królewskiego dworu po nurków śmietnikowych. I zdziwiłby się pan, kim może być taki nurek i kim może być ta najjaśniejsza świta. Życie. Też swoje przeżyłem, tutaj jednak te problemy tracą na ważności. Jak rozmawiam z ludźmi, często nie mam dla nich dobrych wiadomości – westchnął i po chwili dodał: – Tu tak jest. Proszę już niczego nie szukać i przestać chodzić po lekarzach. Nie wiem, kto tu pana skierował, ale nie miał za grosz wyobraźni. Proszę się zająć głową. Polecam doktor Wandę Kucharską. Ona pana wyleczy. Wandzia to fajna babka. Do widzenia. Życzę, żeby pan odnalazł sens. Ma go pan pod nosem. Jak wszyscy.

MOKOTÓW

Prokurator Aleksander Zawadzki z namaszczeniem czyścił buty na klęczkach w niewielkim przedpokoju przy dającej niewiele światła lampce. W ciszy mieszkania słyhać było miarowe pociągnięcia szczotki omiatającej włosiem grubą licową skórę pokrytą warstwą czarnej pasty. Rzadko wychodzili do opery, to był właśnie ten dzień. Piętnasta rocznica ślubu za dwa dni, ale świętowali zawsze wcześniej. Iga, ubrana w zieloną aksamitną sukienkę, stała i z uśmiechem obserwowała jego niezdarne ruchy. Najchętniej włożyłby nieśmiertelne martensy, ale nie chciał jej zrobić przykrości. Wyjściowe sztyblety lśniły tak, że można się było w nich przejrzeć.

– Ten nowy zajmie się wszystkim? – spytała Iga. W jej głosie słyhać było ledwo wyczuwalne napięcie.

To był pierwszy od dawna wolny wieczór, kiedy nie zamierzał odbierać telefonów.

– Obiecał, że zaopiekuje się każdym, kto do niego zadzwoni. Ale ma nadzieję, że mu oszczędzą wrażeń.

Roześmiał się. Praca znów zaczęła sprawiać mu przyjemność.

– Jak się trzyma Modest? Doszedł już do siebie? – Iga pytała o więcej, tego był pewien.

Spędził z nim tydzień w górach. Gdy schodzili razem zboczem, wracając do schroniska, a w dole rozciągała się Dolina Pięciu Stawów, nie miał wątpliwości, że cokolwiek się zdarzy, dadzą radę. To w sumie było katharsis dla nich obu. Jesień w górach przyniosła ukojenie. Rozprawili się z tematami, które nie dawały spokoju. Po męsku. Twarzą w twarz. Przeszli zwyczajnie tę próbę.

– On nieźle. Monika gorzej – ubiegł jej kolejne pytanie.

– Nie dziwię się. – Iga nie lubiła takich historii.

– Grzechy młodości. Nie na wszystko mamy wpływ. – Zawadzki wzruszył ramionami. Nie tylko młodości, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

Iga nie wyglądała na uspokojoną.

– A Lorenc?

Zawadzki się skrzywił.

– Cóż on nam może teraz zrobić?

Iga nie wyglądała na przekonaną.

– O co chodzi? – Patrzył na nią, a gula rosła mu w gardle. Czyżby coś wiedziała?

– Myślisz, że on tak zwyczajnie odpuści? Że nie zemści się na Modestcie? Przecież to psychopata!

– Pamiętaj, że Lorenc zabił Roksanę. Jak się ujawni, otworzymy sprawę. Zebraliśmy dość dowodów.

– Czemu teraz tego nie robicie?

Zawadzki westchnął. Ten wieczór nie zaczynał się tak, jak sobie zaplanował. Czy muszą wracać do tego bagna?

– Bo chcemy, żeby sprawa przycichła. Przede wszystkim w naszych głowach.

Iga zrobiła się czerwona na twarzy.

– Tak po prostu? Macie możliwość go zamknąć, a nic nie robicie?

Czyżby jego żona znowu szukała zaczepki?

– Nie ma świadków. Nie ma dowodów. Śledztwo nic nie wykazało. Nawet jeśli się potwierdzi, że Adela i Franciszek Lorenc nie są dziećmi Henryka, tylko Modesta, niewiele to zmienia. To jeszcze nie dowód w sprawie.

Iga usiadła na krześle. Przysunął się do niej i zaczął łąsić jak pies.

– Nie psujmy tego wieczoru. Śledztwo zakończone. Już nic nam nie grozi, nie martw się. Lorenc naprawdę wie, kiedy może coś ugrać. Teraz może tylko stracić.

– To po co to było? – spytała Iga z rezygnacją.

– Chciał unicestwić Martę, ale się nie udało – mówił powoli Zawadzki. Obrazy z niedalekiej przeszłości wracały do niego jak z denerwującego i zapomnianego snu. Po chwili kontynuował: – Tak naprawdę mścił się na Orłowiczu za swojego ojca. I to mu się udało. Ta rodzina już nie istnieje. Po prostu się rozpadła.

Iga kiwnęła głową. Z kuchni dobiegł dźwięk jej telefonu. Gdy odebrała, bez słowa podała komórkę mężowi.

– Może wyłączyłeś swój, ale ja nie – powiedziała z wyrzutem. – Twój przyjaciel. Znajdzie cię zawsze i wszędzie.

Trzydzieści minut później Zawadzki był już na miejscu zdarzenia. Jak to określił Modest, sprawa jest z tych, dla których randkę z żoną można odłożyć na później.

PODZIĘKOWANIA

Podczas pisania niniejszej książki spotkałam wiele osób, które mnie wsparły i sprawiły, że nie zrezygnowałam z jej ukończenia. Nie wiem, czy zdołam wymienić wszystkie. Jeśli kogoś pomnę, z góry przepraszam, to był długi proces i mnóstwo dobrych ludzi przewinęło się w tym czasie przez moje życie.

Dziękuję: Anecie Szlachcie, Katarzynie Jerke, Joannie Jaworskiej, Agnieszce Stępień, Justynie Marczuk, Iwonie Grodzkiej-Górnik, Krzysztofowi Pochwickiemu oraz mojemu Mężowi – pierwszym uważnym i wspierającym mnie czytelnikom mojej książki – za konstruktywną krytykę.

Jakubowi Winiarskiemu dziękuję za początek przygody z pisaniem, Katarzynie Bulicz-Kasprzak – za wszystko. Twoja pomoc i wiara, Kasiu, są nieocenione.

Dziękuję również Agnieszce Kruk za inspirujące przekazywanie wiedzy w zakresie konstruowania fabuły.

Składam ogromne podziękowania za techniczne i merytoryczne wsparcie w konstruowaniu powieści, miejsc i profili psychologicznych bohaterów: prokuratorowi Przemysławowi Ścibiszowi z Prokuratury Okręgowej w Warszawie, Elżbiecie Krzywosz (bardzo!), Katarzynie Wróbel oraz Monice Mierzejewskiej-Wardak.

Rodzinie, Bliskim (Pani Małgosiu, jest Pani wielka!), Grupie JMTPPT (szczególnie Marcinowi Grygierowi!) oraz wszystkim, którzy dodawali mi otuchy, dawali wskazówki – jestem wdzięczna z całego serca.

Na koniec szczególne podziękowania dla redaktora Michała Nalewskiego – dziękuję za cierpliwość i szansę – oraz redaktor Małgorzaty Grudnik-Zwolińskiej – za celność uwag.

Dziękuję całej ekipie Wydawnictwa Prószyński Media za pracę przy tworzeniu mojej książki.

Wszelkie postaci oraz zdarzenia przedstawione w niniejszej książce są wytworem wyobraźni autora i zostały stworzone na potrzeby tej historii – nie należy ich szukać poza fabułą powieści, gdyż nie istnieją. Fikcyjna jest również część miejsc, w których rozgrywa się akcja. Jakakolwiek zbieżność ze stanem rzeczywistym jest wyłącznie dziełem przypadku lub też dowodem na to, że życie potrafi ciągle zaskakiwać.

Spis treści

1. LUIZA ORŁOWICZ

Piątek, 5 czerwca 2015 roku

Piątek, 5 czerwca 2015 roku

PRAGA-PÓŁNOC

SASKA KĘPA

GROCHÓW

SASKA KĘPA

BRÓDNO

PRAGA-PÓŁNOC

SASKA KĘPA

2. LUIZA ORŁOWICZ

Czwartek, 12 czerwca 2014 roku

Sobota, 6 czerwca 2015 roku

ŚRÓDMIEŚCIE

PRAGA-PÓŁNOC

PRAGA-PÓŁNOC

ANIN

PRAGA-PÓŁNOC

SASKA KĘPA

PRAGA-PÓŁNOC

PRAGA-PÓŁNOC

PRAGA-PÓŁNOC

ŚRÓDMIEŚCIE

3. LUIZA ORŁOWICZ

Poniedziałek, 1 czerwca 2015 roku

Niedziela, 7 czerwca 2015 roku

SASKA KĘPA

ŚRÓDMIEŚCIE

PRAGA-PÓŁNOC

PRAGA-PÓŁNOC

PRAGA-PÓŁNOC

PRAGA-PÓŁNOC

PRAGA-PÓŁNOC

RYBIENKO

ŚRÓDMIEŚCIE

ŚRÓDMIEŚCIE

4. LUIZA ORŁOWICZ

Czwartek, 19 czerwca 2014 roku

Poniedziałek, 8 czerwca 2015 roku

PRAGA-PÓŁNOC

SASKA KĘPA

PRAGA-PÓŁNOC

ANIN

ANIN

PRAGA-PÓŁNOC

WAWER

OCHOTA

PRAGA-POŁUDNIE

5. LUIZA ORŁOWICZ

Wtorek, 8 lipca 2014 roku

Wtorek, 9 czerwca 2015 roku

W DRODZE

ŚRÓDMIEŚCIE

PRAGA-PÓŁNOC

SASKA KĘPA

MOKOTÓW

6. LUIZA ORŁOWICZ

Środa, 16 lipca 2014 roku

Środa, 10 czerwca 2015 roku

PRAGA-PÓŁNOC

SASKA KĘPA

ŁOCHÓW

ANIN

POWIŚLE

7. LUIZA ORŁOWICZ

Piątek, 1 sierpnia 2014 roku
Czwartek, 11 czerwca 2015 roku
FALENICA
SASKA KĘPA, PRAGA-PÓŁNOC
SASKA KĘPA
ŚRÓDMIEŚCIE
RYBIENKO
PRAGA-PÓŁNOC

8. LUIZA ORŁOWICZ

Wtorek, 5 sierpnia 2014 roku
Piątek, 12 czerwca 2015 roku
ANIN
SASKA KĘPA
BRÓDNO
BRÓDNO
SASKA KĘPA
MOKOTÓW

9. LUIZA ORŁOWICZ

Środa, 20 sierpnia 2014 roku
SOBOTA, 13 czerwca 2015 roku
PRAGA-PÓŁNOC
PRAGA-PÓŁNOC
PRAGA-PÓŁNOC
ŚRÓDMIEŚCIE
SASKA KĘPA
PRAGA-PÓŁNOC
ANIN
PRAGA-PÓŁNOC

10. LUIZA ORŁOWICZ

Poniedziałek, 1 września 2014 roku
Niedziela, 14 czerwca 2015 roku
REKOWNICA
PRAGA-PÓŁNOC
ŻOLIBORZ

OCHOTA

11. LUIZA ORŁOWICZ

Poniedziałek, 8 września 2014 roku

Poniedziałek, 15 czerwca 2015 roku

PRAGA-PÓŁNOC

ŚRÓDMIEŚCIE

MOKOTÓW

REKOWNICA

GROCHÓW

GROCHÓW

12. LUIZA ORŁOWICZ

Wtorek, 16 września 2014 roku

Wtorek, 16 czerwca 2015 roku

ŻOLIBORZ, SASKA KĘPA

REKOWNICA

PRAGA-POŁUDNIE

MOKOTÓW

SASKA KĘPA

MOKOTÓW

13. LUIZA ORŁOWICZ

Sobota, 20 września 2014 roku

Środa, 17 czerwca 2015 roku

REKOWNICA

PRAGA-PÓŁNOC

MOKOTÓW

REKOWNICA

W DRODZE

SASKA KĘPA

REKOWNICA

GROCHÓW

PRAGA-PÓŁNOC

SASKA KĘPA

PRAGA-PÓŁNOC

14. LUIZA ORŁOWICZ

Poniedziałek, 13 października 2014 roku

Czwartek, 18 czerwca 2015 roku

MOKOTÓW

SASKA KĘPA

GROCHÓW

SASKA KĘPA

15. LUIZA ORŁOWICZ

Poniedziałek, 1 czerwca 2015 roku

16. BARBARA NAŁĘCZ

Piątek, 19 czerwca 2015 roku

Trzy miesiące później

URSYNÓW

MOKOTÓW

PODZIĘKOWANIA